

Diane Chamberlain

Prawo matki

Dla Johna, który daje mi pomoc i natchnienie

1.

Zabrali mi synka, kiedy miał zaledwie dziesięć godzin.

Jamie nazwał go Andrew po ojcu, bo wydawało się, że to imię do niego pasuje. Parę razy wypowiedzieliśmy je, sprawdzając, jak brzmi. Andrew. Andy. Potem nagle zniknął. Zapomniałam policzyć mu paluszki i sprawdzić, jaki kolor mają jego włoski. Co ze mnie za matka?

Walczyłam o niego tak, jak tonący walczy o powietrze.

Minął cały rok, zanim znowu wzięłam go w ramiona. W końcu mogłam swobodnie oddychać i wiedziałam, że nigdy, przenigdy go już nie oddam.

2.

Wróciłem do kościoła do mojej przyjaciółki Emily, no i zaraz zobaczyłem tę ładną dziewczynę. Wcześniej uśmiechnęła się do mnie i powiedziała „cześć”. Od tej pory jej wypatrywałem. Ktoś odsunął pod ściany wszystkie kościelne ławki, żeby można było tańczyć, i ta dziewczyna wirowała na środku podłogi z moim przyjacielem Keithem, który tańczy najlepiej na świecie. Gapiłem się na tę dziewczynę jak na nikogo innego, nawet kiedy Emily podeszła do mnie i spytała:

- Gdzie byłeś? To zamknięta zabawa. To znaczy, że masz tu zostać na całą noc.

Jej jasne brwi zrobiły się podobne do tego znaczka, który się stawia przy załatwionych sprawach. To znaczyło, że Emily się gniewa.

Wskazałem ładną dziewczynę.

- Kto to?

- A skąd mam wiedzieć? - Emily poprawiła zjeżdżające okulary. - Nie znam tu każdego z osobna.

Dziewczyna miała wirującą krótką spódniczkę i długie nogi, które fruwały nad podłogą. Jej jasne włosy były splecione w te takie fajne, co noszą Afroamerykanie, nigdy nie pamiętam nazwy. Cała głowa pełna takich warkoczków.

9

Minąłem grających w karty na podłodze i podszedłem prosto do tej dziewczyny. Zatrzymałem się o cztery buty od niej, bo mama mówi, że taka odległość wystarczy. Kiedyś za bardzo się zbliżałem do ludzi, którzy dostawali od tego ciarek. Mama mówi, że potrzebują przestrzeni osobistej. Ale nawet z tak daleka widziałem długie rzęsy dziewczyny. Jak piórka pisklaków. Raz widziałem pisklaka. Wypadł z gniazdka na naszym podwórku i Maggie weszła po drabinie, żeby go włożyć na miejsce. Chciałem dotknąć tych rzęs, ale to by było niegrzeczne.

Keith nagle przestał tańczyć. Spojrzał mi prosto w oczy.

- Czego chcesz, bogaty smarkaczu? - spytał.

Ja patrzyłem na dziewczynę. Jej oczy w oprawie piórek były niebieskie. Czułem, że słowa przychodzą mi do głowy, a potem spływają do ust, no a jak się tam znalazły, to już nie mogłem ich powstrzymać.

- Kocham cię - powiedziałem.

Otworzyła szeroko oczy, a jej usta przybrały kształt różowego kółeczka. Roześmiała się. Ja także się roześmiałem. Czasami ludzie śmieją się ze mnie, a czasem ze mną. Miałem nadzieję, że tym razem to jest to drugie.

Dziewczyna nic nie powiedziała, ale Keith wziął się pod boki.

- Znajdź sobie kogoś innego do kochania, bogaty smarkaczu. - Nie wiedziałem, dlaczego ciągle mnie tak nazywa zamiast „Andy”.

Pokręciłem głową.

- Kocham ją.

Keith stanął między mną a dziewczyną. Tak się zbliżył, że poczułem te ciarki, o których mówiła mama. Musiałem zadrzeć głowę, żeby na niego spojrzeć, aż rozboleła mnie szyja.

- Wiesz, że istnieje przestrzeń osobista? - spytałem.

- Słuchaj, ona ma szesnaście lat, a ty, konusie, czternaście.

- Piętnaście - poprawiłem. - Tylko nie urosłem.

- To czemu się zachowujesz, jakbyś miał czternaście lat? - Keith roześmiał się, a jego zęby wyglądały jak te duże białe gumy, które lubiła żuć Maggie. Nie lubię ich, bo mnie pieką w język.

- Zostaw go - odezwała się dziewczyna. - Nie zwracaj na niego uwagi, to odejdzie.

- Nie wkurza cię? - spytał Keith. - Że tak się na ciebie gapi?

Dziewczyna wyciągnęła rękę i odepchnęła nią Keitha jak patykiem. Potem zwróciła się do mnie.

- Lepiej sobie idź, kochanie - powiedziała. - Bo coś ci się stanie.

Dlaczego miałoby mi się coś stać? Nie byłem w niebezpiecznym miejscu ani nie robiłem nic niebezpiecznego, jak na przykład wspinaczka po skałach - na którą miałem ochotę, ale mama powiedziała, że nie wolno.

- Jak masz na imię? - spytałem.

- Wracaj do tego swojego wypasionego domu na wodzie - rzucił Keith.

- Jeśli ci powiem, odejdziesz? - spytała.

- Dobrze - zgodziłem się, bo spodobało mi się, że zawieramy układ.

- Mam na imię Layla.

Layla. Nowe imię. Spodobało mi się.

- Ładnie - powiedziałem. - Ja się nazywam Andy.

- Miło cię poznać. No, to skoro znasz moje imię, możesz już iść.

Skinąłem głową, bo musiałem dotrzymać warunków układu.

- Do widzenia - pożegnałem się i odwróciłem, żeby odejść.

- Niedorozwój.

Keith prawie to wyszeptał, ale mam bardzo dobry słuch i to słowo było, jakby ktoś wcisnął guzik.

10

11

Odwróciłem się, od razu biorąc zamach, i walnąłem go w brzuch, i walnąłem go w brodę, a on chyba też mnie walnął, bo później znalazłem bardzo dużo siniaków, ale nic nie czułem. Ciągłe biłem i biłem, z głową spuszczoną jak byk, zapominając, że mam tylko metr pięćdziesiąt, a on jest o wiele wyższy. Kiedy wpadam w gniew, robię się silny jak nie wiem co. Ludzie krzyczeli, klaskali i tak dalej, ale to wszystko było jak szum. Nie rozróżniałem słów. Samo szszszsz, z każdym uderzeniem głośniejsze.

Biłem, aż ktoś wykręcił mi rękę, a jakiś mężczyzna w okularach chwycił Keitha i nas rozłączyli. Wierzałem, żeby go trafić. Jeszcze z nim nie skończyłem.

- Co za dupek! - Keith wygiął się w chwycie mężczyzny w okularach, ale nie zdołał się do mnie zbliżyć. Twarz miał czerwoną jakby się spiekł na słońcu.

- On nie wie, jak się zachować - odezwał się mężczyzna, który mnie trzymał. - Ty powinienes. A teraz wynoś się.

- Dlaczego ja? To on zaczął! - krzyknął Keith. - Wszyscy zawsze się z nim cackają.

- Jeśli cię puszcze, będziesz grzeczny? - spytał mnie mężczyzna cicho.

Kiwnąłem głową i nagle uświadomiłem sobie, że płaczę, a wszyscy na mnie patrzą, z wyjątkiem Keitha i Layli, i mężczyzny w okularach, który odszedł w głąb kościoła. Mężczyzna puścił moje ręce i podał mi białą chustkę z kieszeni. Wytarłem oczy. Miałem nadzieję, że Layla nie widziała, jak płaczę. Ten mężczyzna stanął przede mną i zobaczyłem, że jest stary i ma siwy kucyk. Wziął mnie za ramiona i obejrzał, jakbym był towarem w sklepie.

- Jesteś cały, Andy?

Nie wiedziałem, skąd zna moje imię, ale przytaknąłem.

- Wracaj do Emily, a dorośli zajmą się Keithem. - Odwrócił mnie w stronę Emily i przeszedł ze mną parę kroków, obejmując mnie za ramiona. - Załatwimy tę sprawę, dobrze?

12

Puścił mnie.

- Dobrze - powiedziałem i poszedłem do Emily, która stała przy tym czymś do chrztu.

- Myślałam, że go zabijesz! - zawołała.

Chodzimy na tej same specjalne lekcje czytania i matematyki. Znam ją przez prawie całe życie i jest moją najlepszą przyjaciółką. Ludzie mówią, że dziwnie wygląda, bo ma białe włosy i jedno oko, które nie patrzy wprost, i bliznę na ustach po operacji w dzieciństwie, ale mnie się podoba. Mama powiedziała, że patrzę na cały świat oczami miłości. Oprócz mamy i Maggie kocham Emily najbardziej na świecie. Ale to nie moja dziewczyna. Na pewno nie.

- Co powiedziała? - spytała Emily.

Znowu wytarłem oczy. Nie martwiło mnie, że Emily widzi moje łzy. Wiele razy widziała, jak płaczę. Schowałem chusteczkę do kieszeni i zauważyłem, że jej czerwony podkoszulek jest odwrócony na lewą stronę. Kiedyś Emily •zawsze nosiła ubrania na lewą stronę, bo nie mogła znieść drapania szwów, ale potem jej się poprawiło. Nie mogła też znieść dotyku. Nasza nauczycielka nigdy jej nie dotykała, ale kiedyś przyszła jedna pani na zastępstwo i ona położyła rękę na ramieniu Emily, i Emily dostała szału. Tak się popłakała, że zwymiotowała na ławkę.

- Masz bluzkę na lewą stronę - oznajmiłem.

- Wiem. Co powiedziała ta dziewczyna?

- Że ma na imię Layla. - Obejrzałem się na Laylę, która nadal rozmawiała z panem w okularach. Keith zniknął, a ja gapiłem się na Laylę. Samo patrzenie na nią sprawiało, że z moim ciałem działy się dziwne rzeczy. Tak jak wtedy, kiedy musiałem wziąć lekarstwo na zaziębienie i nie mogłem zasnąć przez całą noc. Czulem, że w mięśniach pełzają mi robaki. Mama przysięgała, że to niemożliwe, ale ja te robaki czulem.

- Powiedziała coś jeszcze? - spytała Emily.

13

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, rozległ się bardzo głośny, niski, przeciągły huk, całkiem jak grzmot. Wszyscy znieruchomieli i rozejrzeli się, jakby ktoś zawołał: „Pająk idzie!”, jak w tej zabawie. Pomyślałem, że to może tsunami, bo znajdowaliśmy się tak blisko plaży. Bardzo się bałem tsunami. Widziałem jedno w telewizji. Tsunami pożerają ludzi. Czasami wyglądam przez okno mojego pokoju i patrzę na wodę w zatoce, czekając na wielką falę, która mnie połknie. Chciałem wybiec z kościoła, ale nikt się nie poruszył.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozświetliły się witraże. Zobaczyłem Marię z małym Jezuskiem, anioły i mężczyznę z tysym czubkiem głowy, w długiej koszuli i z jakimś ptakiem na ręce. Kolory z szyb padały wszystkim na twarze, a włosy Emily wyglądały jak tęcza.

- Pali się! - krzyknął ktoś i od razu wszyscy zaczęli wrzeszczeć: - Pożar! Pożar!

Przebiegali obok mnie i Emily, potrącając nas, aż się zataczaliśmy.

Nie widziałem ognia, więc staliśmy i dawaliśmy się potrącać, czekając, aż jakiś dorosły powie nam, co robić. Byłem już prawie zupełnie pewien, że to nie tsunami. Od razu się lepiej poczułem, choć ktoś wbił mi łokieć w żebra, a ktoś inny przydepnął mi stopę. Emily przytuliła się do ściany, żeby nikt jej nie dotykał. Spojrzałem w miejsce, w którym stała Layla, ale już jej nie było.

- Ogień blokuje wyjście! - krzyknął ktoś. Spojrzałem na Emily.

- Gdzie twoja mama? - Musiałem wrzeszczeć, bo zrobiło się bardzo głośno. Mama Emily była jedną z opiekunek i tylko dlatego moja mama pozwoliła mi tu przyjść.

- Nie wiem. - Emily skubnęła zębami palec, jak zawsze, kiedy się denerwuje.

- Nie gryź się. - Odciągnąłem jej rękę, a ona łypnęła na mnie zdrowym okiem.

Nagle poczułem swąd. I usłyszałem trzaskanie, jak wtedy, kiedy na plaży płonie ognisko. Emily wskazała sufit, pod którym wśród belek snuły się zawijasy dymu.

- Musimy się ukryć! - powiedziała.

Pokręciłem głową. Mama mówiła, że przed ogniem nie można się schować. Trzeba uciekać. Pod łóżkiem miałem specjalną drabinę, żeby wystawić ją za okno i zejść na dół, ale w kościele nie widziałem żadnych specjalnych drabin.

Wszystko działo się bardzo szybko. Paru chłopców podniosło długie kościelne ławki. Policzyli raz, dwa, trzy i pobiegli do wielkiego okna z panem z tysym czubkiem głowy. Długa ławka uderzyła w niego, rozbijając szkło na milion milionów kawałeczków, a wtedy zobaczyłem ogień na dworze. Jeszcze nigdy nie widziałem takiego wielkiego. Wpadł przez okno jak potwór i połknął chłopców z ławką jednym haustem. Chłopcy wrzasnęli i zaczęli biegać, ciągnąc za sobą ogniste języki.

- Stać! - krzyknąłem najgłośniej, jak umiałem. - Na ziemię! Tarzać się!

Emily bardzo się zdziwiła, że pouczam chłopców, co robić. Chyba mnie nie usłyszeli, ale może jednak usłyszeli, bo paru naprawdę zatrzymało się i zaczęło się tarzać po podłodze. Ubranie nadal im się paliło, a w kościele zrobiło się tyle dymu, że już nie widziałem ołtarza.

Emily się rozkaszała.

- Mamo! - wychrypiła.

Ja też kaszlałem i rozumiałem, że mamy kłopoty. Nigdzie nie widziałem mamy Emily, a inni dorośli wrzeszczeli, tak samo jak dzieci. Myślałem, myślałem, myślałem. Mama zawsze mówiła: w sytuacji alarmowej trzeba myśleć. To była moja pierwsza sytuacja alarmowa w życiu.

Emily nagle chwyciła mnie za ramię.

- Musimy się ukryć! - powtórzyła. Chyba się solidnie przestraszyła, bo jeszcze nigdy mnie nie dotknęła z własnej woli.

14

15

Wiedziałem, że z tym chowaniem to nie za dobry pomysł, ale podłoga już się paliła, płomienie szły do nas.

- Myśl! - powiedziałem głośno, choć tylko do siebie. Uderzyłem się ręką w głowę. - Mózgu, pracuj!

Emily przytuliła twarz do mojego ramienia, piszcząc jak szczeniaczek. Płomienie wznosiły się wokół nas jak las złotych drzew.

3.

Mojego ojca zabił wieloryb.

Prawie nigdy nie opowiadam o jego śmierci, bo ludzie sądzą, że zmyślam. Wtedy muszę się wdawać w całą historię i patrzeć, jak wytrzeszczają oczy i dostają gęziej skórki. Mówią o Ahabie i Jonaszu, a ja czuję, że śmierć taty zmieniała się w rozrywkową opowieść. Kiedy byłem mała, ojciec był dla mnie całym światem, najlepszym przyjacielem i obrońcą. Był niesamowity. Pastor, który własnymi rękami zbudował kaplicę dla swojej maleńkiej parafii. Nie mogłam znieść, gdy ludzie robili z niego bajkową postać, o której opowiada się przyjaciołom i rodzinie przy pizzy czy lodach. A zresztą łatwiej było o tym nie mówić. Gdy ktoś mnie pytał, jak umarł mój ojciec, odpowiadałam krótko: „Na serce”. Zresztą zgodnie z prawdą.

Tego wieczoru, kiedy Andy poszedł na zamkniętą zabawę, wiedziałam, że muszę odwiedzić ojca - a przynajmniej spróbować. Nie zawsze się udawało. Na trzydzieści czy czterdzieści prób zdołałam się z nim skontaktować tylko trzy razy. Przez to te wizyty stały się dla mnie jeszcze ważniejsze. Nigdy nie ustawałam w wysiłkach.

Zadzwoniłam do mamy, żeby ją powiadomić, że zabawę przeniesiono z budynku klubu młodzieżowego Drury Memoriał do kościoła, skąd powinna rano odebrać Andy'ego.

17

Potem powiedziałam, że idę do Amber Donnelly, co było bezczelnym kłamstwem. Od miesięcy nie spotykałam się z Amber, choć czasami nadal się razem uczyłyśmy. Spotkania z Amber wymagały wysłuchiwania nieustannego monologu o jej chłopaku, Travisie Hardym. „Ja i Travis to, ja i Travis

tamto", aż chciało mi się krzyżeć. Amber chodziła ze mną na kurs przygotowawczy na studia, ale nikt by tego nie poznał, słuchając, jak się wyraża. Ponadto to pozerka, myśli tylko o tym, jak wygląda i z kim chodzi. Aż do tego roku jakoś tego nie zauważałam.

Dlatego zamiast do Amber pojechałam na północny kraniec wyspy, który w ten marcowy dzień w środku tygodnia wyglądał raczej jak kraniec wszechświata. Przez dwadzieścia kilometrów minęły mnie tylko cztery samochody, wszystkie jadące na południe. W niewielu domach paliło się światło. Księżyc w pełni świecił tak mocno, że na drogę przed samochodem padały dziwaczne cienie krzaków i skrzynek pocztowych. Ciągle miałam wrażenie, że widzę jelenia albo psa na jezdni, i nieustannie bez potrzeby hamowałam. Ulżyło mi, kiedy ukazał się rząd chat na plaży.

Sztormy zawsze podmywały tę stronę wyspy i tych sześć chatek wzdłuż ujścia New River było skazanych na zagładę. Między chatkami a ulicą stał kolejny rząd domów, czekających, aż to one znajdą się na skraju morza. Myślałam, że to nastąpi już dawno temu; musieliśmy opuścić nasz dom po huraganie Fran, kiedy miałam siedem lat. Ale przeznaczone do rozbiórki domy nadal stały puste i miałam nadzieję, że tak pozostanie do końca mojego życia.

Nasza malutka chatka na długich odsłoniętych palach była okrągła i lekko przechylona w lewo. Zewnętrzny prysznic i parterowy składzik już się osunęły do morza - podobnie jak szambo. Drewniana oblicówka tak wyblakła na słońcu, że w świetle księżycy wyglądała niczym mrożone szkło. Chatka nosiła nazwę Morski Strażnik, którą nadał jej dziadek Lockwood. Na długo przed moimi urodzinami dziadek wypalił te słowa na desce, którą zawiesił nad drzwiami wejściowymi, ale wiatr zerwał ją parę lat temu i na próżno szukałam jej na plaży.

Kiedy wysiadłam z samochodu, wicher narzucił mi włosy na twarz, a fale huczały jak nieustanny grzmot. Topsail Island była tak wąska, że w domu na Stump Sound ciągle słyszeliśmy morze, ale to było co innego. W stopach czułam wibracje od uderzeń fal o brzeg i wiedziałam, że morze dziś szaleje.

Miałam latarkę, ale nie musiałam jej zapalać, idąc po wąskim drewnianym chodniku między dwoma domkami. Kiedyś dolny schodek naszej chatki dotykał piasku, ale teraz sięgał mi talii. Przytoczyłam betonowy pustak z za słupa i posłużyłam się nim jak stopniem, po którym wspięłam się na ganek. Na długiej desce, którą zabito drzwi, widniał napis: „Do rozbiórki”. Ledwie zdołałam włożyć klucz do zamka. Mama wszystko chomikuje. Ten klucz znalazłam w jej szufladzie dwa lata temu, kiedy po raz pierwszy postanowiłam pojechać do chatki.

Przeszłam pod deską i znalazłam się w salonie. Pod podeszwami sandałów zgrzytał mi piasek.

Znałam wnętrze chatki równie dobrze, jak nasz dom na Stump Sound. Przeszłam przez ciemny salon do kuchni, wymijając nasze stare meble, które nawet dziesięć lat temu były zbyt liche i paskudne, żeby je ratować. Włączyłam latarkę i położyłam ją na blacie, kierując światło na szafkę nad kuchenką. Otworzyłam ją; była pusta, z wyjątkiem plastikowej torebki marihuany, paru jointów i kilku pudełek zapalek. Drżącymi rękami zapaliłam jednego jointa, zaciągając się głęboko. Wstrzymałam oddech, aż poczułam mrowienie na czubku głowy. Bardzo dziś potrzebowałam tego uczucia uwolnienia z ciała.

Otworzyłam tylne drzwi. Uderzył mnie huk fal. Moje długie, zdecydowanie za kędzierzawe włosy chłonęły wilgoć z powietrza jak gąbka. Fruwały dziko, więc

18

19

w końcu wepchnęłam je pod kołnierz kurtki i wyszłam na wąski ganek. Wracając do domu z chatki, brałam prysznic, tak jak niektórzy moi kumple, kiedy chcieli się pozbyć zapachu skrętów. Wydawało mi się, że mama tylko pociągnie nosem i od razu zgadnie, gdzie byłam. Słusznie czułam się winna, bo do chatki ściągała mnie nie tylko nadzieja na towarzystwo taty. Nie byłam aż tak niewinna.

Usiadłam na krawędzi ganku, dyndając nogami, i spojrzałam na długie igły księżycowego blasku na wodzie. Oparłam łokcie na niższej barierce balustrady. Policzki miałam mokre od słonego wodnego pyłu, a kiedy oblizałam wargi, poczułam smak dzieciństwa.

Znowu zaciągnęłam się jointem, usiłując uspokoić myśli.

Kiedy miałam piętnaście lat, dostałam tymczasowe prawo jazdy, uprawniające mnie do prowadzenia samochodu w obecności dorosłego. Raz naszła mnie dzika chęć, żeby pojechać do chatki. Nie potrafię tego wytłumaczyć, w jednej chwili uczyłam się do egzaminu z historii, w następnej wykradałam się z domu, starając się nie obudzić mamy i Andy'ego. To była zupełnie bezkسیężycowa noc i bałam się jak cholera. Ciemno, grudzień, a ja ledwie umiem obracać kierownicą, nie wspominając już o używaniu pedałów gazu i hamulca, ale jakoś mi się udało dotrzeć do chatki. Usiadłam na ganku, drżąc z zimna. Wtedy po raz pierwszy poczułam tatę, tuż obok mnie, unoszącego się z morza na chmurze wilgoci. Obejmował mnie tak mocno, że zrobiło mi się ciepło i musiałam zdjąć sweter. Płakałam ze szczęścia, że czuję go tak blisko. Nie oszalałam. Nie wierzyłam w duchy, przecucia czy nawet niebo i piekło. Ale wierzyłam, że tata tam jakoś był. Nie potrafię tego wyjaśnić. Po prostu wiedziałam, że to prawda.

Od tego czasu parę razy czułam obecność taty, ale dziś jakoś nie mogłam uspokoić myśli, żeby otworzyć mu drogę. Czytałam w Internecie o nawiązywaniu kontaktu

ze zmarłymi. Na każdej stronie znajdowałam inną poradę, ale wszystkie powtarzały, że przedtem koniecznie należy uspokoić umysł. Ja jednak w głowie miałam zamęt, a trawa tym razem go nie ukoila.

- Tato - szepnęłam na wiatr. - Jesteś mi dziś bardzo potrzebny.

Zacisnęłam powieki i usiłowałam sobie wyobrazić jego ciemne faliste włosy. I uśmiech, z którym zawsze na mnie patrzył.

Potem zaczęłam się zastanawiać, jak powiedzieć mamie, że nie będę wygłaszać mowy pożegnalnej na rozdaniu dyplomów. Spodziewała się tego. Jak zareaguje? Aż do tego semestru uczyłam się najlepiej w klasie. Miałam nadzieję, że się nie przejmie, bo już mnie przyjęto na Uniwersytet Karoliny Północnej w Wilmingtonie. No i zaczęłam myśleć

o wyjeździe. Jak mama poradzi sobie z Andym beze mnie?

Jako matka radziła sobie względnie dobrze. Była mądra, a czasem nawet fajna, ale tak strasznie kochała Andy'ego, że go dusiła tą miłością i nawet tego nie zauważała. Mój brat martwił mnie najbardziej. Dziewięćdziesiąt pięć procent czasu poświęcałam na myślenie o nim. Nawet kiedy

zastanawiałam się nad czymś innym, nadal tkwił gdzieś w mojej głowie, tak jak świadomość, że jest wiosna, mieszkamy w Karolinie Północnej i jestem kobietą.

Namówiłam mamę, żeby dziś puściła Andy'ego na zamkniętą zabawę. Miał piętnaście lat; musiała dać mu trochę swobody, a poza tym matka Emily pracowała tam jako opiekunka. Miałam nadzieję, że Andy dobrze się bawi

i zachowuje normalnie. Nie całkiem łapał zasady dobrego wychowania. Czy planowano tańce? Trudno mi było sobie wyobrazić Andy'ego tańczącego z Emily.

Komórka w moich džinsach zawibrowała. Spojrzałam na ekranik. Mama. Schowałam telefon do kieszeni. Miałam nadzieję, że mama nie zadzwoni do domu Amber, boby się wydało, że mnie u niej nie ma.

20

21

Telefon zadzwonił znowu. To był nasz sygnał - dwa dzwonki z rzędu oznaczały: „To poważna sprawa. Odbierz natychmiast”. Dlatego wstałam i wróciłam do domu. Zamknęłam drzwi, żeby wytłumić szum morza, i wcisnęłam klawisz odbierania.

- Cześć, mammo.

- O Boże, Maggie! - Mama była zdyszana, jakby właśnie wbiegła po schodach. - Kościół się pali!

Skamieniałam.

- Jaki kościół?

- Drury Memoriał. Właśnie powiedzieli w telewizji. Pokazali zdjęcia. - Zdusiła szloch. - Zupełnie ginie w płomieniach. Ludzie zostali w środku!

- Nie! - Nagle trawa zaczęła działać. Zakręciło mi się w głowie. Pochyliłam się nad zlewem na wypadek, gdyby mnie zemdliło. Andy! Nie będzie wiedział, co robić.

- Jadę tam - rzuciła mama. Usłyszałam skrzypnięcie drzwiczek samochodu, a potem ich trzaśnięcie. - Jesteś u Amber?

- Jestem... - Zerknęłam na ciemne morze. - Tak.

Tak łatwo okłamywać mamę. Zawsze myślała tylko o An-dym, rzadko o mnie. Zgniotłam jointa w zlewie.

- Spotkamy się pod kościołem - dodałam.

- Śpiesz się! - Wyobraziłam sobie, jak przytrzymuje telefon ramieniem i brodą, uruchamiając samochód.

- Zachowaj spokój. Jedź ostrożnie.

- Ty też. Ale śpiesz się!

Już szłam do wyjścia. Zapomniałam o tej desce i rąbnęłam w nią głową. Powietrze uszło mi z płuc ze zduszonym świstem. Pochyliłam się, zeskoczyłam na piasek i pobiegłam drewnianym chodnikiem do mojego volkswagena. Do kościoła miałam daleko. Daleko do mojego braciszka. Było mi strasznie niedobrze. Rozpłakałam się, wkładając kluczyk w stacyjkę. Jeśli coś mu się stanie, to przeze mnie. Zaczęłam się modlić, co robiłam tylko w chwilach rozpacz.

22

Dobry Boże, pomyślałam, mknąc przez New River Inlet Road, nie pozwól, żeby Andy'emu coś się stało. Niech lepiej stanie się mnie. Jestem kłamczuchą. Jestem niedobrym dzieckiem.

Przejechałam aż do Surf City, powtarzając tę modlitwę w myślach, aż w końcu zobaczyłam dym na niebie. Wtedy zaczęłam się modlić na głos.

23

4.

Na czterdziestu kilometrach Topsail Island są tylko jedno światła, o dwie przecznice od plaży na środku Surf City. Zmieniły się na czerwone, kiedy do nich dojechałam, i takie pozostały, kiedy je zostawiłam z tyłu. Nawet dziesięć czerwonych świateł by mnie nie zatrzymało. Ludzie zawsze mi mówili, że jestem zawzięta, a tej nocy pobiłam własne rekordy.

Wiele kilometrów za światłami zobaczyłam na niebie żółtą poświatę. Teraz czułam już zapach ognia. Wyobraziłam sobie stary kościół. Byłam w nim tylko parę razy podczas ślubów i pogrzebów, ale wiedziałam, że ma sosnową podłogę, pewnie przesyconą wieloma warstwami tłustej pasty i aż się proszącą o zapaloną zapałkę. O pożarach wiedziałam więcej, niż bym chciała. W jednym z nich straciłam rodziców, a Jamie był w ochotniczej straży pożarnej. O drewnianych budynkach mówił, że to gotowa rozpałka. Pewnie któryś szczeniak zapalił papierosa i rzucił zapałkę na podłogę. Dlaczego, o, dlaczego posłuchałam Maggie? Nie powinnam była wypuszczać Andy'ego z domu. Maggie tak często przebywała w jego towarzystwie, że uważała go za normalnego. Tak to jest, kiedy się człowiek do niego przyzwyczai. Przywyka do jego dziwactw i oswaja się z jego ograniczeniami. A potem widzisz go wśród innych i uświadamiasz sobie, jak bardzo do nich nie pasuje, choć zrobiłaś

wszystko, żeby go przed tym uchronić. Tak łatwo uwierzyć, że da sobie radę, kiedy otaczają go znani i starannie dobrani ludzie. Ale dziś rzuciłam go wilkom na pożarcie.

Na ulicy przy szpitalu zrobiło się gęsto od samochodów strażackich, radiowozów i karettek. Musiałam zaparkować przecznicę dalej przed kawiarnią Jabeen's Java i The Pony Express. Wyskoczyłam z auta, ledwie się zatrzymało, i popędziłam w stronę pożaru.

Na ulicy stało parę osób, patrzących na kłęby dymu i pary buchające z kościoła w bezchmurne nocne niebo. Rozległy się syreny, poczułam gryzący śwąd. Rzuciłam się do drzwi budynku. Oświetlały go ogromne reflektory. Ja widziałam tylko te drzwi, buchający z nich dym. Tam właśnie wbiegłam.

- łapać ją! - krzyknął ktoś.

Z tyłu chwyciły mnie czyjeś długie, żylaste ręce.

- Puszczaj! - Wbiłam w nie paznokcie, ale ten ktoś miał żelazny chwyt.

- Tu nie wolno wchodzić! - krzyknął mi prosto do ucha. - Prawie wszystkie dzieci wyszły na zewnątrz. Są bezpieczne.

- Jak to „prawie”? - Szarpnęłam się w jego silnych rękach. - Gdzie mój syn?

Mężczyzna odciągnął mnie kawałek po piaszczystym placyku, zanim mnie puścił.

- Mają listę nazwisk - wyjaśnił.

- Gdzie?

Odwróciłam się i stanęłam twarzą w twarz z wielebnym Billem, pastorem Drury Memorial. Jeśli na Topsail Island kogoś nie lubiłam, to właśnie jego. On też nie wyglądał na zachwyconego, kiedy zdał sobie sprawę, kto mu wpadł w ramiona.

- Twoje dziecko tam było? - Wydawał się zdumiony, że pozwoliłam swojemu potomstwu postawić stopę w jego kościele. I nie powinnam.

- Andy - rzuciłam i nagle krzyknęłam: - Andy!

24

25

Osloniłam oczy przed rażącym blaskiem reflektorów. Andy włożył dziś brązowe spodnie, bluzę w oliwkowe paski i nowe trampki. Szukałam pasiastego ubrania, ale z tego wszystkiego nagle zamgliło mi się przed oczami. Wszędzie widziałam dzieci, niektóre leżące na piasku, inne siedzące lub zgięte w pół, kaszlące. Generatory zasilające światła warczały, wszędzie rozlegało się chrypienie policyjnych krótkofalówek. Rodzice nawoływali dzieci: „Tracy!”, „Josh!”, „Amanda!”. Jakiś sanitariusz robił sztuczne oddychanie dziewczynce. Moja pielęgniarska natura pchała mnie do pomocy, ale macierzyński instynkt zwyciężył.

W górze rozległ się warkot helikoptera.

- Andy! - krzyknęłam w niebo, prawie nie zauważając, jak idiotycznie muszę wyglądać.

Wielebny Bill trzymał mnie za ramię. Pociągnął mnie na drugą stronę ulicy, przez labirynt ścieżek między samochodami strażackimi i radiowozami, na jasno oświetlony teren ogrodzony żółtą policyjną taśmą. Za nią stał ściśnięty, falujący tłum.

- Widzisz tę dziewczynę? - Wielebny Bill wskazał mi kogoś.

- Którą? Gdzie? - Stanęłam na palcach, żeby lepiej widzieć.

- Tę w mundurze! - krzyknął. - Spisuje nazwiska, łączy rodziców z dziećmi. Idź do niej...

Wyrwałam mu się, zanim zdołał skończyć. Nawet nie szukałam wejścia na ogrodzony teren. Po prostu przeszłam nad taśmą i zaczęłam się przedzierać przez tłum.

Rodzice stali wokół policjantki, w której rozpoznałam Patty Shales. Jej dzieci chodziły do podstawówki w Sneads Ferry, gdzie pracowałam jako pielęgniarka.

- Patty! - krzyknęłam przez morze rodziców. - Widziałas Andy'ego?

Zerknęła na mnie - a w tej samej chwili jakiś mężczyzna wyrwał jej tekturową podkładkę z ręki. Nie widziałam,

26

co się dzieje, ale głowa Patty znikła mi z oczu wśród wymachujących gniewnie rąk.

Ktoś za moimi plecami powiedział „zabici” i „nie żyją”. Odwróciłam się i spojrzałam na dwie kobiety z czerwonymi oczami, zasłaniające usta rękami.

- Kto zginął? - krzyknęłam. - Kto nie żyje? Jedna otarła łzy.

- Słyszałam, że znaleźli zwłoki - powiedziała. - W kościele są uwięzione dzieci. Moja córka gdzieś tu jest. Modlę się, żeby... - Pokręciła głową, nie mogąc dokończyć.

Od swądu dymu, gryzącego chemicznego odoru, palącego mi nozdrza i gardło, nagle mnie zemdlilo.

- Mój syn też tam jest - powiedziałam, choć pewnie mnie nawet nie usłyszała.

- Laurel! - Sara Weston uniosła żółtą taśmę i przeszła pod nią. Podbiegła do mnie. - Co tu robisz?

- Andy tu jest. Keith też?

Skinęła głową, przykładając drżącą dłoń do policzka.

- Nie mogę go znaleźć. Ktoś powiedział, że został poparzony, ale...

Urwała, bo z wnętrza kościoła dobiegło złowieszcze skrzypnięcie - takie, jakie wydają padające drzewa. Wszyscy zamarli, wpatrzeni w budowlę - nagle część dachu zapadła się jednym płynnym ruchem, strzelając w powietrze dymem i iskrami.

- O Boże, Laurel! - Sara wtuliła twarz w moje ramię. Objęłam ją i tak stałyśmy popychane przez ludzi, którzy cisnęli się do Patty. Deptali nam po stopach, potrącali, a my stawiałyśmy im opór jak zgrany zespół, z zapamiętaniem i bezwzględnie. Pewnie znałam wiele z tych osób, ale w gorączce chwili stali się dla mnie tylko zdesperowanymi rodzicami. Tak właśnie było w kościele, pomyślałam z rosnącą paniką. Dzieci, usiłujące się jednocześnie wydostać na zewnątrz.

- Patty! - krzyknęłam znowu, choć mój głos utonął w morzu innych. A jednak mnie usłyszała.

27

- Laurel! - wrzasnęła. - Zabrali Andy'ego do New Hanover!

- Boże.

- Nic mu nie zagraża! Astma! I poparzenia. Odetchnęłam, powtarzając bezgłośnie modlitwę. Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

- Idź. - Sara chciała mnie odepchnąć, ale trzymałam ją mocno. - Idź, słonko. Musisz go znaleźć.

Strasznie chciałam pobiec do samochodu i jechać do szpitala w Wilmingtonie, ale nie mogłam jej tak zostawić.

- Nie, dopóki nie dowiesz się, co z Keithem.

- Są tu rodzice Tracy Kelly? - zawołała Patty.

- Jestem! - rzucił mężczyzna za moimi plecami.

- Zawieźli ją na Cape Fear.

- Czy na liście jest Keith Weston? - odezwała się Sara, przekrzykując hałas.

Bałam się, że Patty jej nie usłyszała. Rozmawiała właśnie z mężczyzną, który unosił do oczu zbite okulary.

- Keith Weston został właśnie zabrany helikopterem do New Hanover! - zawołała Patty.

- O nie! - Sara tak mocno ścisnęła moje ramię, że się skrzywiłam. Pomyślałam o unoszącym się w niebo helikopterze.

- Chodźmy - powiedziałam, ciągnąc Sarę przez tłum. Łzy, które do tej pory powstrzymywałam, potoczyły mi się po policzkach. Miejsce, które opuściliśmy, wypełnili inni rodzice. - Pojedziemy razem.

- Nie, osobno - rzuciła Sara, już oddalając się ode mnie. - Na wypadek, gdyby któraś musiała zostać dłużej albo...

- Mamo! - Maggie, zdyszana i drżąca, nagle pojawiła się u mego boku. - Powiedzieli, że gdzieś tu jest wujek Marcus, ale nie mogłam się niczego dowiedzieć o Andym.

- Jest w New Hanover. - Chwycałam ją za rękę. - Zaparkowałam pod Jabeen's. Chodźmy!

28

Obejrzałam się na dymiący kościół. Resztki drewnianej oblicówki nadal żarzyły się czerwono na tle upiornie szarego nieba. Nie przypuszczałam, że mój były szwagier tu będzie - ale oczywiście był. Wyobraziłam go sobie w kościele, jak powoli idzie przez dym w aparacie powietrznym, wymacując przed sobą drogę i szukając dzieci, które nie miały szansy. Czy zapadający się dach go przygniół? Boże, nie. Przez ułamek chwili przestraszyłam się o niego, nie o Andy'ego.

W drodze do Wilmingtonu prawie nie odzywałyśmy się do siebie z Maggie. Ona płakała niemal nieustannie, cicho pociągając nosem i drąc leżącą na jej kolanach chusteczkę. Ja nie odrywałam wzroku od drogi, a gaz dociskałam prawie do dechy. Wyobrażałam sobie Andy'ego, jak usiłuje zrozumieć chaos pożaru i tego, co potem. Pewnie przerosło go samo przeniesienie zamkniętej zabawy z budynku klubu młodzieżowego do kościoła.

- Powiedziałaś, że dlaczego przenieśli zabawę do kościoła? - spytałam w połowie drogi.

- W klubie młodzieżowym nawaliła elektryczność. - Głos Maggie się załamał. - Podobno jakieś dzieci zginęły.

- Może to tylko plotki.

- Przepraszam, że cię namówiłam na puszczenie Andy'ego...

- Cśśś. - Wzięłam ją za rękę. - To nie twoja wina, jasne? Nawet tak nie myśl. - Ale w głębi ducha byłam na nią zła za to, z jaką nonszalancją powiedziała: „Oj, mamó, nic mu nie będzie!”.

Usiłowałam cofnąć rękę, żeby skrócić, ale trzymała ją tak mocno, jak nigdy, więc do końca drogi nie rozplotłyśmy palców.

W zatłoczonej poczekalni na pogotowiu unosił się zapach sadzy i środków dezynfekujących, a panował w nim

29

prawie taki chaos, jak pod kościołem. Przed oddzielnym szybą stanowiskiem recepcjonistki kłębił się tłum. Usiłowałam utorować sobie w nim przejście, osłaniając Maggie ramieniem.

- Proszę czekać na swoją kolej - odezwała się wysoka, rozłożysta kobieta, stając mi na drodze.

- Chcę się dowiedzieć, gdzie jest mój syn - oznajmiłam, nie rezygnując.

- Wszyscy chcemy - rzuciła kobieta.

Jakiś mężczyzna nagle zaszlochał rozdzierająco. Nie spojrzałam na niego. Miałam ochotę zatkać uszy palcami. Maggie lekko oparła się o mnie.

- Może to prąd - powiedziała. -Co?

- Wiesz, w budynku młodzieżowego klubu nawaliła elektryczność. Może to ma jakiś związek z tym pożarem.

Kobieta przed nami usunęła się od okienka i w końcu nadeszła nasza kolej.

- Powiedziano mi, że przywieziono tutaj mojego syna

- odezwałam się. - Andrew Lockwood.

- Dobrze. Proszę usiąść.

-Nie! - załkałam niespodziewanie dla samej siebie.

- Proszę! - Zaczęłam płakać, jakbym aż do tej pory powstrzymywała łzy. - Proszę mi powiedzieć, co z nim! Proszę mnie do niego wpuścić. On... ma wyjątkowe potrzeby.

- Mamó... - Maggie usiłowała odciągnąć mnie od okienka. Recepcjonistka złagodniała.

- Wiem, kochana - powiedziała. - Pani synek czuje się dobrze. Proszę usiąść, a ktoś zaraz po panią przyjdzie.

Skinęłam głową, usiłując się wziąć w garść, ale czułam się jak materiał tak przetarty, że rozłazi się w palcach. Maggie zaprowadziła mnie do krzesła; ona także znowu płakała. Przytuliłam ją. Sama nie wiedziałam, czy to ona się trzęsie, czy ja.

- Laurel?

Jakaś kobieta szła do nas przez poczekalnię. Twarz i podkoszulek miała usmarowane sadzą, włosy tak obsypane popiołem, że straciły kolor. W czerni na jej policzkach biegły dwie czyste kreski. Ona także solidnie sobie popłakała. Ale teraz się uśmiechała. Wzięła mnie za rękę. Rozpoznałam ten trochę krzywy uśmiech, zanim zrozumiałam, kogo mam przed sobą. Robin Carmichael. Matka Emily.

- Robin! Co się dzieje?

- Wszystko dobrze. U Andy'ego też - dodała szybko, wiedząc, że to chcę usłyszeć przede wszystkim.

- Nie wpuścili mnie...

- Co z Emily? - wpadła mi w słowo Maggie.

Robin wskazała głową Emily, skuloną na krześle w głębi poczekalni. Obejmowała kolana, przytrzymując przy czole zakrwawioną szmatkę.

- Nic jej nie będzie - powiedziała - ale czekamy, żeby zbadał ją lekarz. Złamała okulary i lekko skaleczyła się nad brwią. - Robin nadal trzymała mnie za rękę. Teraz spojrzała mi prosto w oczy. - Andy uratował Emily życie. - Głos jej się załamał. Mocniej ścisnęła moje palce. - Uratował dziś wiele osób.

- Andy? - spytałyśmy jednocześnie, ja i Maggie.

- No, wiem. - Robin najwyraźniej podzielała nasze zaskoczenie. - Ale to prawda, przysięgam.

- Pani Lockwood? - W drzwiach poczekalni stała kobieta w niebieskim fartuchu.

- Tak! - Wstałam szybko.

- Proszę ze mną.

Znalazłyśmy się na oddziale, który pamiętałam sprzed trzech lat, kiedy Andy złamał rękę na lodowisku. W sali stało kilka łóżek, oddzielonych zasłonkami. Za jedną ktoś krzyczał. Ktoś inny płakał. Ale łóżka Andy'ego nie zasłonięto. Andy leżał nagi do pasa, boso, w brudnych spodniach. Kobieta w niebieskim kitlu bandażowała mu lewą rękę. W nosie tkwiła mu rurka doprowadzająca tlen.

30

31

Andy zauważył nas i zerwał się z łóżka, ciągnąc za sobą bandaże i wyrywając sobie z nosa rurkę.

- Mamo! - krzyknął. - Kościół się spalił i jestem bohaterem!

- Andy! - rzuciła ostro pielęgniarka. - Muszę ci opatrzyć ramię.

Maggie i ja chwyciliśmy go w objęcia. Głęboko zaciągnęłam się tym ohydny gryzącym odorem.

- Jak się czujesz, skarbie? - spytałam, nadal go ściskając. Zaczął się wiercić i poznałam, że dali mu coś na astmę. Poznałam to po napiętych mięśniach jego pleców. Tak dobrze znałam swojego syna. Ale nie mogłam go puścić.

Maggie pierwsza oprzytomniała i odsunęła się od nas.

- Pani pielęgniarka chce się tobą zająć, Pandusiu. - Podniosła jego rękę i zobaczyłam rozjątrzone czerwone oparzenie od nadgarstka po zgięcie łokcia. Pierwszy stopień, pomyślałam z ulgą. Odprowadziłam go na łóżko i spojrzałam na pielęgniarkę.

- Czy to najgorsze? - spytałam, wskazując jego rękę. Skinęła głową i znowu włożyła mu rurkę do nosa.

- Proszę sprawdzić jutro, czy nie powstały bąble. Wypiszemy receptę na środek przeciwbólowy. Ale wyzdrowieje. Szczęściarz z niego.

- Mam nową koleżankę - pochwalił się Andy. - Laylę. Uratowałam ją.

- Bardzo się cieszę. - Strzepnęłam mu popiół z włosów, aż znowu pojawił się spod nich orzechowy kolor.

Pielęgniarka starannie zabezpieczyła bandaż plastrem.

- Jakby nie czuł bólu - zauważyła, patrząc na mnie.

- Nie czuje, kiedy tak się nakręci - odezwała się Maggie, siadając na łóżku.

- Poczuję później. - Przypomniałam sobie, jak w zeszłym roku uderzył głową o krawędź basenu. Przepłynął jeszcze wiele długości, brocząc krwią i nawet o tym nie wiedząc, dopóki adrenalina nie przestała działać.

32

- Słyszałaś, mamó? - powtórzył Andy. - Uratowałam Laylę.

- Mama Emily powiedziała, że uratowałeś parę osób. - Założyłam mu rurkę za ucho. Musiałam go ciągle dotykać, czuć jego energię, to było silniejsze ode mnie. - Co się stało?

- Nie parę - poprawił mnie. - Wszystkich.

- Chce pan z nim porozmawiać? - Pielęgniarka patrzyła gdzieś nad naszymi głowami. Odwróciłam się i zobaczyłam stojącego za nami mężczyznę w mundurze policjanta. Wpatrywał się w Andy'ego.

- Ty jesteś Andy Lockwood? - spytał.

- Tak - wyręczyłam Andy'ego. Mężczyzna podszedł.

- Pani jest jego matką? Przytaknęłam.

- Laurel Lockwood. A to moja córka Maggie. Pielęgniarka poklepała Andy'ego po nagim ramieniu.

- Jak będziesz czegoś potrzebować, zawołaj - powiedziała i wyszła, zaciągając za sobą zastony.
 - Jestem agentem Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej i Materiałów Wybuchowych. Frank Foley. Może byś mi opowiedział, co się dziś wydarzyło?
 - Byłem bohaterem - oznajmił Andy z uśmiechem. Agent na chwilę stracił pewność siebie. Potem także się uśmiechnął.
 - Miło mi to słyszeć. Bohaterów nigdy za dużo. Gdzie byłeś, kiedy wybuchł pożar? - Otworzył mały notes.
 - Z Emily.
 - To jego przyjaciółka - wyjaśniłam. - Emily Carmichael.
 - W kościele? - spytał agent Foley, pisząc.
 - Tak, ale jest moją przyjaciółką wszędzie.
- Maggie prychnęła śmiechem. Nie mogła się powstrzymać.
- On cię pyta, czy byłeś z Emily w kościele, kiedy wybuchł pożar - przetłumaczyłam.

33

- Tak.
 - Gdzie konkretnie byliście? Staliście, siedzieliście czy...
 - Po jednym pytaniu. - Uniosłam rękę, żeby go zatrzymać. - Proszę mi wierzyć, tak będzie łatwiej. Gdzie konkretnie byłeś, kiedy zaczął się pożar? - zwróciłam się do Andy'ego.
 - Nie pamiętam.
 - Postaraj się. Przy drzwiach wejściowych czy bliżej ołtarza?
 - Przy tym takim do chrztu.
 - A, dobrze. - Agent coś zanotował. - Siedzieliście czy staliście?
 - Stałem obok Emily. Miała bluzkę na lewą stronę. - Spojrzał na mnie. - Kiedyś cały czas tak robiła, pamiętasz?
- Skinęłam głową.
- Więc stałeś z Emily koło tego do chrztu - powtórzyłam, żeby się nie rozpraszał. - A co potem?
 - Ludzie krzyczeli: „Pali się, pali się!”. - Ciemne oczy Andy'ego zogniły, jego twarz rozświetliła się przejęciem. - I przebiegali obok nas. Potem chłopcy wzięli... takie długie i powiedzieli „Raz, dwa, trzy”, i wybili okno z łysym panem.

Teraz to ja się roześmiałam. Jeszcze godzinę temu bałam się, że nigdy więcej nie usłyszę mojego syneczka. Ale agent Foley przyglądał się mu podejrzliwie.

- Czy braliście narkotyki? - spytał. - Piłeś albo jadłeś jakieś substancje?

- Nie - odpowiedział Andy. - Nie wolno mi. Agent przestał pisać i zagryzł wargę.

- Pani coś z tego rozumie? - spytał mnie. - „Długie coś”? „Łysy pan”?

Pokręciłam głową.

- Nadal mówisz o tym, co działo się w kościele, Pan-dusiu? - spytała Maggie.

- Tak, i chłopcy się zapalili, ale nie było drabin, więc zawołałem: „Stać! Na ziemię! Tarzać się!” i niektórzy tak zrobili. Keith tam był. - Andy spojrzał na mnie. - Był dla mnie niegrzeczny.

-Bardzo mi przykro - powiedziałam. Przyjaźniłam się z Sarą i martwiłam się o jej syna, ale Keith potrafił się czasem zachować jak mały gnojek. - Nie było drabin, żeby uciec przed ogniem, takich drabin, jak ta w twoim pokoju, tak?

- Tak. Nie było żadnych drabin.

- Dobrze - odezwał się agent Foley. - A gdzie wtedy byłeś?

- No mówiłem przecież, przy tym do chrztu. - Andy zmarszczył brwi, zgorzony jego tępotą.

Agent przerzucił parę stron notatnika.

- Ludzie mówili, że wyszedłeś z kościoła i...

- Tak. Ja i Emily wyszliśmy przez okno w łazience dla chłopców, i na ziemi stała wielka metalowa skrzynia, i zeskoczyliśmy na nią.

- I co się wtedy stało?

- Byliśmy na dworze.

- A co widziałeś na dworze? Widziałeś jakąś osobę...

- Po jednym pytaniu - upomniałam go.

- Co widziałeś na dworze?

- Ogień. Wszędzie z wyjątkiem metalowej skrzyni. A Emily krzyczała, że nikt nie może wyjść przez drzwi, bo się palą. Zobaczyłem, że ktoś jednak wyszedł i też się zapalił. Ale nie wiem kto.

- O, Boże. - Maggie schowała twarz w dłoniach. Długie ciemne włosy spływały jej falami na ramiona. Wiedziałam, że wyobraża sobie tę scenę, tak jak ja. Siedząc z Andym, łatwo było zapomnieć, jak strasznie mogli uciepieć ludzie. Znowu pomyślałam, co z Keithem. Gdzie trafił?

- Widziałeś kogoś innego oprócz tego płonącego człowieka? - spytał agent.

- Emily.

- Dobrze. Więc wróciłeś do kościoła.

- Wróciłeś? - powtórzyłam zdumiona. Co go opętało? Andy przytaknął.

- Wszedłem na metalową skrzynię i wskoczyłem do łazienki chłopców, a potem zawołałem, żeby wszyscy szli za mną.

-I zrobili tak? -Jak?

- Poszli za tobą?

- Nie całkiem. Parę osób, na przykład moją przyjaciółkę Laylę, puściłem przed sobą. - Wyjął z nosa rurkę i spojrzał na mnie. - Muszę to mieć?

- Jeszcze trochę - odpowiedziałam. - Aż przyjdzie pielęgniarka i powie, że możesz wyjść.

- Pozwoliłeś, żeby Layla wyszła przez okno przed tobą?

- Agent się nie poddawał.

-I parę innych osób też. A potem poszedłem za nimi. Ale niektórzy poszli za mną. - Zmarszczył nos. - To jakoś trudno wytłumaczyć.

- Dobrze ci idzie, skarbie - zapewniłam.

- Skąd wiedziałeś, że... metalowa skrzynia tam jest?

- spytał agent.

- Nie pamiętam.

- Postaraj się sobie przypomnieć - poprosiłam.

- Zobaczyłem ją, kiedy poszedłem do łazienki.

- Kiedy to było? - podchwycił agent.

- Kiedy musiałem siusiu.

Agent Foley uznał się za pokonanego. Zamknął notes.

- Coś mi się zdaje, że naprawdę jesteś bohaterem - powiedział.

- Wiem.

Agent dał mi znak, żebym poszła za nim. Wyszliśmy zza zastony. Spojrzał na mnie ciekawie.

- Na czym polega jego... hm, niesprawność? - spytał.

- Uszkodzenie mózgu?

- Poalkoholowe uszkodzenie płodu - wyrecytowałam nazwę znaną mi jak własne imię.
- Naprawdę? - Z zaskoczeniem zerknął nad moim ramieniem, jakby mógł przeniknąć wzrokiem zasłonę. - Czy takie dzieci nie... no, nie mają takiego charakterystycznego wyglądu?
- Nie zawsze. Zależy, która część ich ciała rozwijała się, kiedy alkohol na nie oddziaływał.
- Pani jest jego matką adopcyjną?

Policja z Topsail Island dobrze знаła mnie, Andy'ego i naszą historię, ale agent z Wilmingtonu przybył z innej bajki.

- Nie, biologiczną. Trzeźwą od piętnastu lat. Uśmiechnął się blado. Z wahaniem.
- O rok dłużej niż ja - powiedział w końcu. - Gratulacje.
- I wzajemnie. - Także się do niego uśmiechnęłam.
- No, to... - spuścił wzrok na zamknięty notes - ..o ile mogę uwierzyć w to, co powiedział?
- Na sto procent - oznajmiłam bez wahania. - Andy jest prawdopodobny do bólu.
- Niezwykle dziecko. - Znowu spojrzał ponad moim ramieniem.
- Nie musi mi pan tego mówić.
- Nie, chodzi mi o to, że podczas pożaru siedemdziesiąt pięć procent osób usiłuje wyjść przez frontowe drzwi. To odruch. Owczy pęd. Jeden rusza, a inni za nim. Pozostałe dwadzieścia pięć szuka innego wyjścia. Bocznych drzwi. Okna. Co to za łysy pan, o którym mówił Andy?
- Nie mam pojęcia.
- No, więc nasz Andy poszedł do okna w męskiej toalecie. Dziwny wybór, ale okazał się właściwy.
- Dzieci takie jak on nigdy nie myślą tak, jak te siedemdziesiąt pięć procent osób, a nawet pozostałe dwadzieścia pięć. To czysty przypadek. Równie dobrze mógł pójść... nie

36

37

wiem, do okna w damskiej ubikacji i tam utknąć. - Oplotłam się rękami. - Wie pan, czy wszyscy z tego wyszli? Krążą plotki, że nie. Potrząsnął głową.

- Nie jest dobrze. Ostatni raport mówił o trzech ofiarach śmiertelnych.

Zasłoniłam usta ręką. Niektórzy rodzice nie będą dziś mieli szczęścia usłyszeć, jak ich dzieci opowiadają im o wydarzeniach tego dnia.

- Zna pan nazwiska? - Boże. Keith. Marcus.

- Na razie nie. Wiem tylko, że to dwójka dzieci i jeden dorosły. Wiele poważnych oparzeń i zatruc dymem. Na pogotowiu ścisk jak w puszcze sardynek.

- Co to za metalowa skrzynia?

- Klimatyzator. Podpalacz go ominął.

- Co? To podpalenie?

Agent uniósł rękę, jakby chciał wymazać swoje słowa.

- Nie mnie o tym wyrokować.

- Wiem, że w klubie młodzieżowym mieli problemy z elektrycznością. Czy to mogło mieć wpływ na kościół?

- Przeprowadzimy pełne dochodzenie.

- To dlatego pan spytał Andy'ego, czy widział kogoś przed kościołem?

- Jak powiedziałem, przeprowadzimy dochodzenie - powtórzył i zrozumiałam, że więcej z niego nie wyciągnę, choćbym pytała nie wiadomo jak długo.

Rozsunęłam zasłony wokół łóżka Andy'ego i zobaczyłam mężczyznę siedzącego na łóżku w głębi pomieszczenia. Miał obandażowaną głowę; siedział zgarbiony, bezwładnie opuściwszy muskularne ręce. Kiedy podniósł głowę, żeby powiedzieć coś do pielęgniarki, skrzywił się z bólu. Rozpoznałam te ciemne włosy, brązowe oczy o gęstych rzęsach. Przesunął drżącą ręką po twarzy. Dostrzegłam lśnienie łez na jego policzku. Pielęgniarka Andy'ego osłuchiwała mu

38

płuca. Poprosiła, żeby oddychał głęboko. Zakaszał. Wykorzystałam tę chwilę, żeby szepnąć do Maggie:

- Ben Trippett tu jest.

Ben służył w oddziale ochotniczej straży pożarnej. Był także trenerem pływackim Andy'ego. Nie wiedziałam, jak Andy zareaguje, widząc go rannym i przygnębionym.

Maggie drgnęła, jakbym obudziła ją ze snu, i poszła za moim spojrzeniem. Dość dobrze znała Bena, bo sama trenowała drużynę młodszych dzieci.

Maggie wstała i zanim zdążyłam ją powstrzymać, podeszła do Bena. Stawiała go w krępującej sytuacji, zaskakując go w chwili, gdy płakał, ale miała siedemnaście lat i musiałam pozwolić jej popełniać błędy. Zasłoniła go, więc nie widziałam jego reakcji. Ale potem przyciągnęła do łóżka krzesło na kółkach i usiadła, by z nim porozmawiać. Oboje spuścili głowy, jakby pogrążyli się we wspólnej modlitwie. Ramiona Bena drżały; Maggie położyła mu rękę na nadgarstku. Czasami mnie zadziwiała. Czy nauczyła się tego współczucia ode mnie, obserwując, jak postępuję z Andym? Raczej nie. Wszystkie dobre cechy Maggie to spadek po Jamiem. Siedemnastoletnia dziewczyna, znajdująca w sobie dość siły, żeby pocieszyć dorosłego mężczyznę. Przez chwilę ją podziwiałam.

Pielęgniarka Andy'ego wyprostowała się.

- Teraz cię zbadam, a potem cię wypiszemy - oznajmiła.

Andy wyciągnął lewą rękę do zmierzenia ciśnienia.

- Druga ręka. Pamiętasz? Przez parę dni musisz oszczędzać to poparzone ramię - przypomniała pielęgniarka.

Zmierzyła mu ciśnienie i temperaturę i poszła.

- Napiszę książkę o tym, jak się jest bohaterem - powiedział Andy, gdy sięgnęłam pod łóżko po reklamówkę z jego koszulą i butami.

- Może kiedyś. - W pierwszej chwili chciałam go sprowadzić na ziemię, ale ile razy trafiła mu się okazja, żeby się pochwalić? Tylko że inni nie będą tak mili.

39

Rozchyliłam reklamówkę i cofnęłam się, uderzona odorem jego ubrań.

- Andy, postąpiłeś dziś bardzo odważnie i mądrze - zaczęłam.

Skinął głową. -No.

Zastanowiłam się, czy nie powinien wyjść ze szpitala bez cuchnącej koszuli i butów, ale na dworze zrobiło się zimno. Podałam mu pasiastą koszulę.

- Ale ten pożar to bardzo poważna sprawa i wiele osób w nim ucierpiało. - Zawahałam się. Najlepiej, żeby to usłyszał ode mnie. - Parę osób nie żyje.

Gwałtownie potrząsnął głową.

- Uratowałam ich.

- Nie mogłeś uratować wszystkich. To nie twoja wina, wiem, że się starałeś. Ale nie mów ludziom, że jesteś bohaterem. To przechwałki. Pamiętaj, nie wolno się przechwalać.

- A jak coś jest w książce, to też przechwałka?

- Nie, wtedy jest w porządku.

Za moimi plecami uchyliły się oszklone drzwi. Odwróciłam się i zobaczyłam Dawn Reynolds, która rzuciła się do Bena.

- O mój Boże! Ben! - Prawie strąciła Maggie z krzesła, chwytając Bena w ramiona. - Tak się bałam! - dodała ze szlochem. W moich oczach także stanęły łzy, kiedy patrzyłam na jej miłość i ulgę. Mieszkała z Benem w małej chatce na plaży w Surf City i pracowała z Sarą w Jabeer's Java.

- Nic mi nie jest. - Ben pogłaskał ją po rękę. - Wszystko w porządku.

Maggie wstała cicho, ustępując miejsca Dawn, i wróciła do nas.

- Wszystko z nim w porządku? - spytałam, wskazując głową Bena.

- Nie całkiem. - Zagryzła wargę. - Ma siedmioletnią córkę, która mieszka z jego byłą w Charlotte. Ciągle myśli o tym, że mogłaby się znaleźć w takiej pułapce. Denerwuje go, że ludzie... - Spojrzała na Andy'ego, a potem na mnie.

- Wiesz.

- Wyjaśniłam Andy'emu, że niektórzy zginęli w pożarze

- powiedziałam.

Maggie znowu zaczęła płakać. Wyjęła z kieszeni džinsów podartą chusteczkę.

- Nie rozumiem, jak to się mogło stać.

- Napiszę o tym książkę, i to nie będą przechwałki

- oznajmił Andy, wkładając but.

Maggie znowu schowała chusteczkę. Uniosła stopę Andy'ego i oparła ją sobie na biodrze, po czym zaczęła mu sznurować but.

- Ben powiedział, że belka uderzyła go w głowę - powiedziała. - Był z nim wujek Marcus.

Marcus. Przypomniałam sobie, co powiedział agent: dwoje dzieci i dorosły. I po raz drugi tej nocy przeniosłam swój strach i troskę z syna na szwagra.

40

5.

Skręcając w Market Street, po raz trzeci wybrałam numer Laurel. Poczta głosowa. Znowu. Uroczo, Laurel. Nie pora udawać, że mnie nie znasz.

- Zadzwoń, na miłość boską! - krzyknąłem w słuchawkę.

Nadal nie mogłem sobie wyobrazić, że Laurel wysłałaby Andy'ego na zamkniętą zabawę, zwłaszcza w Drury Memorial.

Właśnie wyrwałem się z tego piekła, kiedy podbiegł do mnie Pete.

- Lockwood! - Stał o parę metrów, ale musiał krzyżeć, żebym go usłyszał przez warkot generatorów, szum wody i wycie syren. - Andy jest w New Hanover. Zbieraj się!

Zrozumiałem dopiero po chwili.

- Andy? - Zrzuciłem plecak i kask. W kościele ręce miałem spokojne. Teraz mi się roztrzęsły.

- Tak! - zawołał Pete przez ramię, wracając do samochodu. - Rzucaj sprzęt i leć. Wszystkim się zajmujemy.

- Laurel wie? - zawołałem, zdejmując kurtkę, ale chyba mnie nie usłyszał.

Pobiegłem do remizy, znajdującej się o parę przecznic dalej. Po drodze zrzuciłem sprzęt, aż zostałem w samym uniformie. Wskoczyłem do swojej furgonetki

42

i ruszyłem z piskiem opon. Zamknęli most dla wszystkich pojazdów z wyjątkiem służb porządkowych, ale kiedy funkcjonariuszka pilnująca wjazdu mnie rozpoznała, dała mi znak, żebym przejechał. Usiłowałem się dodzwonić do Laurel, na stacjonarny i komórkę. W końcu zadzwoniłem na pogotowie w New Hanover. Musiałem wybierać numer dwa razy, tak mi się trzęsły ręce. Przełączyłem na głośnik i odłożyłem komórkę na miejsce na kubek.

- Pogotowie - odezwała się kobieta.

- Tu Marcus Lockwood! - krzyknąłem w stronę telefonu. - Macie pacjenta, Andy'ego Lockwooda, z Drury Memorial. Może mi pani powiedzieć, jak on się czuje?

- Za chwilę.

Kabinę mojej furgonetki wypełnił chaos szpitala - syreny i krzyki. Ktoś wołał coś niezrozumiale. Ktoś zawodził. Całkiem jakby scena spod kościoła przeniosła się do szpitala.

- Szybciej, szybciej... - Ścisnąłem kierownicę ze wszystkich sił.

- Halo? -Tak?

- Zatrucie dymem i oparzenia. Cholera.

- Proszę poczekać...

Usłyszałem, jak recepcjonistka z kimś rozmawia.

- Oparzenie pierwszego stopnia, mówi jego pielęgniarka. Tylko ręka. Jego życiu nic nie zagraża. Pielęgniarka mówi, że to bohater.

Pomyliła chłopców. Słowa „Andy” i „bohater” nie mogły się znaleźć w tym samym zdaniu.

- Na pewno chodzi o Andy'ego Lockwooda?

- To pański bratanek, tak? -Tak.

- Pielęgniarka twierdzi, że wyprowadził dzieci z kościoła przez okno męskiej toalety.

43

-Co?

- I podobno nic mu nie będzie.

Zaniemówiłem. Zdołałem wyłączyć telefon i z najwyższym wysiłkiem skupiłem się na prowadzeniu. W oczach mi się mgiło. Pożar nadszarpnął mi nerwy, ale nawet nie w połowie tak, jak ta kilkuminutowa rozmowa.

Teraz, gdy już się uspokoiłem co do losu Andy'ego, wkurzyłem się jak cholera. Ktoś podłożył ogień. Przyjechałem w pierwszym samochodzie i zdążyłem szybko obejść kościół. Pierścień ognia otaczał budynek równomiernie ze wszystkich stron. Pożar nie wybuchł przypadkiem.

Rozumiałem podpalaczy. W dzieciństwie bawiłem się zapałkami i raz podpaliłem naszą szopę. Usiłowałem rzucić winę na Jamiego, ale rodzice wiedzieli, że ich świątobliwy starszy syn w życiu nie zrobiłby nic tak głupiego. Nie pamiętam kary - tylko ten pierwszy dreszcz, kiedy patrzyłem, jak zostawione na warsztacie przesycone smarem szmaty buchają płomieniem - a potem strach, kiedy ogień bluznął na ścianę. Więc rozumiałem wszystko - ten dreszcz, to podniecenie. Ale, do diabła, skoro jakiś gamoń musiał już coś podpalić, to czemu kościół pełen dzieci? Czemu nie jeden z setek pustych letnich domków? Samego budynku nie było co żałować. Od lat zbierano pieniądze na budowę większego kościoła. Czy to zbieg okoliczności? I czy to zbieg okoliczności, że zabawę przeniesiono z klubu młodzieżowego do kościoła? Nieważne. Łatwiej mi się myślało o dochodzeniu niż o Andym.

Ben Trippett i Dawn Reynolds wyszli z pogotowia akurat, kiedy biegłem do drzwi. Oto człowiek, który powinien nazywać się bohaterem. Śpieszyło mi się, by zobaczyć Andy'ego, ale musiałem przystanąć.

- No, Ben, jesteś gości! - powiedziałem, klepiąc go po ramieniu.

- Stary - rzucił Ben, bezskutecznie usiłując się uśmiech-

44

nać. Opierał się o Dawn i w świetle padającym przez drzwi zobaczyłem jej czerwone oczy.

- Jak głowa? - Czołgał się przede mną, kiedy coś... belka, posąg albo sam nie wiem co... zważyło się na niego i rzuciło mu kask z głowy. W świetle latarki zobaczyłem krew, spływającą mu po policzku.

- Siedemnaście szwów. - Dawn wtuliła się w niego mocniej. - Może wstrząśnienie mózgu.

- Uratowałeś dziś co najmniej jedno życie, Trippett - powiedziałem. - Z tobą pójdę w każdy ogień.

Prawda wyglądała tak, że nie chciałem z nim iść. Ben wstąpił do nas niespełna rok temu i czułem, że nie wytrzyma. Miał ambicję, zapał i inteligencję, ale także klaustrofobię. Odetchnął raz przez aparat i spanikował. Dostał regularnego ataku paniki. Chłopaki się z niego nabijali. Początkowo dobrodusznie, ale kiedy powaga sytuacji stała się oczywista, zrobili się złośliwi. Nie miałem do nich pretensji. Nikt nie chciałby iść w ogień z facetem, któremu nie można ufać. Ben dojrzał do odejścia. Do wyjazdu z wyspy. Ale w końcu zdołał przebrnąć przez kontrolowany pożar na ćwiczeniach i jakiś miesiąc temu oznajmił mi, że jest gotów do akcji.

- Na pewno? - spytałem. - Istnieje wielka różnica między pożarem kontrolowanym i prawdziwym.

- No pewnie - zgodził się. Nie żartował. Dziś szedł przede mną, pełzł na czworakach przez płonący kościół i nagle rozległ się brzęczyk, sygnalizujący niski poziom tlenu w aparacie. Obaj wyruszyliśmy z pełnymi zbiornikami, ale w nerwach człowiek oddycha szybciej, i Ben jechał już na rezerwie.

- Puść! - krzyknąłem do niego; słowa wychodziły bełkotliwie zza maski. A jednak mnie zrozumiał. Nie odwrócił się. Szedł dalej, aż się przestraszyłem, że zwariował. Usłyszałem głuche łupnięcie tego

czegoś, co uderzyło w kask Bena. I jego stęknienie bólu. Zobaczyłem czerwoną strugę krwi na policzku.

45

- Ben! - krzyknąłem. - Odwróć się! Ale szedł dalej.

Zawołałem przez krótkofalówkę: „Mam rannego z pustym zbiornikiem!”, ale w mroku nagle zauważyłem ekran jego kamery termowizyjnej. Przed nami coś było. Ben szedł po dziecko.

Dziewczynka wpełzła w śpiwór i jakoś znalazła kieszeń powietrzną. Ben chwycił ją i razem wyciągnęliśmy ją z kościoła. Była nieprzytomna, ale żywa.

- Uparty sukinkot z tego twojego faceta - zwróciłem się do Dawn. - Ale jedna dziewczynka dziękuje za to Bogu.

- Wiem - powiedziała.

- Słyszałem, że jakieś dzieci zginęły - odezwał się Ben.

- Powinienem zostać. Może byśmy...

- Nie mogłeś zostać, stary. - Chwyciłem go za ramię.

- Miałeś rozłupaną głowę.

Ben przycisnął umazane sadzą palce do powiek. Lada chwila miał się rozkleić.

- W porządku, bracie - powiedziałem. - Dobrze się dziś spisałeś. - Jego ciemne włosy zaśniły w blasku szpitalnych świateł i nagle wydał mi się podobny do Jamiego. W porównaniu z nim czułem się zawsze jak oferma. Wielki mężczyzna o miękkim sercu.

- Słyszysz? - Dawn odwróciła się do Bena, kładąc mu dłoń na piersi. - Zrobiłeś wszystko, co mogłeś, skarbie.

- Spojrzała na mnie. - Wiesz, jak to się zaczęło?

- Najprawdopodobniej podpalenie.

- Kto by mógł zrobić coś takiego? Pokręciłem głową.

- Może przypadkiem widzieliście mojego bratanka?

- Zajrzałem przez oszklone drzwi. - Andy'ego?

- Jest tam. - Dawn dotknęła mojego ramienia. - Nic mu się nie stało.

Andy siedział po turecku na łóżku. Wyglądał jak mały chudy Budda z obandażowanym przedramieniem. Gardło

mi się ścisnęło. Laurel siedziała obok łóżka, plecami do mnie. Czarne włosy wysmykiwały się jej ze spinki. Mag-gie przycupnęła w nogach łóżka, obejmując kolana. Andy zauważył mnie, kiedy otworzyłem szklane drzwi.

- Wujek Marcus! - zawołał.

Paroma krokami dotarłem do łóżka i pochyliłem się nad Laurel, żeby go uściskać. Plecy miał drobne, wąskie - jak u dziecka, choć wyczuwałem mocne, wytrenowane pływaniem mięśnie. Poczułem dym, którym przesiąkły jego włosy, i gardło mi się ścisnęło. W końcu wziętem się w garść i przerwałem uścisk.

- Miło cię widzieć. - Słowa drapały mi gardło jak papier ścierny.

- Jestem bohaterem - powiadomił mnie Andy i szybko zerknął na Laurel. - Mogę to powiedzieć wujkowi?

Laurel zaśmiała się cicho.

- Tak. Wujek należy do rodziny. - Spojrzała na mnie. - Powiedziałam Andy'emu, że nie wolno się przechwalać.

Objąłem Maggie i przytuliłem ją mocno.

- Jak sobie radzisz, Mags?

- Dobrze - odpowiedziała. Nie wyglądała dobrze. Twarz miała całkiem białą. Skóra pod jej oczami stała się fioletowa i przezroczysta.

- Nie martw się - powiedziałem, ściskając ją. - Nic mu nie jest.

- Komu? - Najwyraźniej nie całkiem oprzytomniała.

- Andy'emu, skarbie.

- A, wiem. - Pochyliła się i pogłaskała kolano Andy'ego.

- A ty? - odezwała się Laurel. - Strasznie wyglądasz. Jak tam?

- Dobrze. Ale chciałbym, żeby Andy mi wyjaśnił, dlaczego jest bohaterem.

Nie miałem na czym usiąść, więc oparłem się o krzesło Laurel, trzymając ręce w kieszeniach. Andy zaczął opowiadać

46

47

z takim zapałem, że zapomniałem, jaki byłem zły, że Laurel nie dzwoniła. Nagle stał się strasznie gadatliwy.

Laurel zerknęła na mnie. Nasze spojrzenia spotkały się na jakieś pół sekundy. Szybko odwróciła wzrok.

Andy trajkotał jak nakręcony.

- No i się spiąłem na okno...

- Wspiąłem, kochanie. - Laurel pogłaskała kciukiem jego dłoni.

- Wspiąłem się na okno w łazience dla chłopców i wyskoczyłem z Emily na metalową skrzynię, a potem wróciłem do środka i kazałem wszystkim iść za mną.

- Nieprawdopodobne - powiedziałem. - Jak grajek z Hamelin.

- Kto? - zdziwił się Andy.

- Grajek z Hamelin to postać z bajki - wyjaśniła Laurel.

- Poszły za nim dzieci. Dlatego wujek Marcus o nim mówi. Jesteś jak grajek z Hamelin, bo dzieci za tobą poszły.

- Myślałam, że szczury - mruknęła Maggie. Jęknąłem.

- Nieważne. Nie udało mi się porównanie. Laurel spojrzała na zegarek i wstała.

- Możemy chwilę porozmawiać?

Pochyliłem się, wziąłem Andy'ego za głowę i pocałowałem w czoło. Znowu otoczył mnie ten swąd, którego nigdy więcej nie chciałem od niego poczuć.

- Na razie, Andy - powiedziałem.

Musiąłem pobiec, żeby dogonić Laurel. Zasuwała szybko

- nafaszerowana witaminami fanka zdrowego życia. Odwróciła się do mnie z założonymi na piersi ramionami - zwykła postawa podczas rozmów ze mną. Tak ją sobie zawsze wyobrażałem, z rękami osłaniającymi pierś jak tarcza.

- Czemu nie dzwoniłaś, do cholery? - spytałem.

- Wszystko działo się za szybko. Słuchaj, Keith Weston tu gdzieś leży.

O kurczę.

48

- Keith też był na zabawie? Skinęła głową.

- Zabrali go helikopterem. Sara wyjechała spod kościoła mniej więcej w tym samym czasie co ja, ale jej nie widziałam.

- Chodź. - Ruszyłem w stronę recepcji.

- Jeden agent rozmawiał z Andym.

- Dobrze. - Działali szybko, jak lubię.

- Powiedział, że zginęły trzy osoby. Wiesz kto?

- Nie mam pojęcia. - Bała się, że jedną z nich jest Keith. Ja też. Dotknąłem jej pleców. - Wiem, że wiele osób odniosło obrażenia.

Dotarliśmy do biurka, ale recepcjonistka była zbyt zapracowana, żeby się nami zająć. Zatrzymałem faceta w niebieskiej bluzie i spodniach, idącego w stronę sal opatrunkowych.

- Możemy się dowiedzieć o stan jednej z ofiar pożaru? - spytałem, przedstawivszy się. - Keitha Westona?

- Oczywiście - powiedział, jakby nie miał nic lepszego do roboty. Zniknął w korytarzu.

Spojrzałem na Laurel.

- Czy to prawda? - Skinąłem głową w stronę sali. - Wyprowadził te dzieci?

- Niewiarygodne, co? Ale agent twierdzi, że tak. Chyba dlatego, że nie myślał, jak wszyscy - wiesz, nie pobiegł do drzwi.

- I nie zna strachu - dodałem.

Laurel nie od razu skinęła głową. Andy miał wiele lęków, ale wiedziała, o co mi chodzi. Nie wyczuwał zagrożenia. Nie pojmował, co to takiego. Był impulsywny. Przypomniałem sobie, jak skoczył z przystani do wody, żeby złapać czapkę, którą wiatr zdmuchnął mu z głowy.

Facet w niebieskim stroju wrócił.

- Nie ma go tam - oznajmił. - Zabrali go od razu do szpitala uniwersyteckiego w Chapel Hill.

49

Laurel zasłoniła usta ręką.

- Do centrum leczenia oparzeń? Przytaknął.

- Rozmawiałem z sanitariuszem. Już na plaży wprowadzili go w śpiączkę farmakologiczną.

- Przeżyje? - Ręka Laurel zatrzęsała się gwałtownie. Chciałem nadal się na nią gniewać, ale ta trzęsąca się dłoń mnie rozkleiła.

- Nie wiem - odpowiedział facet. - Przykro mi. Pager przy jego pasku zabrzączał i facet od razu ruszył biegiem, zostawiając nas bez słowa.

- Czy jego matka jest... - zawołała za nim Laurel, ale on był już w połowie korytarza.

Laurel przycisnęła drżące ręce do oczu.

- Biedna Sara.

- Aha - mruknąłem. - Ja się tylko cieszę, że z Andym wszystko dobrze

- Och, Marcus... - Spojrzała na mnie. Prosto w oczy. Tym razem dłużej niż pół sekundy. - Tak się bałam.

- Ja też.

Chciałem ją objąć. Pragnąłem pociechy tak samo, jak tego, by pocieszyć ją. Ale wiedziałem, że to na nic. Zesztywniałyby, cofnęłyby się. Dlatego tylko znowu położyłem jej dłoń na plecach i razem wróciliśmy do Andy'ego.

5

Jamie Lockwood mnie zmienił. Odkąd go poznałam, zaczęłam się przyglądać mężczyznom na motocyklach, zastanawiając się, co ukrywają. Im twardszy z pozoru, im więcej tatuaży, im grubsza skórzana kurtka, tym więcej wątpliwości budziła we mnie jego dusza. Ale Jamie nauczył mnie także miłości i namiętności i - nieświadomie - poczucia winy i żalu. Tych lekcji nigdy nie zapomnę.

Poznałam go jako osiemnastolatka, dopiero zaczynająca studia na Uniwersytecie Karoliny Północnej. Wycofywałam swoją trzyletnią hondę civic z parkingu w Wilmingtonie. Ta czerwona honda była prezentem maturalnym od wujostwa - właściwie moich adopcyjnych rodziców, którzy rekompensowali mi swoje emocjonalne skąpstwo hojnością w rozdawaniu dóbr materialnych. Sprawdziłam boczne lusterko - pusto - obróciłam kierownicę w lewo i dodałam gazu. Poczułam, że coś mi się odbija od drzwiczek, i za oknem przeleciała czarno-niebieska błyskawica.

Zacząłam krzyczeć; zaskoczyło mnie przeraźliwe brzmienie własnego głosu, ale nie mogłam przestać. Usiłowałam otworzyć drzwi - bez skutku, bo przygniótł je motocykl. Zanim zdołałam wyjść przez drzwi od strony pasażera, motocyklista już wstał. Był ogromny i gdybym myślała przytomnie, bałabym się do niego podejść. A jeśli to Helis

51

Angel? Ale myślałam tylko o tym, że kogoś skrzywdziłam. Mogłam go zabić.

- Boże! - Podbiegłam do niego, napompowana adrenaliną. Mężczyzna stał do mnie bokiem, poruszając rękami, jakby sprawdzał, czy niczego nie potamał. Zatrzymałam się o parę kroków od niego. - Bardzo przepraszam, nie zauważyłam cię. Wszystko w porządku?

Parę osób zebrało się już wokół nas. Czekały, czy coś się wydarzy.

- Chyba przeżyję. - Motocyklista zdjął biały kask, spod którego wysypała się kaskada ciemnych włosów. Przyjrzał się szerokiej czarnej rysie na boku kasku.

- Rany. Muszę wysłać gratulacje producentowi. Coś takiego. Nie ma nawet wgniecenia. - Pokazał mi kask, ale ja zobaczyłam tylko, że jego skórzany rękaw zmienił się w strzępy.

- Spojrzałam w lusterko, ale szukałam samochodu - powiedziałam. - Bardzo przepraszam. Jakoś cię nie zauważyłam.

- Trzeba uważać! - krzyknęła jakaś kobieta. - To mógł być mój syn!

Motocyklista obejrzał się na nią.

- Nie musi pani tak krzyżeć. Ona już nie popełni tego błędu. -I ciszej, zwracając się do mnie, dodał: - Prawda?

Skinęłam głowę. Bałam się, że zwymiotuję.

- No, to... - Rozejrzał się dokoła. - No to sprawdźmy mój motor, a potem zjedziesz na bok i wymienimy się informacjami o ubezpieczeniu, dobrze? - Mówił czystym akcentem z Wilmingtonu, nie tak jak ja.

Skinęłam głowę.

- Dobrze.

Podniósł motocykl, uwalniając moje drzwi, wgniecione i zdrapane, choć otworzyły się prawie bez trudu. Musiałam się bardzo skupić, żeby przekręcić kluczyk w stacyjce, wrzucić wsteczny, dodać gazu - całkiem jakbym nagle zapomniała,

52

jak się prowadzi. Kiedy zdołałam odstawić samochód metr dalej na parking, czułam się jak czternastolatka. Znalazłam w schowku wymiętą kartę ubezpieczenia i wysiadłam.

Motocyklista zaparkował w bezpiecznej odległości od mojego samochodu.

- Działa? - spytałam, podchodząc do niego z rękami splecionymi na piersi. Nie było zimno, ale cała się trzęsłam.

- Wszystko z nim w porządku - odpowiedział. - Całą siłę uderzenia przyjął twój samochód.

- Nie, ty. - Znowu spjrzałam na podarty rękaw jego kurtki. - Wolałabym, żebyś... nakrzyczał na mnie czy co. Jesteś za miły.

Parsknął śmiechem.

- Potrąciłaś mnie celowo? -Nie.

- Widzę, że już czujesz się beznadziejnie. Dlaczego mam cię jeszcze dobijać? - Spojrzał nad moim ramieniem na sklepy wzdłuż ulicy. - Załatwmy sprawę z ubezpieczeniami przy kawie - zaproponował, wskazując kawiarnię na rogu. - Zresztą i tak nie jesteś zdolna prowadzić.

Miał rację. Stojąc z nim w kolejce po kawę, nadal dygotałam. Kolana ugięły się pode mną i oparłam się ciężko o ladę.

- Dla pani bezkofeinowa. - Uśmiechnął się do mnie. Był ode mnie wyższy o dobre dwadzieścia pięć centymetrów. Co najmniej metr osiemdziesiąt osiem. - Może znajdziesz nam stolik?

Usiadłam pod oknem. Serce nadal łomotało mi o żebra, ale wypełniła mnie ulga. Mój samochód właściwie nie ucierpiał, nikogo nie zabiłam, a motocyklista okazał się wyrozumiały. Naprawdę mi się poszczęściło. Położyłam kartę ubezpieczenia na stole i wygładziłam ją starannie.

Przyglądałam się szerokim, opiętym skórą barom motocyklisty, kiedy niósł nasze kawy. Miał sylwetkę jak futbolista w dobrze wywatowanym kostiumie, ale kiedy zdjął

53

kurtkę i rzucił ją na wolne krzesło, przekonałam się, że te rozmiary nie mają nic wspólnego ze sztucznymi wypełniaczami. Miał na sobie granatowy podkoszulek z białym napisem „Topsail Island” i choć nie był otyły, nie był też szczególnie muskularny. Masywny. Krzepki. Te słowa przemknęły mi przez głowę i choć byłam dziewicą - całe liceum przecierpiałam w roli towarzyskiego wyrzutka - zaczęłam się zastanawiać, jaki byłby w łóżku. Czy zdołałby mnie nie przygnieść?

- Co się dzieje? - W jego brązowych oczach malowała się ciekawość. Przestraszyłam się, że widać, o czym myślę. Zaczęły mnie palić policzki.

- Już mi lepiej - powiedziałam. - Trochę się trzęsę.

- Pierwszy wypadek?

- I oby ostatni. Miałaś inne?

- Parę. Ale jestem trochę od ciebie starszy.

- Ile masz lat? - spytałam w nadziei, że nie zachowuję się niegrzecznie.

- Dwadzieścia trzy. A ty pewnie jakieś osiemnaście? Skinęłam głową.

- Pierwszy rok na uniwerku?

- Tak. - Zmarszczyłam nos. Pomyślałam, że chyba mam wypisane na czole „nowa”.

Upił łyk kawy i przysunął do mnie mój kubek.

- Już sobie znalazłaś kierunek główny?

- Pielęgniarstwo. - Moja matka była pielęgniarką. Chciałam iść w jej ślady, choć o tym nie wiedziała. - A ty? - Otworzyłam paczuszkę cukru i wsypałam do kawy. - Jesteś Aniołem Piekła?

- Skąd! - Parsknął śmiechem. - Jestem stolarzem, choć parę lat temu skończyłem studia z kompletnie nieprzydatnym dyplomem z religioznawstwa.

- Dlaczego nieprzydatnym? - spytałam, choć pewnie powinnam zmienić temat. Miałam nadzieję, że nie będzie mnie próbował nawrócić jak niektórzy religijni ludzie.

Miałam wobec niego dług wdzięczności i musiałam go wysłuchać, przynajmniej przez chwilę.

- Myślałem, że pójde do seminarium - odpowiedział.

- Że zostanę duchownym. Ale im dłużej studiowałem teologię, tym mniej podobało mi się przywiązanie do jednej religii. Dlatego nadal zastanawiam się, kim będę, kiedy dorosnę. - Sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął długopis i kartę ubezpieczenia. Na bicepsie miał wytatuowany sztandar ze słowem „empatia”. Jeszcze pięć minut temu byłam podniecona, teraz poczułam się tak, jakby dotknął mojego serca, ujął je delikatnie w dłoń.

- Słuchaj - odezwał się, nie odwracając oczu od karty.

- Twój samochód działa bez zarzutu, tak? Chodzi o kosmetyczne poprawki?

Przytaknęłam.

- W takim razie nie róbmy tego przez twoją agencję ubezpieczeniową. Na dłuższą metę to cię uderzy po kieszeni. Zrób wycenę, a ja się tym zajmę.

- Możesz? - zdziwiłam się. - To moja wina.

- Łatwo popełnić taki błąd.

- Byłam nieostrożna. - Spojrzałam na niego surowo. - I nie rozumiem, dlaczego się nie gniewasz. Omal cię nie zabiłam.

- O, byłem zły. Lecąc w powietrzu, powiedziałem bardzo dużo brzydkich słów. - Uśmiechnął się. - Ale gniew to trucizna. Nie chcę się nim zatruwać. Kiedy przeniosłem uwagę z moich uczuć na twoje, gniew zniknął.

- Ten tatuaż... - Wskazałam jego rękę.

- Zrobiłem go, żeby mi przypominał. Nie zawsze łatwo to zapamiętać.

Obrócił kartę i kliknął długopisem.

- Nawet nie wiem, jak się nazywasz.

- Laurel Patrick.

- Ładnie. - Zapisał i wyciągnął do mnie rękę. - Jestem Jamie Lockwood.

54

55

Zaczęliśmy się umawiać - na imprezy w kampusie, do kina, a raz na piknik. Przy nim czułam się młoda, ale nigdy nie traktował mnie z wyższością. Pociągała mnie jego dobroć i ciepło jego spojrzenia. On wyznał, że początkowo polecał na mój wygląd, co świadczyło, że nie jest jednak tak zupełnie nietypowym facetem.

- Kiedy wysiadłaś z tego samochodu, wyglądałaś bardzo ładnie. Miałaś czerwone policzki, ta twoja spiczasta bródka drżała, a długie czarne włosy były rozczochrane i seksowne. - Nawinął na palec pasmo moich prostych jak druty włosów. - Pomyślałem, że ten wypadek to przeznaczenie. Potem spodobała mu się moja słodycz. Niewinność. W tych pierwszych tygodniach często się całowaliśmy, ale nic więcej. Przeżyłam z nim swój pierwszy orgazm, choć mnie nie dotykał. Jechaliśmy jego motocyklem i od zmiany biegu nagle poczułam ogień między nogami. Ledwie rozumiałam, co się dzieje. To było zaskakujące, szybkie i ogłuszające. Mocniej go objęłam, a moim ciałem wstrząsały spazmy. Poklepał moją dłoń, jakby sądził, że przeraża mnie prędkość jazdy. Nie od razu wyznałam mu, że zawsze uważałam jego motocykl za swojego pierwszego kochanka.

Rozmawialiśmy o naszych rodzinach. Mieszkałam w Karolinie Północnej przez pierwsze dwanaście lat mojego życia, do śmierci rodziców. Potem przeprowadziłam się do Ohio, do cioci i wujka, ambitnych i w najmniejszym stopniu nieprzygotowanych do przyjęcia jakiegokolwiek dziecka, nie mówiąc już o nastolatce w żałobie. Koledzy ze szkoły i niektórzy nauczyciele uważali, że ludzie pochodzący z Południa są głupi. Na początku zachowywałam się jak żywe potwierdzenie tego przesądu. Nie mogłam się skupić na nauce i miałam coraz większe zaległości we wszystkich przedmiotach. Tęskniłam za rodzicami i płakałam co noc, aż w końcu znalazłam sposób, żeby przestać o nich myśleć przed snem: liczyłam od tysiąca wstecz, wyobrażając sobie liczby na zboczu wzgórza, jak

56

napis „Hollywood”. Podziałało. Zaczęłam lepiej sypiać, a co za tym idzie - lepiej się uczyć. Moi nauczyciele musieli zrewidować opinię o głupiej dziewczynie z Południa i stawiali mi coraz lepsze stopnie. Nawet ciotka i wujek wydawali się zaskoczeni. Kiedy nadeszła pora wybierania college'u, złożyłam papiery do wszystkich możliwych szkół na Południu. Chciałam wrócić do swoich korzeni. Jamie wzruszył się, słuchając moich wspomnień.

- Straciłaś oboje rodziców? - spytał z niedowierzaniem. - Jednocześnie?

- Tak, ale nie myślę o tym często.

- Może powinnaś.

- To przeszłość. - Zaleczyłam rany i nie widziałam powodu, żeby je rozrywać.

- Takie sprawy potrafią wrócić, żeby cię ugryźć. To był wypadek?

- Okropnie naciskasz - zauważyłam ze śmiechem, ale on patrzył na mnie poważnie.

- Mówię serio.

Westchnęłam i opowiedziałam mu o pożarze na statku wycieczkowym, w którym zginęły pięćdziesiąt dwie osoby, w tym moi rodzice.

- Pożar na statku. - Jamie pokręcił głową. - Straszna sytuacja.

- Niektórzy skakali do wody.

- Twoi rodzice?

- Nie. A powinni. - Zanim opracowałam swój system liczenia od tysiąca, za każdym razem, gdy usiłowałam zasnąć, przed oczami stawały mi płonące sylwetki moich rodziców.

Jamie jakby czytał w moich myślach.

- Możesz założyć, że najpierw zatruli się dymem. Pewnie stracili przytomność, zanim ogień ich dosięgnął!

Nie chciałam o tym mówić, ale ta myśl sprawiła mi ulgę. Jamie znał się na ogniu, bo był w oddziale ochotniczej

straży pożarnej w Wilmingtonie. Kiedy wracał z pożaru, przez wiele dni czułam od niego dym. Brał prysznic i mył długie włosy, a zapach i tak pozostawał, jakby się sączył z jego porów. Zaczęłam go z nim kojarzyć, nauczyłam się go lubić.

Po trzech tygodniach spotkań poznał mnie ze swoją rodziną. Choć mieszkali w Wilmingtonie, miałam się z nimi spotkać w chatce na plaży na Topsail Island, gdzie na ogół spędzali weekendy. Pewnie w dzieciństwie bywałam na wyspie, ale nie zachowałam żadnych wspomnień.

Kupił mi czarną skórzaną kurtkę i biały kask, a ja zdążyłam się już przyzwyczaić do jazd na motocyklu. Przejeżdżając przez most, zobaczyłam w dole archipelag malutkich prostokątnych wysepek.

- Co to? - krzyknęłam.

Jamie zjechał na bok, choć oprócz nas na drodze nie było nikogo. Zsiadłam i wychyliłam się przez balustradę. Konstelacja wysepek biegła wzdłuż linii brzegowej szlaku wodnego, jak okiem sięgnąć. Na tych nieregularnych prostokątach rosły miniaturowe jodły i inne rośliny, a popołudniowe słońce zapalało w wodzie złote błyski.

- Wygląda jak wioska elfów - powiedziałam.

Jamie stanął obok mnie. Nasze ramiona dotknęły się przez skórzane rękawy.

- To trzęsawisko. Ale wygląda magicznie, zwłaszcza o tej porze dnia.

Patrzyliśmy jeszcze przez chwilę, po czym wsiedliśmy na motocykl.

Wiedziałam, że rodzice Jamiego mają mnóstwo posiadłości na wyspie, zwłaszcza w jej najbardziej wysuniętej na północ części, nazywanej West Onslow Beach. Po drugiej wojnie światowej jego ojciec brał udział w programie badań nad tajną bronią na Topsail Island, znanym pod kryptonimem Operacja Trzmiel. Zakochał się w tej okolicy

i za posiadane pieniądze kupił ziemię, której wartość z czasem poszybowała pod niebo. Jadąc drogą wzdłuż plaży, Jamie wskazywał mi kolejne działki należące do jego rodziny. Na wielu stały przyczepy mieszkalne, niektóre stare i zardzewiałe, choć sama ziemia miała dużą wartość. Na paru stały dobrze utrzymane domy z tablicami „do wynajęcia”, a nawet kilka starych dwupiętrowych betonowych wież widokowych z płaskimi dachami, z których korzystano podczas Operacji Trzmiel. Bogactwo, w którym dorastał Jamie, nieco mnie ogłuszyło.

- Ale nie żyjemy na wysokim poziomie - wyjaśnił Jamie, opowiadając mi o inteligentnych inwestycjach ojca. - Tata mówi, że majątek służy do tego, żeby móc żyć, jak się chce.

To mi się spodobało. Wujek i ciotka zachowywali się dokładnie odwrotnie.

Wszystkie domy w Lockwood miały nazwy, wypalone na tablicach nad frontowymi drzwiami. „Karetta”, „Oaza Ospreya” i „Huraganowa Kryjówka”. Dotarliśmy do ostatniego rzędu domów na

wyspie. Zaczęłam się pocić w swojej skórzanej kurtce. Wiedziałam, że jeden z tych domów należy do jego rodziny i że za parę minut ją poznam. Jamie jechał powoli.

- Tych pięć ostatnich budynków należy do taty - powiedział, odwracając do mnie głowę.

- Terrier? - przeczytałam nazwę na tablicy nad drzwiami.

- Tak, tam jedziemy, ale najpierw cię oprowadzę. Następny dom nazywa się Talos. Terrier i Talos to nazwy dwóch pierwszych ponaddźwiękowych pocisków, które lu testowano.

Te dwa domy wyglądały jak swoje lustrzane odbicia: wysokie, wąskie, piętrowe, na palach chroniących je przed lalami morza.

- Piękny! - Wskazałam ostatni dom w rzędzie, obok Ta-losa. Był parterowy i okrągły. Jak wszystkie, stał na palach.

59

Na desce nad drzwiami widniał napis „Morski Strażnik”.

- Roztacza się z niego niebywały panoramiczny widok. - Jamie skręcił w wąską uliczkę, oddalając się od domów. - Chcę ci pokazać moje ulubione miejsce - rzucił przez ramię.

Po chwili jezdni zmieniała się w piaszczystą drogę. Zsiadliśmy z motocykla i ruszyliśmy pieszo. Mocniej otuliłam się kurtką. Październikowe powietrze nie było zimne, ale wiatr przenikał do szpiku kości. Jamie objął mnie ramieniem.

Przeszliśmy na łachę białego piasku, niemal całkowicie otoczoną przez wodę. Morze znajdowało się po prawej stronie, przed sobą mieliśmy ujście New River, a gdzieś po lewej - choć niewidoczny - znajdował się trakt wodny. Zachodzące słońce zabarwiło niebo różem. Poczułam się tak, jakbyśmy stali na skraju odosobnionego kontynentu.

- To moje ulubione miejsce - oznajmił Jamie.

- Rozumiem cię.

- Zawsze się zmienia. - Wskazał morze. - Wymywa piasek stąd i wypływa go tam. - Skinął ręką w lewo. - To, co dziś jest moim ulubionym miejscem, w przyszłym tygodniu może wyglądać zupełnie inaczej.

- To cię martwi?

- Wcale nie. Cokolwiek zrobi natura, będzie to piękne. - Przez chwilę milczeliśmy. Potem Jamie przerwał milczenie. - Mogę ci coś powiedzieć? - Po raz pierwszy, odkąd go poznałam, stracił pewność siebie. Wydał mi się trochę onieśmielony.

Nadal trzymał rękę na moich ramionach. Powoli podniosłam swoją, aż objęłam go w pasie.

- Oczywiście.

- Nigdy tego nikomu nie mówiłem. Możesz pomyśleć, że zwariowałem.

- Powiedz.

- Tak naprawdę kiedyś chciałbym stworzyć własny kościół. Miejsce, w którym można będzie wierzyć, w co się chce, i nadal należeć do społeczności, rozumiesz?

Nie wiedziałam, czy dokładnie rozumiem, co to znaczy, ale dowiedziałam się o Jamie jednym: miał w sobie światło nieobecne u większości ludzi. Czasami przebłyskiwało w jego oczach.

- Wyobrażasz sobie? - ciągnął. - Mała kaplica, właśnie tutaj, mnóstwo okien, żeby było widać otaczające cię morze. Ludzie mogliby tu przychodzić i modlić się, kiedy tylko by chcieli. - Spojrzał na wodę i westchnął. - Zamki na lodzie, co?

Rzeczywiście, pomyślałam, że trochę mu odbiło, ale otworzyłam się na ten pomysł i wyobraziłam sobie biały kościółek z wysoką dzwonnica, dokładnie tu, gdzie staliśmy.

- Moglibyśmy tutaj coś zbudować? - spytałam.

- Ziemia należy do taty. Jak każde ziarno piasku na północ od tych domów. Czy natura pozwoli mi tu coś zbudować? W tym rzecz. Natura ma własne plany, jeśli chodzi o to miejsce. I o całą wyspę.

Kiedy weszliśmy do Terriera, otoczył nas aromat pieczonego ciasta. Jamie przedstawił swoich rodziców tak, jak się to robi na Południu - jako pannę Emmę i pana Andrew, ale ojciec natychmiast oznajmił, że mam go nazywać Tatą L. Jamie odziedziczył po panie Emmie czuprynę ciemnych kręconych włosów, choć jej fryzura była krótka i prosta. Po Tacie L. Jamie miał wielkie, okrągłe, brązowe oczy. Oboje uściskali swego syna na powitanie, jakby ostatni raz widzieli się miesiące temu, a nie wczoraj. Panna Emma uściskała nawet mnie, pocałowała w policzek, a potem wzięła za ręce i przyjrzała mi się uważnie.

- Cudowna! - oznajmiła, puszczając mnie. Wyczułam w jej oddechu powiew alkoholu.

60

61

- Dziękuję pani - powiedziałam.

- A nie mówiłem? - Jamie pomógł mi zdjąć skórzaną kurtkę.

- Mam nadzieję, że zgłodnieliście. - Tata L. oparł się o framugę drzwi. - Mama szalała dziś w kuchni.

- Pachnie wspaniale - zauważyłam.

- To pudding bananowy z bezami - wyjaśniła panna Emma.

- Gdzie Marcus? - spytał Jamie.

Jeszcze nie poznałam piętnastoletniego brata Jamiego, ale wiedziałam, że to niezły łobuz. O osiem lat młodszy od Jamiego, zjawił się na świecie niespodziewanie, zaskakując rodziców, którzy pogodzili się już z myślą o posiadaniu jedynaka.

- Bóg jeden wie. - Panna Emma zamieszała wielką salaterkę sałatki ziemniaczanej. - Surfował. Kto wie, co robi teraz. Mówiłam mu, że kolacja będzie o wpół do siódmej, ale jeśli kiedyś przyjdzie punktualnie, zemdleję z wrażenia.

Jamie objął ją i uściskał.

- W takim razie oby się spóźnił.

Godzinę później usiedliśmy przy stole, na którym stały smażony kurczak, sałatka ziemniaczana i chleb kukurydziany. Marcus się nie pojawił. Znajdowaliśmy się w pobliżu szerokich okien od strony morza. Wyobraziłam sobie, jak efektowny widok rozciąga się za nimi w dzień.

- Opowiedz mi, kochanie, o swojej rodzinie - odezwała się panna Emma, nakładając mi drugą porcję sałatki ziemniaczanej.

Wyjaśniłam, że moja matka pochodziła z Raleigh, a ojciec z Greensboro, że zginęli podczas rejsu i że wychowali mnie wujostwo z Ohio.

- Boże, zmiłuj się! - Panna Emma złapała się za serce. Spojrzała na Jamiego. - Nic dziwnego, że się odnaleźliście.

62

Nie rozumiałam, o co jej chodzi. Jamie uśmiechnął się do mnie i doszłam do wniosku, że zapytam go później.

- To wyjaśnia, skąd twój akcent. - Tata L. spojrział na żonę, która przytaknęła. - Usiłowaliśmy go rozpoznać.

Wziął chrupkie kurze udko. Zerknął na zegarek i na puste krzesło obok Jamiego.

- Może porozmawiałbyś z Marcusem o jego stopniach

- poprosił.

- Jak to?

- Właśnie dostaliśmy raport o jego ocenach. Jeśli się nie weźmie do roboty, wyleci - poinformowała panna Emma ściszym głosem, jakby Marcus mógł nas usłyszeć. - Prawie same pały. A to jego pierwszy rok. Chyba nie rozumie, jakie to ważne dla jego dalszej nauki w college'u. - Spojrzała na mnie. - Tata Jamiego i ja nie poszliśmy na studia. Chciałabym, żeby moi synowie mieli lepsze wykształcenie.

- Ja uwielbiam tę uczelnię - powiedziałam, choć tak naprawdę myślałam, że rodzice Jamiego doskonale sobie radzą i bez wyższego wykształcenia.

- Pogadam z nim - obiecał Jamie.

- Cały czas po szkole spędza na tej desce - pożałowała się panna Emma - a na weekendy wyjeżdża z przyjaciółmi i wcale nie przejmuje się naszym zdaniem.

- Chłopak wymknął się spod kontroli - dodał Tata L. Przebywałam w tym domu zaledwie godzinę, ale już się

orientowałam w sytuacji. Jamie - pomimo długich włosów, tatuażu i motocykla - był faworyzowanym synem, Marcus

- czarną owcą. Nie znałam go, ale z góry mu współczułam.

Prawie skończyliśmy, kiedy na dole trzasnęły drzwi.

- Wróciłem! - zawołał męski głos.

- A kolacja jest zimna jak lód! - odskrzyknęła panna Emma.

Na schodach rozległy się kroki. Marcus wszedł do jadalni boso, w mokrym kombinezonie z suwakiem rozpiętym prawie do pępka. Miał smukłą, kościstą sylwetkę, która

63

nigdy nie zdołałaby się stać tak masywna jak ciało Jamie-go. Na jego szyi migotał złoty krzyżyk, wyraźnie odcinający się od opalenizny z minionego lata, a brązowe włosy miał krótkie, kędzierzawe i miejscami zrudziałe od słońca. Oczy odziedziczył po panie Emmie - niebieskie, jakby się w nich przeglądało letnie niebo.

- Cześć. - Uśmiechnął się do mnie i usiadł obok Jamiego.

- Ubierz się w coś - powiedział Tata L.

- To jest Laurel - przedstawił mnie Jamie. - A to Marcus.

- Cześć - odpowiedziałam.

- Cały utyłany w piasku! - zawołała panna Emma.

- Przebierz się, a ja ci podgrzeję jedzenie w mikrofalach.

- Nie jestem głodny - oznajmił Marcus.

-Ale musisz się przebrać, jeśli chcesz z nami siedzieć.

- Dobra, dobra. - Marcus westchnął ciężko i poczłapał do swojego pokoju.

Po chwili dobiegły nas dźwięki keyboardu. Nieznajoma muzyka rwała się i utykała. Jamie parsknął śmiechem.

- Zabrał ze sobą klawiaturę?

-Jeśli chcesz to tak nazywać... - mruknęła panna Emma.

- Marcus chce grać rock and rolla - wyjaśnił mi Tata L.

- Od lat proponujemy, że kupimy mu pianino, żeby mógł ćwiczyć jak należy, ale powiedział, że w zespołach nie gra się na pianinie.

- Dlatego kupił używany keyboard i usiłuje się sam nauczyć na nim grać - dodała panna Emma. - Niedobrze mi się robi, kiedy tego słucham.

- Oj, mam - powiedział Jamie. - Przynajmniej nie włóczy się po ulicach.

Kiedy zjedliśmy najbardziej fantastyczny pudding bananowy, jaki kiedykolwiek miałam w ustach, poszłam do łazienki. Marcus grał piosenkę The Police. W drodze powrotnej zapukałam do jego otwartych drzwi.

- Twoja mama mówi, że sam uczysz się grać. Spojrzał na mnie, nie zdejmując rąk z klawiatury. Przebrał się w szorty i granatowy podkoszulek.

- Ze słuchu - odpowiedział. - Nie znam nut.

- Mógłbyś się nauczyć. - Oparłam się o framugę.

- Jestem dyslektykiem. Wolałbym dać sobie wyrwać wszystkie zęby.

- Zagraj coś jeszcze. Fajne to było.

- Znasz to?

- Piosenka The Police. „Every Breath You Take”?

- Super! - Miał zaczepny uśmiech i śliczne niebieskie oczy. Pewnie koleżanki za nim szalały. - Nie wiedziałem, że jestem taki dobry. A ta?

Pochylił się nad klawiaturą, nagle spoważniały i skupiony. Zadzierzysty szczeniak zniknął, a na jego miejscu pojawił się niepewny siebie chłopiec o smukłym, delikatnym karku. Krzywił się przy każdej fałszywej nucie. Starłam się rozpoznać melodię, tylko po to, żeby miał poczucie sukcesu. Zajęło mi to parę minut, ale nagle doznałam olśnienia.

- Ta piosenka Queen!

- Tak! - Rozpromienił się w uśmiechu. - „We Are The Champions”.

- Niesamowite - powiedziałam szczerze. - Nigdy nie zdołałabym tego zagrać ze słuchu.

- Umiesz grać?

- Uczyłam się przez parę lat. Wstał.

- Pokaż.

Usiadłam i zagrałam parę gam, żeby wyczuć klawiaturę. Potem zaczęłam grać jeden z tych nielicznych utworów, które znałam na pamięć: „Dla Elizy”.

64

65

Skończyłam i podniosłam głowę. W drzwiach stał Jamie z uśmiechem, który potrafiłam opisać tylko jednym słowem

- czuły. W tej chwili zrozumiałam, że go kocham.

- To było piękne - powiedział.

-Aha, dobra jesteś - zgodził się Marcus. Przechylił głowę, szacując mnie wzrokiem. - Jesteś w studenckim bractwie?

Parsknęłam śmiechem.

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Bo różnisz się od poprzednich dziewczyn Jamiego.

- To dobrze czy źle?

- Dobrze. - Marcus spojrział na brata. - Fajna jest. Powinieneś ją zatrzymać.

Z kuchni dobiegł szcęk talerzy. Zostawiłam braci i poszłam pomóc w zmywaniu. Panna Emma miała ręce po łokcie w pianie.

- Będę wycierać. - Sięgnęłam po ścierkę wiszącą na poręczy lodówki.

- Dziękuję, skarbie. - Panna Emma podała mi talerz.

- Słyszałam, jak grasz. Pięknie. Nie wiedziałam, że z tego elektrycznego przedmiotu można wydobyć taki dźwięk.

- Dziękuję. Marcus doskonale gra ze słuchu.

- Męczy mnie tylko rodzaj muzyki, którą gra. Miałam wrażenie, że nic, co robił Marcus, nie znajdowało jej aprobaty.

- Teraz się tego słucha - oznajmiłam ostrożnie. Panna Emma roześmiała się cicho.

- Już rozumiem, dlaczego Jamie tak cię lubi. Poczułam, że policzki mi czerwienieją. Rozmawiał o mnie z rodzicami?

- Ludzie nie są ci obojętni. Tak jak jemu.

- O nie. To znaczy tak, ale mu nie dorównuję. Jest niesamowity. Omal go nie przejechałam. Naprawdę. A teraz wydaje mi się... - Pokręciłam głową, nie potrafiąc nazwać własnych emocji. Zauroczenie - Jamie, jego rodziną.

66

Czułam się tu bardziej w domu niż przez sześć lat z lodowatą ciotką i milczącym wujkiem.

- Jamie umie sobie radzić z ludźmi, bez dwóch zdań. To wrodzone, jak talent do muzyki, matematyki albo taki jak twój. To się ma w genach.

Chyba zrobiłam sceptyczną minę, bo mówiła dalej.

- Ja tego daru nie odziedziczyłam, Bóg mi świadkiem, posiadał go natomiast mój brat. Umarł po trzydziestce, niech mu ziemia lekką będzie, ale... to coś więcej niż dobroć. To umiejętność zajrzenia komuś w duszę. Zrozumienia cudzych uczuć. Tak jakby się nie mogło inaczej.

- Empatia.

- Oj, ten głupi tatuaż. - Panna Emma dołała płynu do wody w zlewie. - Omal nie dostałam zawału, kiedy go zobaczyłam. Ale Jamie jest dorosły, mamusia nie może mu zabronić. Choć nie potrzebuje tego tatuażu. - Zaczęła szorować formę po chlebie kukurydzianym. - Moja ciotka też miała ten dar, choć twierdziła, że to raczej klątwa, ponieważ przejmuję się cudzy ból. Raz byliśmy w kinie. Przed nami usiadła kobieta z chłopcem. Nie odezwali się ani słowem, ale ciocia Ginny oznajmiła, że z tą kobietą jest coś nie tak. Poczwała bijące od niej silne fale cierpienia. Tak powiedziała - cierpienia.

- Aha - mruknęłam, starając się zachować neutralną minę. Miss Emma wygadywała niestworzone rzeczy, ale nie zamierzałam okazać sceptycyzmu.

- Wiem, że to głupio brzmi. Wtedy też tak pomyślałam. Po filmie ciocia Ginny po prostu musiała spytać tej kobiety, czy coś się stało. Umiała tak rozmawiać z ludźmi, że natychmiast się przed nią otwierali. Ale kobieta oznajmiła, że wszystko gra. Jednak wychodząc z kina, gdy chłopiec oddalił się poza zasięg słuchu, wyznała, że jej matka miała rano wylew, a ona się o nią zamartwia. Ginny natychmiast wychwyciła jej zmartwienie i przejęła je. W końcu nabawiła się od tego wszystkiego wrzodu żołądka. Jamie też taki jest.

67

Przypomniałam sobie Jamiego po wypadku, kiedy zastanawiałam się, dlaczego na mnie nie krzyczy. „Widzę, że już czujesz się beznadziejnie - powiedział. - Dlaczego mam cię jeszcze dobijać?”.

Zadrżałam.

Panna Emma podała mi formę.

- Tak to bywa z ludźmi takimi jak Jamie, mój brat lub ciotka. Odbierają cudze uczucia tak silnie, że mniej cierpią, kiedy się im poddają. Widziałam ten dar u Jamiego już w dzieciństwie. On wiedział, kiedy jego przyjaciele się czymś denerwowali, i wtedy sam się denerwował, nawet jeśli nie znał przyczyny. - Zanurzyła rękę w mydliny i wyciągnęła korek. - Pewnego razu pies chłopca, którego Jamie prawie nie znał, został przejechany przez samochód. Tej nocy Jamie płakał - nie miał więcej niż osiem czy dziewięć lat. Powiedział mi o tym. A ja odpowiedziałam: przecież nawet nie znałeś tego psa, a chłopca ledwie kojarzyłeś. Ale on płakał dalej. Wtedy pomyślałam: o Boże, zlituj się nad nim. Znowu to samo, co z moim bratem i ciocią Ginny. Wychowywanie takiego dziecka jest straszne. Większość dzieci - jak choćby Marcusa - trzeba uczyć, żeby zwracały uwagę na uczucia innych. - Wyjęła z szuflady kolejną ścierkę i wytarła w nią ręce. - W przypadku Jamiego było dokładnie odwrotnie. Musiałam go uczyć, żeby myślał o sobie.

Zagryzłam wargę, odstawiając suchą formę.

- Czy... czy pani mnie przed czymś ostrzega? Panna Emma spojrzała na mnie zaskoczona.

- Hmm... Może? On cię lubi. To widać. Miła z ciebie dziewczyna. Stoisz mocno na ziemi. Masz głowę na karku. Jamie spotkał parę dziewczyn, które wykorzystywały jego dobroć. Chyba proszę cię, żebyś tego nie robiła. Nie rań go.

Pokręciłam głową.

- Nigdy - powiedziałam, myśląc, jak dobrze się czułam, kiedy Jamie otaczał mnie ramionami. - Nie mogłabym.

Myślałam, że tak dobrze się znam.

6.

- Chyba mamy usiąść tam. - Maggie wskazała pierwszy rząd w zatłoczonej miejskiej świetlicy. Poprzedniego dnia zadzwoniła do nas sekretarka Trish Delphy z wiadomością, że burmistrz chce, żebyśmy uczestniczyły w nabożeństwie żałobnym. Byłam pewna, że to wyróżnienie spotkało nas z powodu Andy'ego, który teraz drapał się za kołnierzem niebieskiej koszuli. Musiałam kupić mu na tę okazję nowy garnitur. Tak rzadko w nim występował, że nawet nie zauważyłam, kiedy wyrósł ze starego. Pozwoliłam mu wybrać krawat - jaskrawy, w czerwone i niebieskie esy-floresy - ale zapomniałam o koszuli, i ta, którą włożył, była za ciasna.

- Idź pierwsza, kochanie - powiedziałam do Maggie, która ruszyła wąskim korytarzem między krzesłami. Wszędzie rozlegał się szmer ludzkich głosów. Wszystkie miejsca były zajęte, choć do rozpoczęcia nabożeństwa zostało piętnaście minut. Na parkingu po drugiej stronie ulicy stały szkolne autobusy; zauważyłam w sali wielu nastolatków. W zabawie wzięły udział dzieci z trzech miast na wyspie, a także z kilku na stałym lądzie, przekraczając podziały geograficzne i ekonomiczne. Gdybym wiedziała, że to takie popularne wydarzenie, nigdy bym na nie nie puściła Andy'ego. Ale z drugiej strony, gdyby go tam nie było, zginęłoby więcej osób. Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić.

69

Usiadłam między moimi dziećmi. Obok siedzieli Joe i Robin Carmichaelowie, rodzice Emily, a przed nami stała mównica, otoczona dwoma tuzinami flakonów z żonkilami. Na stojaku po lewej stronie wyeksponowano trzy duże zdjęcia, na które nie chciałam patrzeć. Po prawej stronie, pod kątem prostym do nas, umieszczono dwadzieścia pięć krzeseł. Rozpięta na nich papierowa taśma nosiła napis: „Rezerwacja dla straży pożarnej miasta Surf City”.

Andy siedział obok Robin, która go objęła.

- Ach, ty piękny chłopcze - powiedziała, tuląc go o jakieś trzy sekundy za długo jak na jego wytrzymałość. Szarpnął się, a ona puściła go, cicho się śmiejąc. Potem spojrzała na mnie. - Miło cię widzieć.

Wychyliła się, żeby pomachać Maggie.

- Jak się miewa Emily? - spytałam cicho. Joe odwrócił się w moją stronę.

- Niezbyt dobrze.

- Trochę się cofnęła - dodała Robin. - Ma koszmary. Nie pozwala się dotykać. Z trudem ją nakłaniam, żeby pozwoliła mi się czesać. Znowu boi się szkoły.

- Włożyła bluzkę na lewą stronę - dodał Andy za głośno.

- Cśśś - uciszyłam go.

- Masz rację - powiedziała Robin. - Zaczęła się cofać już przed pożarem, ale teraz zrobiło się bardzo kiepsko. - Podniosła na mnie oczy. - Będziemy musieli ją znowu zabrać do tego psychologa.

- Bardzo mi przykro - powiedziałam. Emily doznała uszkodzenia mózgu podczas porodu. Wiedziałam, jak wielką pracę wykonali z nią rodzice. Ciężko mieć dziecko, które nie znosi dotyku! Wiele dzieci z FASD także tego nie lubi, ale mnie się poszczęściło, Andy uwielbiał się przytulać. Musiałam go hamować, kiedy spotykał ludzi spoza rodziny, zwłaszcza teraz, gdy stał się nastolatkiem.

Robin obejrzała się na salę.

- Tyle osób ucierpiało w tym... koszmarze.

70

Ja się nie odwróciłam. Patrzyłam na strażaków z Surf City, który właśnie zasiadali na zarezerwowanych dla nich krzesłach. Mężczyźni - i trzy kobiety - w niebieskich mundurach i białych rękawiczkach prezentowali się nadzwyczaj poważnie. Na ich widok tłum zamilkł. Marcus zerknął na nas; szybko spuściłam wzrok na różowy, ozdobny program, który wręczono nam przy wejściu.

Niektórzy chcieli, żeby odłożyć uroczystość o parę tygodni, do czasu otwarcia centrum społecznego. Ale w obecnej ponurej atmosferze nie można było czekać tak długo. Przez tydzień, który upłynął od pożaru, mówiono tylko o nim. Psycholog w szkole podstawowej, w której pracowałam, była tak obłąkana przez dzieci cierpiące na koszmary o pożarze lub uwięzieniu, że mniej poważne przypadki - tych, których lęki manifestowały się jako ból brzucha lub głowy - przekazywała mnie. Ludzie chodzili nie tylko smutni, ale i wściekli. Wszyscy wiedzieli, że ktoś podłożył ogień, choć nikt tego oficjalnie nie potwierdził - w każdym razie nie publicznie.

Maggie nie odezwała się ani słowem, odkąd weszliśmy do budynku. Zerknęłam na nią. Wpatrywała się w strażaków. Ciekawe, o czym myślała. Nie wiem, jak dobrze zapamiętała swojego ojca. Na jej biurku, obok zdjęcia Andy'ego w dniu dwunastych urodzin, stało zdjęcie Jamiego w galowym mundurze. A obok nich inna fotografia, zrobiona parę lat temu na imprezie - ona, Amber Donnelly i parę innych dziewczyn.

Mojego zdjęcia nie było. Uświadomiłam to sobie dopiero wczoraj.

Andy zaczął kołysać nogą. Czułam drgania całego krzesła. Kiedyś kładłam mu rękę na kolanie, żeby przestał, ale już zarzuciłam ten zwyczaj. Nauczyłam się, że jeśli zablokuję mu ten wypływ energii w jednym miejscu, znajdzie sobie ujście w innym. Kołysanie nogą jest lepsze niż klepanie się po udach albo strzelanie palcami. Czasami wyobrażałam sobie, że w moim synu kryje się ściśle zwinięta sprężyna,

71

gotowa wyprysnąć z niego przy najmniejszej prowokacji. Prawdopodobnie tak właśnie się stało, kiedy Keith obraził go w kościele. Andy rzadko reagował agresją, ale mogło się tak zdarzyć, jeśli został obrażony.

- Hej, ja go znam! - odezwał się nagle.

- Cśśś... - szepnęłam mu do ucha. Myślałam, że chodzi mu o Marcusa albo Bena Trippetta, ale on wskazywał trzecią fotografię na stojaku. Przedstawiała Charliego Eggesa, od dawna pracującego jako agent nieruchomości na Topsail Beach. Charlie nie miał własnych dzieci, ale zgłosił się jako wolontariusz do pomocy przy miejskich imprezach. Jego śmierć mnie zasmuciła. Spojrzałam na jego uroczy uśmiech i siwe włosy, jak zwykle ściągnięte w kucyk.

- To pan Egges - szepnęłam do Andy'ego.

- Trzymał mnie, żebym nie mógł znowu uderzyć Keitha. - Na czole Andy'ego pojawiła się zmarszczka. Prawda powoli do niego dotarła. - To on nie żyje?

- Niestety.

Czekałam, co powie, ale zamilkł.

- O czym myślisz, skarbie? - spytałam cicho.

- Dlaczego nie poszedł za mną? Objęłam go.

- Może cię nie usłyszał albo pomagał jakimś innym dzieciom. Nigdy się tego nie dowiemy. Zrobieś wszystko, co...

Resztę moich słów zagłuszyły poważne dźwięki fortepianu. Trish Delphy i wielbny Bill razem przeszli korytarzem między krzesłami. Wielbny Bill stanął za mównicą, burmistrz zajęła ostatnie wolne miejsce w naszym rządzie. Wielbny Bill był tak wysoki, chudy i miał tak długą szyję, że przypominał czaplę. Sara twierdziła, że każdego popołudnia przychodził do Jabeen's Java na podwójną dużą mrożoną kawę karmelową z piankami i dodatkową bitą śmietaną, a jednak nie miał nawet grama tłuszczu. Wyglądał jak poskładany z patyków.

72

Teraz wyciągnął długą szyję do mikrofonu.

- Módlmy się - powiedział

Pochyliłam głowę i usiłowałam się skupić na jego słowach, ale ciągle czułam ciepłe ciało Maggie po swojej lewej, a Andy'ego po prawej stronie. Słyszałam ich oddechy i znowu w oczach stanęły mi łzy. Miałam wiele szczęścia.

Gdy znowu podniosłam głowę, wielbny Bill mówił o dwojgu nastolatków i jednym dorosłym, którzy zginęli w pożarze. Zmusiłam się, żeby spojrzeć na powiększone zdjęcia na lewo od mównicy. Nie znałam tych młodych, pochodzili ze Sneads Ferry. Dziewczyna, Jordy Matthews, była uśmiechniętą, piegowatą blondyneczką o oczach równie błękitnych jak koszule strażaków. Chłopiec, Henderson

Wright, chyba trzynastoletni, patrzył ze zdjęcia naburmuszony i chyba przestraszony. W prawej brwi miał mały złoty kolczyk, a włosy nosił tak krótkie, że nie sposób było odgadnąć ich koloru.

- ...a Henderson Wright od trzech lat mieszkał w zielonej przyczepie - mówił wielebny Bill. - W naszej społeczności są ludzie, którzy nie z własnej winy muszą żyć w takich warunkach. - Gdzieś po prawej stronie rozległ się cichy płacz. Nagle dotarło do mnie, że w pierwszym rządzie najprawdopodobniej siedzą rodziny zmarłych. Wielebny Bill chyba nie musiał wspominać o ubóstwie chłopca. Niedługo rodziny ze Sneads Ferry utrzymywały się z połowu krewetek, ale odkąd zaczęto je importować, wszystko się zmieniło. W naszej zamożnej okolicy żyło wielu biedaków.

Pomyślałam o Sarze. Odkąd się dowiedziałam, że Keith nazwał Andy'ego bogaczem, najwyraźniej z pogardą, nie mogłam przestać tego roztrząsać. Andy i Keith znali się właściwie od pieluch, a różnice w naszej sytuacji finansowej nigdy nie stanowiły problemu, przynajmniej według mnie. Teraz zaczęłam się zastanawiać, czy Sara nie odnosi się do mnie z ukrytą wrogością. Boże, miałam nadzieję,

73

że nie. Kochałam ją jak siostrę. Nie miałyśmy przed sobą tajemnic. Obie od dziesięciu lat samotnie wychowywałyśmy dzieci, ale Jamie zostawił mnie w więcej niż przyzwoitych warunkach. Mieliśmy ładny, dziesięcioletni domek z czterema sypialniami, a Sara i Keith mieszkali w starej przyczepie, wciśniętej między dziesiątki innych.

Policzki mi zapłonęły. Jak mogłam myśleć, że dla Sary to nie ma znaczenia? Co mówiła o mnie Keithowi? Czy ta rosnąca niechęć w końcu wyładowała się na Andym?

Od czasu pożaru Sara przebywała przy synu w centrum leczenia oparzeń przy Uniwersytecie Karoliny Północnej, więc nie miałyśmy okazji pogadać. Przez telefon rozmawiałyśmy o zdrowiu Keitha; nadal walczył o życie. Choć najpoważniejsze oparzenia miał na ramionach i policzku, jego płuca także zostały uszkodzone. Utrzymywano go w farmakologicznej śpiączce, ponieważ ból był zbyt dotkliwy.

Żadna z nas nie wspominała o kłótni naszych synów. Może Sara nawet o niej nie wiedziała. Myślała tylko o jednym: żeby Keith wyzdrowiał. zaproponowałam, że pomogę jej zapłacić za wszystkie zabiegi, których nie obejmuje wojskowe ubezpieczenie ojca Keitha, ale odmówiła. Czy mi się wydawało, czy w jej głosie zabrzmiał chłód? Czy ją obraziłam? Może po prostu nie mogła znieść świadomości, że Andy'emu nic się nie stało, a jej synowi groziła śmierć.

Wszyscy nagle wstali. Nawet Andy. Byłam tak pogrążona w myślach, że nie zauważyłam, iż pora zaśpiewać hymn, wydrukowany na odwrocie programu. Także wstałam, ale nawet nie próbowałam śpiewać. Andy i Maggie też milczeli. Zastanawiałam się, co zaprzęta ich myśli.

Dawno temu Sara pomogła mi odmienić moje życie. Kiedy wydostałam Andy'ego z rodziny zastępczej, miał roczek, a ja nie potrafiłam się opiekować takim małym dziwnym stworzonkiem. Dla rocznej Maggie to Jamie był

74

matką i ojcem. Pomogła mi Sara, która w moich oczach stała się boginią. Keith był prawie rok starszy od Andy'ego. Wydawał mi się cudowny. Nasi chłopcy się zaprzyjaźnili. Ich przyjaźń trwała, dopóki Andy nie skończył dziewięciu lat. Wtedy Keith zaczął się przejmować zdaniem innych dzieci i mój

dziwny syn stał się dla niego ciężarem. Andy nigdy nie zrozumiał tego nagłego odtrącenia. Dla niego wszyscy byli przyjaciółmi, od woźnego w szkole po obcego człowieka, który uśmiechnął się do niego na plaży. Ale od paru lat cieszyłam się, że Keith nie ma już kontaktu z Andym. Raz aresztowano go za pijaństwo, parę razy za wagarowanie, a w lecie za posiadanie uncji marihuany. Andy nie potrzebował takiego towarzystwa. Tak bardzo chciał być lubiany, że martwiłam się, do czego może się posunąć, by to osiągnąć.

Znowu usiedliśmy. Zrobiło mi się wstyd, że nie potrafię się skupić na nabożeństwie. Wielebny Bill oznajmił, że nowy kościół powstanie z popiołów starego. Powiódł wzrokiem po sali, obejmując wszystkich czułym spojrzeniem - ale mnie i moje dzieci ominął. Dosłownie. Jego oczy skierowały się na mężczyznę obok Maggie, a potem na Car-michaelów obok Andy'ego. Byliśmy w tym zgromadzeniu poganami, a wielebny Bill od dawna żywił do mnie urazę. Mogłabym przysiąc, że Marcusa też ignorował. A jednak mu współczułam. Jego kongregacja zamierzała wznieść nowy kościół, ale ten stracił. Wiedziałam, że niektóre rodziny zastanawiają się, czy go nie pozwać o zaniedbanie. Inni zastanawiali się, czy wielebny sam nie podłożył ognia, żeby dostać pieniądze z ubezpieczenia. Nie przepadałam za nim, ale takie pomówienia przekraczały wszelkie granice.

Spojrzałam na Marcusa. Twarz mu się ściągnęła; po raz pierwszy dostrzegłam na niej oznaki starości. Starości? Przecież był młody. Trzydzieści osiem lat. O trzy lata mniej ode mnie. Po raz pierwszy dostrzegłam, jak będzie wyglądać w podeszłym wieku. Czegoś takiego nie było mi dane

75

dostrzec u Jamiego, który umarł jako trzydziestosześcioletek.

Wielebny Bill ustąpił miejsca Trish Delphy, która oblizała wargi, przygotowując się do przemowy.

- Ta straszna tragedia na zawsze zmieni naszą społeczność - zaczęła. - Opłakujemy zmarłych i modlimy się za tych, którzy walczą o życie. Ale proszę, byście się rozejrzeli i dostrzegli, że jest w nas siła i odporność. Choć nigdy nie zapomnimy tego, co w sobotę stało się w Surf City, razem będziemy iść naprzód. A teraz - dodała - Dawn Reynolds chciałaby coś ogłosić.

Dziewczyna Bena Trippetta z zażenowaniem stanęła za mównicą.

- Eee... Chciałabym powiedzieć, że organizuję zbiórkę pieniędzy na pomoc ofiarom pożaru. - Kartka w jej dłoni drżała. Z podziwem patrzyłam na Dawn, która znalazła odwagę, by pomimo tremy stanąć przed widownią. - Szpital jak zwykle ufunduje leki, ale zostało jeszcze wiele do zrobienia. Wiele rodzin nie miało ubezpieczenia. Współpracuję z Barrym Gebhartem, który - jak wszyscy wiecie - jest księgowym w Hapstead. Stworzyliśmy fundację dla rodzin z Drury Memoriał. Mam nadzieję, że dziś wspomócie nas datkami, które możecie też zostawiać w Jabeen's Java na mojej zmianie. Zastanawiamy się nad organizacją imprez charytatywnych i czekamy na wasze sugestie... eee... w tej sprawie. - Spojrzała na kartkę. - Gwarantujemy, że pieniądze trafią do rodzin, które potrzebują ich najbardziej.

Znowu usiadła na końcu rzędu. Ben, nadal obandażowany, uśmiechnął się do niej.

Trish znowu stanęła za mównicą.

- Dziękuję, Dawn. Nasza społeczność jest hojna i życzliwa. Wiem, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby złagodzić cierpienia poszkodowanych rodzin. A teraz chciałabym wymienić strażaków i pracowników pogotowia, którzy tak wspaniale się spisali w tych strasznych

okolicznościach. Dziękujemy nie tylko strażakom z Surf City, ale także z Topsail Beach, North Topsail Beach i ochotniczemu oddziałowi z Surf City.

W sali rozległy się oklaski, a kiedy ucichły, Trish spojrzała na nas.

- Proszę także o powstanie Andy'ego Lokcwooda. Andy drgnął.

- Śmiało, skarbie - szepnęłam. - Wstań. Podniósł się niezdarnie.

Zanim burmistrz zdołała coś powiedzieć, znowu buchnęły oklaski, a ludzie zaczęli wstawać.

- Klaszczą dla mnie? - spytał Andy.

- Tak. - Zagryzłam wargę, żeby powstrzymać łzy.

- Dlaczego wstali?

- Żeby wyrazić szacunek i wdzięczność.

- Bo jestem bohaterem? Skinęłam głową.

Uśmiechnął się i pomachał zebranym. Ktoś się cicho roześmiał.

- Mogę już usiąść? - spytał Andy w końcu. - Tak.

Zajął miejsce, zaróżowiony. Oklaski trwały jeszcze co najmniej minutę.

- Jak wie większość z was - odezwała się Trish - Andy nie tylko znalazł bezpieczne wyjście z kościoła, ale narażając życie, wrócił do niego i wyprowadził wiele dzieci. Ponieśliśmy straszną stratę, ale byłaby jeszcze większa, gdyby nie przytomność umysłu i spokój Andy'ego w obliczu niebezpieczeństwa.

Andy wyprostował się trochę bardziej i wypiął pierś. Czułam, jak bardzo go dziwi, że nagle stał się ulubieńcem całej Topsail Island.

76

7

Mama ułożyła witaminy w rzędku na swoim talerzu. Bierze witaminy na śniadanie i kolację. Maggie i ja tylko na śniadanie. Maggie podała mi miskę szpinaku. Głupia. Wie, że nie lubię. Chciałem go oddać mamie.

- Zjedz trochę - mówi mama. - Musisz się dobrze odżywiać, dopóki ręka ci nie wydobrzeje.

- Mam mnóstwo odżywienia. - Podniosłem talerz, żeby jej pokazać kawałek kurczaka i pokrojony słodki ziemniak.

- Dobrze. Nie brudź. - Oparła palce na moim talerzu i postawiła go znowu na stole.

Zjadłem kawałek słodkiego ziemniaka. Uwielbiam. Czasami mama robi zapiekanekę ze słodkich ziemniaków, ale nigdy jej nie je. Nie je deserów, bo nie chce być chora. Mówi, że od nadmiaru słodyczy się choruje. Maggie i ja możemy zjeść deser, bo jeszcze nie jesteśmy dorośli.

- Andy - powiedziała mama, kiedy już połknęła wszystkie witaminy. - Twoja ręka wygląda bardzo dobrze, ale może nie pójdziesz jutro na pływanie?

- Dlaczego? - Muszę pływać. - Przecież nie boli.

- Musimy się upewnić, że się zupełnie zagoiła.

- Zupełnie się zagoiła.

- Ale wiele przeżyłeś. Może lepiej odpocznij.

78

-Nie potrzebuję! - Mój głos zabrzmiał za głośno, jak na dom. Nie mogłem inaczej. Mama nacisnęła mój guzik.

- Jeśli z ręką lepiej, to możesz.

-Już całkiem dobrze! - Chciałem jej pokazać rękę, ale wyciągnąłem ją za gwałtownie i trafiłem w szklankę z mlekiem. Przeleciała przez cały stół i rozbiła się na podłodze na milion kawałków. Mleko było wszędzie. Nawet w szpinaku.

Mama i Maggie patrzyły na mnie z otwartymi ustami. W ustach Maggie widziałem kawałek przeżutego kurczaka. Wiedziałem, że zrobiłem coś niewłaściwego. Moja ręka zrobiła.

- Przepraszam! - Wstałem bardzo szybko. - Posprzątam!

Maggie chwyciła mnie za rękę.

- Usiądź, Pandusiu. Ja to zrobię. Ty byś się skaleczył.

- Ja posprzątam. - Mama już stała przy kuchennym blacie, rozwijając papierowy ręcznik.

- Przepraszam - powtórzyłem. - Moja ręka jest szybsza, niż myślałem.

- To niechcący - powiedziała mama.

Maggie pomogła jej pozbierać szkło. Mama przykryła ręcznikami mleko na podłodze.

- Moja ręka to zrobiła, bo taka jest silna i zagojona - dodałem.

Pochylona mama ścierała mleko. Czasami, kiedy mówię, ma taką minę, jakby się chciała roześmiać, ale się nie śmieje. To był jeden z tych razów.

Położyłem serwetkę na szpinaku, żeby zetrzeć mleko.

- Andy - odezwała się Maggie, biorąc pięć albo sześć papierowych serwetek. - Wiem, że jesteś zdenerwowany, bo miałeś nie iść na trening, ale musisz pomyśleć, zanim zareagujesz. - Mówiła całkiem jak mama.

- Ale ja myślę - powiedziałem. Trochę jakby skłamałem. Próbuję pomyśleć, ale czasem zapominam.

79

Mama wstała.

- Rano znowu sprawdzimy twoją rękę. - Wyrzuciła mokre ręczniki. - Jeśli nadal będzie dobrze wyglądać, a ty będziesz miał ochotę pływać, to ci pozwolę.

- Mam ochotę - zapewniłem. Musiałem tam iść. Jestem tajną bronią, powiedział mi Ben. Magiczną kulą.

Basen to jedyne miejsce, gdzie mój guzik to coś dobrego.

Kompletnie nie mogłam się skupić, ustawiając moich dziesięciu małych Piratów na końcu krytego basenu. Aidan Barber podrygiwał, jakby chciał siusiu. Miałam nadzieję, że to nie to.

- Przestań skakać! - zawołałam do niego. - I znajdź swoje miejsce.

Posłuchał, ale wtedy Lucy Posner usiadła na skraju basenu i zaczęła dłubać między palcami stóp.

- Lucy! Wstań! Za chwilę gwizdek.

Lucy spojrzała na mnie z zaskoczeniem i poderwała się na nogi. Na ogół uwielbiałam te dzieciaki. Dobrze mi z nimi szło. Niewiarygodnie cierpliwa - tak mówili o mnie rodzice. Masz o wiele więcej cierpliwości niż ja, mawiali. Teraz obserwowałam wszystko jak dziwny sen. Nie miałam ani trochę cierpliwości. Chciałam, żeby to się już skończyło.

Mówiono o odwołaniu zajęć, bo od pożaru minął tylko tydzień. Czułam się tak, jakby od chwili, gdy mama zadzwoniła z wiadomością o pożarze kościoła, minęły minuty, nie dni. Nadal byłam w szoku. Nie mogłam spać. Ciągle widziałam ogień, dym buchający z kościoła i bałam się snów, które mogą do mnie przyjść, kiedy zamknę oczy.

81

Ponieważ trenowałam drużynę dzieci, mogłam się wypowiedzieć co do tego, czy dziś powinny się odbyć zawody naszych Piratów z zespołem z Jacksonville, Portowcami. Głosowałam za ich odwołaniem. Powiedziałam Benowi, który trenował drużynę Andy'ego, że to by było skrajnie nietaktowne, ale tak naprawdę chodziło mi o to, że nie mogłam się skupić. Ben też nie miał ochoty na to spotkanie. Nadal chodził z obandażowaną głową i brał leki przeciwbólne.

Ale jedna z dziewcząt, które leżały w centrum leczenia oparzeń, należała do drużyny Bena i jej rodzice życzyli sobie, żeby zawody się odbyły. Dzieci tego potrzebują, powiedziała jej matka. Pragną normalności. Ben dał się przekonać, a mnie pozostało się dostosować.

Rozległ się gwizdek i moje dzieciaki ruszyły, gwałtownie młócąc wodę. Na ogół na ten widok widownia parskła śmiechem, ale dziś albo było mniej śmiechów, albo nie słyszałam ich przez mgłę w mojej głowie. Dopingowałam dzieci, nie wiedząc, co właściwie wołam.

Jakoś przetrwałam te zawody - Piraci przegrywali każde spotkanie, i to pewnie przeze mnie, ale im to nie przeszkadzało. Na koniec przytuliłam wszystkie zimne, mokre ciała i powiedziałam, że wspaniale się spisali. Bardzo się cieszyłam, że mam to już za sobą. Włożyłam szorty na kostium kąpielowy i poszłam na widownię. Na końcu basenu minął mnie Ben ze swoją drużyną.

- Są coraz lepsi - rzucił. Omal się nie roześmiałam.

- Jasne.

Wspięłam się na ławki i usiadłam obok matki.

- Dobrze ci idzie z tymi dziećmi - powiedziała jak zwykle. - Uwielbiam na ciebie patrzeć.

- Dzięki.

Odnalazłam wzrokiem Andy'ego na końcu basenu. Rzucił się w oczy. Choć znajdował się wśród rówieśników, był od nich mniejszy. Trajkotał coś do kolegów, którzy

najprawdopodobniej go ignorowali. Ben położył mu rękę na ramieniu i zaprowadził na skraj basenu, na tor piąty.

Oparzenie Andy'ego prawie się zagoiło. Spojrzałam na niego, stojącego wśród kolegów. Byłoby mi go żal, gdybym nie wiedziała, na co go stać. Jego szczupłość zawsze zводziła przeciwników. Ważył czterdzieści pięć kilo, same mięśnie. Miał astmę, ale jeśli przed zawodami korzystał z inhalatora, nikt by niczego nie poznał. Przyglądałam mu się, napiętemu jak sprężyna. Ben nazywał go tajną bronią swojej drużyny. Uśmiechnęłam się, widząc, jak się pochyla, czekając na gwizdek. Mama znieruchomiała. Chyba obie wstrzymywałyśmy oddech.

Gwizdek trwał może półtorej sekundy, ale Andy zawsze reagował na niego w pierwszej nanosekundzie. Tym razem lakże. Wyprysnął w powietrze jak wystrzelony. W wodzie zaczął młócić rękami i nogami niczym maszyna. Kiedyś myślałam, że ma słuch wrażliwszy niż inne dzieci, że słyszy gwizdek przed nimi. Potem mama powiedziała mi o odruchu Moro. Mają go niemowlęta, ale z niego wyrastają, a dzieci z alkoholowym zespołem płodowym czasem zachowują go przez kilkanaście lat życia. Andy nadal go miał. Jeśli w domu niespodziewanie wchodziłam z kuchni do salonu, skakał pół metra w górę. Ale na basenie ten odruch Moro się przydawał. Tajna broń Bena.

Mama śmiała się, obserwując zawody. Opierała brodę na rękę. Nie wiem, jak mogła się zdobyć na śmiech po pożarze. Ja nie wiedziałam, czy kiedykolwiek będę do tego zdolna.

- Cześć, Mags. - Wujek Marcus niespodziewanie stanął obok nas. Wcisnął się na krzesło między mną i ojcem jakiegoś dzieciaka z drużyny Bena.

- Cześć. - Przesunęłam się do mamy, żeby zrobić mu miejsce. - Nie wiedziałam, że przyjdiesz.

- Właśnie dotarłem. Przepraszam, że nie widziałem twojej drużyny. Jak im poszło?

82

83

- Jak zwykle.

- Andy'emu też idzie jak zwykle. - Wujek Marcus spojrzał na basen, w którym mój brat wyprzedzał wszystkich o parę długości. - Cześć, Laurel - Wyjrzał zza mnie, żeby złapać kontakt wzrokowy z mamą.

- Cześć, Marcus. - Mama nie oderwała spojrzenia od Andy'ego. Wyglądało to jak zwykła matczyna troska, ale czułam, że za tym się kryje coś jeszcze. Mama zawsze dziwnie się zachowywała w obecności wujka Marcusa. Rzucała mu krótkie odpowiedzi, jakby miała dość rozmów z nim i chciała go zniechęcić. Raz spytałam ją o to, a ona wszystkiego się wyparła. Twierdziła, że traktuje go dokładnie tak, jak wszystkich, ale gdzie tam. Doszłam do wniosku, że to może mieć coś wspólnego z tym, że wujek Marcus przeżył, a tata nie.

Wujek Marcus zawsze uprzejmie udawał, że nie zauważa jej niegrzeczności. Parę lat temu zaczęłam się zastanawiać, czy nie fajnie by było, gdyby mama i wujek się zeszli, ale mama chyba straciła zainteresowanie randkami w ogóle, nie wspominając już o randkach ze szwagrem. Czasami szła z Sarą na film albo kolację, ale na tym kończyło się jej życie towarzyskie. Myślałam, że wspomnienie o ojcu jest tak doskonałe, że mama nie potrafi sobie wyobrazić życia z innym mężczyzną.

Im starsza byłam, tym częściej myślałam, że powinna mieć z życia coś więcej niż praca pielęgniarki w szkole, codzienny jogging i Andy, robota na pełny etat. Raz jej to powiedziałam, a ona od razu obróciła to przeciwko mnie.

- Łatwo ci mówić. A dlaczego ty nie chodzisz na randki? Powiedziałam, że chcę się skupić na nauce i treningach,

że na studiach będę miała na to mnóstwo czasu. Więcej jej o to nie pytałam. Im mniej słów, tym lepiej. Gdyby mama wiedziała, jak pogorszyły się moje stopnie, zrozumiałaby, że wcale się nie uczę. Czasem dobrze jest mieć matkę, która zajmuje się tylko jednym z dzieci.

Została już tylko jedna długość basenu. Wstałam wraz z innymi na widowni. W pierwszym rzędzie zauważyłam Dawn Reynolds. Nie miała dzieci w drużynie, przyszła popatrzeć na Bena. Poszłam za jej spojrzeniem. Ben nosił żółte bermudy w pomarańczowe palmy. Był nagi do pasa, jego pierś ocieniał ciemny zarost. By wysoki i trochę za tęgi, ale pod opaloną skórą jego rąk i nóg wyraźnie rysowały się mięśnie.

- Do przodu, Piraci! - wrzasnęła Dawn, osłaniając usta ręką, ale nawet nie patrzyła na pływaków. To było tak oczywiste, że wstydziłam się, patrząc na nią. Czułam się, jakbym podglądała ją w bardzo prywatnym momencie, na przykład przy wkładaniu tamponu. Wyobraziłam sobie, że schodzę do niej i siadam obok. Mogłabym spytać, jak idzie zbieranie pieniędzy. Albo czy się na coś przydam. Strasznie tego chciałam. Mama dała trzy tysiące, a ja pięćset, z oszczędności na studia, choć powiedziałam mamie, że wpłaciłam tylko sto. Andy dał trzydzieści ze swojego konta w banku. To wszystko za mało. Musiałam zrobić coś więcej. Patrzyłam, jak Dawn dopinguje zawodników, i wyobrażałam sobie rozmowę, której nigdy z nią nie odbędę.

Zawody prawie się skończyły. Andy prowadził. Kto by się spodziewał.

- Gazu, Andy! - ryknęłam. Mama uniosła pięści, czekając na zwycięstwo, wujek Marcus przeraźliwie gwizdnał.

Andy dotknął krawędzi basenu i ludzie zaczęli klaskać, jak dwa dni temu w miejskiej świetlicy, ale on zawrócił i popłynął dalej w tym samym obłądnym tempie. Mama parsknęła śmiechem, ja jęknęłam. Andy nigdy nie rozumiał, że ma skończyć zawody. Kiedy znowu zbliżył się do krawędzi basenu, len pochylił się, chwycił go pod pachy i wyciągnął z wody. Widziałam, jak mówi: „Wygrałeś!”, a potem coś, co z daleka wyglądało jak: „Możesz przestać pływać”.

Wszyscy znowu usiedliśmy. Andy spojrzał na nas z uśmiechem i ruszył do nas, machając ręką.

84

85

Marcus znowu się pochylił.

- Mam coś dla ciebie, Laurel.

Wtedy mama musiała się złamać i spojrzała na niego. -Co?

Marcus wyjął z kieszeni mały złożony wycinek z gazety i podał go mamie.

-Jeden z naszych był w Marylandzie i zobaczył to w „Washington Post”.

Zajrzałam mamie przez ramię. Nagłówek głosił: Niepełnosprawny chłopiec ratuje przyjaciół.

Mama potrząsnęła głową ze śmiechem.

- Co, nie mają własnych sensacji? - Spojrzała na wujka

- Mogę to zatrzymać?

- To dla ciebie.

- Dzięki.

Wujek odetchnął głęboko, rozprostowując ręce nad głową. Potem powąchał moje ramię.

- Pachniesz chlorem tak, jak inne kobiety perfumami

- zażartował.

Nie on pierwszy mi to mówił. Spodobało mi się, że powiedział „kobiety”, nie „dziewczynki”.

Basen był moim domem, odkąd go wybudowano. Miałam wtedy jedenaście lat. Przedtem pływałam tylko w lecie, w zatoce albo w morzu.

Tata nauczył pływać Andy'ego i mnie.

- Dzieci, które mieszkają nad wodą, powinny to umieć

- mówił.

Najpierw oczywiście nauczył mnie. Andy wtedy z nami nie mieszkał. Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień to pogodny dzień nad morzem. Nic wyjątkowego. Nic szczególnego. Taplaliśmy się w wodzie. Tata trzymał mnie na kolanach, rzucał w powietrze, kręcił się ze mną, aż krztusiłam się ze śmiechu. Pełnia szczęścia.

Kiedy trochę podrośłam, Andy dołączył do nas w wyprawach nad wodę i reagował tak samo jak ja. Tata powiedział,

86

że Andy pewnie nie zdoła się nauczyć pływać tak dobrze jak ja, ale tu czekała go niespodzianka.

Nawet nie pamiętam, czy kiedykolwiek bawiłam się w wodzie z mamą. W moich najwcześniejszych wspomnieniach jest jak cień. Kiedy przywoływałam obrazy z dzieciństwa, mama zawsze zatrzymuje się na ich skraju, tak ulotna, że nie jestem pewna, czy w ogóle istnieje. Chyba nigdy nie brała mnie na ręce. Zapamiętałam tylko objęcia taty.

- Jak Ben? - spytał wujek Marcus.

- Lepiej - powiedziałam - choć nadal bierze proszki.

- Wiesz, kogo mi przypomina?

- Kogo?

- Twojego ojca. - Powiedział to cicho, jakby nie chciał, żeby mama usłyszała.

- Naprawdę? - Usiłowałam sobie wyobrazić tatę i Bena obok siebie.

- Właściwie nie wiem dlaczego. - Wujek zapatrzył się na Bena, opierając łokcie o kolana. - Budowa... Może wzrost, Jamie mierzył tyle samo. Brązowe oczy. Takie same ciemne, faliste włosy. Twarz oczywiście inna. Ale... jest w nim taka krzepkość... Brakuje mu tylko tatuażu na ręce i... - Wzruszył ramionami.

Lubiłam, kiedy mówił o moim ojcu. Lubiłam, kiedy mówił o nim ktokolwiek - oprócz wielebnego Billa.

Miałam jakieś pięć czy sześć lat, kiedy spytałam tatę, co znaczy „empatia”. Siedzieliśmy ze spuszczoneymi nogami na tarasie Morskiego Strażnika i wypatrywaliśmy delfinów. Przesunęłam palcami po wytatuowanych literach.

- To znaczy, że czujesz to, co inni - wyjaśnił. - Pamiętasz, jak pocałowałaś mój palec, kiedy uderzyłem się młotkiem?

- Aha. - Tata naprawiał schody i krzyknął: „Cholera!”. Nigdy dotąd nie słyszałam tego słowa.

- Zrobiło ci się smutno, że mnie boli, tak? Skinęłam głową.

87

- To właśnie empatia. Wytatuowałam to sobie na ręce, żeby zawsze myśleć o cudzych uczuciach. - Przez długą chwilę wpatrywał się w morze i myślałam, że to już koniec naszej rozmowy, ale potem

dodał: - Jeśli masz wiele empatii, patrzenie na osobę, która cierpi, może cię boleć bardziej niż własne cierpienie.

Nawet jako pięcioletnie dziecko rozumiałam, o co mu chodzi. Tak właśnie się czułam, kiedy coś spotykało Andy'ego. Kiedy upadał, bo jeszcze nie stał pewnie na nóżkach, albo jak przytrzasnął sobie palce rozsuwanymi drzwiami. Płakałam tak bardzo, że mama nie wiedziała, które z nas zrobiło sobie krzywdę.

Kiedy usłyszałam, że Andy mógł utknąć w płonącym kościele - że mogło w nim zostać którekolwiek dziecko - czułam taką samą panikę, jak one.

- Martwiłem się o niego - powiedział wujek Marcus. Zmusiłam swój zamglony umysł do wysiłku.

- O kogo? Tatę czy Bena?

- Bena. Początkowo miał problemy w oddziale i sądziłem, że nie wytrzyma. Klaustrofobia. Taki duży facet... można by pomyśleć, że niczego się nie boi. Ale po tym pożarze w Drury... - pokręcił głową - zrozumiałem, że myliłem się co do niego. Sprawdził się. Musiał się tylko znaleźć w pożarze.

Wtedy właśnie zrozumiałam, że to nie mgła zasnuwa mój umysł, tylko dym.

Był to wspaniały dzień na rozrywki wodne i właściciele łodzi to zauważyli. Przystanąłem na schodkach domu Laurel, żeby popatrzeć na Stump Sound. Żaglówki, kajaki, pontony. Pozazdrościłem im. Miałem kajak i małą motorówkę. Tego pierwszego używałem do rekreacji, z tej drugiej łowiłem ryby. Przy tych rzadkich okazjach, kiedy umawiałem się na randkę, zabierałem dziewczynę motorówką na podziwianie zachodu słońca. Marzyłem, że kiedyś wezmę ze sobą Andy'ego. To się nigdy nie stanie, pomyślałem. Daj sobie spokój.

Zadzwoiłem do drzwi Laurel.

Niemal w każdą niedzielę, kiedy nie miałem dyżuru, robiłem coś z Andym. Graliśmy w piłkę. Jeździliśmy na tyżwach. Łowiliśmy ryby na nabrzeżu. Kiedyś towarzyszyła nam Maggie, ale kiedy osiągnęła wiek, w którym teraz był Andy, znalazła sobie lepsze zajęcia. Też miałem kiedyś piętnaście lat. Zresztą lubiłem spotykać się z Andym sam na sam. Potrzebował w swoim życiu mężczyzny. Zastępcy ojca.

Drzwi otworzyła moja piękna bratanica. Pocałowała mnie w policzek. Kiedyś chodziłem z pewną kobietą, która ostatecznie okazała się zbyt wyrafinowana jak na mój gust, ale dzięki niej nauczyłem się paru rzeczy. Pewnego razu

89

staliśmy w National Gallery w Waszyngtonie, w sali pełnej portretów kobiet. Prawie wszystkie miały gęste faliste włosy i wielkie oczy o ciężkich powiekach. Wyglądały jak utkane z powietrza. Można by taką podnieść jednym palcem.

- Te obrazy przypominają mi moją bratanicę - powiedziałem swojej dziewczynie.

- Naprawdę? - zdziwiła się. - Ma prerafaelicką urodę? Jak zwał, tak zwał, pomyślałem.

- Chciałabym ją poznać - dodała.

Zerwaliśmy, zanim zdążyła poznać Maggie, ale od tego czasu za każdym razem, kiedy widziałem moją bratanicę, na myśl przychodziło mi słowo „prerafaelicki”. Dałbym sobie obciąć rękę - obie ręce - żeby Jamie mógł zobaczyć, że jego córka przedzierzgnęła się w długowłosą piękność o ciężkich powiekach.

- Co dziś robisz? - spytałem.

- Uczę się z Amber. Mamy w tym tygodniu egzaminy. Usiadłem na schodach prowadzących na piętro.

- Już widzisz to słynne światełko w tunelu? Skinęła głową.

- Lepiej zarezerwuj sobie czas na moje rozdanie dyplomów.

- Nie wyobrażam sobie, że wyjedziesz.

- Tylko do Wilmingtonu.

- Nie chodzi o samą odległość, dziecino. Spojrzała w niebo.

- Jak mama poradzi sobie z Andym beze mnie? - spytała cicho.

- E tam. Ja nigdzie się nie wybieram. Wystarczy, że twoja mama powie słowo, a przyjdę.

- Wiem.

- Wybrałaś już główny przedmiot? Pokręciła głową.

- Ciągłe się waham między psychologią i zarządzaniem.

Nie mogłem sobie wyobrazić tej prerafaelickiej modelki w sztywnym kostiumie w prążki. Ale to jej wybór. Pozostało mi się przymknąć.

- Masz mnóstwo czasu na podjęcie decyzji. Maggie zarzuciła plecak na ramię.

- Wiedzą już, kto podłożył ogień? Wzruszyłem ramionami.

- Nadal czekają na wyniki z laboratorium.

- Ty tam dowodzisz, prawda?

- Po stronie lokalnej - tak. Ale ponieważ są ofiary śmiertelne... - Pokręciłem głową. - Sprawę przejęły Stanowe Biuro Dochodzeń i Biuro do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej i Materiałów Wybuchowych.

- A, no tak. Ten facet, który rozmawiał z Andym w szpitalu...

- Właśnie. - Wstałem. - Twój brat jest na gorze?

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Jak zobaczysz jego pokój...! Wygląda jak sklep papierniczy. Aha, i mama prosiła, żebyś nie wspominał, że miał napisać książkę. Ma nadzieję, że Andy o tym zapomni.

- Ciągłe o tym mówi?

- Od czasu do czasu. - Przypięta iPoda do paska dzinsów.

- Mama w domu?

- Poszła pobiegać. - Włożyła słuchawki w uszy. - Na razie! - rzuciła, otwierając drzwi.

Faktycznie, pokój wygląda jak sklep papirniczy, pomyślałem, wchodząc do sypialni Andy'ego. Na biurku, komodzie i parapetach stały pocztówki. Do ściany wyłożonej korkiem, której Andy używał jako tablicy ogłoszeniowej, były przypięte wykresy, które zrobiła Laurel, żeby pomóc mu się zorganizować. Sprawy do załatwienia przed pójściem do łóżka w dzień powszedni: 1. Umyć zęby. 2. Umyć twarz. 3. Włożyć odrobioną pracę domową do plecaka. 4. Wybrać

ubranie na następny dzień. I tak dalej. Laurel jest bardzo cierpliwa.

Andy siedział przy komputerze. Odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć.

- Skąd tu tyle pocztówek? - spytałem.

- To podziękowania. - Wstał i podał mi jedną. Przedstawiała komputerowo wydłużonego jamnika. W środku widniał drukowany napis: „Niekończące się podziękowania”. I ręczny dopisek: „Andy, nie znasz mnie, ale mieszkam w Rocky Mount i słyszałem, co zrobiłeś podczas pożaru. Wiedz, że chciałbym cię mieć przy sobie, kiedy będę potrzebować pomocy!”.

Podał mi parę innych.

- Niektóre są od ludzi, których znam - powiedział, gdy zacząłem je przeglądać. - A niektóre od ludzi, których nie znam. No i parę dziewczyn przysłało mi swoje zdjęcia. - Z uśmiechem podał mi fotografię, którą postawił obok komputera. - Popatrz na tę.

Popatrzyłem i mało mi oczy nie wyszły. O matko. Miała co najmniej dwadzieścia lat. Długie jasne włosy i grzywka do brwi. Naburmuszona mina i prawie żadnych ciuchów. Symboliczny top, który niemal niczego nie zasłaniał. Spojrzałem na Andy'ego i zauważyłem błysk w jego oczach. Ostatnio zaczął mnie przerażać. Kiedyś uważał dziewczyny za przyjaciółki, takie jak jego zezowata koleżanka Emily. Teraz zaczął się o nie bić. Kiedy to się stało? Głos też mu się zmieniał, co jakiś czas zaskakiwał mnie nagłym basowym brzmieniem. Czasami stojąc obok niego, wyczuwałem słaby zapach mężczyzny. Kupiłem mu dezodorant, ale powiedział, że Laurel mu już jeden dała. Na tym polegał problem. Gdyby Laurel ze mną o nim rozmawiała, nie dublowalibyśmy prezentów. Te zmiany pewnie ją także przerażały. Pokusy, których padał ofiarą, bo chciał się stać podobny do innych chłopaków. W jego wieku od dwóch lat uprawiałem seks i chlałem niemal codziennie. Nie byłem

upośledzony, a i tak zdołałem sobie spać życie. Czy Andy zdoła przetrwać swoje dorastanie?

- A może byśmy dziś popuszczali latawiec na plaży? - zaproponowałem.

- Super! - Andy nigdy mnie nie zawodził.

W drzwiach stanęła Laurel w szortach do biegania i podkoszulku z napisem „Ratujmy karety”*. Policzki miała zaróżowione. Oparła się o framugę, założyła ręce na piersi. W dłoni trzymała biały arkusik papieru.

- Co dziś zamierzacie? - spytała.

- Będziemy puszczać mojego latawca! - oznajmił Andy.

- Świetnie. Pójdź po niego, dobrze? Jest w garażu na warsztacie.

- Wezmę go, wychodząc.

- Nie, weź teraz, skarbie. Musimy go obejrzeć, czy się nie zepsuł. Dawno go nie puszczałeś.

- Dobrze. - Andy zszedł po schodach.

Laurel chciała ze mną porozmawiać na osobności. Coś niebywałego. Usiłowałem dostrzec, co się kryje za jej półuśmiechem.

- Nie uwierzysz, jakiego dziś dostałam mejla - zaczęła.

- Zaskocz mnie. - Niesamowite, chciała się ze mną czymś podzielić. Nieważne, czym. Patrzyła na kartkę, nie na mnie. Kiedy miała opuszczoną głowę, zauważyłem, że jej podbródek wiotczeje. Dla mnie zawsze była tą ładną osiemnastolatką, którą dawno temu przyprował do domu Jamie. Dziewczyną, która zagrała dla mnie „Dla Elizy” i która mnie nie wyśmiała, kiedy jej powiedziałem, że chcę grać w zespole. I nigdy nie dała mi do zrozumienia, że jestem tym gorszym synem.

- To od jakiejś dziennikarki z programu „Today” - powiedziała, podając mi kartkę. - Zapraszają mnie i Andy'ego do Nowego Jorku. Mamy wziąć udział w programie.

* Karetta - żółw morski [*Caretta caretta*], gatunek zagrożony (przyp. tłum).

- Żartujesz. - Wziąłem kartkę i przeczytałem krótki e-mail. Proszono, żeby Laurel zadzwoniła w poniedziałek w celu uzgodnienia szczegółów. Czy występ w telewizji pomoże, czy zaszkodzi Andy'emu? - Chcesz to zrobić?

- Chyba tak. To okazja, żeby nagłośnić problem. Ostrzec przed pićem w ciąży. I pokazać, że dzieci z FASD nie są niegrzeczne, rozwyrzone i... no, wiesz.

Kiedy Laurel raz zaczęła mówić o FASD, trudno było ją zatrzymać.

- Te ich felietony są krótkie. - Nie chciałem, żeby sobie wyobrażała nie wiadomo co. - Mogą tylko wypytać Andy'ego o pożar i nie dadzą ci okazji, żeby...

- Wtrącę swoje trzy grosze. Wiesz, że potrafię.

- O tak. - Uśmiechnąłem się. - Potrafisz. Rozejrzałem się po pokoju pełnym laurek.

- Wtedy zaczniesz tego przychodzić więcej - zauważyłem. Wziąłem zdjęcie blondyny. - Widziałaś to?

Zrobiła wielkie oczy.

-Boże, nie! Fuj. Muszę lepiej kontrolować jego korespondencję. -I mejla.

- Marcus. - Rzuciła mi to swoje spojrzenie pełne wyższości. - Sprawdzam wszystko. Jego mejla, strony, które odwiedza, jego profil na MySpace. Znasz mnie.

Ustyszałem kroki Andy'ego na schodach, szybko odebrałem jej fotografię i odstawiłem na miejsce.

- Jest cały! - Andy wpadł do pokoju, omal nie zawadzając latawcem o framugę drzwi.

- No dobrze - powiedziała Laurel. - Nie zapomnij kremu z filtrem. Jest w szufladzie przy lodówce. Zabierz go, Marcus, dobrze?

- Dobrze. - Położyłem Andy'emu rękę na karku. - Idziemy, chłopie.

Zbiegłem z nim po schodach, bardzo zadowolony. To duży krok naprzód: Laurel opowiedziała mi o liście z „Today”,

choć była tak nakręcona, że pewnie zwierzyłaby się hydraulikowi, gdyby miała go pod ręką. Ale i tak to postęp.

Przez jakiś rok po śmierci Jamiego Laurel w ogóle nie pozwalała mi się spotykać z dziećmi. Straciłem rodziców i brata. Laurel, Maggie i Andy byli moimi jedynymi krewnymi - i nie miałem z nimi kontaktu. Zdarzały mi się w życiu gówniane momenty, ale ten był najgorszy. Jestem pewien, że to Sara namówiła ją, żeby się do mnie odezwała. Początkowo szło to opornie. Mogłem widywać dzieci tylko w obecności Laurel. Potem w końcu dała mi wolną rękę.

- Tylko nie wypływajcie na morze - zastrzegła.

Nie mogłem jej winić za tę ostrożność. No, bo jak? Miała powód, żeby mi nie ufać.

Przecież, według niej, to ja zabiłem jej męża.

94

(O

Okazało się, że Jamie potrafi mnie nie przygniatać, kiedy się kochaliśmy. Ale odkryłam, że właśnie chcę poczuć jego ciężar. Jego ciało okrywało mnie jak ochronny pancerz, sprawiając mi ulgę. W jego obecności - czy się kochaliśmy, czy jeździliśmy na motocyklu, czy rozmawialiśmy przez telefon - czułam się znowu kochana, jak w dzieciństwie. Kochana, zdrowa i bezpieczna.

Chodziliśmy ze sobą przez cały mój pierwszy rok na uniwersytecie. Kiedy wróciłam na wakacje do Ohio, dzwoniliśmy do siebie, pisaliśmy i planowaliśmy jego tygodniową wizytę w lipcu. Ostrożnie opowiedziałam o nim cioci Pat i wujkowi Guyowi. Nie spodobało im się, że jest o cztery lata starszy. Nawet nie chciałam myśleć, co by powiedzieli, gdyby wiedzieli, że tak naprawdę dzieli nas pięć lat. Ale ucieszyło ich, że studiuje religioznawstwo. Założyli z góry, że jest prezbiterianinem jak oni. To samo myśleli

o mnie. Poddąłem się wpływowi pogardy Jamiego dla zorganizowanej religii i stopniowo zaczęłam rozumieć jego głębokie, osobiste i pełne pasji związki z Bogiem. Ciotka

i wujek nie pojmowali, dlaczego Jamie pracuje jako stolarz, skoro mógłby „bardziej produktywnie” wykorzystać swój dyplom. Powinnam im wyjaśnić, że Jamie jest stolarzem, bo lubi, i że jego rodzina ma więcej pieniędzy, niż potrafią

96

sobie wyobrazić. Ale nie chciałam, żeby polubili Jamiego ze względu na majątek jego rodziny. Wolałam, żeby go cenili dla niego samego.

Wieczorem w dniu przyjazdu Jamiego ciotka i wujek czekali wraz ze mną na ganku domu w Toledo. Siedzieli w wielkich białych fotelach na biegunach, popijając lemoniadę, a ja wierciłam się na huśtawce, rozdygotana. Usiłowałam zobaczyć ciotkę i wujka oczami Jamiego. Byli atrakcyjną parą po czterdziestce i wyglądali, jakby całymi dniami grywali w golfa, choć nie znali tej gry i nie byłoby ich na nią stać.

Choć był lipiec, wujek Guy wystąpił w bladobłękitnym swetrze, włożonym na koszulę w biało-niebieskie prążki, i w dodatku nie wyglądał, jakby mu było gorąco. Miał piękne, rzeźbione rysy, podkreślone zaczesanymi do tyłu siwiejącymi włosami.

Ciocia Pat miała na sobie żółtą spódnicę, sięgającą tuż za kolana, mocne brązowe buty i rajstopy i dobrze skrojoną kwiecistą bluzkę. Jej jasnobrązowe, podwinięte na końcach włosy sięgały brody, ujarzmione toną lakieru. Wiele razy bezskutecznie starałam się dojrzeć w jej zaciętych rysach twarzy mojej łagodnej mamy.

Kiedy niebo na zachodzie pociemniało, nagle usłyszałam motocykl Jamiego, jeszcze oddalony o jakieś dwie przecznice. Serce załomotało mi z trwogi i pożądania. Od ostatniego spotkania z nim minął miesiąc. Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie go obejmę.

- Co za odrażający dźwięk - odezwała się ciocia Pat.

- Jaki? - spytałam w nadziei, że chodzi jej o coś innego.

- Jakby motocykl - powiedział wujek Guy.

- W tej okolicy? - wycodziła ciocia. - Nie sądzę. Zobaczyłam Jamiego, wyłaniającego się zza zakrętu, i wstałam.

- To on! - zawołałam, wiedząc, że spotkanie moich kuzynów z ukochanym jest z góry skazane na klęskę.

97

Jamie skręcił na podjazd. Wydawało mi się, że jego motocykl hałasuje jeszcze bardziej niż zwykle. Warkot odbijał się echem od domów po obu stronach ulicy. Zeszłam po schodach na trawnik. Miałam ochotę puścić się biegiem, rzucić się Jamiemu w ramiona, ale szłam powoli, równym krokiem.

Kiedy uniósł kask, zobaczyłam go jakby na nowo. Włosy sięgały mu niemal do połowy pleców. Zdjął kurtkę, żeby zaprezentować strój, który na pewno uważał za swój najlepszy - spodnie khaki i zwykły czarny podkoszulek. W tej dzielnicy na wysoki połysk wyglądał zupełnie nie na miejscu.

Otworzył ramiona, a ja się w nie wtuliłam na tyle, żeby szepnąć:

- Boże, Jamie, oni będą nieznośni. Strasznie cię przepraszam.

Zachowali się gorzej. Traktowali go wprost po chamsku. Ucinali jego próby nawiązania rozmowy, nie zaproponowali mu nic do jedzenia ani do picia. Po pół godzinie spędzonej w mrożącej atmosferze oznajmiłam, że zaprowadzę Jamiego do jego pokoju, i weszliśmy do domu.

Na górze pokazałam mu wolny pokój, który dziś rano odkurzyłam i posprzątałam. Zamknęliśmy za sobą drzwi.

- Jamie, przepraszam! Wiedziałam, że będą nieprzyjemni, ale nie miałam pojęcia, że zachowają się tak... podle. Nie są podli, tylko zimni. I...

- Ćśśś... - Położył mi palec na ustach. - Kochają cię.

- Eee... co?

- Kochają cię. Chcą dla ciebie wszystkiego, co najlepsze, a tu pojawia się wielki, kudłaty, straszny facet, który pewnie nie pachnie za ładnie, jest robotnikiem i nie ma samochodu. Widzą tylko tyle, że ich ukochana dziewczynka może wejść na drogę, na której może ją spotkać coś złego.

Oparłam czoło o jego ramię, odetchnęłam zapachem mężczyzny, który jechał przez dwa dni, żeby spotkać się

z kochaną kobietą. Bardzo go wtedy kochałam. I zazdrościłam mu tej umiejętności zapomnienia o sobie i wejścia w sytuację ciotki i wuja. Ale nie byłam pewna, czy ma rację.

- A mnie się wydaje, że najbardziej obchodzi ich, co ludzie powiedzą - wymamrotałam w jego ramię.

Parsknął śmiechem.

- Może chodzi i o to. Ale jeśli, to wszystko przez strach. Oni się boją, Laurie.

- Laurel! - zawołała moja ciotka z dołu. Oderwałam się od niego i szybko pocałowałam go w usta.

- Łazienka jest na końcu korytarza - rzuciłam. - Wrócę najszybciej, jak się da.

Zeszłam na dół, gdzie czekała na mnie ciocia Pat. Twarz miała ściągniętą i zmęczoną.

- Wyjdź na chwilkę na ganek - powiedziała.

Na ganku znowu usiadłam na huśtawce, a ciocia wróciła na fotel.

- Nie może tu zostać - oznajmiła.

- Co? - Tego się nie spodziewałam.

- Nie znamy go. Nie ufamy mu. Nie możemy...

- Ja go znam - przerwałam, starając się nie podnosić głosu, żeby Jamie mnie nie usłyszał. Miałam ochotę na nich krzyknąć. - Nie zakochałabym się w kimś niegodnym zaufania.

Wujek Guy pochylił się ku mnie z łokciami na kolanach.

- Co ty w nim widzisz, na miłość boską? - spytał. - Wychowaliśmy cię do lepszego życia.

- Lepszego niż co? - spytałam. - Nie znam lepszego człowieka. Jest serdeczny i uczciwy. I... bardzo uduchowiony. - Rozpaczliwie starałam się znaleźć cechę, która im się spodoba.

- Co to znaczy? - spytała ciotka Pat.

- Zamierza założyć własny Kościół.

98

99

- O matko. - Wujek odwrócił wzrok z niesmakiem. - To jakiś sekciarz - mruknął.

- Twój wujek ma rację - dodała ciotka. - Chyba rzucił na ciebie jakiś czar, bo normalnie nie zainteresowałabyś się kimś takim.

Miała rację z tym czarem, ale był to dobry czar.

- To poczciwy człowiek - oznajmiłam. - Proszę... Jak mam mu powiedzieć, że nie może tu zostać, skoro przyjechał aż z Karoliny Północnej, żeby się ze mną spotkać?

- Zapłacę mu za jedną noc w hotelu - powiedział wujek Guy.

Wstałam.

- On nie potrzebuje waszych pieniędzy. Ma ich tyle, że nie wiedziałbyś, co z nimi zrobić. Potrzebował waszej tolerancji i... - utknęłam, szukając właściwego słowa - ...ciepła. Powinam się domyślić, że tu go nie znajdzie. - Otworzyłam drzwi. - Pojedzie do hotelu, a ja z nim.

- Nie... waż... się! - wysyczała ciotka. Odwróciłam się na pięcie i pomaszero wałam do pokoju,

zdumiona - i zachwycona - własną bezczelnością.

Ostatecznie Jamie nie pozwolił mi ze sobą jechać. Powiedział ciotce i wujkowi, że jestem wyjątkowa i że rozumie, dlaczego starają się mnie tak starannie chronić.

- Mówi pan jak socjopata - odparł wujek głosem pozbawionym krzty ciepła.

Na to nawet Jamie stracił głos. Wyszedł, a ja przez całą noc siedziałam na schodkach ganku, to płacząc, to wściekając się na myśl o zmęczonym i rozczarowanym Jamiem w hotelowym pokoju.

Ciotka i wujek usiłowali mnie namówić na zmianę uczelni, ale moi rodzice postąpili bardzo mądrze. Choć zmarli tuż po czterdziestce, zapisali mi środki na studia wraz z zastrzeżeniem, że pieniądze mają być przeznaczone

„na college, uniwersytet czy inną placówkę wyższej edukacji, jaką wybierze Laurel”.

Kiedy jesienią wyjeżdżałam z Toledo, zabrałam ze sobą wszystkie swoje rzeczy. Wiedziałam, że już nie wrócę.

Jamie oświadczył mi się latem po trzecim roku studiów. Ustaliliśmy datę ślubu na następny czerwiec. Prowadziłam z wujostwem sporadyczną korespondencję, ale zaproszenie na ślub, które im wysłałam, pozostało bez odpowiedzi, a mnie to wcale nie przeszkadzało. Nie tęskniłam za nimi - już wrosłam w rodzinę Lockwoodów i znałam pannę Emmę i Tatę L. lepiej niż ciotkę Pat i wujka Guya. Tata L. był na ogół wcieleniem dobroci, cichym mężczyzną z niezwykłą smykałką do handlu nieruchomościami. Panna Emma nie przeżyłaby bez trzech lub czterech whisky z cytryną i trzcinowym cukrem, wypijanych późnym popołudniem, ale o ile wiedziałam, nikt nie wspominał słowem o jej picciu. Należała do tych osób, których nastrój poprawia się z każdym łykiem. Marcus był uroczy i słodki, miał jednak autodestrukcyjne tendencje. Umiał manipulować rodzicami i Jamiem. Już dawno uznano go za trudne dziecko, a on robił wszystko, żeby zasłużyć na tę etykietkę. Wylądował w szpitalu z wybitym barkiem, bo był tak pijany, że spadł z deski. Oberwał od ojca dziewczyny, którą odprowadził do domu za późno - o dwanaście godzin. I do mojego ślubu dwa razy aresztowano go za jazdę po pijanemu. Za pierwszym razem kaucję za niego zapłacił Tata L. Za drugim Jamie zajął się tym tak dyskretnie, że rodzice niczego nie zauważyli. Marcus wystawiał empatię brata na prawdziwą próbę.

Ale kochałam wszystkich Lockwoodów, razem z ich wadami. W tamtych czasach byłam tak szczęśliwa i rozradowana, że nie musiałam już liczyć od tysiąca do jednego, żeby zasnąć. Pobraliśmy się tydzień po tym, jak zostałam dyplomowaną pielęgniarką. Tata L. dał nam prezent, którego się

100

101

nie spodziewaliśmy: Morskiego Strażnika, okrągłą chatkę na plaży, moją najbardziej ulubioną ze wszystkich jego posiadłości. Zaczęłam pracować w gabinecie pediatrycznym w Sneads Ferry, gdzie zakochiwałam się w każdym dziecku, które przekraczało jego próg. Biorąc je w ramiona, tęskniłam za własnym. Czułam presję instynktu macierzyńskiego pod każdym względem - biologicznym, emocjonalnym, psychicznym. Chciałam urodzić dziecko Jamiego. Chciałam je karmić, kochać i wychować z miłością, jaką obdarzali mnie rodzice. Nie miałam już własnej rodziny. Chciałam ją stworzyć z Jamiem.

Ja pracowałam w gabinecie, a tymczasem Jamie porzucił stolarstwo i wyrobił sobie licencję agenta handlu nieruchomościami. Zajął się zarządzaniem posiadłościami ojca i wstąpił do ochotniczej straży pożarnej w Surf City. Nawet ściął włosy - radykalna zmiana, do której nie od razu się przyzwyczaiałam - i kupił samochód, choć nigdy nie pozbył się motocykla.

Mieszkanie na wyspie w latach osiemdziesiątych było fantastyczne. Wracając z pracy, wstępowałam do portu w Sneads Ferry, gdzie kupowałam świeże krewetki lub ryby, a następnie jechałam do rajku. Kiedy było ciepło, otwierałam wszystkie okna w chatce i wpuszczałam do pokoiów szum morza. Robiliśmy obiad razem. Te czasy będą zawsze żyły w moim sercu, choć nie trwały długo. Nigdy nie zapomnę ich spokojnego rytmu.

Wiedziałam, że Jamie nigdy nie przestał myśleć o kościele, więc nie zdziwiłam się, kiedy spytał ojca, czy może zbudować małą kaplicę nad zatoką.

Tata L. parsknął śmiechem.

- Pierwszy sztorm zmyje ci ją do morza - powiedział, ale pozwolił. Nie potrafił niczego odmówić swojemu ulubionemu synowi.

Zaprzyjaźniliśmy się z innymi stałymi mieszkańcami wyspy oraz Sneads Ferry. Trzem czy czterem spodobał się

102

pomysł Jamiego i zgodzili się mu pomóc w budowie. Tata L. zaproponował, żeby fundamenty i ściany wznieść z betonu, jak wieże Operacji Trzmiel, które znosiły wszystkie kaprysy Matki Natury. Jamie zbudował swoją kaplicę w kształcie pentagonu z wieżyczką, by nie można jej było wziąć za nic innego z wyjątkiem świątyni. We wszystkich ścianach ciągnęły się panoramiczne okna. Jamie zrobił grube drewniane okiennice, którymi można było osłonić szyby, gdy nadciągała brzydka pogoda. Przez te lata wiatr cztery razy przewracał wieżę, ale żadne okno nie ucierpiało aż do huraganu Fran w 1996 roku. A nawet wtedy betonowe ściany kaplicy oparły się zniszczeniom i wznosiły się na plaży jak gigantyczny zamek z piasku.

W kaplicy nie było ołtarza, żadnego wyróżnionego miejsca, w którym kapłan mógłby głosić kazanie. Tak życzył sobie Jamie. Miał stanowić jedność z kongregacją. Marcus, który nadal mieszkał z rodzicami i chodził do college'u, przyjechał, by pomóc zbudować sosnowe ławki, choć nigdy w pełni nie przekonał się do tego pomysłu. Ławki tworzyły koncentryczne pentagony. Tata L. wypalił na wielkiej, wyrzuconej przez morze desce napis „Kaplica Wolnych Poszukiwaczy”, a Jamie zawiesił ją na wbitym głęboko w piasek słupie przed drzwiami wejściowymi.

Jamie pragnął się nie wyróżniać spośród kongregacji, ale został wybrany kimś w rodzaju pastora. Na ostatniej stronie gazety zauważył reklamę i za trzydzieści dolarów kupił certyfikat, ogłaszający go pastorem Postępowego Kościoła Ducha. Nie brał tego poważnie. Sądził, że to dość zabawne, ale dzięki temu ludzie, którym podobała się jego wizja, mogli go nazywać wielebny, a to miało dla nich znaczenie.

Postanowiliśmy z Jamiem zaczekać z dziećmi do zbudowania kaplicy. Ledwie ostatnia ławka stanęła na miejscu, przestałam brać pigułki. Pediatra, u którego pracowałam, ostrzegł mnie, że po kilkuletnim braniu pigułek będę

103

musiała trochę poczekać, ale chyba natychmiast zaszłam w ciążę, po paru tygodniach poczułam, że w moim organizmie coś się zmieniło. I rzeczywiście, test ciążowy, który zrobiłam w gabinecie, był pozytywny.

Zdołałam to zachować w tajemnicy aż do wieczora, kiedy razem z Jamiem zrobiliśmy to, co lubiliśmy najbardziej: otuliliśmy się ciepło - był październik - i położyliśmy się za chatką na plaży. Owinięci w koce, leżeliśmy jak w dwóch kokonach, z wełnianymi czapkami na głowach, wpatrując się w zadowolonej zadumie w jesienne niebo.

- Tam jest jedna - odezwał się Jamie, wskazując północ. Usiłowaliśmy odróżnić satelity od gwiazd.

- Gdzie? - Spojrzałam w stronę, którą wskazywał. Rozpoznałam jedyny znany mi gwiazdozbiór - Pegaza.

- Spójrz na południowy wschód od Pegaza. I przyjrzyj się uważnie.

- Masz rację. - Poszłam wzrokiem za powoli przesuwanym się na północ światłem.

Niebo za domem było zawsze usiane gwiazdami, zwłaszcza na jesieni i w zimie, kiedy mieliśmy północny kraniec wyspy niemal wyłącznie dla siebie. Szum fal brzmiał w naszych uszach jak muzyka. Nagle świadomość, że moje życie stało się cudowne, zaparła mi dech w piersiach. Mieszkałam w najpiękniejszym miejscu na ziemi, w okrągłym domku z bajki, z mężczyzną, który kochał mnie równie mocno, jak ja jego. Pomyślałam o małym zlepku komórek, który będzie naszym dzieckiem, o tym, że mój brzuch szybko stanie się wypukły niby kupała nieba nad nami. Pomyślałam o tym, że nasze dziecko - dzieci - i ich dzieci kiedyś będą leżeć na tej plaży i patrzeć na te same gwiazdy, słuchając szumu tego samego morza. I nagle to wszystko stało się ponad moje siły. Zaczęłam płakać.

- Hej. - Jamie podniósł głowę. - Co się dzieje?

- Jestem szczęśliwa. Roześmiała się.

104

- Ja też.

Przytuliłam się do swojego męża. -I jestem w ciąży.

Prawie nie widziałam go w tych ciemnościach, ale usłyszałam, jak gwałtownie wciągnął powietrze.

- Och, Laurie... - Rozchylił koc i przygarnął do siebie mój kokon. Obsypał pocałunkami moją twarz, aż zaczęłam chichotać. - Jak się czujesz?

- Fantastycznie. I tak było.

Spojrzał na mnie i dotknął mojego policzka z czułością, którą nauczyłam się kochać.

- Cały nasz świat się zmieni - powiedział. Nie miał pojęcia, jak bardzo.

Następnego ranka o dziesiątej trzynastu osób, w tym Jamie i ja, stawiało się w kaplicy Wolnych Poszukiwaczy na pierwsze nabożeństwo. W tej grupce znalazła się czwórka przyjaciół, którzy pomagali Jamie w budowie, czwórka znajomych i trójka obcych, ciekawych, co się dzieje za pięcioma ścianami tego budynek. Sama także byłam trochę ciekawa. Jamie niewiele mi mówił o tym, jak zaplanował nabożeństwo. Chciałam mu uszyć stułę. Wyglądałaby inaczej niż wszystkie mi znane, rozświetlona błękitem nieba i morza.

- Dzięki - odpowiedział Jamie na moją propozycję - ale niepotrzebna mi stuła. Nie chcę niczego, co mnie będzie wyróżniać, rozumiesz?

Zrozumiałam.

W małej kaplicy pachniało świeżym drewnem - cudowna woń, którą zawsze będę kojarzyć z nadziejami mojego małżeństwa i życiem, które w sobie nosiłam. Odetchnęłam tym zapachem głęboko, siadając w ławce.

Czekaliśmy parę minut, a potem Jamie, ubrany w dżinsy i skórzaną kurtkę, wstał. Odkasznął - tylko to zdradzało

105

jego zdenerwowanie. Kiedy zaczął mówić, jego głos odbił się echem od ścian i ławek.

- Porozmawiajmy o tym, gdzie w tym tygodniu doświadczyliśmy Boga - zaczął.

Nikt się nie odezwał. Podwójne szyby w oknach tłumiły szum morza. W tej ciszy słyszałam, jak jeden z obcych

- mężczyzna w kurtce z grubej czerwonej flaneli - żuje tytoń i spluwa do niebieskiego plastikowego kubka. Siedzieliśmy cicho przez chwilę, która wydawała mi się długa.

Gdy Jamie po raz pierwszy określił Boga jako doświadczenie, a nie istotę, przestraszyłam się. Brzmiało to jak bluźnierstwo. Ale z wolna zaczęłam rozumieć, o co mu chodzi. Coś się we mnie obudziło, wypchnęło z mojej świadomości wielkiego mężczyznę w długiej szacie i zastąpiło go potężnym uczuciem, które nie sposób ubrać w słowa.

Przypomniałam sobie poprzednią noc, kiedy leżałam z Jamiem na plaży. Wstałam, zaskakując jego i siebie.

- Wczoraj leżałam na plaży, patrząc na gwiazdy - powiedziałam. - Niebo było piękne i nagle... ogarnęło mnie szczęście. - Spuściłam wzrok na ręce, zaciśnięte na ławce przede mną. - Nie, to niedobre słowo. Zbyt słabe. - Zagryzłam wargę, zastanawiając się. - Rozpierała mnie uroda świata i poczułam... radość, ale nie powierzchowną, tylko taką głęboką, i wiedziałam, że czuję... doświadczam czegoś, co istnieje poza mną. - Pomyślałam, że się płaczę. Słowa wydawały mi się nieadekwatne do tego, co przeżyłam wczoraj na plaży. - Poczułam coś większego ode mnie

- skończyłam. - Coś świętego.

Usiadłam powoli. Jamie uściśnięła moją rękę w obu dłoniach. Zerknęłam na niego i zobaczyłam ten uśmiech, który tak kochałam. Dyskretny, mówiący, że w naszym świecie wszystko jest jak należy.

Minęła chwila i wstał mężczyzna żujący tytoń.

- Czyli co, mamy powiedzieć, kiedy poczuliśmy w czymś rękę Boga? - spytał.

106

Jamie zawahał się z odpowiedzią.

- Sam możesz zinterpretować to pytanie tak, jak chcesz.

- No, to można powiedzieć, że doświadczyłem Boga, kiedy dziś z samego rana zobaczyłem ten kościół. Słyszałem o nim w Ferry, że jakiś młody wariat, któremu się wydaje, że jest kaznodzieją, zbudował z

betonu i desek pięcioboczny kościół. A jak wysiadłem z samochodu i przeszedłem przez plażę, i jak zobaczyłem to... - Wskazał ręką z niebieskim kubkiem pięć ścian i rozległe okna - jak to zobaczyłem... no, to poczułem. To samo, o czym panienska mówi. - Spojrzał na mnie. - Naszło mnie coś wielkiego i dobrego. Nie miałbym nic przeciwko, żeby to znowu poczuć.

Mężczyzna usiadł. Jamie przełknął ślinę. Zawsze wiedziałam, kiedy jest wzruszony, bo zachowywał się tak, jakby przeżywał tży.

W małym pomieszczeniu zapanowała cisza. Chciałam, żeby ktoś się odezwał, ale Jamiemu ona nie przeszkadzała. W końcu wstała jakaś kobieta o bardzo krótkich jasnych włosach. Mogła mieć tyle samo lat co ja - dwadzieścia dwa.

- Nazywam się Sara Weston - powiedziała - i chyba ja jedna w Karolinie Północnej nie chodzę do kościoła.

Rozległo się kilka śmiechów.

- Przeprowadziłam się tutaj, bo mój mąż stacjonuje w Camp Lejeune. - To wyjaśniało jej akcent. Nie potrafiłabym go określić, ale na pewno nie wskazywał na Karolinę Północną ani żaden inny stan Południa. - Wszyscy zawsze pytają: do jakiego kościoła chodzisz? - ciągnęła Sara. - A kiedy mówię, że do żadnego, patrzą na mnie, jakbym miała dwie głowy. Szczerze mówiąc, nie lubię kościołów. Nie podobają mi się te rytuały i... nawet nie wiem, czy wierzę w Boga.

Jamie szepnął: „Nie szkodzi”, choć na pewno nie usłyszał go nikt oprócz mnie.

107

- Przepraszam. - Sara westchnęła, trochę zaniepokojona. - Staram się zachowywać pozytywnie. Zwykle gdy ludzie mnie pytają, do którego Kościoła chodzę, odpowiadam, że jeszcze się nie zdecydowałam, ale wtedy zawsze chcą, żebyśmy chodziła do ich kościoła. Od dziś będę im mówić, że uczęszczam do kościoła Wolnych Poszukiwaczy.

Usiadła zarumieniona, a mężczyzna we flanelowej kurtce odstawił kubek i zaklaskał krótko, ale od serca.

W następną niedzielę w kaplicy zjawiło się siedemnaście osób... ale na zewnątrz było siedemnaście innych, w tym wielbny Bill z Drury Memoriał. Wygłaszał kazanie przez megafon, napominając, że Wolni Poszukiwacze to nie prawdziwy Kościół, Jamie Lockwood jest heretykiem i bluźniercą, a w jego małej kongregacji roi się od ateistów i agnostyków.

Jamie, spokojny jak zawsze, powiedział do nas:

- Opowiedzmy, gdzie w tym tygodniu doświadczyliśmy naszego osobistego Boga - a ludzie zaczęli wstawać i mówić, jakby na zewnątrz nic się nie działo.

W końcu Floyd, mężczyzna w czerwonej kurtce i z niebieskim kubkiem, wstał.

- Mam ochotę wyjść i powiedzieć tamtemu, żeby zamknął gębę.

Jamie nawet nie drgnął.

- Wyobraź sobie, jaki się musi czuć zagrożony, skoro przyszedł aż tutaj i usiłuje zakłócić nasze nabożeństwo. Traktujmy go życzliwie.

Wielebny Bill zaczął prześladować Jamiego. Usiłował zamknąć kaplicę, atakując ją na wszystkich frontach. Na tym terenie nie powinno się budować kościoła, twierdził. Jamie jest oszustem. Budynek jest jak wrzód na nieskalanym terenie zatoki. Nie mieszałam się do tego, sądząc, że wielebny Bill ma sporo argumentów na swoją korzyść. Nie wiem jak, ale Jamie zdołał się wybronić przed wszystkimi atakami. Może jednak nazwisko Lockwoodów stanowiło pancerz ochronny. Natomiast wielebny Bill zdołał obrócić przeciwko

nam własną parafię. Jamie Lockwood i jego zwolennicy stali się w opinii ogółu poganami. To martwiło Jamiego, który nie zamierzał doprowadzić do konfliktu ani zmuszać ludzi, żeby opowiadali się po czyjejś stronie. Dążył do pokoju i tolerancji. Sam to kiedyś powiedział: zamki na lodzie.

Byłam w czwartym miesiącu, kiedy panna Emma i Tata L. wyrzucili Marcusa z domu. Odszedł z college'u, zanim go wylali, ale pracował na budowie, i Jamie zdenerwował się na rodziców.

- Nie rozumiem ich - powiedział do mnie przy śniadaniu. - Marcus i tak czuje się mniej kochany. Teraz będzie mu jeszcze gorzej.

Zalałam płatki mlekiem.

- Niech zamieszka z nami - zaproponowałam. - Na wyspie znajdzie mnóstwo pracy, a my mamy wolny pokój. Pomożemy mu stanąć na nogi.

Jamie spojrział na mnie z łyżką znieruchomiłą w połowie drogi do ust.

- Jesteś kompletnie niesamowita, wiesz o tym? Wzruszyłam ramionami z uśmiechem.

- Zaraziłam się od ciebie.

- Myślałem, czy go nie przyjąć do nas na jakiś czas, ale bałem się ciebie spytać. - Jamie odłożył łyżkę do miseczki. - Wiem, że potrafi być trudny. Już i tak musisz znosić obłąkanego męża, a skoro ma się urodzić dziecko i w ogóle... - Urwał i pokręcił głową. - Zawsze byłem piesz-czoszkiem. Kocham rodziców, ale nie traktowali Marcusa tak jak mnie.

- Bo nie może się z tobą równać.

- Poczuję się lepiej, gdyby z nami zamieszkał. Moglibyśmy mieć na niego oko. - Jamie przechylił się przez stół, żeby mnie pocałować. - Może go jakoś naprostujemy.

- Może - zgodziłam się. Ale stało się inaczej.

108

109

Kolejka do kontroli na lotnisku w Wilmingtonie była dłuższa, niż powinna o szóstej rano, i bałam się, że nie zdążymy na samolot. Andy opierał się o mnie ciężko i właściwie nie mogłam mieć o to do niego pretensji. Wstaliśmy o czwartej nad ranem, żeby zdążyć na samolot o wpół do siódmej do Nowego Jorku, ale wszystko trwało dłużej, niż powinno. Samo wywleczenie Andy'ego z łóżka zajęło mi

kwadrans. Zmiana jego ustalonego porządku dnia zawsze wiązała się z ryzykiem. Niemal musiałam mu umyć zęby, a ledwie się odwróciłam, znowu się położył. Taksówka musiała na nas czekać. Powtarzałam sobie, że damy radę. W Nowym Jorku zamierzaliśmy spędzić tylko dwie noce, więc nie mieliśmy bagażu do oclenia. A jednak stanęliśmy w kolejce do kontroli dopiero o szóstej.

Następnego dnia mieliśmy się stawić z samego rana w Rockefeller Plaza na wywiad dla „Today”. Wiedziałam, co chcę powiedzieć o FASD. Przez te lata tak często przemawiałam na ten temat, że miałam pewność, iż przekażę szybko informacje, nie wpadając w przemądrzały ani kaznodziejski ton. Taki miałam cel. Musiałam także wspomnieć o fundacji rodzin z Drury Memoriał. Dawn spytała, czy mogłabym podać jej internetowy adres dla widzów, chcących coś wpłacić. Dałam jej słowo, że spróbuję.

110

Prawie dotarliśmy do strażnika. Wreszcie. Trąciłam Andy'ego, który nadal opierał się o mnie z zamkniętymi oczami.

- Chodź, skarbie. Zdejmujemy buty. Pochylił się i rozwiązał sznurówki tenisówek.

- Kiedy ostatnio leciałem samolotem?

- Kiedy byłeś malutki. - Zrzuciłam szpilki i pochyliłam się po nie. - Miałeś dwa lub trzy latka. Polecieliśmy na Florydę do babci, która tam spędzała zimę.

- Babcia Emma, tak?

- Zgadza się.

- Nie pamiętam jej.

- Byłeś malutki, kiedy odeszła. - Dotarliśmy do ruchomej taśmy. Podałam Andy'emu plastikowy kubek. - Włóż tu buty i kurtkę.

Posłuchał.

- Dlaczego musimy zdejmować buty?

Było to jedno z tych pytań, na które musiałam ostrożnie znaleźć odpowiedź. Gdybym wspomniała coś o bombie albo terrorystach, Andy skupiłby się tylko na tym i lot stałby się udręką.

Położyłam nasz podręczny bagaż na taśmie.

- Muszą się upewnić, że wnosimy na pokład tylko bezpieczne rzeczy - powiedziałam.

- Widziałem znak.

- Jaki znak?

- Że nie wolno mieć broni, płynów i tam innych.

- No właśnie.

Nasze rzeczy wjechały na taśmie do aparatu rentgenowskiego.

- Pa, pa, buty! - zawołał Andy, machając ręką.

Uśmiechnęłam się do znużonego strażnika przy wykrywaczu metalu. Podałam mu swoje prawo jazdy i kartę pokładową.

- Pokaż swoją kartę strażnikowi - poleciłam Andy'emu.

111

Przeszłam przez wykrywacz pierwsza i odetchnęłam, bo nie zadzwonił.

- Teraz ja? - upewnił się Andy.

- Szybko, skarbie. - Spojrzałam na zegarek. - Zaraz się spóźnimy.

Andy rozłożył ręce, jakby dla utrzymania równowagi, i z niezwykle skupioną miną ruszył w stronę wykrywacza. Bałam się, że uderzy w metalową bramkę rękami, ale w ostatniej chwili je opuścił.

Włączył się alarm.

- No świetnie - mruknięłam, wzdychając. Wróciłam do Andy'ego. - To klamra paska - powiedziałam do strażnika. - Powinnam była o tym pomyśleć.

- Proszę się odsunąć - rzucił do mnie. - Masz pasek? - spytał Andy'ego.

Andy uniósł sweter, prezentując metalową sprzączkę.

- To nie żaden płyn ani nic - powiedział.

- Żarty sobie stroisz, synku? - spytał strażnik. - Zdejmuj ten pasek.

- On nie żartuje - wyjaśniłam. - On naprawdę sądzi...

- Proszę mi pozwolić pracować. - Strażnik zwinął pasek i położył go do plastikowej miseczki. - Przejdź jeszcze

raz.

Andy znowu przeszedł przez wykrywacz. Piiiiiiii!

Zgłupiałam. Co jeszcze mógł mieć przy sobie?

- Nie rozumiem - powiedziałam. - Przecież nie ma zegarka ani...

- Przejdź tam. - Strażnik wskazał Andy'emu miejsce za ruchomą taśmą, za którą stała krępa kobieta w mundurze. Trzymała wykrywacz metalu w kształcie pałki.

- Rozłóż ręce - poleciła.

Andy spojrzał na mnie, jakby pytając o pozwolenie.

- Śmiało, Andy - powiedziałam. - W porządku. Strażnik musi się zorientować, dlaczego włączył się alarm. - Zdjęłam

112

z taśmy torbę i wyjęłam z pojemników nasze buty, kurtki i moją torebkę. Ręce mi się trzęsły.

- Jesteśmy bardzo spóźnieni - zwróciłam się do strażniczki, przesuwającej wykrywaczem nad piersią Andy'ego.

- To mikrofon? - spytał Andy. - Będziemy w telewizji mówić do mikrofonów!

- Tak, tak. - Miałam nadzieję, że zdołam zmiękczyć trochę strażniczkę. - Naprawdę jedziemy do Nowego Jorku, żeby wziąć udział w...

Ti-ti-ti-ti. Pałka zatrzeszczała nad lewą skarpetką Andy'ego.

- Zdejmij skarpetkę - rozkazała kobieta.

- Skarpetka? - spytałam, kompletnie ogłuszona. Strażniczka nie odpowiedziała.

- Zrób to, Andy - powiedziałam.

Andy zdjął skarpetkę, z której wypadło z brzękiem coś małego i srebrnego.

- Co to? - spytałam.

- Moja zapalniczka. Przysunęłam się bliżej.

- Twoja zapalniczka?

- Proszę się odsunąć. - Strażniczka starannie podniosła przedmiot ręką w rękawiczkę.

- Andy! - Byłam zdumiona. - Skąd masz zapalniczkę? Andy wzruszył ramionami. Na policzki wystąpiły mu

czerwone plamy. Narobił sobie kłopotów i dobrze o tym wiedział.

- Włóż buty - zarządziła kobieta. - Potem muszę państwa poprosić o pójście ze mną.

- Z panią? - Upuściłam jeden but, a kiedy się po niego pochyliłam - dwa następne. - Dokąd? - Zakręciłam się nerwowo, usiłując znowu zagarnąć wszystko w objęcia.

- Może pani tu usiąść, żeby włożyć buty. - Strażniczka wskazała mi rząd krzeseł.

"113

Poddałam się, usiadłam i dałam znak Andy'emu, żeby zrobił to samo. Włożyliśmy buty. Strażniczka śledziła każdy nasz ruch.

- Dokąd mamy pójść? - spytałam, wstając. Nasze kurtki i swoją torebkę miałam przewieszane przez ramię, a wolną ręką ciągnęłam walizkę na kółkach.

- Do wydziału bezpieczeństwa publicznego na rozmowę

- odparła, obracając się na pięcie. - Proszę za mną.

Andy ruszył za nią.

- Zaraz! - zawołałam. - Nasz samolot odlatuje za piętnaście minut. Nie może pani po prostu skonfiskować zapalniczki i nas puścić?

- Nie, proszę pani. - Zaczęła recytować monotonna federalny regulamin, prowadząc nas korytarzem. Obawiałam się, że nigdy nie zdołamy stąd uciec.

Dotarliśmy do małego gabinetu, w którym za biurkiem siedział funkcjonariusz w cywilnym ubraniu. Jego łysina lśniła w blasku żarówki. Spojrzał na nas.

- Ten chłopiec usiłował przejść przez bramkę z zapalniczką ukrytą w skarpecie - zaraportowała strażniczka.

- Jestem jego matką - dodałam. Mężczyzna miał dobre oczy pod uniesionymi, wyrazistymi brwiami. - Bardzo za to przepraszam, ale zaraz ucieknie nam samolot i...

- Proszę usiąść. - Wskazał dwa krzesła przed biurkiem.

- Musimy lecieć do Nowego Jorku do programu „Today”

- powiadomił go Andy, siadając.

Ja stałam nadal.

- Czy istnieje możliwość, żeby zatrzymać dla nas samolot?

Funkcjonariusz spojrzął na mnie.

- Skoro pani nie traktuje tego poważnie, to czy pani syn będzie szanować prawo?

Tyle na temat dobrych oczu.

Osunęłam się na krzesło obok Andy'ego, zastanawiając się, kiedy mamy następny samolot do Nowego Jorku.

114

Mężczyzna splótł ręce na biurku i pochylił się do Andy'ego.

- Ile masz lat, synku?

- Piętnaście.

- Piętnaście? - Chyba mu nie uwierzył.

- To prawda - odezwałam się.

- Jestem mały jak na swój wiek - wyjaśnił Andy.

- Dlaczego miałeś zapalniczkę w skarpecie?
- Z powodu tablicy.
- Jakiej tablicy?
- Tej, na której napisano, że nie wolno wносить na pokład noży i broni. I zapalniczek też.
- O nie - mruknęłam pod nosem. - Wziął to dosłownie
- dodałam do funkcjonariusza.
- Prosiłam, żeby nie brała pani udziału w rozmowie.
- A do Andy'ego dodał: - Skoro wiesz, że nie wolno wносить na pokład zapalniczek, to dlaczego miałeś ją w skarpecie?

W oczach Andy'ego pojawiły się łzy.

- Włożyłem ją tam, żeby jej nie nieść. Położyłam mu rękę na kolanie.
- Mogę wyjaśnić...
- Proszę pani. - Funkcjonariusz rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie. Potem wyprostował się i stuknął długopisem w blat. - Te przepisy mają chronić także ciebie, synku - powiedział, patrząc na Andy'ego. - Nie lubimy, kiedy ludzie z nich żartują.
- Proszę pana - przerwałam. - On jest niepełnosprawny. Mężczyzna nie zwrócił na mnie uwagi.
- Na co ci ta zapalniczka? - spytał.

Andy zerknął na mnie lśnięcymi od łez oczami.

- Na wypadek, gdybym chciał zapalić.
- Wiesz, że nie można palić w samolocie?
- Tam bym nie palił.
- A gdzie masz papierosy?

115

Nie mam.

Ale zapalniczka była dla ciebie tak ważna, że ją ukryłeś.

Andy był u kresu wytrzymałości.

- Mamo? - spojrzał na mnie błagalnie. Jedna łza zawisła mu na rzęsach.
- Proszę pana, Andy jest dzieckiem z poalkoholowym uszkodzeniem płodu - odezwałam się szybko. Nie pozwoliłam znowu sobie przerwać. - Nie rozróżnia subtelności problemu, o który go pan pyta.

Jeśli widzi tablicę z napisem „nie wносить”, rozumie przez to, że nie powinien niczego nieść w rękach. Nie wiedziałam, że ma zapalniczkę. Nie wiedziałam nawet, że pali. - Rzuciłam Andy'emu spojrzenie oznaczające, że musimy porozmawiać. - Ale mogę pana zapewnić, że nie przyszło mu do głowy, że robi coś złego. Lecimy do Nowego Jorku, żeby jutro rano wystąpić w „Today”, bo Andy uratował parę osób z pożaru w Surf City.

Mężczyzna uniósł brwi do połowy czoła.

- To on?

- Tak - odezwał się cichutko Andy. - Ludzie poszli za mną przez okno.

Mężczyzna wyjął usta. Wziął zapalniczkę, otworzył ją i wykrzesał z niej długi, cienki płomyk.

- No... - Zamknął wieczko. - Oczywiście, zapalniczkę konfiskujemy. Musimy się zająć dokumentami. I... - spojrzał na ekran komputera, uderzając w parę klawiszy. - ...o dziesiątej dziesiąć jest kolejny lot na La Guardia.

- Za trzy godziny? - Niemal płakałam. - Dopiero?

- Tak. Ale są w nim miejsca, więc ma pani szczęście.

Dochodziło wpół do ósmej, gdy wróciliśmy na główną halę.

- Zjedzmy coś - powiedziałam. - Zabijemy czas. Kupiliśmy sobie po muffince z jagodami i butelce wody i znaleźliśmy siedzenia przy bramce.

- Dobrze, Andy - odezwałam się, kiedy już ułożyliśmy nasze bagaże na pobliskich siedzeniach. Wokół nas nikogo nie było. - Musimy porozmawiać. Obiecałeś mi, że nigdy nie zapalisz.

Andy przyjrzał się wnikliwie czubkowi buta, przeżuwając kęs jagodowego ciasta.

- Andy? Przełknął.

- Czasami palę. Ale nie wciągam dymu do płuc. Trzymam to tylko w ustach.

- Dlaczego?

- Bo to fajne.

- Który twój przyjaciel pali? Znowu się zawahał.

- Muszę ci mówić? Zastanowiłam się. Co za różnica?

- Nie - odparłam z westchnieniem. - Nie musisz. Ale musisz mi powiedzieć, skąd masz tę zapalniczkę.

To nie była mała tania zipo.

- Wymieniłem się.

- Co za nią dałeś?

- Mamo, nie chcę o tym mówić!

- Musisz.

- Scyzoryk.

- Jaki scyzoryk? - Nawet nie wiedziałam, że posiadał coś takiego.

Przewrócił oczami.

- No ten, który miałem od zawsze. Westchnęłam.

- Wiem, że chcesz być lubiany. Wiem, że chcesz być... fajny. Ale nastolatki robią głupie rzeczy. - Byłam zdenerwowana z powodu zapalniczki, ale jeszcze bardziej wytrącił mnie z równowagi fakt, że nie wiedziałam tylu rzeczy o swoim synu. Skoro okłamał mnie w sprawie palenia, co jeszcze przede mną ukrywał?

116

117

- Nigdy bym nie wziął narkotyków - oznajmił z takim przekonaniem, że mu uwierzyłam. Przynajmniej w to, że teraz tak myśli.

- Jestem zmęczony - dodał, pochylając się nisko.

- Ja też. - Doszłam do wniosku, że mamy już dość poważnych rozmów na jeden dzień, i sięgnęłam do torebki po książkę. - Zamknij oczy i zdrzemnij się.

Oparł mi głowę o ramię, znowu stając się moim małym aniołkiem. Położyłam książkę na kolanach i zamknęłam oczy.

Jak przetrwamy resztę jego dojrzewania? Nie chciało mi się myśleć o tym, jak będzie wyglądać przyszły rok bez Maggie, bez drugiej pary oczu, które nad nim czuwały. Przejmował jej zamiłowanie do nauki, pragnienie przodowania we wszystkim. Maggie zdziwi się tak samo jak ja, kiedy dowie się o zapalnicze.

Mieliśmy czerwone oczy, kiedy w końcu znaleźliśmy się w małym odrzutowcu.

- Chcesz siedzieć przy oknie? - spytałam, wskazując dwa zarezerwowane dla nas fotele.

- Aha! - zawołał, siadając.

- Zapnij pas - poleciłam, robiąc to samo. Spiął klamrę, a ja zaciągnęłam taśmy. Stewardesa, Azjatka o smutnych oczach i wesołym

uśmiechu, wstała i zaczęła przemowę.

- Co to za pani? - spytał głośno Andy.

- To stewardesa. Wyjaśnia nam, co się robi w samolocie. Posłuchajmy.

Dziewczyna pokazała nam, jak się rozpina pasy, i Andy posłusznie powtórzył jej ruchy.

- To zrobisz później - wyjaśniłam. - Teraz zapnij. Stewardesa zademonstrowała sposób użycia maski tlenowej. Andy pochylił się z wysuniętym językiem, tak bardzo się skupił na jej instrukcjach.

118

Kiedy jechałam do Morskiego Strażnika, w niektórych domach paliło się światło. Był pierwszy tydzień kwietnia i ludzie zaczęli przyjeżdżać na urlopy. Za parę miesięcy wyspa zupełnie się zmieni. Klaustrofobiczna miejscina, w której wszyscy znają wszystkich, zmieni się w kurort pełen obcych twarzy. W wynajętych domkach i mieszkalnych przyczepach co tydzień będą się pojawiać nowe osoby. Bałam się tej chwili. W domkach przy Morskim Strażniku zamieszkają wścibscy, ciekawscy ludzie.

Nie musiałam okłamywać mamy, dokąd dziś jadę, bo wyjechała z Andym do Nowego Jorku. Nie znosiłam kłamać, ale ostatnio robiłam to na okrągło. Mama zadzwoniła z Nowego Jorku i opowiedziała mi o zapalnicze. Podejrzywałam, że Andy pali. Czasami wyczuwałam dym, ale kiedy go pytałam, czy coś o tym wie, odpowiadał: „Ależ skąd!”. A ja dawałam się nabrać.

Bałam się tych wyskoków Andy'ego. Na razie chodziło o drobiazgi. Ale Andy rósł, a one razem z nim.

Jakbym miała prawo go krytykować.

Zaparkowałam i ruszyłam jezdnią, nie zapalając latarki. Skręciłam na drewniany chodnik między dwoma domkami w pierwszym rzędzie, prowadzący do naszej starej chatki na plaży.

Przytoczyłam cementowy pustak pod schodki i wspięłam się do drzwi. W chatce nie poszłam na taras jak wtedy, kiedy usiłowałam nawiązać kontakt z tatą. Dziś znalazłam się tu z zupełnie innego powodu - bardzo konkretnego, zdecydowanie uzasadniającego kłamstwo.

Sypialnia moich rodziców była mniejsza niż dwie pozostałe, ale tylko z niej rozciągał się widok na morze. I tylko tutaj szyby nie były wybite ani zasłonięte deskami. Daleko na wodzie widziałam parę światełek. Obserwowałam je na tyle długo, żeby się przekonać, że jedno zmierza na północ, a drugie na południe. Potem zapaliłam wszystkie sześć jaśminowych świeczek na małym plastikowym stolyczku w kącie pokoju. Podwójne łóżko - stary wygnieciony materac na sprężynach i zardzewiała rama - stanowiło jedyny mebel, którego mama nie zabrała z tego pokoju podczas przeprowadzki. Uniostałam kołdrę i usunęłam odświeżacz, który zostawiłam na poduszkach. Nie potrafiłam przewidzieć, kiedy znowu wrócę do chatki, a nie znosiłam zapachu zatęchłej pościeli.

Właśnie uklepywałam poduszki, kiedy przed drzwiami rozległy się kroki. Stare drzwi skrzypnęły.

- Jest tu kto? - odezwał się cicho Ben. Popędziłam do niego. Chwycił mnie w ramiona, a ja schowałam twarz na jego piersi, nagle zanosząc się szlochem.

- Już dobrze, aniołku - szepnął, głaszcząc mnie po włosach. - Wiem, tym razem minęło za wiele czasu.

Nie mogłam się opanować. Kompletnie się rozkleiłam, jakbym zachowała wszystkie łzy dla niego - na moment, kiedy wreszcie mogę przestać nad sobą panować. W mojej rodzinie zawsze musiałam być tą silną. Przy Benie stawałam się tylko sobą. Tulił mnie, dopóki nie przestałam płakać. Zawsze wiedział, czego mi potrzeba.

- To była męczarnia - zdołałam wykrztusić.

Nie spotkaliśmy się - w ten sposób - od czasu pożaru. Razem trenowaliśmy Piratów, zachowywaliśmy się,

jakbyśmy się prawie nie znali, żeby nikt nie plotkował. Rozmawialiśmy, wysyłaliśmy sobie SMS-y i mejle, ale to nie zastąpi bycia razem.

Ben oderwał się ode mnie i pogładził mój policzek. Z sypialni bił słaby blask świateł, w którym widziałam jego czekoladowe oczy i świeżą, rozognioną bliznę na czole.

- Jak tam? - spytałam, dotykając jej lekko. Skrzywił się, więc cofnęłam rękę.

- Przepraszam! Przepraszam! - Za nic nie chciałam mu sprawić bólu.

- Jeszcze trochę pobolewa. Dziś rano wyjęli mi szwy. - Też dotknął blizny. - Mam trwałą pamiątkę po tej nocy.

- Ale jesteś bezpieczny.

- Inni nie mieli tyle szczęścia.

- Bardzo się bałam.

- Cśśś... - Pocałował mnie i nagle wziął mnie na ręce, jak dawny oblubieniec przenoszący żonę przez próg. Zaniósł mnie do sypialni. Zapach jaśminu był tak mocny, że zakręciło mi się w głowie. Ben położył mnie na łóżku i zaczął rozbierać. Gardło nadal miałam ściśnięte od płaczu. Ale nie chciałam znowu się rozbeczeć. Dziś Ben potrzebował kobiety, nie dziewczynki.

Nie jestem naiwną panienką, która wierzy w miłość od pierwszego spojrzenia, ale w chwili, gdy poznałam Bena, coś się we mnie zmieniło. Były moje urodziny, niemal rok temu, a ja stałam w holu ośrodka sportowego, czekając na nowego trenera starszych dzieci. Ich dawna opiekunka, Susan Crane, przenosiła się do Richmondu, a ten nowy przyszedł na jej miejsce. Susan miała trzydzieści pięć lat, więc nie wiem, dlaczego się spodziewałam, że nowy trener będzie moim rówieśnikiem, ale miałam takie przeczucie.

Ben stał przy recepcji, wypełniając dokumenty i żartując z Davidem Arowitzem, jednym z kierowników. Myślałam, że składa wniosek o członkostwo w ośrodku, i przyjrzałam

122

mu się ciekawie. Miał na sobie bermudy w niebiesko-zielone paski, jakby właśnie szedł na basen, niebieską bluzkę z krótkimi rękawami i sandały. Był duży. Jako dziecko pewnie musiał nosić specjalne ubranka. Włosy miał krótkie, ciemne i faliste, prosty nos, dołeczki - przynajmniej po lewej stronie, którą był do mnie odwrócony - i długie, bardzo gęste rzęsy. Słowo daję, zauważyłam to wszystko w

jednej chwili i dosłownie poczułam, że coś się dzieje z moim sercem, jakby ktoś je ścisnął tak mocno, że w dłoniach mnie zamrowiło.

Zrozumiałam, jaki jest, ledwie na niego spojrzałam. Był życzliwy, kochał zwierzęta, wolał siatkówkę od golfa, wierzył w Boga, ale nie był przesadnie religijny, uwielbiał horrory, potrafił rozmawiać o uczuciach, palił trawkę, ale nie papierosy. Wiedziałam to wszystko, zanim mrowienie dobiegło z mojego serca do czubków palców. Wiedziałam także, że jest dla mnie o wiele za stary, ale nic mnie to nie obchodziło. Zakochałam się.

Nagle David wskazał w moją stronę. Ben coś powiedział i ruszył do mnie. Nie odgadłam tylko jednego: że to on może być nowym trenerem.

- Maggie? - Wyciągnął rękę. Dołeczek miał tylko po jednej stronie ust. - Jestem Ben Trippett.

Nie przywykłam do ściskania cudzych rąk. Poczułam żar promieniujący z jego dłoni, jakby miał temperaturę wyższą o parę stopni od reszty mieszkańców tej planety. Miałam się tego o nim dowiedzieć - jego dłonie zawsze były gorące. Może to ten żar mnie tak podbił. W każdym razie zrozumiałam, że przepadłam na amen.

Nie mogłam myśleć o niczym innym. Nagle pojęłam, dlaczego moje koleżanki tak głupiały, gdy się zakochiwały. Nie mogłam się doczekać treningów, odbywających się dwa razy w tygodniu. Czasami razem wpadaliśmy po nich do McDonalda. Ja brałam napój, on koktajl mleczny. Rozmawialiśmy o naszych podopiecznych - kto jest dobry, kto

123

musi jeszcze popracować nad jakimś stylem. Wyznaczaliśmy cele dla naszej drużyny. A ja przez cały czas myślałam: „Kocham cię, kocham cię, kocham cię”.

Ben mieszkał z Dawn Reynolds, ale starałam się o tym nie myśleć. Nie znałam jej dobrze, przybyła na wyspę jakiś rok temu. Nie pochwalałam rozbijania związków, nie mogłam jednak opanować swoich uczuć do niego. Zaczęłam szukać pretekstów, żeby się z nim widywać. Ben pracował w Lowes w Hampstead i czasami po szkole znajdowałam powód, żeby tam jechać. Kupiłam farbę, którą nigdy nie odmalowałam pokoju, i lampę, która mi się nie podobała i którą zwróciłam.

Z czasem zaczęliśmy w McDonalddie rozmawiać o innych sprawach. O filmach - oboje uwielbialiśmy horrory, tak jak przewidziałam. O jego rozwodzie, który był „brzydki”, i jego siedmioletniej córce Serenie, mieszkającej z jego byłą w Charlotte. Ben bardzo tęsknił za córką. Widziałam, że jest dobrym ojcem, i kochałam go za to.

Pewnego wieczoru powiedział, że chce porozmawiać o Dawn.

- Kiedy się tu wprowadziłem, wynająłem mieszkalną przyczepę w Surf City - powiedział. - Pewnego dnia przyszedłem do Jabeen's Java i zacząłem rozmawiać z Dawn. Zamierzała powiesić na tablicy ogłoszenie, że szuka współ-lokatora. Rozwiodła się mniej więcej wtedy, kiedy ja, i mogła stracić swój dom na plaży, gdyby nie znalazła kogoś, kto by dzielił z nią wydatki. Więc nie zastanawiałem się długo.

- Czyli... ty i Dawn jesteście tylko współlokatorami? Skinął głową, a mnie się wydało, że siedzę na chmurce,

a nie na plastikowej ławie w McDonaldzie.

- Ale to trochę bardziej skomplikowane - dodał. - Ona właśnie się rozwiodła, ja właśnie się rozwiodłem, i... - Spojrzał na mnie tymi czekoladowymi oczami. - Zerwałaś kiedyś?

- Raczej nie. - Spotkałam się z chłopakiem tylko trzy razy.

- No, to trudno ci to będzie zrozumieć. Kiedy małżeństwo się kończy - zwłaszcza jeśli bardzo o nie walczyłaś i nadal zależy ci na tamtej osobie - czujesz się bardzo źle... i bardzo samotnie. Dawn i ja znajdowaliśmy się na tym samym etapie. - Pociągnął łyk koktajlu. I drugi. Omijał mnie wzrokiem.

- Jest ładna... i pociągała mnie fizycznie.

Wzdrygnęłam się.

- Czyżby się zanosilo na NI?

- Na co?

- Niechcianą informację. Uśmiechnął się.

- Aha... Pewnie tak.

- O, nie. - Wyprostowałam się i przygotowałam na najgorsze. - Dobra, wal.

Zaczerwienił się. Bardzo mi się spodobało, że chciał ze mną rozmawiać o sprawie tak intymnej, że aż się rumienił.

- No, dobrze się domyśliłaś. Dałem cię. Sypialiśmy ze sobą przez pierwszy tydzień, odkąd się wprowadziłem. Potem wiedziałem już, że to błąd. Dawn jest miła, ale nigdy do siebie nie pasowaliśmy. Powiedziałem jej, że chcę być tylko jej przyjacielem, i zaproponowałem, że się wyprowadzę. Zdenerwowała się. Uważała - nadal uważa

- że do siebie pasujemy, i nie chce, żebym odszedł. Poza tym potrzebuje pomocy finansowej. Dlatego z nią mieszkam.

- Westchnął i dotknął palcem wybrzuszenia na pokrywce kubka. - A mówię ci to dlatego, że nie jesteś mi obojętna, Maggie.

O... rany...

- Ty mnie też. - Zdumiałam się, że udało mi się to wykrztusić. W ustach tak mi zaschło, że z trudem poruszałam językiem.

- Wiem - powiedział. - Tak dobrze się rozumiemy. Masz

124

125

siedemnaście lat, ale nie jesteś niedojrzałą nastolatką. Nie chcę walczyć z uczuciem do ciebie. Ale... masz siedemnaście lat.

- Już mówiłeś.

- A ja jestem dziesięć lat starszy. Nie chcę cię wykorzystywać.

- Ben... - Przeszkadzał mi ten stół między nami. - Kocham cię. Od wielu miesięcy. I masz rację, nie jestem niedojrzałą nastolatką. Prawie nie chodzę na randki, bo moi rówieśnicy są tacy... - Pokręciłam głową. - Beznadziejni. Do ciebie czuję coś zupełnie innego. Kocham cię jak brata i...

- Co? - Parsknął śmiechem.

-To znaczy bardzo, bardzo mocno i... - Przestraszyłam się, że plotę dokładnie jak niedojrzała nastolatka. Nie potrafiłam wyjaśnić, co do niego czułam. - To czyste uczucie - skończyłam. - Nie wiem, jak jeszcze mogłabym to nazwać.

- Hm... - Kiedy się uśmiechał, jego dołeczek wyglądał słodko. - Dla mnie super. Kurczę, od dawna chciałem z tobą o tym porozmawiać. Nie bałem się, co powiesz. Wiedziałem, że czujesz do mnie to samo. Ale to wszystko zmienia i nie wiem, co dalej. W tym roku skończysz szkołę. Może powinniśmy... no wiesz, wytrwać, dopóki nie zrobisz matury.

Tysiące razy wyobrażałam sobie, jak leżę z nim w łóżku. Jedną rękę położyłabym mu na piersi, on obejmowałby opiekuńczo moje ramiona. Naprawdę nie chodziło mi o seks. Chciałam czegoś więcej. Czegoś ważniejszego, co przetrwałoby do końca życia.

- Nie chcę czekać - powiedziałam. - W Karolinie Północnej wiek przyzwolenia to szesnaście lat. Mam siedemnaście i pięć miesięcy. Daję ci moje przyzwolenie.

-Nie możemy się pokazywać razem. Twoja matka... Boże, twój wujek! Pewnie by mnie zabili.

- Wiem. - Tu się nie mylił. Dałabym głowę, że mama była dziewicą w noc poślubną, a wujek Marcus zawsze głądził, że „chłopakom chodzi o jedno”. Może chłopakom w moim wieku. Ben to zupełnie co innego

- I naprawdę nie ma takiego miejsca, w którym moglibyśmy się spotykać - dodał Ben.

Teraz to ja się uśmiechnęłam.

- Owszem, jest.

Później, kiedy zrozumiałam, że mogę mu się zwierzyć ze wszystkiego... no, prawie wszystkiego... wyjawiałam mu, jak się czułam na początku. Że wydawało mi się, iż go nie pragnę. Roześmiał się i powiedział: „No, to się na pewno zmieniło”. Pewnie tak, ale i tak najbardziej lubiłam leżeć w jego ramionach w sypialni w Morskim Strażniku i opowiadać mu o wszystkim, co myślałam i czułam. Powierzyłam mu nawet moje dwie największe tajemnice.

Pierwszą było to, że kiedy miałam czternaście lat, wycofałam się z najważniejszych zawodów pływackich, bo zrobiło mi się żal mojej rywalki. Dziewczyna była tak niezdarna, koścista i nieporadna,

że jej koleżanki z drużyny jęczały, kiedy startowała. Nie mogłam znieść, że ją pobiję. Po trzeciej długości basenu udałam, że złapał mnie skurcz.

Ben powiedział, że to urocze, ale szalone.

Po drugie powiedziałam mu, że czuję ducha taty na tarasie Morskiego Strażnika. Wtedy się dowiedziałam, że w jednym się pomyliłam: Ben był religijny. Najpierw tylko ze mnie żartował, mówił, że wolałby, żeby tata nie pojawił się, kiedy leżymy w łóżku. Potem zrozumiał, że nie żartuję, i spoważniał. Powiedział, że diabeł zna różne sztuczki i że powinnam uważać. Rozczarowało mnie, że wierzy w diabła. Chciałam, żeby był moim lustrzanym odbiciem, z moimi przemyśleniami i przekonaniem. Chciałam, żeby był wszystkim, czego potrzebowałam - moim powiernikiem, najlepszym przyjacielem i kochankiem. Zrozumiałam,

126

127

że żadna osoba nie może być tym wszystkim. Potem już uważałam, co mu mówię.

Nigdy bym mu nie powierzyła swojej trzeciej tajemnicy.

Kochaliśmy się, a potem Ben poszedł do kuchni po trawkę, a ja skuliłam się naga pod kołdrą, wdychając zapach jaśminu i odświeżacza. Ben wrócił i przytuliłam się do niego, kiedy zapalał jointa.

Zaciągnął się i podał go mnie.

- Boże, jak dobrze być tu z tobą - powiedział. - Gówniany tydzień.

- Wiem.

- Miałem te... no, może nie koszmary, ale kiedy kładę się spać, zaczynam sobie wyobrażać Serene w płonącym kościele, młodszą o parę lat. Boi się wszystkiego: burzy, obcych, psów, czego tylko chcesz. Gdyby tam była, wpadłaby w panikę. Mogłaby się znaleźć wśród tych dzieci, co zginęły.

- Nie myśl o tym. - Nie chciałam się nad tym zastanawiać. Wsunęłam mu jointa między wargi. - Pomyśl o tej dziewczynie, którą uratowałaś. Wujek Marcus powiedział, że gdyby nie ty, to już by nie żyła.

- Myślę o niej, wierz mi. Nadal leży w New Hanover i odwiedziłem ją parę razy. Wyjdzie z tego. A potem myślę o tym, jak mało brakowało, żeby ją tam zostawił, bo nie miałem już tlenu i... - Wzdrygnął się. - Powiem ci, Maggie. Bałem się jak diabli.

- Musiało być strasznie. - Wiedziałałam o jego klaustrofobii. Wpadał w panikę w chwili, gdy nakładał aparat. Inni strażacy mówili mu prosto w oczy okropne rzeczy, jakby nie miał uczuć. Raz słyszałam, jak jeden powiedział do wujka Marcusa: „Nie wiem, dlaczego w ogóle dajesz mu pager. Jest do niczego”. Byłam wściekła. Ben powiedział, że myślał nawet o odejściu i powrocie do Charlotte, bo nie mógł tego dłużej znieść. Przeraziłam się. Co bym bez niego zrobiła?

128

- Jak wytrzymałaś w aparacie? - spytałam.

- Otworzyłem na chwilę awaryjny zawór. Powiało powietrzem. Piękny dźwięk. Nie chodziło mi o tlen, tylko o świadomość, że w razie potrzeby mogę użyć zaworu.

- Ale kiedy skończył ci się tlen, pewnie spanikowałeś.

- O tak. Panika na sto procent. Ale widziałem już tę dziewczynkę. Musiałem do niej dojść.

- Jestem z ciebie bardzo dumna. Chłopaki przestali się nad tobą pastwić?

Skinął głową.

- Chyba wreszcie mnie zaakceptowali - przyznał, wydmuchując dym. - Paru najgorszych nawet mnie przeprosiło. Więc jest i plus w tej sytuacji. Ale zbyt drogo okupiony.

Przed oczami znowu stanęły mi te wielkie fotografie z nabożeństwa żałobnego. Runęła ściana, za którą usiłowałam je ukryć. Na nabożeństwie mdliło mnie, kiedy wielebny Bill opowiadał o każdej z ofiar. Miałam ochotę wybiec, ale nie chciałam robić sceny.

- Rozumiesz, dlaczego muszę wierzyć w życie po życiu? - spytałam Bena. - Dlaczego mam taką pewność, że tata mnie tu odwiedza? Muszę wierzyć, że ta trójka - Jordy, Henderson i pan Eggles - trafili w jakiś lepsze miejsce.

- Ja też w to wierzę. Tylko nie w to, że zmarli mogą się z nami kontaktować.

Nie doświadczył tego, co ja z tatą, więc nie rozumiał.

Dopaliliśmy jointa. Ben zgniółł go w muszli, którą trzymaliśmy na podłodze koło łóżka.

Przypomniałam sobie tamtą noc na pogotowiu, jak się przeraziłam, gdy go tam zobaczyłam, i że poczułam się niewidzialna, kiedy Dawn niemal mnie stratowała, żeby się do niego dostać. Ludzie zawsze uważali ich za parę i choć Ben nigdy tego nie potwierdził, nigdy też nie zaprzeczył. Mówił, że Dawn jest naszą przykrywką, co martwiło mnie tylko, kiedy widziałam jej spojrzenie, gdy na niego patrzy - choćby w sobotę

129

na zawodach pływackich. Widziałam wtedy, jak bardzo go kocha. Miała to wypisane na twarzy. Litowałam się nad nią, niczym nad tamtą niezdarną czternastolatką przed laty. Ale nie zamierzałam jej oddać Bena.

- Dawn bardzo cię kocha - powiedziałam. - Kiedy zobaczyła cię na pogotowiu, ulżyło jej, że nic ci się nie stało. Tak jak mnie, kiedy dowiedziałam się, że Andy jest zdrowy i cały. Mam wrażenie, że ją krzywdzę.

- Nie zwodziłem jej. Wiesz o tym.

- Ale ona sądzi, że nikogo nie masz. To daje jej nadzieję.

- Co mogę z tym zrobić? - Trochę się wkurzył. - Nie mogę powiedzieć Dawn o nas.

- Wiem - zapewniłam szybko. Jeszcze nigdy się na mnie nie zdenerwował i trochę się tego przestraszyłam. - Było mi jej żal, to wszystko.

Czego od niego chciałam? Nie wiedziałam. Z salonu wpadł do sypialni powiew wiatru, gasząc prawie wszystkie świece z wyjątkiem dwóch. Wstałam, żeby je zapalić. Kiedy się odwróciłam, światło musiało chyba paść na moje biodro.

Ben podniósł się na łokciu.

- Co tam masz? - spytał.

- Tatuaż.

- Żartujesz. - Usiadł. - Nowy?

- Nie. Po prostu go nie zauważyłeś. - Miałam go od roku, umiejscowiony na tyle nisko, żeby mama go nie zobaczyła.

- Nic stąd nie widzę.

- To tylko jedno słowo. - Podeszłam na tyle blisko, żeby mógł odczytać.

- Empatia. - Przesunął palcami po małym wykaligrafowanym słowie. - Dlaczego?

- Chcę pamiętać, żeby stawiać się w położeniu innych.

130

(3

Posadzili nas na takim małym jak kanapa. Wszędzie było mnóstwo kamer na stojakach i tłumy panów i pań. Jedna pani siedziała na krześle przy nas. Ja patrzyłem w kamerę i uśmiechałem się jak do zdjęcia.

Pani na krześle powiedziała:

- Andy, kiedy zaczniemy rozmawiać, patrz na mnie, nie w kamerę. Będziemy udawać, że to zwyczajna rozmowa, dobrze?

- Dobrze. - Była przyjemna dla oka. Ładna, z lśniącościami włosów, jak mamy, tylko czarniejszymi i takimi chińskimi oczami. Głos miała cichy i taki, jakim czasem mówiła Maggie.

Mama uśmiechnęła się i ucisnęła mi rękę, jak zawsze. Dłoń miała zimną, po prostu sopel.

Jeden pan przyczepił mi do koszuli czarny mikrofonik i powiedział, żeby o nim nie myśleć. Pani w słuchawkach na głowie podniosła trzy palce, potem dwa palce, potem jeden palec.

Potem ta pani z krzesła zaczęła mówić do nas, a ja patrzyłem prosto na nią, jak kazała. Myślałem: „Nie patrz nigdzie, tylko na nią”. Nie chciałem nic popsuć.

- Opowiedz nam o pożarze, Andy - powiedziała do mnie. W oczach miała isierki.

132

- Byłem na zabawie z moją przyjaciółką Emily i nagle wszędzie pojawił się ogień - zacząłem. - Tacy jedni chłopcy się zapalili i kazałem im stanąć, upaść i tarzać się!

- Naprawdę? - spytała pani. - Gdzie się tego nauczyłeś?

Tak dokładnie to nie pamiętałem. Chciałem spojrzeć na mamę, ale przecież miałem patrzeć tylko na tę panią.

- Chyba w szkole, ale nie jestem pewien.

- Masz rację - odezwała się mama.

Kolano mi podskakiwało, tak jak czasem mu się zdarza, i myślałem, że mama położy na nim rękę, ale nie położyła.

- A co było potem? Ludzie starali się wydostać z kościoła, tak? Ale nie mogli?

- Bo był ogień.

- Rozumiem, że drzwi wejściowe zatarasował ogień. -I tylne też.

- To musiało być straszne.

- Emily się przestraszyła. Włożyła bluzkę na lewą stronę.

Pani zrobiła zdziwioną minę i spojrzała na mamę.

- Jego przyjaciółka jest dzieckiem specjalnej troski i nie lubi, kiedy szwy ubrań ocierają jej skórę - wyjaśniła mama.

-Ach, tak... - powiedziała pani. - To jak się stamtąd wydostałeś?

- Poszedłem do toalety dla chłopców i za oknem była taka metalowa... takie coś od klimatyzacji, i zeskoczyłem na to, i pomogłem Emily. Potem wróciłem i zawołałem, żeby inni za mną poszli.

- Zdumiewające. - Kiedy pani lekko odwróciła głowę, iskierki w jej oczach się przesunęły. - Uratowałeś wiele osób.

Skinąłem głową.

- Byłem... - Przypomniałem sobie, że nie wolno mi mówić, że jestem bohaterem.

133

- Zachował się jak bohater - wtrąciła mama - ale prosiłam go, żeby się nie chwalił.

Przypadkiem spojrzałem na nią. Ona też miała iskierki w oczach! Straszne.

- Jak się czujesz po tym, co zrobiłeś? - spytała pani.

- Dobrze. Ale parę osób zginęło. Chyba nie wszystkie słyszały, jak wołałem. Pani ma bardzo ładne oczy. Z iskierkami w środku.

Pani i mama się roześmiały.

- To od reflektorów - wyjaśniła pani. - Ale dziękuję za komplement, Andy. - Znowu odwróciła się do mamy. - Laurel, czy możesz nam opowiedzieć o Andym i poalkoholowym uszkodzeniu płodu?

- Ja mogę opowiedzieć - oznajmiłem.

Wtedy mama położyła mi jednak rękę na kolanie, co znaczy „cicho bądź”.

- Pozwólmy się wypowiedzieć twojej mamie.

- Dobrze - zgodziłem się, choć tyle razy słyszałem, jak mama mówi o FASD, że sam mogłem to wszystko powtórzyć. Mama opowiadała o swoim problemie alkoholowym, kiedy była ze mną w ciąży, i że przez to jestem inny niż reszta dzieci. Poszła na odwyk i od tego czasu nie pije. Ja byłem w rodzinie zastępczej, z której mnie odebrała, kiedy miałem roczek. Poświęciła się zapewnieniu mi najlepszej opieki i wykształcenia. Widzicie? Potrafię.

- A ja jestem w drużynie pływackiej - powiedziałem. - I zawsze wygrywam.

Mama i pani znowu się roześmiały. Mama dodała, że jestem znakomitym sportowcem ze względu na mój odruch Moro. I że mam przeciętne IQ, co oznacza, że jestem inteligentny i mógłbym wszystko robić o wiele lepiej, gdybym tylko bardziej się postarał.

- Jestem tak samo mądry, jak większość ludzi - oznajmiłem. - Ale mój mózg pracuje inaczej.

Mama opowiedziała o zapalniczce i jak się spóźniliśmy na samolot, czego już naprawdę nie rozumiałem, bo jeśli się ma zapalniczkę w skarpecie, to się jej przecież nie nosi.

- Powstała fundacja, zbierająca pieniądze na leczenie dzieci, które ucierpiały podczas pożaru - powiedziała pani do kamery. - Jeśli chcą państwo pomóc, na ekranie podajemy adres strony internetowej.

- Wiele ofiar pożaru pochodzi z rodzin o ograniczonych możliwościach finansowych - dodała mama.

- To znaczy, że są biedni - powiedziałem, dumny, że zrozumiałem.

- Ma pani też drugie dziecko - zwróciła się pani do mamy. - Czy także ma FASD?

- Ona pyta o Maggie? - spytałem mamy, choć patrzyłem na panią.

- Tak, Maggie to moja córka. Będąc z nią w ciąży, nie piłam i urodziła się zdrowa.

- Maggie jest najlepszą siostrą na świecie - wyjaśniłem.

- Naprawdę?

- Ona też włożyłaby maskę tlenową najpierw mnie.

134

- Spójrz na jej włosy! - powiedziała panna Emma, kiedy Jamie złożył niemowlę w jej ramiona. - Tuż po narodzinach miałeś dokładnie takie same. Gęste, śliczne czarne loczki.

- Piękna, co? - Jamie usiadł obok matki na sofie. Od trzech dni, odkąd wróciliśmy do domu z dzieckiem, nie przestawał się uśmiechać. - Musisz zobaczyć, jak otwiera oczka! Patrzy prosto na ciebie.

-I są brązowe, jak twoje i Laurel? - Panna Emma przesunęła palcem po niemal przezroczystej skórze czoła niemowlęcia.

- W tej chwili raczej szare, ale pediatra twierdzi, że najprawdopodobniej będą brązowe.

Panna Emma spojrzała na mnie, siedząc w fotelu na biegunach.

- Pewnie jesteś w siódmym niebie, skarbie?

Byłam zbyt zmęczona, żeby się odezwać, więc zaprezentowałam ten sam uśmiech, który obnosiłam od trzech dni. Przykleiłam go do twarzy tuż po porodzie i jeszcze się trzymał. Działo się ze mną coś złego i na razie udawało mi się to ukryć. Patrzyłam na Jamiego i pannę Emmę, siedzących z matką na sofie, i miałam wrażenie, że to sen. Czułam się od nich oderwana, jakby coś nas rozdzieliło.

136

Gdybym chciała przejść z tego fotela na sofę, zajęłoby mi to parę dni.

Ciążę zniosłam nadspodziewanie dobrze. Nie licząc mdłości w pierwszych tygodniach i spuchniętych kostek pod koniec, czułam się doskonale. Dziecko urodziło się dwa tygodnie przed czasem i choć poród był cięższy, niż się spodziewałam, zdołałam przetrwać dziesięć godzin męczarni bez znieczulenia. O Jamiego martwiłam się niemal tak samo, jak o siebie. Przez ten swój „dar” wyglądał, jakby czuł każdy mój skurcz. Dziecko ważyło cztery kilo siedemset gramów i cieszyłam się, że nie poczekało z przyjściem na świat jeszcze dwóch tygodni.

Wiem dokładnie, kiedy zmieniałam się z kobiety zakochanej w swoim dziecku w kobietę, która nie wie, co to miłość. W szpitalu usłyszałam pierwszy płacz mojej córeczki i wyciągnęłam ręce między swoimi rozłożonymi nogami, chcąc jej dotknąć. Pielęgniarka położyła mi ją na piersi. Jamie pocałował mnie w czoło, gdy uniosłam głowę, żeby na nią spojrzeć, ale czułam się, jakbym patrzyła w długą, spiralną króliczą norę. Świat zaczął wirować i nagle zgasł.

Ocknęłam się w sali poporodowej, z Jamiem u boku. Powiedział, że miałam krwotok, ale nic mi nie grozi. Maggie jest zdrowa, a ja mogę jeszcze rodzić.

Prawie go nie słyszałam. Zatrzymałam się na słowie „Maggie”. Jaka znowu Maggie? Czułam bolesne skurcze w podbrzuszu i wydawało mi się, że dalej rodzę. To oszołomienie mnie przerażało. Jamie nie od razu doprowadził mnie do ładu.

Wzięłam dziecko na rękę dopiero trzydzieści sześć godzin po porodzie. Nie poczułam żadnego macierzyńskiego instynktu, nie rozpoznałam tej małej istotki, którą nosiłam w sobie przez dziewięć miesięcy. Nie miałam ochoty poznać jej ciała. Zero uczuć.

- Piękna, prawda? - Jamie stał przy łóżku rozpromieniony. Właśnie wtedy przyklepiłam do twarzy uśmiech. Teraz,

137

w domu, wszyscy sądzili, że powróciłam z tej króliczej nory. Tylko ja wiedziałam, że nadal tkwię gdzieś między czarną otchłanią a prawdziwym światem.

- Ma apetyt? - spytała panna Emma.

Jamie spojrzał na mnie, a to znaczyło, że musiałam jakoś wydusić z siebie nowe słowa.

- Mam... - Odkaslnęłam. - Mam kłopoty... Ona nie chce ssać...

Jak ja pragnęłam karmić! Pracując u pediatry, przyglądałam się z zazdrością i nadzieją matkom przystawiającym dzieci do piersi, by stworzyć tę tajną, świętą więź. Ale moje sutki były zbyt płaskie. W szpitalu pielęgniarki wychodziły ze skóry, żeby mi pomóc. Potem, przed moim wyjściem, pojawiła się konsultantka. Jakoś zdołałam zmusić dziecko do ssania, ale na ogół płakało bezradnie. Konsultantka zapewniała mnie, że dziecko jest odpowiednio odżywione, ale ja się martwiłam.

- A, no to karm z butelki - rzuciła panna Emma lekko, jakby to nie był żaden problem. - Ja tak karmiłam moich synów i wyrosli bez problemów.

Może Jamie, pomyślałam, co do Marcusa można by dyskutować. On nadal był karmiony butelką. Ale to przyzwolenie doprowadziło mnie do łez wdzięczności. Panna Emma pierwsza zachowała się tak, jakby rezygnacja z karmienia piersią nie była jakimś wielkim problemem.

- Mamo, to ważne - powiedział Jamie.

Zobaczyłam, że dziecko krzywi się w grymasie zapowia-

dającym płacz. Żołądek skręcił mi się w bolesny supeł.

- Ojej! - powiedziała panna Emma. - Co się dzieje, skarbie? - Uniosła dziecko i pomasowała mu plecy, ale wycie i tak się rozległo. - Ona chce do mamy, biedactwo. - Panna Emma oddała niemowlaka Jamiemu - już obchodził się z nim z większą wprawą niż ja - który podszedł do mnie.

- Spróbuję ją nakarmić. - Z największym wysiłkiem wstałam. Jamie włożył mi dziecko w objęcia i poszłam

138

do sypialni. Musiałam się znaleźć sama, nie z poczucia przyzwoitości, ale dlatego, że nie chciałam świadków swojej porażki.

W sypialni usiadłam na łóżku, opierając się o poduszki, i przystąpiłam do zmagania z dzieckiem, usiłując je zmusić do ssania. Ono płakało, ja też, w końcu zaczęło ssać, ale nie tak zachłannie jak inne niemowlaki. Nie okazywało zadowolenia z kontaktu z matką. Wyglądało na zrezygnowane, jakby ssało moją pierś dla świętego spokoju. Ale wolałoby się znaleźć gdziekolwiek indziej, byle nie ze mną.

Usłyszałam, że Marcus wraca do domu.

- Cześć, mamó. - Wyobraziłam sobie, jak przechodzi przez salon i pochyla się nad panną Emmą, żeby ją pocałować w policzek. - Co się dzieje? Widziałaś już moją bratanicę?

- Na miłość boską, Marcus! - zawołała panna Emma.

- Cuchniesz jak gorzelnia.

Dalszej części rozmowy nie usłyszałam, tylko szmer

przyciszonych głosów - także głosu jakiejś młodej kobiety

- i rozumiałam, że Marcus przyprowadził do domu kolejną dziewczynę. Wydawało się, że zmieniał je codziennie.

Zamknęłam oczy i skupiłam się na głosie w mojej głowie.

Twoje dziecko cię nie lubi.

Wiem. Wiem.

Nie umiesz go nawet nakarmić.

Wiem.

Dziecko oderwało główkę od mojej piersi, marszcząc nos w wyrazie, który mogłam zinterpretować tylko jako niesmak. W głowie kręciło mi się ze zmęczenia.

- Jamie! - zawołałam słabo.

Z salonu dobiegł śmiech.

Zebrałam siły i wydobyłam z siebie donośniejszy głos.

- Jamie!

Po chwili otworzył drzwi i zajrzał.

139

- Jak tam, w porządku?

- Możesz ją ponosić, żeby się jej odbiło? - spytałam. - Muszę się zdrzemnąć.

- Oczywiście. - Wziął ode mnie dziecko, a ja dałam nurka pod kołdrę i poddałam się zmęczeniu. Czułam grzeszną ulgę, że nie muszę myśleć o dziecku przez parę godzin.

Marcus wprowadził się do nas, kiedy byłam w szóstym miesiącu, i jego obecność stanowiła dla nas swego rodzaju błogosławieństwo. Jamie, działający w agencji handlu nieruchomościami, straży pożarnej i kaplicy, miał długie i nienormowane godziny pracy, a ja lubiłam towarzystwo Marcusa, nawet jeśli musiałam je dzielić z aktualną dziewczyną i paroma sześciopakami piwa. Jamie załatwił mu pracę na budowie, ale Marcus miał wieczory wolne i czasem, gdy wracałam od pediatry, podejmował mnie obiadem. Pomógł mi przerobić trzecią sypialnię na pokój dziecienny. Pomalował go na zielono i żółto i ustawił w nim kołyskę i komódkę. Już dawno zrezygnował z grania, ale puszczał w

swoim pokoju stereo tak głośno, że słyszałam je na pół kilometra, gdy spacerowałam po plaży, co robiłam niemal codziennie rano i wieczorem. Ściszał muzykę, jeśli go

o to prosiłam. W ogóle był posłuszny. Problem stanowiły nie nasze stosunki, lecz układ między Marcusem i Jamiem. Ścierali się ze sobą, aż iskry szły, i wkrótce dotarło do mnie, że tak się zachowywali przez prawie całe życie. W obecności Marcusa Jamie stawał się inną osobą. Powiedzieć o nim, że zawsze stara się wejść w cudze położenie, to mało. A jednak w stosunku do brata reagował, zanim zdążył pomyśleć. Za głośna muzyka? Jamie ryczał: „Ścisz to gówno!”. Jeśli Marcus wracał do domu w środku nocy, objając się o meble

i trzaskając drzwiami, Jamie wstawał, a ja zasłaniałam uszy poduszkami, żeby nie słyszeć wrzasków.

Zrozumiałam, że nie mam co się wtrącać w ich awantury. Trwały zbyt długo, a mój pojednawczy głos musiał

brzmieć w ich uszach jak nikłe, irytujące brzęczenie. Rodzice już dawno zaprogramowali ich rywalizację, wyróżniając starszego syna. Marcus oczywiście nie był aniołem i kiedy usiłowałam z nim rozmawiać o tym, jak się odnosi do Ja-miego, udawał głupiego. Za dużo pił. Choć miał dopiero dwadzieścia lat, sześciopaki piwa pojawiały się i znikwały z lodówki w takim tempie, że się gubiłam. Usiłowaliśmy zrozumieć, dlaczego rodzice wyrzucili go z domu.

- Wiedziałaś, jaki jest - powiedziałam do Jamiego podczas porannego spaceru na plaży. Był marcowy dzień, tak ciepły, że szliśmy po piasku boso. Trzymałam się za brzuch, dotykając dziecka, które tak bardzo chciałam poznać. - Wiedziałaś, że pije, imprezuje, rozrabia.

- Jest leniwy i nieodpowiedzialny.

- Wcale nie jest leniwy - sprzeciwiłam się, myśląc, jak mi pomagał w urządzaniu pokoju gościnnego. Ale z tym „nieodpowiedzialnym” nie mogłam się nie zgodzić. Parę razy Marcus nie zjawił się w pracy i majster zadzwonił ze skargą. Jamie, który załatwił bratu tę fuchę, oczywiście czuł się za niego odpowiedzialny.

- Dlaczego w ogóle chciałaś, żeby z nami zamieszkał? - spytałam. - Myślałaś, że go zmienisz?

Jamie przeczesał włosy palcami i spojrzał na morze.

- Myślałam, że zmienię siebie.

- Jak to?

- W dzieciństwie zawsze się kłóciliśmy. Nie przeze innie. Uważam, że stałem się dobrym człowiekiem, więc myślałem, że nauczę się go znosić. Ale daję słowo, to światowej klasy specjalista od doprowadzania mnie do szału.

- Wiem. - Mimo całej pomocy, jakiej udzielił mi Marcus, musiałam przyznać, że doprowadza Jamiego do ostateczności, jak zbuntowany nastolatek, który sprawdza, ile mu wolno.

- Może nie powinniśmy go do siebie zapraszać - powiedział Jamie.

141

- Powiedzieliśmy, że zostanie u nas pół roku - przypomniałam mu. - Wytrzymasz tyle?

Jamie skinął głową.

- Jeśli się przedtem nie pozabijamy.

Po narodzinach Maggie Jamie wziął trzy tygodnie urlopu z agencji nieruchomości i straży pożarnej. Ja potrzebowałam tyle samo czasu, żeby zacząć mówić do niej po imieniu. Po wizycie kontrolnej pediatra potwierdził moje podejrzenia: dokuczwała jej kolka. Przy okazji pobrał mi krew i stwierdził, że nadal mam anemię, co wyjaśniało moje nieustanne zmęczenie i bladość.

-I chyba ma panienka depresję poporodową - dodał. Nazywał mnie panną, jak w czasach, gdy u niego pracowałam. Przyjrzał mi się; uświadomiłam sobie, że tego ranka zapomniałam przykleić sobie uśmiech do twarzy. - Proszę się nie martwić - dodał. - Hormony same się uspokoją.

Opowiedziałam mu, jak trudno mi karmić. Co parę godzin Maggie i ja ścierałyśmy się w walce, po której obie byłyśmy wyczerpane, a co najmniej jedna płakała. Lekarz nie śpieszył się z doradzaniem mi przejścia na odżywianie butelką, ale coś w moim zachowaniu sprawiło, że się zdecydował.

- Pierwsze dwa tygodnie są najważniejsze - oznajmił. -I jeśli miały negatywny wpływ na panienki uczucia do niej i do siebie, zalecam odstawienie dziecka od piersi.

Skinęłam głową z ulgą. Teraz wszystko zmieni się na lepsze, pomyślałam. Nie będę się bać karmienia. Zacznę ją kochać.

Nic z tego. Maggie zaakceptowała butelkę łatwiej niż moją pierś, ale nadal zachowywała się tak, jakby mój dotyk ją drażnił. Kaprysiła bez względu na to, jak ją trzymałam. Uspokajałam ją, wkładając jej palec do buzi, ale kiedy dochodziła do wniosku, że z opuszki nie popłynie mleko, znowu zaczynała ryczeć.

142

W ramionach Jamiego zachowywała się zupełnie inaczej. Spała mu na ramieniu albo w zgięciu ręki. Zazdrościłam mężowi, że ma na nią taki wpływ, a jednocześnie oddychałam z ulgą, że coś w końcu położyło kres jej wyciu.

W przeddzień powrotu Jamiego do pracy błagałam go, żeby został jeszcze tydzień.

Leżeliśmy razem w łóżku, szepcząc, żeby jej nie obudzić, choć spała w drugim pokoju.

- Nie mogę - powiedział. - Jest pełnia sezonu, a mnie i tak za długo nie było w pracy.

- Błagam, nie zostawiaj mnie z nią! - W moim głosie brzmiała rozpacz. I słusznie, bo ją czułam.

- To twoja córka, nie wściekły pies.

- Tobie idzie z nią o wiele lepiej niż mnie!

- Wiem, że nie czułaś się dobrze. - Oparł się na łokciu i odgarnął mi włosy z twarzy. - Pochodź z nią trochę. Chyba nie dość często trzymasz ją w ramionach. Ona tego chce.

- Płacze, kiedy ją podnoszę.

- Wyczuwa twoje napięcie. Musisz się trochę bardziej rozluźnić.

- Kiedyś miałam dobrą rękę do dzieci - pożałowałam się. Przeczytałam chyba wszystkie poradniki pediatryczne i nagle wydawało mi się, że nic nie wiem. - Doktor Pear-son zawsze powierzał mi niemowlęta.

Jamie uśmiechnął się łagodnie.

- Odzyskasz ten dar. Miałaś kiepski początek, krwotok i tak dalej. Nie wymagaj od siebie za wiele.

I tak Jamie wrócił do pracy, a ja nie poczułam się lepiej, tylko gorzej. Sprowadzenie dziecka na świat było wielkim błędem i wyglądało na to, że tylko do mnie to dociera. Czasami patrzyłam na Maggie - płaczącą albo śpiącą, bez różnicy - i musiałam sobie przypominać, że to moje dziecko. Nie czułam się z nią związana. Tyle samo uczuć budził we mnie kawałek sera albo patelnia. Lub Jamie. Patrzyłam na niego i zastanawiałam się, jakim cudem wylądowałam

143

na tej wyludnionej wyspie z mężczyzną, do którego nic nie czuję.

Nagle przestrzeń i cisza wyspy, którymi się tak rozkoszowałam, zaczęły mnie dusić. Uświadomiłam sobie, że mam w okolicy bardzo niewiele przyjaciółek, a z tych, które mam, żadna nie jest młodą matką. Nadal miałam parę znajomych ze studiów, ale mieszkały w mieście. Jedyna, która miała dziecko, zadzwoniła pogratulować mi Maggie, ale jej entuzjastyczne zachwyty nad swoim synkiem upewniły mnie tylko, że nie jestem normalna.

Raz po raz przeproszałam Maggie.

- Zastępujesz na lepszą mamusię - mówiłam. - Przepraszam, że tak mi to źle idzie.

Marcus nadal proponował parę razy w tygodniu, że będzie gotować, ale jeśli był trzeźwy, oddawałam mu Maggie i sama robiłam obiad. Nawet on opiekował się moją córką lepiej ode mnie.

Kiedy Jamie wracał do domu z pracy, biegł zobaczyć najpierw Maggie, nie mnie. I słusznie. Dzięki temu mogłam się wczołgać do łóżka i nakryć głowę kołdrą - ucieczka pod pozorem drzemki.

Pewnego dnia podczas tego pierwszego tygodnia sam na sam z moją córką postawiłam ją w nosidełku na kuchennym blacie, podgrzewając jej butelkę w rondlu z wodą. Maggie krzyczała. Twarz miała czerwoną jak burak. Pilnowałam wody i nagle wyobraziłam sobie, jak stoję nad Maggie z nożem w ręce, jak przebijam nim jej ciało w biało--różowym pajacyku.

Zawyłam, cofając się od kuchenki, i przywarłam do drzwi spiżarni. Zobaczyłam komplet noży na blacie i chwyciłam go, zaniiosłam aż do pokoju Marcusa, gdzie ukryłam je pod jego łóżkiem. Jeśli będę miała tak daleko po nóż, zdążę sobie wyperswadować myśl o skrzywdzeniu Maggie.

Wróciłam do kuchni i podniosłam swoją córkę drżącymi rękami, wyjęłam butelkę z gorącej wody i usiadłam

144

w fotelu, żeby ją nakarmić. Uspokoila się, czując smoczek w ustach.

Pomyślałam o matkach, które krzywdzą swoje dzieci. O rodzicach, którzy potrząsają niemowlakami tak mocno, że uszkadzają im mózg. Przestraszyłam się. Czy jestem zdolna do czegoś takiego?

- Kocham cię - powiedziałam, kołysząc ją w ramionach, ale te słowa zabrzmiały jak kwestia ze sztuki.

- Muszę się wyspać - wymamrotałam z łóżka następnego ranka, kiedy Jamie się ubierał. Oboje byliśmy na nogach przez pół nocy, na zmianę chodząc z naszą cierpiącą przez kolkę córką.

- Zabiorę ją do pracy - oznajmił Jamie, zaskakując mnie. Nawet nie zastanawiałam się, jak mu się uda wytrzymać z nią w biurze. Odwróciłam się na drugi bok i zasnęłam. Ulga na myśl o dniu bez Maggie zagłuszyła poczucie winy. Wkrótce Jamie zaczął wychodzić z Maggie codziennie, a ja spałam. Zastanawiałam się przelotnie, co jego koledzy myślą o tej sytuacji, ale tak naprawdę mnie to nie obchodziło. Wiedziałam, że Jamie znajdzie jakiś sposób, żeby to wyjaśnić.

Na ogół czułam się oszołomiona, jakby ktoś dodawał mi narkotyków do wody. W tym sennym stanie roiłam o ucieczce. Mogłabym pojechać gdzieś, gdzie nikt mnie nie zna, i zacząć od nowa. Pewnego dnia poczułam ból w piersi i pomyślałam z nadzieją, że to zawał serca. Śmiertelny zawał położyłby kres temu odrętwieniu. Nie musiałabym już słuchać krzyku Maggie, prac ani martwić się, co zrobić na obiad. A Jamiemu i Maggie byłoby lepiej beze mnie. Nie miałam co do tego wątpliwości.

- Pamiętasz Sarę Weston? - spytał mnie pewnej niedzieli Jamie.

Nie od razu przypomniałam sobie to nazwisko.

145

- To ta kobieta, która parę razy przyszła do kaplicy na samym początku? - Nie byłam w kaplicy od narodzin Maggie i pięciokątny budynek na plaży koło naszego domu wydawał mi się odległy o całe kilometry.

- Tak. Dziś wróciła z mężem, Steve'em. Stacjonuje w Camp Lejeune. W każdym razie nie przychodziła, bo Steve nie był zainteresowany, ale w końcu go do tego namówiła.

- Podobało mu się? Jamie parsknął śmiechem.

- To chyba nie jego klimaty, choć zachowywał się przyzwoicie. Ale rzecz w tym, że Sara o ciebie pytała. Powiedziałem, że potrzebujesz pomocy przy Maggie, i zgłosiła swoją kandydaturę.

O nie, pomyślałam.

- Nie chcę obcej w domu.

- Wiem, że cię to nie cieszy. Ale ona może się zaopiekować Maggie, kiedy będę zajęty.

- Ledwie ją znamy. - Pomyślałam o nożach, które musiałam znowu przynieść do kuchni, żeby uniknąć pytań Jamiego i Marcusa. Sara Weston z pewnością nie jest tak niebezpieczna jak ja. - Jeśli nie budzi twoich oporów, to się zgadzam - powiedziałam.

Następnego dnia, we wtorek, nadal byłam w łóżku, kiedy Jamie zastukał do drzwi sypialni.

- Laurel? Przyszła Sara Weston. Wyjdź i przywitaj się. Zamknęłam oczy, usiłując znaleźć w sobie siłę.

- Zaraz wyjdę - odezwałam się za cicho.

- Co? - Jamie stał już za drzwiami.

- Za minutkę - powiedziałam głośniej.

Wstałam, włożyłam te same ciuchy co wczoraj i powlokłam się do salonu.

Sara wyglądała jak wtedy, gdy po raz pierwszy widziałam ją w kaplicy. Ale teraz letnie szorty i brzoskwiniowa

koszulka polo ukazywały jej muskularną budowę. Wyglądała jak dziarska, dobra mamuśka. Siedziała na sofie, trzymając Maggie na kolanach.

- Masz wspaniałe dziecko - odezwała się do mnie z uśmiechem.

- Dziękuję. - Przykleiłam uśmiech do twarzy i usiadłam w fotelu.

Jamie postawił przed nią szklankę herbaty.

- I bardzo mi się podoba wasz dom. Taki oryginalny...

- Dziękuję.

- Chciałam się z tobą spotkać, bo będę pomagać przy Maggie. Może masz jakieś specjalne instrukcje?

- Tylko... - wzruszyłam ramionami. - ...nie zabij jej... i w ogóle.

Oboje zrobili wielkie oczy. Parsknęłam śmiechem.

- Wiecie, o co mi chodzi. - Wiedziałam, że mówię jak wariatka, i nic mnie to nie obchodziło. Okropnie chciałam wrócić do łóżka.

- No dobrze. - Sara roześmiała się, zerkając na Jamiego. - Tyle chyba potrafię.

Miałam wizytę kontrolną u położnika w Hampstead. Kiedy skończył mnie badać, usiadłam, mnąc papierowy fartuch.

- Jestem ciągle strasznie zmęczona - powiedziałam.

- To typowa dolegliwość młodych matek. - Uśmiechnął się i podrapał po tyścinie. - Nadal ma pani lekką anemię. Bierze pani żelazo?

Przytaknęłam.

- Jak pani sypia?

- W nocy niezbyt dobrze. Zajmuję się wtedy małą, bo mąż bierze ją do siebie na dzień.

- Ale w dzień pani śpi? Znowu przytaknęłam.

- A jak apetyt?

146

147

- Prawie nie mam.

- Zdaje się, że oprócz anemii cierpi pani na łagodną depresję.

Nie spodobało mi się to pojemne słowo - „depresja”. Wiedziałam, że coś ze mną niedobrze, ale depresja wydała mi się zbyt prostackim terminem.

- Będzie lepiej, jak odeśpię zaległości.

- Chciałbym pani zaproponować prozac na próbę. - Wyjął z kieszeni bloczek recept. - Słyszała pani o tym?

Nowy cudowny lek antydepresyjny.

- Nie chcę prochów - powiedziałam. - Nie czuję się aż tak źle.

Zawahał się.

- W każdym razie proszę pamiętać, że jest dla pani dostępny, kiedy tylko pani zechce. I mogę panią skontaktować z terapeutą. Dobrze z kimś porozmawiać o swoich uczuciach.

- Raczej nie, dziękuję. - Jak mogłabym powiedzieć obcej osobie, że myślę o zamordowaniu swojego dziecka albo ucieczce z domu? Zamknąłyby mnie w wariatkowie i wyrzucił klucz.

Doktor wyciągnął rękę do klamki, ale jeszcze się odwrócił.

- Aha, mogą państwo znowu podjąć współżycie - powiedział, a ja zamaskowałam niechęć uśmiechem.

Tamtego popołudnia powiedziałam Jamiemu przez telefon, że nadal mam anemię.

- Czy doktor powiedział, że możemy się znowu kochać?

- Za parę tygodni. - Skrzywiłam się w duchu na to kłamstwo. - Powiedział, że jeśli chcę, mogę brać lek antydepresyjny, ale jeszcze go nie potrzebuję.

- Nie powinnaś brać prochów. Wyobrażałam sobie jego ponurą minę.

- Wiem.

- Musisz tylko nawiązać lepszy kontakt z Bogiem - oświadczył poważnie. - Straciłaś tę część siebie. Gdzie w tym tygodniu doświadczyłaś Boga?

Miałam ochotę dzielić go pięścią. Zrobiłabym to, gdyby stał obok mnie.

- Nigdzie - warknęłam. - Nie doświadczyłam Boga od sześciu długich, okropnych miesięcy.

Jamie nie stracił rezonu.

- No, to chyba nazwalibyśmy problem.

Parę tygodni później Sara wpadła do domu. Leżałam na sofie przed telewizorem, oglądając starożytną powtórkę „I Dream of Jeannie”, kiedy zapukała do rozsuwanych drzwi.

- Wejdz - powiedziałam. Niosła ciężki rondel.

- Schowam tę zapiekankę do lodówki - oznajmiła, idąc do kuchni.

- Gdzie mała? - spytałam.

- Zostawiłam ją u Jamiego. Wypełnia dokumenty w kaplicy. Chciałam z tobą porozmawiać.

O nie.

Sara przysunęła do sofy krzesło z jadalni. Wpatrywałam się w ekran telewizora. W tym odcinku Tony i Jeannie się pobierali, choć właściwie mnie to nie obchodziło.

- Jak się czujesz? - spytała.

- Dobrze.

Pochyliła się do mnie.

- Ale naprawdę?

Westchnęłam. Chciałam, żeby sobie poszła.

- Zmęczona.

- Co powiedział doktor?

- O czym?

- O tym zmęczeniu.

148

149

Drażniła mnie ta jej natrętna dociekliwość.

- Mam anemię - powiedziałam, choć przypuszczałam, że już minęła.

- Jamie mówił, że doktor zaproponował ci prozac.

- To moja prywatna sprawa.

- Jamie mi powiedział, bo martwi się o ciebie. Ma staroświecki stosunek do leków antydepresyjnych, ale wiesz, moja przyjaciółka z Michigan brała prozac i to jej naprawdę pomogło.

- Nie mam depresji, jestem zmęczona. Ty też byś była, gdybyś przez całą noc bawiła krzyczące dziecko.

- Laurel, jesteś pielęgniarką. Ja nawet nie skończyłam college'u, ale widzę, że masz depresję. Chcesz przespać życie. Jamie mówi, że nic cię nie cieszy. Zwłaszcza Mag-gie. - To ostatnie wyszeptła, jakby myślała, że ktoś nas podsłuchuje. - Taka... obojętność wobec własnego dziecka nie jest normalna.

Podniosłam na nią oczy.

- Chcę, żebyś wyszła.

- Przepraszam. - Wyprostowała się, choć nie zrobiła najmniejszego ruchu, żeby wstać. - Nie chciałam cię zdenerwować, ale chyba potrzebujesz pomocy. To nie w porządku, że zmuszasz Jamiego... - Cmoknęła z naganą i westchnęła. - Całkiem, jakby był samotnym ojcem. Świetnie się nią opiekuje, ale to dziecko nawet cię nie zna. Nie wie, kim jest jego matka.

Znowu usłyszałam skrzypnięcie rozsuwanych drzwi. Marcus wrócił na obiad. Sara w końcu wstała.

- Pewnie Marcus? - spytała, wyciągając rękę. - Jestem Sara Weston.

Marcus uściśnął jej dłoń. Czułam od niego zapach alkoholu, nawet nie ruszając się z miejsca.

- Opiekujesz się małą - odgadł Marcus.

- Tak. Wpadłam, żeby...

- Żeby mi powiedzieć, że jestem wariatką i gównianą matką - wtrąciłam.

- Laurel! Nie to miałam na myśli.

- Prosiłam, żeby wyszła, ale nie chciała - zwróciłam się do Marcusa, niemal nie wierząc we własną niegrzeczność.

- Powinnaś już iść - powiedział do niej Marcus. Sara uniosła rękę, jakby nas uspokajając.

- Idę - oznajmiła, kierując się do drzwi. W progu jeszcze się obejrzała. - Zapiekankę trzeba wstawić na pół godziny do piekarnika, sto osiemdziesiąt stopni.

Tej nocy Maggie zachorowała. Z nosa jej ciekło i pewnie bolało ją gardło, bo krzyczała od dziewiątej wieczorem do drugiej rano. Do tego czasu Jamie i ja byliśmy już kompletnie wyczerpani. Zapadłam w sen tak głęboki, że kiedy zadzwonił telefon, myślałam, że to alarm przeciwpożarowy, i popędziłam do pokoju dzieciennego - jeden maleńki, wyjątkowy dowód, że moja córeczka nie jest mi obojętna.

Wróciłam do sypialni w chwili, gdy Jamie podnosił słuchawkę telefonu na nocnej szafce. Wysłuchałam tej niepełnej rozmowy i zrozumiałam, że po drugiej stronie jest Marcus.

- Nie, do cholery, możesz tam poczekać do rana! - krzyknął Jamie, rzucając słuchawką.

Usiadłam na łóżku.

- Marcus?

- Mam go dość! - Jamie wstał i otworzył szufladę komody, z której wyjął podkoszulek. - Znowu go zatrzymali za jazdę po pijaku - wyjaśnił. - Siedzi w areszcie w Jacksonville. Chce, żebym zapłacił za niego kaucję.

- Jedziesz?

- Tak - mruknął ze zmęczeniem. - Nie mogę go tam zostawić. Ale koniec z tym, Laurel. Mam dość. Marcus musi odejść.

150

151

Przyznałam mu rację. Wyrzucenie Marcusa z domu było nieuniknione od samego początku.

- Myślałem o tym. - Jamie usiadł na łóżku, żeby włożyć sandały. - Bardzo się przyczynił do problemu.

- Jakiego problemu?

- Twojego. Twojego zmęczenia i wszystkiego innego. Musisz się martwić o niego, nie tylko o Maggie i o mnie. Musisz po nim sprzątać. Nigdy nie można przewidzieć, co zrobi, jaką kobietę przyprowadzi. Budzi dziecko tą swoją muzyką. Nie trzeźwieje. Kiedy ostatnio widziałas go trzeźwego?

Zaczęłam się zastanawiać, ale potem dotarło do mnie, że Jamie nie czeka na odpowiedź.

- To przez niego nie możemy się stać rodziną - ty, ja i Maggie. Miarka się przebrała. Mam dość. Wielki eksperyment „Ratujmy Marcusa przed nim samym” dobiegł dziś końca.

Następnego dnia Marcus opuścił naszą chatkę. Spakował stereo, płyty, ubrania i piwo i wprowadził się do jednej z wielu posiadłości ojca - Talosa, domu tuż obok naszego.

Po raz pierwszy od pożaru wypłynąłem o świcie kajakiem na zatokę. Na tafli wody nie było ani jednej zmarszczki. W powietrzu pachniało mułem i solą. Przez czterdzieści minut intensywnego wiosłowania zdołałem wyrzucić z pamięci pożar. Tutaj czasami czułem trochę to, co Jamie nazywał „doświadczeniem Boga”. Wtedy myślałem, że chrzani głupoty. Teraz chciałem mu powiedzieć, że się myliłem.

Mieszkałem w przerobionej na dom wieży, pozostałej po starej Operacji Trzmiel. Wróciłem do niej w samą porę, żeby zobaczyć wywiad Andy'ego i Laurel w „Today”. Na wszelki wypadek go nagrywałem, ale kręciło mnie oglądanie ich na żywo. Kolano Andy'ego przez cały czas podskakiwało, ale odpowiadał na pytania Ann Curry jak zawodowiec. Laurel oczywiście wtrąciła swoje trzy grosze. Maggie już wysłała mi mejla o wpadce z zapalniczką, ale i tak serce mi się ścisnęło, kiedy Laurel opisała to na wizji. Będę musiał porozmawiać z Andym o paleniu. Oboje wypadli fantastycznie. Laurel miała rozpuszczone włosy i często się uśmiechała, co mi uświadomiło, że przy mnie tego nie robi. A Andy był przystojny. Ale wyglądał na dwanaście, nie piętnaście lat.

Potem wróciłem do rzeczywistości remizy. Nalałem sobie pierwszy kubek kawy i szedłem właśnie do swojego

gabinetu, kiedy wpadłem - dosłownie - na zacnego starego wielebnego Williama Jespersona. Na ogół schodzimy sobie z drogi, ale tym razem moje ramię, wbite w jego pierś, nam to uniemożliwiło.

- Przepraszam. - Dobrze, że nie oblałem go kawą. Wielebny nie byłby od tego, żeby mnie pozwać.

Spojrzał na gabinet Pete'a.

- Komendant u siebie? - spytał.

- Właśnie wyszedł - odpowiedziałem. - Chodzi o pożar? Bo jeśli tak, to powinien pastor porozmawiać ze mną.

O, to mu się nie spodobało.

- Dobrze, wiesz, Lockwood, że nie będę z tobą rozmawiać, więc powiadom Pete'a, żeby do mnie zadzwonił.

Pete wybrał sobie akurat ten moment, żeby wejść do remizy z kawą i torbą ciastek z Jabeer's. Zatrzymał się i powiódł wzrokiem od wielebnego do mnie i z powrotem.

- Mogę pomóc? - spytał.

- Macie jakieś poszlaki? - spytał wielebny Bill.

- Wiesz, że ci powiemy, kiedy tylko się czegoś dowiemy.

- Akurat, wiecie więcej, niż mówicie, a ja mam prawo do informacji, co wykazało śledztwo. Może nie?

- Dochodzenie jeszcze się toczy - powiedziałem. - Nie ma nic konkretnego.

Delikatnie mówiąc.

- Widziałeś jego bratanka w telewizji? - Wielebny Bill wskazał mnie głową.

- Przegapiłem. - Pete pociągnął łyk kawy. Wiedziałem, że nie może się doczekać, kiedy zabierze się do tego czegoś w torbie.

- Bardzo pouczająca rozmowa. Wiedziałeś, że wyrzucili Andy'ego Lockwooda z samolotu, bo ukrył zapalniczkę w skarpecie?

Pete spojrzał na mnie z uniesionymi brwiami.

- Andy?

A to sukinsyn.

- Nie wyrzucili go, Pete, wiesz, jaki jest Andy. Zobaczył tablicę, że nie można wносить na pokład zapalniczek, więc ukrył swoją w skarpecie.

-I nie pozwolili im wejść do samolotu - dokończył wielebny Bill.

- Ochrona porozmawiała z nimi, więc spóźnili się na samolot. Polecieli następnym.

Pete patrzył na nas z otwartymi ustami.

- Chłopak nosi przy sobie zapalniczkę - powiedział z naciskiem wielebny Bill. -I nagle okazuje się, że jest wielkim bohaterem. Czy to nie podejrzane?

- Andy eksperymentuje, jak każdy piętnastolatek - odparłem. - Pastor nie palił w dzieciństwie?

- Otóż nie. Uważałem, że to obrzydliwe, i nadal tak uważam.

Gówno prawda. Dorastał w stanie słynącym z produkcji tytoniu i nigdy nie zapalił?

- Na razie nikogo nie wykluczamy - oznajmiłem.

- Panie Lockwood, rozmawiam z Pete'em. - Wielebny przeszył mnie nienawistnym spojrzeniem.

- Doceniam inicjatywę - wtrącił Pete. - Tak jak powie_ dział Marcus, nikogo nie wykluczamy. - Zaprowadził wielebnego do drzwi, ściskając torbę z kawiarni w żelaznym chwycie. - Jeśli przyjdą ci do głowy inne myśli, nie wahaj się nas o nich powiadomić.

Wielebny Bill nie dał się wyprosić.

- Wiesz, łatwo wam to tak lekceważyć. To nie wasz kościół spłonął.

Teraz mnie wkurzył.

- Zginęły trzy osoby - rzuciłem. - Nie lekceważyliśmy pożaru, kiedy z nim walczyliśmy, i na pewno nie lekceważymy go teraz. - Odwróciłem się i pogalopowałem do swojego gabinetu, buchając parą z uszu.

Jak dla mnie, wielebny Bill też był podejrzany. Od lat kwękał i narzekał na swój stary zrujnowany kościół, a jego

155

kongregacji nadal brakowało sporo pieniędzy na budowę nowego budynku. Czemu nie miałyby podpalić kościoła, zgarnąć ubezpieczenia i rzucić winy na jakieś niewinne dziecko? Andy stanowił idealną ofiarę. Ale ta teoria nie trzymała się kupy. Nawet wielebny Bill nie był tak szalony, żeby spalić kościół razem z dziećmi. Ani tak głupi. Prawnicy już sprawdzali, czy doszło do zaniedbania. A agent Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej i Materiałów Wybuchowych powiedział, że zacny pastor przebywał w chwili pożaru w domu swego parafianina. Żelazne alibi, dodał.

Na razie zebrano za mało dowodów. Posłaliśmy do laboratorium próbki ocalałych desek. Wyglądało na to, że polano je benzyną i olejem. Od razu zapaliło się nam światełko ostrzegawcze: taką samą mieszaninę znaleziono po pożarze w Wilmingtonie. Ten stary kościół czarnych miał zostać przerobiony na muzeum, więc podejrzewano zbrodnię na tle rasowym. Ale budynek był pusty. Nikt nie ucierpiał. Ten pożar wydawał się zupełnie inny.

Ślady ognia zdradzały, że płyn rozlano dookoła budynku, tak jak podejrzewałem. Ominięto tylko miejsce między klimatyzatorem, na który wyskoczył Andy, a budynkiem.

- Dlaczego ten facet cię tak nienawidzi? - Pete wszedł do mojego gabinetu i usiadł naprzeciwko mnie. Wyjął z torby jagodową babeczkę i ugryzł kęs. Pete przyjechał do nas rok temu z Atlanty. Nie znał historii wyspy.

- Nienawidził mojego brata, a mnie się obrywa z racji pokrewieństwa. - Nie dodałem, że wielbny Bill, podobnie jak paru innych, mnie też uważa za mordercę.

- Twojego brata, który założył tę kaplicę Wolnych Poszukiwaczy?

- Aha. Stary Bill nie lubił mieć konkurencji.

- Myślisz, że należy się o niego martwić? Spojrzałem na niego znad kubka.

- O Andy'ego?

156

Skinął głową.

- Pali?

- Nie sądzę. Mógł nosić zapalniczkę, żeby się wydawać fajniejszy. Żeby się nie wyróżniać. Jedno wiem na pewno: Andy nigdy nikogo umyślnie nie skrzywdził.

- Ale pobił się z tamtym chłopakiem... Keithem Westonem. - Pete wytarł palce serwetką. - Nieźle go wytarmosił.

- Pete - rzuciłem ze śmiechem. - Nie tędy droga.

Nie zdołaliśmy przesłuchać tylko dwóch osób obecnych na zabawie: Keitha Westona, nadal utrzymywanego w farmakologicznej śpiączce, i Emily Carmichael. Emily przeżywała pourazowy szok i nie zgodziła się na nas nawet spojrzeć, nie mówiąc o rozmowie. Ale tego popołudnia zadzwoniła do nas Robin Carmichael, mówiąc, że jej córka wydobrzała na tyle, żeby odpowiedzieć na nasze pytania. Z samą Robin, która pracowała jako opiekunka podczas zabawy, już rozmawialiśmy.

- Możesz ją przyprowadzić po szkole? - Trzymałem słuchawkę między brodą a ramieniem i przesypywałem orzeszki z paczki do butelki coli.

- Ona nie chodzi do szkoły - odpowiedziała Robin. - Boi się rozłąki, że coś okropnego. Nie odstępuję mnie na krok. Ale możesz z nią porozmawiać tutaj, jeśli ci to odpowiada.

Przebrałem się w cywilne ciuchy i wstąpiłem po Flipa Catesa, prowadzącego to śledztwo detektywa z Surf City. Doszedłem do wniosku, że Emily zniesie naszą rozmowę łatwiej, jeśli nie będę miał na sobie munduru. Flip najwyraźniej wpadł na ten sam pomysł, więc kiedy wkroczyliśmy do salonu Carmichaelów w Sneads Ferry, z ciemną boazerią i zamglonym lustrem nad sofą, wyglądaliśmy jak przeciętni przechodnie.

- Emily, pamiętasz wujka Andy'ego - powiedziała Robin. - A to jest detektyw Cates.

- Cześć - powiedziałem, zajmując z Flipem miejsce na sofie.

Emily siedziała na starym, wytartym fotelu, złożwszy ręce na kolanach. Patrzyła na mnie zdrowym okiem. Miała na sobie różowy podkoszulek, odwrócony na lewą stronę, i białe rybaczki. Na stopach ani butów, ani skarpetek.

Za każdym razem, gdy spotykałem Emily, robiło mi się żal jej i jej rodziców. Pomimo zeza i zoperowanego rozszczepionego podniebienia mogła być ładna. Czy nie mogli zoperować tego oka? Dać jej szansę na normalne życie? Ale w tym domu brakowało pieniędzy. A Emily nie mogła liczyć na zbytnią normalność.

- Robin, możemy porozmawiać z Emily sami? - spytałem.

- Nie! - załkała dziewczynka. No cóż, warto było spytać.

Robin wzruszyła przepraszająco ramionami i usiadła na otomanie obok córki.

- Opowiedz nam wszystko, co zapamiętałaś od czasu, kiedy przysłaś na zabawę - poprosił Flip.

Emily spojrzała na matkę.

- Przenieśli ją - oznajmiła.

- Zgadza się - powiedział Flip. - Zauważyłaś coś niezwykłego, kiedy dotarłaś do kościoła?

- Poszliśmy piechotą.

- Tak. Z klubu młodzieżowego. - Flip trzymał na udzie otwarty notes, ale na razie nic w nim nie zapisał.

- Widziałaś w kościele kogoś nieznanego?

- Nie znałam wielu osób. Przyjechały z najróżniejszych miejsc.

- Widziałaś, żeby ktoś coś rozlewał albo rozpylał przed kościołem?

Pokręciła głową.

- Co zrobiłaś po wejściu do kościoła? - spytał Flip.

- Jak to?

- Bawiłaś się? Z kim rozmawiałaś?

- Z Andym. - Spojrzała na mnie, jakby przypomniawszy sobie, że mam z nim coś wspólnego.

- Byłaś z Andym cały czas? - spytałem. - Tak.

- Szłaś z nim, nawet kiedy opuściłaś klub młodzieżowy?

- Tak...

- Nie, kochanie - przerwała Robin.

- O, nie! - poprawiła się Emily. - W rzeczywistości - powiedziała wyraźnie, oddzielając każdą sylabę - szłam z mamą.

Robin skinęła głową. -Tak.

Wiedziałem, że Robin w drodze do kościoła czuła zapach benzyny. Powiedziała to policji w noc pożaru, ale dodała, że nie wie, czy to nie z czyjegoś samochodu albo z łodzi. Powietrze nią pachniało.

- Andy'emu spodobała się jedna dziewczyna - dodała Emily. - Tańczyła z takim chłopcem, Keithem. Znasz Keitha?

Patrzyła na mnie, ale także Flip kiwnął głową. Znaliśmy wszystkie szczegóły bójki. Takie rzeczy zapamiętała większość przepytanych przez nas ludzi.

- Andy zaczął się z nim bić - ciągnęła Emily. - Nie znoszę bójek.

Flip spojrział w notes.

- Czy przypadkiem zauważyłaś kogoś przed kościołem na godzinę przed pożarem?

- Jak? Cały czas byłam w środku.

- Słusznie. - Flip przesunął dłonią po obciętych na jeża włosach. - Zauważyłaś, żeby ktoś opuścił kościół po zamknięciu drzwi?

- Oprócz Andy'ego? Co?

159

Flip i ja zawahaliśmy się z następnym pytaniem.

- Andy wychodził z kościoła po zamknięciu? - spytał Flip po chwili.

Emily przytaknęła.

- Mówiłam mu, że nie wolno, ale Andy czasami nie rozumie.

- Mówisz o tym, jak Andy wyszedł w trakcie pożaru? - spytałem. - Wiesz, kiedy wyskoczył przez okno w łazience?

Emily zerknęła na matkę.

- O to ci chodzi, skarbie? - spytała Robin. - To wtedy Andy wyszedł?

- Wyszedł, kiedy ludzie zaczęli tańczyć. Nie mogłam go znaleźć.

Spojrzałem na Flipa.

- Pewnie wtedy po raz pierwszy wszedł do łazienki i zauważył ten klimatyzator na zewnątrz - powiedziałem.

- Nie - odezwała się Emily. - To było innym razem, bo kiedy on poszedł do łazienki dla chłopców, ja poszłam do łazienki dla dziewczyn. Ale potem znowu wyszedł i chciałam znaleźć mamę, żeby jej powiedzieć, ale on już wrócił, więc tylko powiedziałam: „Nie rób tego więcej”.

Czy to możliwe, że nie znam Andy'ego tak dobrze, jak mi się zdawało? Idiotyzm. Andy nie zdołałby zrobić mieszanki benzyny i oleju, przewieźć jej do kościoła i rozlać wokół niego. Dziecko, które potrafi źle zrozumieć komunikat: „Nie wnosić zapalniczek na pokład samolotu”, nie mogłoby zaplanować podpalenia i w dodatku zrealizować tego planu.

- Spytałaś, gdzie był? - spytał Flip.

- Nie, tylko na niego nakrzyczałam.

- Emily, Andy zniknął przed bójką z Keithem czy po niej?

- Nie pamiętam. - Spojrzała na matkę. - Pamiętasz, mammo?

160

Weszłam do lobby hotelu Chapel Hill i z ulgą przekonałam się, że jest przestronny i ładnie urządzone, z wielkimi wazonami kwiatów we wszystkich możliwych miejscach. Martwiłam się, czy Sara może sobie pozwolić na tak długie pozostawanie w hotelu w tak drogiej okolicy, ale podejrzewałam, że szpital Keitha wynegocjował tu jakieś zniżki. Przynajmniej taką miałam nadzieję.

Wczoraj zdecydowałam, że muszę się spotkać z Sarą. Od pożaru minęły prawie dwa tygodnie. I tak długo się nie widziałyśmy. Musiałam się przekonać, czy nic się jej nie stało, i pozbyć się obaw, czy Sara nie ma do mnie pretensji o różnicę w naszych finansach. Kiedy uprzedziłam ją telefonicznie, że przyjadę, przez chwilę milczała. Ulżyło mi, gdy powiedziała, że cieszy się na nasze spotkanie. Poprosiła, żebym jej przywiozła parę ubrań i innych rzeczy. Ucieszyłam się, że mogę jej pomóc choćby w takich drobiazgach. Bardzo za nią tęskniłam.

Miałam się z nią spotkać w hotelowej restauracji. Stanęłam w wejściu, zaglądając do środka na wypadek, gdyby Sara przyszła pierwsza.

- Witaj, nieznajoma.

Odwróciłam się i musiałam ukryć wstrząs. Sara należała do kobiet, które nawet po kartofle wychodzą w pełnym

162

makijażu. Teraz nie miała nawet śladu pudru na twarzy. Była blada, bezbarwna, wynędzniała niemal jak szkielet. Przez te dwa tygodnie bardzo schudła. Na włosach, którym przydałby się fryzjer i chyba mycie, pojawiły się ciemne odrosty.

Chwycałam ją w objęcia i mocno przytuliłam.

- Kocham cię - powiedziałam, niespodziewanie dla samej siebie ze łzami w oczach. - Bardzo za tobą tęskniłam i martwiłam się o ciebie.

- Też cię kocham - odpowiedziała. - To strasznie miłe, że jechałaś prawie trzy godziny tylko po to, żeby zjeść ze mną obiad.

Puściłam ją niechętnie. Uśmiechnęła się do mnie.

- Daję radę, Laurie - dodała, wycierając mi łzę z policzka. - Trzymam się.

Kelnerka zaprowadziła nas do stolika w głębi restauracji, jakby wyczuwała, że potrzebujemy prywatności. Sara rozejrzała się, siadając.

- Jaka to ulga wyrwać się na chwilę ze szpitala. W sali jest ze trzydzieści stopni. Dobrze, że przyjechałaś.

- Powinłam przyjechać wcześniej. Jak się czuje Keith? Sara westchnęła ze znużeniem.

- Trochę lepiej. Przynajmniej tak mówią. Trudno stwierdzić, bo nadal utrzymują go w śpiączce, ale wszystkie funkcje życiowe się poprawiły. Lekarze są pewni, że przeżyje.

Uścisnęłam jej przegub.

- To wielka ulga. Skinęłam głową.

- Prawą stronę twarzy ma nietkniętą. Lewa jednak jest poważnie poparzona. Będzie miał bliznę, ale na razie chcę tylko, żeby przeżył.

- Oczywiście, kochanie.

Kelnerka przyniosła nam szklanki z wodą i menu.

163

- Chciałabym z nim porozmawiać - odezwała się Sara po jej odejściu. - Tęsknię za nim.

- Powinnaś do niego mówić. Może cię słyszy?

- O, mówię! Nieustannie. Że go kocham i za nim tęsknię i... przepraszam, że niezbyt się spisałam.

- Przestań, jesteś doskonałą matką.

- To dlaczego ciągle pakuje się w kłopoty?

- Oj, wcale nie ciągle... - Pragnęłam ją pocieszyć, ale prawda wyglądała tak, że można być najlepszym rodzicem świata, a dziecko i tak zrobi, co zechce.

- Ty też jesteś samotną matką, a spójrz na Maggie! Tylko o rok starsza od Keitha, a dojrzała o co najmniej pięć lat.

- Jest dziewczyną. I obie wiemy, że stała się taka dzięki Jamiemu.

Sara spuściła wzrok na menu.

- Nie bądź dla siebie taka surowa. Jamie umarł, kiedy Maggie miała osiem lat.

- Dziękuję. Nie chcę, żebyś w sobie wątpiła, i tyle.

- Wiem.

- Kontaktowałeś się ze Steve'em?

Spojrzała na mnie z zaskoczeniem. Pokręciła głową.

- Nie sądzisz, że powinien wiedzieć?

- Nie. Jest... sama wiesz, jakim jest ojcem. Wiedziałam. Steve i Sara rozwiedli się, kiedy Keith miał zaledwie roczek. Od tego czasu Steve nie zainteresował się synem. Czasami trzeba tragedii, żeby ludzie się ocknęli. Ale ta decyzja należała do Sary. Sama nie wiedziałam, co bym zrobiła na jej miejscu.

Kelnerka wróciła do stolika. Sara zamówiła zupę, ja sałatę i gotowaną pierś kurczaka, której nie było w menu i do której przyrządzenia musiałam poprzez kelnerkę namówić kuchnię. Sara uśmiechnęła się pod nosem. Wiedziała, dlaczego tak obsesyjnie przestrzegam zdrowej diety, codziennie biegam i regularnie robię sobie mammografię,

cytologię i szczepienia przeciw grypie. Byłam sierotą. Moje dzieci już straciły jednego rodzica. Nie zamierzałam pozbawić ich drugiego.

- Nie mam apetytu - odezwała się Sara po odejściu kelnerki.

- Schudłaś.

Uśmiechnęła się niewesoło.

- Każda sytuacja ma swoje plusy, co?

Od wielu dni ćwiczyłam to, co miałam powiedzieć teraz.

- Czy między nami jest wszystko dobrze?

- Oczywiście. Dlaczego pytasz?

- Bo... Kiedyś codziennie rozmawialiśmy, a po pożarze wszystko się zmieniło. Oddaliłaś się.

- Jestem teraz całkowicie skupiona na synu. Przepraszam, jeśli...

- Nie - przerwałam. - To moja wina. Zachowuję się jak paranoiczka. Może nawet nie wiesz, bo wyjechałaś, ale Keith... na potańcówce parę razy nazwał Andy'ego małym bogaczem. Martwię się, że mogło ci przeszkadzać, iż sytuacja moja i dzieci jest bardziej...

- Laurel - przerwała Sara z uśmiechem. - To nigdy nie było naszym problemem, głuptasie. Nie do wiary, że się o to martwisz.

Po obiedzie Sara wróciła do szpitala, a ja patrzyłam za nią tak długo, aż znikła mi z oczu. Potem podeszłam do recepcji. Miałam nadzieję, że naprawdę nie zazdrości mi pieniędzy, bo zamierzałam zapłacić za jej pokój.

Podałem młodzieńcowi za kontuarem swoją kartę kredytową.

- Chciałabym zapłacić rachunek Sary Weston. Mieszka w pokoju czterysta trzydzieści dwa.

Postukał w klawiaturę, wpatrzony w ekran.

- Już się tym zajęto.

164

165

- Pewnie ma pan numer jej karty, ale nie chcę, żeby płaciła za pokój z własnych pieniędzy. Chciałabym to zrobić za nią.

- Już się tym zajęto, proszę pani - powtórzył z uśmiechem. - Ktoś panią uprzedził.

Pierwszy rok życia Maggie przeminął mi jak we mgle. W maju wyprawiliśmy jej urodziny w Morskim Strażniku. Ja zapomniałam dokładnej daty, Jamie nie. Zaplanowałam wszystko, zaprosiłam Sarę ze Steve'em, Marcusa, który obecnie mieszkał tuż obok nas, ale tak często u nas bywał, jakby wcale się nie wyprowadził, a także pannę Emmę. Przyszło też paru kolegów Jamiego z pracy oraz ich żony. Wszyscy zdawali się dobrze znać Maggie, bo Jamie nadal woził ją wszędzie ze sobą. Tata L. zmarł w zimie na ostre zapalenie płuc. Zauważyłam u panny Emmy mechaniczne ruchy kobiety w żałobie. Zachowywała się jak ja. Obie obnosiłyśmy uśmiechy, które nie sięgały oczu. Jedyna różnica między nami polegała na tym, że ona miała prawo do rozpacz, ja nie. Wiem, że za plecami nazywała mnie leniuchem, i pewnie uważała, że robię dokładnie to, czego przysięgłam się wystrzegać: wykorzystuję dobre serce jej syna.

Wykonywałam obowiązki matki jak robot, bezduszna maszyna, ledwie snująca się po domu i w każdej chwili mogąca się ostatecznie zepsuć. Maggie już umiała chodzić; wykrzesalam z siebie energię, by zabezpieczyć wszystkie szafki i szuflady w domu. Bałam się, że ledwie się odwrócę, mała zginie w wypadku. Nie dowierzałam, że jestem zdolna

167

do opieki nad nią. Miotalam się od sporadycznego życzenia jej śmierci do przerażenia, że przeze mnie straci życie. Jeśli zostawałam z nią w domu sama, co się zdarzało tylko wtedy, gdy Jamie nie mógł jej ze sobą zabrać, a Sara miała inne zajęcia, zwlekałam się z łóżka i usiłowałam się zająć tą małą ciemnooką obcą istotą, która była moją córką. Chodziłam za nią po domu jak cień, a kiedy zapadała w drzemkę, raz po raz sprawdzałam, co się z nią dzieje. Ale nie udawało mi się długo nad nią czuwać; swoja potrzeba ucieczki w sen była zbyt silna. Zmęczenie, które poczułam po narodzinach Maggie, nigdy nie ustępowało, choć nie miałam już anemii. Zaczęłam ukrywać przed doktorem swoje objawy. Nie obchodziło mnie, czy wyzdrowieję, tak daleko to zaszło. Nie obchodziło mnie, co się ze mną dzieje. Czasami nadal marzyłam o ucieczce, żeby Jamie znalazł normalną kobietę, która będzie lepszą matką dla Maggie.

Sara przekonała w końcu Jamiego, że potrzebuję „profesjonalnego wsparcia”, i przez kilka miesięcy oboje nękali mnie w tej sprawie. Jamie umówił mnie nawet z psychiatrą z Jacksonville i zawiózł mnie do niego, żebym nie mogła się wykręcić. Ale na miejscu skończyło się na tym, że lekarz siedział i

patrzył na mnie, a ja na niego. Nie płakałam. Łzy mi się skończyły. Psychiatra powiedział Jamieemu, że może mnie umieścić w klinice na parę dni, ale Jamie nie miał serca mi tego zrobić.

Maggie mnie nie lubiła. Bałam się tego od samego początku i moje obawy się urzeczywistniły. Czy mogłam jej mieć to za złe? Płakała, kiedy przejmowałam ją od Jamiego, czasami darła się, jakby moje ręce były z zimnego metalu, nie z krwi i ciała.

- Tata! - wrzeszczała, wyciągając ręce do Jamiego. - Tata!

Do pierwszych urodzin znała pięć słów, zrozumiałych dla innych. Tata. Bi, co oznaczało smoczek. Pansa, co miało znaczyć „panna Sara”. Nana - banan. I wo - woda. Dla mnie nie miała nazwy.

Sara stała się dla mnie kimś w rodzaju przyjaciółki, choć początkowo usiłowałam ją odtrącić. Przynosiła nam posiłki, czasem robiła zakupy i podpowiadała mi, jak mam sobie radzić z rozwijającą się osobowością Maggie. Nie miała własnych dzieci, ale lepiej ode mnie umiała matkować mojej córce.

Pewnego ranka, gdy Jamie został wezwany do remizy, a ja zostałam sama z Maggie, doznałam nagłego przyływu energii i postanowiłam zabrać ją na plażę. Był wrzesień, ciepły i słoneczny.

Maggie krzyczała przez cały czas, kiedy ubierałam ją w różowy kostium kąpielowy z falbankami.

- Pójdziemy na plażę i zbudujemy zamek z piasku - tłumaczyłam. - To świetna zabawa!

Ręce mi się trzęsły, gdy zakładałam jej ramiączka. Która matka denerwuje się, ubierając półtoraroczne dziecko? - pomyślałam z niesmakiem.

Maggie darła się, kiedy smarowałam ją kremem z filtrem, ale na tarasie się uspokoiła. Wzięłam jej wiaderko i łopatkę i zeszliśmy po schodkach, trzymając się za ręce. Usiadłyśmy na mokrym piasku nad wodą i zbudowałam mały zamek, żeby ją rozerwać, ale wołała biegać po brzegu, o który rozbijały się małe falki.

Ozdabiałam właśnie zamek kawałkami muszelek, kiedy Maggie nagle krzyknęła. Podniosłam wzrok; znieruchomiała, zgięta w pół.

- Tata! - ryknęła.

Podbiegłam do niej. Z jej dłoni sączyła się krew.

- Co zrobiłaś? - Chwyciłam ją za rękę. - Co się stało? Zauważyłam wystającą z piasku wąską, najeżoną drzazgami deskę, obmywaną przez fale. Wzięłam ją drugą ręką i zauważyłam wystający z deski zardzewiały gwóźdź.

- Tata! - wrzasnęła znowu Maggie. Krew z jej dłoni spływała na moją.

Chwyliłam ją w ramiona i pobiegłam z nią do chatki. Maggie wyła mi prosto w ucho, gdy otworzyłam drzwi i popędziłam do kuchennego zlewu.

Odwróciłam się, słysząc kroki na tarasie. Zobaczyłam przez okno Marcusa. Parę dni temu wyrzucono go z pracy, kiedy zjawił się w niej zawiany i spadł z dachu. Teraz ucieszyłam się, że jest bezrobotny i siedzi w domu. Potrzebowałam pomocy.

Otworzył drzwi.

- Co się stało?

- Skaleczyła się zardzewiałym gwoździem! - rzuciłam, odkręcając wodę.

Marcus podszedł do nas szybko.

- Szczęście, że jej mama jest pielęgniarką.

Fakt, byłam pielęgniarką. Prawie o tym zapomniałam. Całkiem jakby to jakaś inna kobieta skończyła szkołę pielęgniarską i pracowała w gabinecie pediatrycznym. Jakaś szczęśliwa, zdolna kobieta.

Maggie darła się, usiłując się wyrwać z moich ramion, obryzgując wszystko krwią.

- Trzymaj ją! - poleciłam.

Marcus otoczył ciało Maggie ramionami, chwytając ją za zdrową rękę, żeby nie mogła mnie odpychać.

- Spokojnie, Mags - powiedział.

Wyprostowałam jej rączkę i podstawiłam pod kran, żeby obmyć ranę. Była głęboka i poszarpana. Trzeba szyć. I zrobić zastrzyk przeciwężcowy.

Płacz Maggie przeszedł w rozdzierające wrzaski. Miałam ochotę chwycić jej dłoń i ukręcić. Prawie słyszałam chrupnięcie kości. Puściłam ją i odskoczyłam.

-Nie mogę! — Zaczęłam płakać.

- Możesz. - Marcus stał tak blisko, że jego cuchnący alkoholem oddech poślaskotał mi ucho. - Masz czystą ścierkę do naczyń?

Pogrzebałam w szufladzie przy kuchence i wyjęłam ścierkę. Wciąż płacząc, znowu opłukałam rękę Maggie i przycisnęłam szmatkę do jej dłoni.

- Trzeba szyć, tak? - spytał Marcus.

- Nie mogę - powtórzyłam. Mój głos zabrzmiał jak dziecięce kwilenie. Nie wiedziałam nawet, o co mi chodzi. Czego nie mogłam? Nienawidziłam samej siebie.

- Nic jej nie będzie. - Marcus źle zrozumiał moje łzy. Skinęłam głową, pociągając nosem. Ścierka, którą przyciskałam do dłoni Maggie, powoli nasiąkała czerwienią.

- Musimy ją odstawić na pogotowie - powiedział. Znowu skinęłam głową.

- Chodź. Ja poprowadzę. Ty ją trzymaj i uciskaj jej dłoń.

Oddał mi Maggie, a ja poszłam za nim.

Razem udało nam się zapiąć Maggie w foteliku. Usiadłam obok niej, usiłując uciskać jej ranę, a ona zanosila się krzykiem i wołała tatę.

Kiedy zjawiliśmy się na pogotowiu, niczego nie pragnęłam bardziej, niż oddać Maggie personelowi, ale kazali mi ją trzymać, gdy oczyszczali i zszywali jej ranę, niesłusznie sądząc, że jako matka będę umiała ją uspokoić. Spojrzałam na ciemne kędzioriki. Piękne. Na czarnych jak węgiel rzęsach błyszcząły wielkie łzy. Dlaczego nic do niej nie czułam? Jak mogłam trzymać swoje własne przerażone, ranne dziecko i nic nie czuć? Przed oczami stanęło mi łóżko. Jak dobrze byłoby schronić się pod kołdrą! Mogłabym zadzwonić po Sarę, żeby popilnowała Maggie. Wszystko już zaplanowałam, odległa myślami o milion mil, a krzyki mojego dziecka były mi obojętne niczym jednostajne odgłosy maszyny.

- Wszystko w porządku, mamo. - Młoda lekarka uśmiechnęła się do mnie, kończąc bandażowanie dłoni Maggie. - To nic takiego. Będzie mieć na dłoni dodatkową linię życia. Szkoda, że wszyscy nie mamy tyle szczęścia.

I

170

171

Tamtej nocy Jamie usiadł na skraju łóżka, w którym zakopałam się w pościeli.

- Co byś zrobiła, gdyby nie było Marcusa? - spytał.

Zastanowiłam się nad tym. Co bym zrobiła? Przypomniałam sobie myśl o ukręceniu Maggie ręki i potrząsnęłam głową, żeby ją przegnać.

- Dlaczego kręcisz głową?

- Nie wiem.

- Mogłaś do mnie zadzwonić.

- Jamie. - Chwyciłam go za ramię. - Chcę odejść. Przechylił głowę.

- Jak to „odejść”?

- Lepiej wam będzie beze mnie. - Powiedziałam to nie po raz pierwszy od półtora roku, ale po raz pierwszy nie zaprotestował. To, co nas kiedyś łączyło, znikło. Rzadko się kochaliśmy. Rzadko odzywaliśmy się do siebie. Jamie już nie starał się mnie zrozumieć, tak jak Marcusa. - Nie ufam sobie... nie potrafię się nią zająć.

Jamie spojrzał na moją dłoń, spoczywającą na jego ramieniu, i przykrył ją własną ręką.

- Chcesz separacji? - spytał.

Skinęłam głową. Same te słowa sprawiły mi ulgę.

- Ale nie wiem, dokąd pójde. - Tylko ta niepewność mnie przerażała.

- Zostaniesz tutaj - odpowiedział i zrozumiałam, że to przemyślał, że zastanawia się nad tym od jakiegoś czasu. Że już opracował plan. - Sara i Steve mają wolny pokój, do którego mogę się przeprowadzić. Będę im płacić niewysoki czynsz. Te pieniądze im się przydadzą.

Jęknęłam.

- Nie zostawiaj Maggie ze mną! Pokręcił głową.

- Zabrałbym ją. W tym rzecz. Nie wiem, co się z tobą dzieje, ale cokolwiek to jest, przeszkadza ci to być dobrą matką dla Maggie. Jeśli zamieszka u Westonów, Sara

będzie pod ręką i pomoże mi z Maggie, kiedy wezwą mnie do remizy albo nie będę mógł jej zabrać do pracy

Uznałam, że to idealne rozwiązanie, i byłam mu wdzięczna, że o wszystkim pomyślał, a ja nie muszę nic robić. Gówniana matka. Gówniana żona.

- W porządku - powiedziałam, zamykając oczy. - Dziękuję. Dobry pomysł.

I odwróciłam się twarzą do ściany.

172

173

W poniedziałek rano zawiozłam Andy'ego do szkoły i udałam, że wchodzę do budynku razem z nim, ale kiedy zniknął mi z oczu, wróciłam do samochodu i pojechałam do Surf City. Nie spałam przez całą noc. Od pożaru minęło ponad dwa tygodnie, ale za każdym razem, gdy zamykałam oczy, widziałam pod powiekami te zdjęcia z nabożeństwa żałobnego. Koło drugiej rano wstałam i pojechałam do Morskiego Strażnika. Usiadłam na tarasie i płakałam, bo nie mogłam uspokoić umysłu na tyle, żeby nawiązać kontakt z tatą. Tak dawno go przy sobie nie czułam! Kiedy usiłowałam uciszyć myśli, te zdjęcia znowu pojawiły mi się przed oczami. Miałam ochotę chwycić błękitnooką Jordy i przestraszonego małego Hendersona, i pana Eggleasa, dzięki któremu prawdopodobnie Keith nie stłukł Andy'ego na kwaśne jabłko - chciałam ich chwycić i tchnąć w nich życie. Powtarzałam: „Proszę, tato, proszę, tato, proszę, tato”, jakby mógł w jakiś magiczny sposób wszystko naprawić. Ale on nie nadchodził. W końcu jednak podjęłam jakąś decyzję, siedząc w tych ciemnościach. Postanowiłam dziś uciec ze szkoły, pojechać do tego księgowego, pana Gebharta, i spytać, jak mogę pomóc w zbieraniu datków. Musiałam zrobić coś oprócz dania pieniędzy. To by było za łatwe.

174

Kancelaria pana Gebharta znajdowała się w Surf City od strony lądu i jeszcze była zamknięta. Siedziałam na parkingu, słuchając muzyki z mojego iPod'a i usiłując czytać „Łaskawą ziemię”. Miałam straszne zaległości. Stracić najlepsze wyniki w nauce to jedno, ale oblać ostatni rok to coś zupełnie innego. Nie zamierzałam do tego dopuścić. Musiałam zdać, bo w college'u Ben i ja mogliśmy udać, że dopiero zaczynamy ze sobą chodzić. Oficjalnie. Mama i wujek Marcus będą świrować, ale muszą się z

tym pogodzić. Potem - może po roku - pobierzemy się. Miałam nadzieję, że Ben nie zechce zaczekać, aż skończę college. Nigdy o tym nie mówiliśmy. Wiedziałam, że nie wytrzymam tak długo. Nie marzyłam, jak Amber, o wielkim weselu i tak dalej. Ona miała wszystko zaplanowane: kwiaty, muzykę i kolor sukienek druhen. Słuchając jej, miałam ochotę powiedzieć: „Dorośnij”. Ben i ja mogliśmy nawet uciec, co mi tam.

Zaczęłam zapadać w drzemkę, kiedy usłyszałam stukanie szpilek obok mojego samochodu. Ocknęłam się i zobaczyłam kobietę, otwierającą drzwi kancelarii pana Gebharta.

Wyjęłam z uszu słuchawki, pociągnęłam łyk wody z butelki i poszłam za nią.

- Witaj, skarbie. - Kobieta parzyła kawę. - Czym mogę służyć?

- Nazywam się Maggie Lockwood - zaczęłam - i. • •

- Krewna Andy'ego?

- Tak. Siostra.

Wsypała miarkę kawy do zbiorniczka z filtrem.

- Pewnie jesteś z niego dumna. -Tak.

- Dokonał czegoś niewiarygodnego. A jaki był dzielny w telewizji!

Uśmiechnęłam się.

- To prawda. - Trzeba by nie mieć serca, żeby pO tym

175

programie nie zakochać się w moim bracie. Był niesamowicie słodki, wielkie brązowe oczy, podskakujące kolano i to proste widzenie świata, które musiało rozczulić wszystkich - z wyjątkiem jego nauczycieli.

- Chciałam porozmawiać z panem Gebhartem o pomocy w zbieraniu pieniędzy.

- O, kochanie... - Wcisnęła włącznik ekspresu i usiadła przy biurku. - Pan Gebhart zajmuje się tylko stroną finansową. Donacjami. Musisz porozmawiać z Dawn Reynolds. Wiesz, kto to?

Oj, wiedziałam. Niestety.

- Tak - powiedziałam. - Miałam nadzieję, że pan Gebhart powie mi, co mam robić, skoro już tu jestem.

- Przyjedzie dopiero za pół godziny i naprawdę, to nie on trzyma rękę na pulsie spraw. Musisz, skarbie, porozmawiać z Dawn. Znajdziesz ją w Jabeen's Java. Da ci tyle zadań, że nie będziesz wiedzieć, w co ręce włożyć.

Przez dwadzieścia minut siedziałam w samochodzie naprzeciwko kawiarni, usiłując podjąć decyzję. Może mogłam pomóc w jakiś inny sposób? W szpitalu leżało jeszcze sześcioro dzieci - czworo w New Hanover, dwoje na oddziale oparzeń w Chapel Hill. Dzieci z podstawówki zrobiły dla nich laurki, a ja i

Amber miałyśmy je jutro albo pojutrze zawieźć do szpitala. Wiedziałam, że to mnie bardzo wytrąci z równowagi, ale musiałam to zrobić. Jednak to było jeszcze za mało.

Zobaczyłam jakiś ruch w Jabeen's. Mgnienie bieli za szybą. Czyjaś koszula lub coś podobnego. Nagle zza rogu wyłonił się wujek Marcus. Wstrzymywałam oddech, dopóki nie otworzył drzwi Jabeen's. Aha! Nagły przypływ odwagi. Nie będę musiała stawiać czoła Dawn samotnie.

Wysiadłam z samochodu i przeszłam przez ulicę.

- Cześć, wujku! - Stanęłam za nim przy ladzie, za którą Dawn nalewała mu kawy do kartonowego kubka.

- Mags! - Uśmiechnął się i objął mnie jak zwykle jedną ręką. - Co tu robisz?

- Nie poszłam dziś do szkoły, żeby porozmawiać z Dawn o wolontariacie.

Na dźwięk swojego imienia Dawn uniosła głowę. -Wiesz... - Zmusiłam się, żeby spojrzeć jej w oczy. - ...W fundacji rodzin z Drury Memoriał.

Dawn nakryła kubek plastikowym wieczkiem.

- Niech cię Bóg błogosławi - powiedziała, podając kubek wujkowi Marcusowi. - Przyda mi się każda pomoc.

•Widywałam ją wiele razy, ale nigdy z tak bliska. Była ładna, o rudawych włosach i piegowatej skórze, ale w kącikach oczu miała kurze łapki i uświadomiłam sobie, że nie wiem, ile ma lat. Na pewno nie siedemnaście. Na myśl o tym, że Ben mógł się z nią kochać, zrobiło mi się niedobrze.

- Wiesz - mówiła dalej - miałam nadzieję, że liceum udzieli mi jakiejś zorganizowanej pomocy, ale na razie nic się nie dzieje.

- Maggie jest najlepsza w klasie - pochwalił się wujek Marcus. - Może coś zorganizuje.

- Nie jestem najlepsza - oznajmiłam, usiłując go uciszyć.

- Nie? - Uniósł brwi. Pokręciłam głową.

-Jeszcze nie powiedziałam mamie, więc...

- Będę milczeć jak grób.

Kobieta obok mnie poprosiła o latte. Dawn stanęła za kasą.

- To nieważne, słonko - powiedziała do mnie, wręczając kobiecie resztę. - Kończysz szkołę, tak? No, i to się liczy. Ale jak myślisz? Mogłabyś coś zorganizować w swoim liceum? - Zaczęła przygotowywać kawę.

Pomysł mi się spodobał. Mogłam zrobić coś pożytecznego, nie musząc pracować z Dawn. W liceum zbieraliśmy pieniądze, myjąc samochody i smażąc naleśniki, ale gdybym wymyśliła coś bardziej oryginalnego...

- No, może. Porozmawiam z przyjaciółmi i zobaczę, co się da zrobić.

- Jesteś skarbem! - ucieszyła się Dawn. - Zadzwoń do mnie za parę dni i powiedz, jak wam idzie.

Wujek Marcus położył mi rękę na ramieniu.

- Masz parę minut?

- Jasne. - Wiedziałam, że chce mnie spytać o moje stopnie. Musiało się wydać, wcześniej czy później.

Poszliśmy do stolika przy oknie, ale zanim tam dotarliśmy, wszedł wielebny Bill i musieliśmy go wyminąć. Nie odezwał się ani słowem, my też nie, i sytuacja zrobiła się naprawdę dziwna.

Wujek Marcus przewrócił oczami.

- Wielebne Ego - mruknął.

- Sara powiedziała mamie, że on codziennie zamawia tu jakiś wielki, tuczący koktajl - szepnęłam.

- Pewnie jedyny posiłek dnia. - Wujek Marcus spojrzał na pager, a potem na mnie. - No, Mags... Martwisz się tymi swoimi stopniami?

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, ale wielebny Bill nagle podszedł do naszego stolika i stanął nad nami, chudy jak tyczka, nie odzywając się ani słowem.

- Może pastor usiądzie? - spytał wujek Marcus, wskazując głową trzecie krzesło.

Wielebny Bill nienawidzi mojej rodziny, więc zdumiałam się, kiedy usiadł.

- Idę porozmawiać z Pete'em - zwrócił się do wujka Marcusa. - Ale chyba musisz usłyszeć, co mu mam do powiedzenia.

Wujek Marcus wyglądał, jakby walczył z ziewnięciem, ale spytał:

- A mianowicie?

- A mianowicie... - Wielebny Bill podniósł kubek i parę razy zamieszał napój - pojechałem wczoraj do szpitala uniwersyteckiego. Jak wiesz, jedna z moich parafianek,

Gracie Parry, leży tam na oddziale oparzeń razem z Keithem Westonem.

- No tak. I jak się czuje?

- Przeniosą ją jutro do New Hanover, gdzie będzie mogła dojechać do siebie... Ale zostaną jej blizny na... - wielebny wskazał swoją pierś - ...na torsie.

- A Keith? - spytałam. Bałam się tego, co mogę usłyszeć. Kochałam Sarę i choć Keith zachowywał się czasem jak totalny dupek, życzyłam mu dobrze.

- Stan Keitha Westona się poprawia, dzięki Bogu.

- Cieszy mnie to - powiedział wujek.

- Tak, już mu lepiej. - Wielebny pociągnął łyk napoju. - Ale nadal ogromnie cierpi. Biedak odniósł straszne poparzenia.

Wujek Marcus zmarszczył brwi.

- Nadal jest w śpiączce?

- Wybudzili go wczoraj rano. - Usta wielebnego Billa drgnęły lekko i znów znieruchomiały. - Może już mówić.

- To dobrze - powiedział wujek. - Na pewno rozmowa z wielebnym sprawiła mu ulgę. - Wydawało się, że mówi to całkiem poważnie.

Wielebny Bill spojrział na niego spod krzaczastych siwych brwi.

- Moim zdaniem, powinien porozmawiać z policją. Nie spodobał mi się jego ton. Całkiem jakby mówił: „A ja coś wiem i nie powiem”.

- Będziemy go przesłuchiwać - oznajmił wujek Marcus. - Miał informacje o pożarze?

- Owszem. W tej właśnie sprawie muszę porozmawiać z Pete'em.

- Mów, pastarze - prawie warknął wujek Marcus. Nagle oblał mnie gorący pot.

- Powiedział mi o bójce z twoim bratankiem. - Spojrział na mnie. - Z twoim bratem. - Aż do tej chwili nie wiedziałam, czy mnie w ogóle poznał. - I stwierdził, że tuż przed

178

179

bójką przypadkiem wyrzął przez okno i zobaczył Andy'ego Lockwooda, chodzącego na zewnątrz kościoła.

- Nie mógł być na zewnątrz. To zabawa zamknięta.

- Nie wysłuchałaś, co mam do powiedzenia. Boże. Co za zarozumiały baran.

- Proszę mówić - wycedził wujek Marcus.

- Ten chłopiec jest chory. Nie wiem, dlaczego miałby zmyślać.

- I co jeszcze powiedział? - Wujek Marcus zaczął tracić cierpliwość.

- Że wtedy nie obudziło to jego podejrzeń, bo twój bratanek jest znany z dziwactw. Ale kiedy wybuchł pożar, mimo woli zaczął się zastanawiać, czy Andy miał z tym coś wspólnego, ponieważ ogień zaczął się na zewnątrz.

- O jakim oknie mówił? - poinformował się wujek Marcus. - W kościele są witraże. Jak przez nie wyrzął?

- Nie do mnie należy przesłuchiwanie go - oznajmił wielebny z godnością - lecz niesienie ukojenia. Jednak ponieważ chłopiec sam przekazał mi tę informację, uznałem za stosowne powiadomić o tym osoby odpowiedzialne za śledztwo. Zostawię wiadomość Pete'owi i Flipowi Ca-tesowi na wypadek, gdybyś postanowił im nie powtarzać moich słów.

Auć.

- Niech pan już da spokój - powiedział wujek Marcus.

- Nie tylko mu to powtórzę, ale jeszcze dopilnuję, żebyśmy dziś porozmawiali z Keithem.

- Nie powinienes się do tego mieszać. Jesteś stroną zainteresowaną, nieprawdaż?

- Zajmiemy się tym - oznajmił wujek Marcus. Wielebny Bill odsunął krzesło z szurnięciem i wstał.

- Miłego dnia. - Skinął mi głową.

Ledwie wyszedł, wujek poderwał się na nogi.

- Muszę lecieć, skarbie. - Pocałował mnie w policzek.

- Nie martw się o to, co powiedział wielebny. To na pewno

nic takiego. - Ruszył do drzwi. - Kocham cię! - zawołał przez ramię.

- Ja ciebie też. - Spojrzałam za nim. Wiedziałam, że Keith ma poparzone ręce i pół twarzy. Jak to jest? W dzieciństwie dotknęłam rączki rozpalonej patelni. Oparzyłam się lekko. Mama odcięła liść aloesu z parapetu i wtarła sok w oparzenie, ale nadal bolało tak, że się rozplakałam. Jak ktoś może wytrzymać ból tak wielkich oparzeń? Na myśl, że Keith właśnie przez to przechodzi, w oczach stanęły mi łzy. Nie chciałam płakać w miejscu publicznym. Zwłaszcza w obecności Dawn. Wstałam, ale nawet na zewnątrz, gdy odetchnęłam świeżym powietrzem, Keith nadal tkwił mi w głowie.

Dlaczego skłamał, że Andy wyszedł na zewnątrz? I dlaczego w ogóle Andy miałby wyjść? Nie uwierzyłam w to, Andy rozumiał, dlaczego powinien pozostać w kościele. Ale bałam się, że Keith mu zaszkodzi, rozprowadzając kłamstwa... a jeszcze bardziej, że mógłby powiedzieć prawdę.

180

Cholera, gorąco było w sali Keitha.

Jechałem trzy godziny do Chapel Hill z opuszczonymi szybami pick-upu. Wdychałem świeże powietrze, jakbym je zbierał na zapas. Wiedziałem, jak będzie w centrum oparzeń. Oczywiście odór środka dezynfekcyjnego i chorego ciała niemal zbił mnie z nóg, ledwie przekroczyłem próg pokoju. Ale zapomniałem o upale. Co najmniej trzydzieści stopni.

Keith spał. Na kołdrze leżały jego grubo obandażowane ręce. Z lewej dłoni wystawało pięć chirurgicznych gwoździ. Grube opatrunki zasłaniały mu lewą stronę twarzy; prawa była niemal nietknięta. Wyglądała, jakby Keith za długo siedział na słońcu. Pod kołdrą ginęła rurka kroplówki, pewnie wklutej w port w piersi.

Usiadłem przy łóżku. Oddychałem ustami. Siedziałem tak długo, aż upewniłem się, że zdołam się odezwać normalnym tonem.

Pochyliłem się.

- Keith?

Nic. Już miałem powtórzyć jego imię, kiedy wydał pomruk i powoli rozkleił powieki prawego oka. Odwrócił do mnie głowę i drgnął.

-O.

Co „o”? Co usłyszałem w tym jednym dźwięku? Obrzydzenie? Rozczarowanie? Czy może przypisywałem mu własne uczucia? Ile razy zadawałem sobie pytania: „A gdybyśmy tam dotarli o minutę wcześniej? A gdybyśmy mieli o jednego strażaka więcej? Czy to by robiło jakąś różnicę?”.

- Jak się czujesz?

- Do dupy. - Mówił niewyraźnie. - A wygląda, jakbym się czuł dobrze?

- Przepraszam. Wiem, że cierpisz, ale chciałbym ci powiedzieć jedno: cieszę się, że się ocknąłeś i mówisz.

Zamknął oczy.

- Wielebny Bill powiedział, że przypomniałeś sobie wydarzenia z tamtego wieczoru. Jeśli czujesz się na siłach, chciałbym usłyszeć, co pamiętasz.

Jęknął, lekko zmieniając pozycję.

- Nie chciałby pan.

- Dlaczego?

- Przez pańskiego bratanka - wyjaśnił, nadal z zamkniętymi oczami. - To on podłożył ogień.

- Dlaczego tak myślisz?

- Chodził... wokół kościoła... zanim zaczęło się palić.

- Keith. - Przynąłem się tak, że kolanami dotknąłem łóżka. - Jeszcze nie zasypiaj, dobrze?

Brak odpowiedzi. Nie rezygnowałem.

- Rozumiem, że pobiłeś się z Andym tuż przed pojawieniem się ognia, zatem to wskazuje na fakt, że Andy znajdował się w kościele tuż przed pożarem.

Otworzył oczy.

- „Wskazuje na fakt”? - Zabrzmiało to jak „wsskaue na ak”. - Tak się mówi podczas przesłuchania?

- Wiem, że jesteś zły - odpowiedziałem. - Masz wszelkie prawo po tym, co się stało.

W jego odsłoniętym oku zebrały się łzy.

- Dlaczego ja? - spytał. - Dlaczego, kurwa, ja?

182

183

Wyrwałem chusteczkę z pudełka na szafce przy łóżku i osuszyłem mu policzek.

- Wiem. To się wydaje niesprawiedliwe. - Czy wiedział o innych dzieciach? Nie zamierzałem mu objaśniać, że ma szczęście, bo przeżył.

- Widziałem Andy'ego na dworze - warknął. - Tuż przed bójką, która się zaczęła, bo się dowalał do Layli. - Pociągnął nosem i zaczął unosić rękę, jakby chciał go wytrzeć. Dopiero po chwili sobie przypomniał. - Cholera. Nic nie mogę przy sobie zrobić.

Znowu wyciągnąłem do niego rękę z chusteczką, ale odwrócił głowę.

- Nie - rzucił.

- Gdzie byłeś, kiedy zobaczyłeś go na zewnątrz? - Oparłem rękę z chusteczką na udzie.

- Wewnątrz.

- W której części kościoła?

- Przy oknie.

- Którym oknie? Zawahał się.

-W tym gabinecie, czy co to jest... - Skrzywił się, na chwilę się kuląc. - W głębi kościoła. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem go.

Przypomniałem sobie ten mały pokoik w głębi kościoła. Przeznaczono go dla panien młodych, które tam poprawiały urodę. Rzeczywiście, było w nim okno ze zwyczajną szybą. Albo dwa. Przynajmniej kiedyś.

Smarki spłynęły Keithowi na usta. Kiedy znowu wyciągnąłem rękę z chusteczką, pozwolił mi je wytrzeć.

- Dlaczego się tam znalazłeś? - spytałem.

- Czy to ważne? - odpalił, jakby spodziewał się tego pytania. - Odpoczywałem.

Na razie mu odpuściłem.

- Sam? -Tak.

184

- A na zewnątrz było ciemno, tak?

- Pewnie świecił księżyc albo co, bo rozpoznałem Andy'ego.

- Co robił?

Keith oblizał wargi. Wyglądały na suche, z popękaną i łuszczącą się skórą.

- Chcesz łyk wody? - spytałem.

Pokręcił głową i przymknął oko. Nie zamierzałem pozwolić mu zapaść w drzemkę.

- Keith? - ponagliłem.

- Obchodził kościół - powiedział. - Patrzył na ziemię pod ścianami.

- Widziałeś to?

Otworzył oko i postawił mi wrogie spojrzenie.

- Ja, kurwa, nie zmyślam.

- Czy Andy coś trzymał?

- Nie pamiętam.

- Czy mógł to być inny chłopiec, który wyglądał jak Andy?

Usiłował się roześmiać, ale tylko się rozkaszał. Podałem mu plastikowy kubek z wodą. Wypił trochę przez słomkę.

- Jest tylko jeden Andy Lockwood - mruknął, znowu przymykając oko. - I wystarczy.

Pozwoliłem mu zasnąć. Zresztą i tak nie chciałem słyszeć nic więcej. W ogóle nie powinienem tu przychodzić.

Zadzwoiłem do Flipa Catesa, kiedy tylko dotarłem do szpitalnego holu.

- Cates - rzucił w słuchawkę.

- Flip, tu Marcus. Wycofuję się z dochodzenia.

- Miło mi to słyszeć, bo właśnie zamierzałem cię o to poprosić.

- Rozmawiałeś z wielbnym Billem? -Tak.

185

- Nie wierzę, żeby Andy mógł podłożyć ogień, ale dopóki będzie się wymieniać jego imię, lepiej...

- To nie wszystko - przerwał mi Flip. -Co?

- Wczoraj wieczorem jakaś kobieta zadzwoniła na gorącą linię. Powiedziała, że w noc pożaru przejeżdżała koło kościoła w drodze na Topsail Beach i widziała chłopca, chodzącego samotnie wokół budynku.

- O której godzinie? Podać opis?

- Nie była pewna co do czasu. Między ósmą a dziewiątą. Było ciemno, ale wydawało się jej, że chłopiec ma czarne lub brązowe włosy i jakieś trzynaście lat.

- Znasz jej personalia? Dlaczego dzwoni dopiero teraz?

- Znamy jej nazwisko. Kobieta wynajęła chatkę w noc pożaru i wyjechała w niedzielę rano do Winston-Salem. Nie skojarzyła tego, co widziała, z pożarem, dopóki w lokalnej telewizji nie podano numeru gorącej linii.

Potarłem kark. Miałem wrażenie, że na szyi zaciska mi się pętla.

- Poprosimy Laurel o pozwolenie na przeszukanie pokoju Andy'ego - dodał Flip.

Nie wiem, dlaczego mnie to zaskoczyło. Gdyby chodziło o jakiegokolwiek inne dziecko, spodziewałbym się takiego ruchu. Ale Andy? Wydawało mi się, że to zbytek ostrożności.

- Jasne - odezwałem się po chwili. - Informuj mnie, dobrze?

Dziś w szkole byłem gwiazdą. Tak nazwała mnie panna Betts. Oglądaliśmy program „Today” w telewizorze w klasie. Wszyscy mnie widzieli. Mój przyjaciel Darcy powiedział, że byłem super. Chłopiec, którego właściwie nie znam, oznajmił:

- Zaraz zobaczymy twoją paskudną gębę na okładce „People”.

Tylko on powiedział mi coś niemiłego, ale mnie to nie przeszkadzało. Czy naprawdę mogłem się znaleźć na okładce „People”?

Panna Betts kazała mi opowiedzieć przed całą klasą, jak to jest występować w telewizji. Nie przechwalał się, powtarzałem sobie w głowie. Pamiętaj, my się nie przechwalamy.

Po szkole siedziałem na ławce na przystanku, kiedy podszedł do mnie mój przyjaciel Max.

- Cześć, Andy - powiedział. Chodził do dziewiątej klasy, ale był o wiele wyższy ode mnie. - Słyszałem o twojej zapalniczce. Kiepsko.

- Aha. Jeśli wsiadasz do samolotu, nie wkładaj zapalniczki do skarpetki - odpowiedziałem.

- Zapamiętam. Zajarzałbym, masz kiepy?

- Pewnie. - Zdjąłem plecak i postawiłem go na ławce.

187

Sięgnąłem do tajnej zapinanej na suwak kieszonki. Podobało mi się, że Max mówi na papierosy „kiepy”. Naprawdę kiepsko smakują. Tego jarania to jeszcze nie całkiem rozumiem.

Znalazłem paczkę kiepów i dałem mu jednego. Zapalił je fajną zieloną zapalniczką.

- To teraz potrzebny ci nowy ogień, co?

Kiedyś myślałem, że chodzi o ogień tak w ogóle, ale teraz już rozumiem, że ogień to zapalniczka.

- Aha - powiedziałem. - Chcesz się zamienić?

Ja i Max jesteśmy świetni w zamianach. Moją dawną zapalniczkę miałem od niego. A raz długopis z wodą w środku i dziewczyną w kostiumie kąpielowym. Jak się odwracało długopis, kostium znikał i dziewczyna robiła się całkiem goła. Miałem ten długopis tylko jeden dzień, bo Max chciał go z powrotem. Oddał za niego całą paczkę papierosów.

- Daj mi pięć dolców - powiedział.

- Nie mam. Oddam za to resztę moich kiepów.

- Zostały ci tylko cztery, mądziolo. Co jeszcze masz w tym plecaku?

Wyjąłem trzy książki, inhalator, iPod. Dwa paski gumy. Resorak.

- Po co ci ten durny resorak? - spytał Max.

- Nie wiem - powiedziałem. Naprawdę nie wiedziałem. Resoraki są dla dzieci.

Na dnie plecaka coś zobaczyłem.

- Patrz! - Wyjąłem zdjęcie, które przysłała mi dziewczyna imieniem Angie. Byłem pewien, że się spodoba Maksowi.

- Oż ty w życiu! - Max oblizał wargi. Wyglądał, jakby chciał zjeść zdjęcie Angie.

- Moje ulubione - wyjaśniłem. - Mam takie cztery.

- Kto to?

- Moja przyjaciółka Angie.

- Twoja przyjaciółka Angie ma megabufory.

Na zdjęciu Angie siedziała na motocyklu, ubrana w szorty i podkoszulek, odstaniający spory kawałek jej buforów. Bufory to piersi. Pewnego dnia powiedziałem: „Emily prawie nie ma buforów”, a mama zaczęła wrzeszczeć, żebym nigdy więcej nie nazywał tak piersi. Ale w towarzystwie Maksa nadal to robię.

- Wymienię zapalniczkę na to zdjęcie - oznajmił Max. Musiałem się porządnie zastanowić. Bardzo bym tęsknił

za zdjęciem Angie. No, ale było zagięte. Trochę się wymięło w moim plecaku. Zapalniczka Maksa wcale nie była wymięta.

- W porządku - powiedziałem. Wymienialiśmy się uczciwie. Będę musiał dobrze ukryć tę fajną zieloną zapalniczkę, na przykład w tajnej zapinanej części plecaka, w której trzymałem kiepy. Nie lubiłem ukrywać rzeczy przed mamą, ale czasami musiałem.

Przyjechał autobus i wsiadłem do niego, a Max nie. On jeździł innym. Pomachałem mu, ale gapił się na zdjęcie Angie i mnie nie zauważył. Nagle zatęskniłem za zdjęciem Angie. No, pewnie znajdę inne w poczcie. A może mama albo Maggie zabiorą mnie do sklepu. Chciałem sprawdzić, czy moja twarz jest na okładce „People”.

188

Z ganku naszego domu widziałam światła po drugiej stronie zatoki. Była to pierwsza noc tak ciepła, że można by wyjść bez swetra. Siedziałam na starej huśtawce, oparłszy stopy o balustradę, i z przyjemnością smakowałam słonawe powietrze. Maggie uczyła się z Amber Donnelly, a ja w końcu zdołałam uspokoić Andy'ego na tyle, żeby zasnął, i mogłam poświęcić chwilę sobie.

Dziś, w pierwszy dzień Andy'ego w szkole po udziale w programie, musiałam go przywołać do porządku. Przypomniałam mu, żeby się nie przechwalał swoim bohaterstwem ani nowym statusem celebryty. Zaczęłam wątpić, czy pojawienie się w telewizji było takim dobrym pomysłem. W dzisiejszej poczcie przyszły kartki i listy z całego kraju i wiedziałam, że skrzynkę mejlową Andy'ego zatykają kolejne wiadomości. Chłopcu, do którego świat odnosił się na ogół z litością, ciekawością lub podejrzliwością, taka popularność mogła uderzyć do głowy.

Trzasnęły drzwiczki samochodu; dźwięk poniósł się echem po wodzie. Wstałam i wyrzałam z za rogu domu. Dostrzegłam tylne reflektory pick-upu, stojącego na moim podjeździe. Marcus?

Zadzwoił dzwonek. Wróciłam do domu. Otworzyłam drzwi i zobaczyłam na ganku Marcusa.

190

- Wszystko gra? - spytałam. Marcus na ogół nie zjawiał się w taki sposób. Pomyślałam o Maggie, jedynej osobie z mojej małej rodziny, która nie znajdowała się bezpiecznie w domu.

- Mniej więcej. - W blasku żarówki na ganku widziałam jego strapiony uśmiech. - Chciałem z tobą pogadać. Mogę wejść?

- Jak to „mniej więcej”? - spytałam, kiedy mijał mnie w drodze do salonu.

- Usiądźmy na ganku - zaproponował. - Piękna noc. Zaprowadziłam go na ganek na tyłach domu.

- Chcesz mrożonej herbaty?

- Niczego nie potrzebuję.

Znowu usiadłam na huśtawce, ale już bez tego poczucia spokoju, co wcześniej. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam sam na sam z Marcusem. Często odwiedzał Maggie i Andy'ego, bo dawno temu zdecydowałam, że przeszłość nie powinna zaważyć na ich związku. Wiem, że ich kochał. Miałam proste wymagania: zawsze mów mi, dokąd ich zabierasz i kiedy wrócą - i żadnych łodzi. Dlatego Marcus odwiedzał ich, ale nie mnie. Odruchowo splotłam na piersi ręce, jakbym usiłowała coś utrzymać. Powstrzymać się przed rozpadnięciem.

- Chciałem ci powiedzieć, że nie prowadzę już dochodzenia - zaczął, siadając w starym wiklinowym fotelu.

Nie rozumiałam, dlaczego przyszedł specjalnie po to, żeby mi to powiedzieć.

- Bo Andy tam był?

- Bo... istnieje pewna niewielka... w tej chwili to tylko pogłoska i na pewno nią pozostanie, ale...

Widziałam jego skrępowanie i nie chodziło o to, że siedzieliśmy sam na sam.

- Ale? - zachęciłam go.

- Mieliśmy doniesienia, że tuż przed pożarem Andy znajdował się przed kościołem.

191

Nadal nie rozumiałam. -Jak to?

- To wszystko poufne wiadomości, jasne? Nie powinienem ci tego mówić, ale nie chcę, żeby cię to zaskoczyło.

- Żeby co mnie zaskoczyło?

- Pojechałem dziś do Chapel Hill, rozmawiałem z Keithem Westonem i...

- Wybudzili go ze śpiączki? - Dobre wiadomości!

- Tak. Wielebny Bill się z nim spotkał i Keith mu powiedział, że widział Andy'ego na dworze tuż przed pożarem. Dlatego chciałem sam go przepytąć. Powtórzył mi to samo.

- Po co Andy miałby wychodzić?

- Nie wiem. Ale na gorącą linię zadzwoniła też jakaś kobieta, która widziała tego wieczoru drobnego chłopca stojącego przed kościołem. A Emily Carmichael potwierdziła, że Andy zniknął na chwilę. No i ta zapalniczka w skarpecie...

-Och, Marcus... Chyba tak naprawdę nie sądzisz, że Andy miał z tym coś wspólnego?

- Nie sądzę. Ale nikt nie zauważył na dworze nikogo innego. Dlatego należy udowodnić niewinność Andy'ego.

Bardziej mnie to rozdrażniło, niż zmartwiło.

- Dobrze. Więc załóżmy, że to Andy. Skąd wziął benzynę czy czego tam użyto? Jak ją dotransportował do kościoła, co?

- Wiem, że to bez sensu. I żałuję, że go w to wciągnięto. Chciałem tylko, żebyś usłyszała o tym ode mnie, jasne? Będziemy musieli... będą musieli zbadać wszystkie możliwości.

Panika zaczęła się we mnie rozrastać, rozsadać mi pierś.

- Jestem wściekła! - Moje dłonie same zacisnęły się na skraju siedzenia ławki. - Wściekła, że... że to kupiłeś. Że mogłeś choćby o tym pomyśleć. Musisz

powiedzieć temu, kto prowadzi dochodzenie, żeby nie mieszał w to Andy'ego.

Marcus nie odpowiedział.

- Keith to łobuz. Palił trawkę i wyczytniał rzeczy, o jakich nie masz pojęcia.

- Mam.

- Tak? Wiesz o wagarach? O posiadaniu marihuany? Skinął głową.

- Sara czasami mi się zwierza.

Poczułam dźgnięcie zazdrości, które mnie zaskoczyło. Sara była moją najlepszą przyjaciółką. Dlaczego nie wiedziałam, że zwierzała się Marcusowi? Dlaczego nie wiedziałam, że Marcus lubi ją na tyle, żeby z nią rozmawiać o jej synu?

- Może to Keith podłożył ogień - podesunęłam. - Inaczej po co by zrzucał winę na kogoś innego? Kogoś, kto nie może się bronić?

- Zostanie przesłuchany ale nie oszukujmy się, skoro podłożył ogień, to dlaczego utknął w kościele?

- A czy Andy mógłby to zrobić? - warknęłam.

- Przecież uciekł, prawda? Rzuciłam mu wściekłe spojrzenie.

- Miał szczęście.

- Albo chciał wyjść na bohatera. Tylko on znał bezpieczne wyjście z budynku.

- Marcus!

Uniósł rękę, jakby bronił się przed ciosem.

- Odgrywam adwokata diabła. Staram się myśleć tak jak śledczy.

- Bo jesteś jednym z nich.

- Cześć, wujku.

Na głos Andy'ego podniosłam szybko wzrok. Mój syn stał w pizamie w drzwiach na ganek, mrużąc zaspane oczy. Natychmiast zmieniłam wyraz twarzy na łagodny.

- Cześć. - Marcus wstał i objął Andy'ego. Judasz, pomyślałam.

- Klóć się z mamą? - spytał Andy.

- Głośno rozmawiamy - odparł Marcus. Ulżyło mi, że nie stracił głosu. Mój utknął gdzieś głęboko w piersi. - Rozmawiasz czasem głośno?

- Czasem - przyznał Andy z uśmiechem.

- Wracaj do łóżka, skarbie - wykrztusiłam.

- Zaprowadzę go. - Marcus położył rękę na ramieniu Andy'ego. - Chodźmy.

Chciałam go zatrzymać. Bałam się, że powie coś, co zaniepokoi albo wytrąci Andy'ego z równowagi, ale siedziałam na huśtawce jak zlodowaciała. Zresztą Marcus tak samo jak ja nie chciał zdenerwować Andy'ego.

Słuchałam ich kroków na schodach domu.

Przypomniałam sobie agenta przesłuchującego Andy'ego w szpitalu. Pełniłam wtedy rolę tłumacza. Jeśli znowu będę z nim rozmawiać, muszę w tym uczestniczyć. Wyobraziłam sobie, jak przesłuchują go śledczy nie bardziej inteligentni od niego, lecz sprawniejsi w myśleniu i rozumowaniu. Ludzie mający swoje cele. Nie mogłam do tego dopuścić.

Marcus wrócił na ganek i zaskoczył mnie, siadając obok mnie na huśtawce. Przytulił mnie i przez chwilę byłam zbyt osłupiała, żeby się cofnąć. Ale tylko przez chwilę.

- Marcus, przestań, proszę cię.

Puścił mnie i pochylił się z westchnieniem, opierając łokcie na kolanach.

- Wiem, że Andy jest niewinny, i to z czasem wyjdzie na jaw - powiedział cicho. - Ale wiele osób go nie zna. Nie dostrzega w nim tego, co ty i ja. Zobaczą tylko dziwnego chłopca, który ze wszystkich sił stara się być fajny. Być bohaterem.

- To... to idiotyczne. - Nadal nie mogłam do siebie dojść po tym niespodziewanym uścisku. Zapomniałam już, jak pachnie. Zawsze łączyłam tę woń z pragnieniem. Morzem. Zdradą.

194

- Pójdę już - powiedział, wstając. - Zostań, trafię do wyjścia.

Ale nie zrobił ani kroku. Wsunął ręce w kieszenie i spojrzał na mroczną wodę i światełka na lądzie. Chciał mi powiedzieć coś więcej, wyczuwałam toczącą się w nim walkę.

- Co? - spytałam.

Spojrzał na mnie i westchnął.

- Chcą przeszukać pokój Andy'ego. Rozejrzyj się za prawnikiem.

22

Po powrocie od Laurel zrobiłem sobie koktajl z coli i fi-
staszków i wspiąłem się na dach mojej wieży, żeby pomy-
śleć. Stało na nim kilka starych leżaków, ale lubiłem siadać

na samym jego skraju, z nogami zwisającymi w powietrzu.

Parę kobiet, z którymi się umawiałem, nie zgodziło się usiąść tam ze mną. Jedna miała taki lęk wysokości, że w ogóle nie wyszła na dach. Nie bądź idiotą, zainstaluj tam balustradę, powiedziała. Już do niej nie zadzwoniłem.

Kiedyś siedzieli tu ze mną Laurel i Jamie. Była gorąca letnia noc, a ja nadal męczyłem się z remontem. Chyba zadzwoniłem do Jamiego i powiedziałem, że jestem wykończony. Ani się obejrzałem, a zaangażowali nianię i pojawili się z miską krewetek i butelką musującego jabłecznika. Siedzieliśmy na skraju dachu co najmniej przez godzinę, rozmawiając i jedząc. Rzucaliśmy ogonki krewetek na patio, z którego miałem je posprzątać następnego ranka. Może Laurel czuła się nieswojo, siedząc między Jamiem a mną, ale nie bała się usiąść na skraju dachu.

Potrząsnąłem głową. Matko, nieźle dziś naciągnąłem swoje zasady. Porozmawiałem z Keithem, uprzedzając innych. Powiedziałem Laurel o przeszukaniu. Ale musiała zrozumieć powagę sytuacji. Wyobraziłem ją sobie, jak po moim odejściu przygląda się śpiącemu Andy'emu,

196

może uśmiechającemu się przez sen. Parę razy go takim widziałem.

W mojej wyobraźni Laurel wyciągnęła rękę i nasunęła kołdrę na ramiona Andy'ego. Widziałem ich oboje - dwoje ludzi, których zawsze kochałem - i żałowałem, że nie mogę ich obronić przed wszystkim, co niosła im przyszłość.

197

23

Po odejściu Jamiego i Maggie spałam niemal bez przerwy, dniem i nocą. Nie mogę powiedzieć, że ich zniknięcie mnie uszczęśliwiło, bo nic mnie nie uszczęśliwiało, ale nie mając obok siebie Jamiego, mogłam spać cały dzień, nie czując się winna. Nie mając obok siebie Maggie, nie musiałam czuć jej pogardy ani słuchać jej płaczu, ani martwić się, że w końcu wbiję jej nóż w serce lub rzucę ją do morza. Nie musiałam czuć bezradności Jamiego. Więc może samotność nie dała mi szczęścia, ale ulgę na pewno.

Po trzech lub czterech dniach przebudziłam się i ujrzałam Marcusa stojącego u mojego łóżka, czarną sylwetkę na tle wieczornego nieba. Założył ręce na piersi. Sen tak mnie otumaniał, że nawet się nie przestraszyłam.

- Miałem sprawdzić, co u ciebie - powiedział. - Czy jesz i tak dalej. Wyszłaś z tego łóżka po ich odejściu?

Musiałam się zastanowić.

- Żeby pójść do łazienki.

- A żarcie?

Pamiętałam, że piłam wodę i sok jabłkowy, ale nie mogłam sobie przypomnieć, czy coś zjadłam.

- Właściwie nie.

Marcus potrząsnął moją okrytą kocem stopą.

198

- Wstawaj i chodź do mnie. Zrobiłem krewetki i zaraz przyrządzę kaszę. Poczujesz się lepiej, kiedy się pokrzepisz.

- Nie, dziękuję. - O wiele łatwiej było się zakopać pod kołdrę.

- Wiesz, że w tym pokoju śmierdzi? - spytał. - W całym domu?

Omiał się nie roześmiałam.

- Ty pewnie odkurzasz codziennie.

Marcus wiódł w swoim domu życie nieodpowiedzialnego, dwudziestojednoletniego alkoholika.

- Ale przynajmniej u mnie nie śmierdzi. Przypomniałam sobie smród starego piwa i papierosów, który uderzył mnie przy ostatniej wizycie, ale byłam zbyt zmęczona, żeby się kłócić.

- Idź sobie. - Przewróciłam się na bok i nakryłam głowę poduszką.

Zerwał ze mnie kołdrę i pociągnął mnie, ubraną tylko w majtki i podkoszulek, do łazienki.

- Zakładam się, że śpisz w tych samych ciuchach od nie wiadomo kiedy.

Nie walczyłam z nim, kiedy wepchnął mnie - nadal ubraną - pod prysznic i odkręcił wodę. Wrzasnęłam, smagnięta zimnym biczem. Marcus oparł się o drzwi kabiny prysznicowej, które usiłowałam otworzyć.

- Dostanę zapalenia płuc! - wrzasnęłam.

- Zaraz się ociepli.

- Marcus, ty draniu! - Wtuliłam się w kąt kabiny, żeby uniknąć zimnych rozbryzgów.

- Masz tam szampon? Mydło?

Spojrzałam na butelki na wbudowanej w ścianę półeczce.

- Tak - przyznałam zrezygnowana.

- Woda się ociepla? Ocieplała się.

199

Podstawiłam głowę pod prysznic; kropelki zabębniły mi o skórę. -Tak.

- Dobrze. Masz jakieś czyste ręczniki? Ten tutaj porasta pleśnią.

- W szafce. Skrzyknęły drzwiczki.

- Stary wrzucam do kosza. Zaczekam na ciebie w salonie.

Kiedy wyszłam z łazienki, owinięta w czysty ręcznik, Marcus zdejmował powłoczki z poduszek.

- Ta pościel jest odrażająca - oznajmił, zgarniając ją w objęcia.

- Zamknij się. - Mocno owinęłam się ręcznikiem i oparłam o ścianę.

- Wrzucę ją do pralki, a potem widzę cię u mnie w domu. Jak cię nie będzie za dwadzieścia minut, wrócę po ciebie.

Zamknęłam oczy, czekając, aż odejdzie. Usłyszałam, jak schodzi na dół, do pralni na parterze. Zrezygnowana, zaciągnęłam kotary, zasłaniając ciemniejące morze, i zaczęłam się ubierać.

Podejrzewałam, że Jamie kazał Marcusowi mnie pilnować, żeby brat w ten sposób jakoś zarabiał na życie. Marcus przyszedł do domu pewnego dnia, na krótko przed odejściem Jamiego i Maggie, i obaj znowu wdali się w zapalczywą kłótnię.

- Musisz znaleźć pracę! - krzyczał Jamie. Nie znam innej osoby, na którą by podnosił głos. Ja leżałam w łóżku. Nakryłam głowę poduszką, ale i tak go słyszałam. - Nic tylko surfujesz, imprezujesz, śpisz, bzykasz i pijesz!

- Nie potrzebuję pracy - sprzeciwił się Marcus. - Ty też nie. Jesteśmy bogaci. Zapomniałeś?

- Nie wychowano nas na próżniaków.

- Nie czarujmy się, bracie, ciebie wychowano tak, a mnie inaczej.

200

- Żyjesz z dochodu, który przynoszą nasze domy. Nie sądzisz, że mógłbyś poświęcić parę godzin w tygodniu, żeby je remontować?

-I pewnie w dodatku mam być czysty i trzeźwy? -Tak!

- Dziękuję, nie skorzystam.

Omam nie zemdlałam, wchodząc po schodkach Talosa. Z trudem łapałam powietrze, a moje zwiotczone mięśnie dygotały. Otworzyłam drzwi bez pukania i zobaczyłam go przy kuchence, z łopatką w ręku.

- O wiele lepiej! - oznajmił, szacując mnie wzrokiem. Miał ten czarujący uśmiech, którym mnie zafascynował już jako szesnastolatek. -I prawie się uśmiechasz.

Naprawdę? Myślałam, że moje mięśnie twarzy zapomniały, jak to się robi.

W kuchni rozchodził się mocny zapach krewetek. Marcus przyciągnął stołek do kuchennej wyspy.

- Lepiej usiądź, zanim się przewrócisz. Czego się napijesz?

Sam trzymał prawie opróżnioną butelkę piwa. Na blacie stało parę pustych.

- Soku? - Osunęłam się na stołek i oparłam łokcie na blacie. Marcus otworzył lodówkę.

- Nie mam soku. Piwa?

- Błę. Masz wino?

- Nie, ale mam to. - Wyjął niskoprocentowy słodki napój - breezera - i postawił na blacie. - Trzymam to dla dam.

Zmarszczyłam nos.

- Proszę wodę. Otworzył butelkę.

- Spróbuj. Posmakuje ci.

Pociągnęłam łyk. Prawie nie czułam jego smaku. Choć węch miałam nadmiernie wyczulony, mój zmysł smaku pozostawiał wiele do życzenia. Ale napój był chłodny

201

i zaspokajał pragnienie. Doszłam do wniosku, że to wystarczy.

Marcus postawił przede mną talerz kaszy z krewetkami i serem. Lubiłam krewetki i kaszę - a raczej lubiła je dawna ja. Ja sprzed Maggie. Nie miałam już apetytu. Brzuch mi się zapadł. Budząc się co rano, widziałam rysujące się pod kołdrą wzniesienia kości miednicy.

- Ładnie wygląda. Nie jestem głodna.

- Dziewczyno, wychudłaś jak szkielet. - Otoczył mój nadgarstek dłonią. - Zjedz, ile możesz.

Już przechodziłam przez to z Jamiem. I Sarą. Przy nich byłam uparta i niezłomna. Ale fakt, że Marcus coś dla mnie ugotował, przemawiał do mnie. Mniej kochany syn. Nie chciałam go urazić, więc wsunęłam widelec w kaszę i zjadłam odrobinę. Równie dobrze mogłyby to być okruchy styropianu, ale wmusiłam w siebie połowę porcji. Od miesiący tyle nie zjadłam.

- Zostań przez chwilę, trochę się pobyczymy- powiedział, kiedy skończyłam. - Mam parę filmów. Samemu jest trochę smutno.

Chciałam mu wyjaśnić, że lubię samotność, ale wydało mi się, że przyznanie, iż podoba mi się rozłąka z dzieckiem i mężem, zabrzmiało zimno i okropnie.

Wstałam i uświadomiłam sobie, że trochę mi szumi w głowie. Nie było to przykre. Zniosłam do salonu drugiego breezeera. Jamie i ja rzadko piliśmy, a odkąd Marcus się wyprowadził, w domu w ogóle nie było alkoholu.

Marcus ukląkł przed magnetowidem, trzymając dwie kasety.

- Wolisz „Kiedy Harry poznał Sally” czy „Urodzony czwartego lipca”?

- Nie znam żadnego. Włóż coś zabawnego.

Włożył „Kiedy Harry poznał Sally” i usiadł na drugim końcu sofy. Zdjęliśmy buty i oparliśmy nogi o masywny drewniany stolik do kawy. Zmarzły mi stopy, bo zapomniałam

włożyć skarpetki, więc Marcus pożyczył mi swoje. Były za duże i kołysały się na czubkach, kiedy poruszałam pal-

cami.

Usiadłam wygodnie i dałam się pochłonąć filmowi. Zachichotałam. Kiedy ostatnio mi się to zdarzyło? Gdy Meg Ryan udawała orgazm w restauracji, Marcus oznajmił, że znowu jest głodny, więc zatrzymaliśmy film na czas, gdy popcorn dojdzie w mikrofalówce.

-I co sądzisz o przesłaniu filmu? - Marcus postawił na stoliku miche popcornu i podał mi kolejną butelkę.

- To on ma przesłanie? - Znowu zachichotałam.

- Czy mężczyźni i kobiety mogą być przyjaciółmi bez seksualnego podtekstu?

- Oczywiście - powiedziałam. - Ty i ja się przyjaźnimy.

- Ale jesteś moją bratową, więc to coś innego.

- Uważam, że to możliwe. - Wzięłam garść popcornu. Znowu styropian, ale dobrze wchodził, popity napojem. Przed oczami stanęła mi Meg Ryan, udająca orgazm. - Skoro mowa o orgazmach - odezwałam się impulsywnie - swój pierwszy przeżyłam na motocyklu Jamiego.

Marcus zrobił wielkie oczy.

- To się naprawdę dzieje? Myślałem, że to bajka.

- O, dzieje się, dzieje. Cała tajemnica w czwartym biegu.

Roześmiał się.

- Jesteś pijana.

- Właśnie że nie. - Ale byłem i przyjąłem to z wdzięcznością.

- Właśnie że tak. - Uśmiechnął się. - I lubię cię w tym stanie. Już dawno nie widziałem cię takiej szczęśliwej.

Pochyliłam się, żeby znowu nabrać popcornu, ale nie trafiłam. Miska zakołysała mi się przed oczami. Spróbowałam znowu, ale kiedy poruszyłam głowę, cały pokój zaczął wirować. Zanim słowa: „Niedobrze mi” zdołały mi się skryzalizować w głowie, wymiotowałam na stolik.

202

203

- Cholera! - Marcus poderwał się na równe nogi.

- Boże... - Chwyciłam się za głowę, patrząc z niedowierzaniem na kałużę kaszy, napoju i rozdrobnionych krewetek. - Strasznie przepraszam.

Marcus rzucił się do kuchni.

- Moja wina. Pozwoliłem ci za dużo pić.

Ciągle było mi niedobrze. Wstałam, ale upadłam koło kanapy. Kątem oka zobaczyłam Marcusa, który chwycił mnie za ramię. W drugiej trzymał rolkę papierowych ręczników.

- Do łazienki - rzucił, wlokąc mnie korytarzem.

Ledwie zdążyłam. Kiedy wymiotowałam, Marcus przytrzymał mi włosy. Wreszcie zdołałam usiąść na podłodze, oparta o drzwi kabiny prysznicowej, a on umył mi twarz ręcznikiem zanurzonym w chłodnej wodzie.

- Przepraszam - wymamrotałam. - Obrzygałam ci pokój.

- Posprzątam. Nie ruszaj się stąd.

Chciałam powiedzieć, że mu pomogę, ale słowa nie chciały mi wyjść z gardła.

Chyba zasnęłam - albo zemdlałam - bo ocknęłam się w obcym łóżku, w obcym pokoju. Drzwi były zamknięte, ale pod nimi zobaczyłam kreskę światła.

Usiadłam. W głowie łomotał mi ból.

- Marcus?

Po chwili drzwi się otworzyły. Skrzywiłam się, mrużąc oczy przed światłem.

- Musiałeś mnie tu zanieść? To twoje łóżko?
 - Pokój gościnny. Wiesz, ta sypialnia od frontu. I niosłem cię tylko trochę.
 - Która godzina?
 - Druga rano.
 - Czemu nie śpisz? Roześmiał się.
 - Bałem się, że mi tu umrzesz. Powiedziałem Jamiemu, że cię zmusiłem do jedzenia. Nie skomentował, że do picia
 - też. - Poklepał moją nogę pod kołdrą. - Nie masz głowy do alkoholu, dziewczyno.
 - Podobało mi się, dopóki nie zwymiotowałam.
 - Tak, ten etap jest fajny.
 - Co za wstyd. Strasznie przepraszam. - Znowu zachichotałam, zaskakując samą siebie. Marcus odpowiedział uśmiechem.
 - Chodź no tutaj - powiedział, biorąc mnie w objęcia.
 - Musisz mi coś obiecać.
 - Mmm?
 - Postaraj się pogodzić z Jamiem. Bo chcę, żebyś zawsze należała do mojej rodziny. Ty jedna traktujesz mnie, jakbym był coś wart.
 - Nieprawda - wymamrotałam w jego ramię. - Jamie traktuje cię dobrze.
 - Wyrzucił mnie.
 - Bo zachowywałeś się jak gnojek.
- Marcus zamilkł na tak długo, że prawie zasnąłam z głową na jego ramieniu.
- Masz rację - powiedział w końcu z westchnieniem.
 - Znamy nasze role i dobrze je gramy. Jamie jest świętym, a ja grzesznikiem.

Ta noc była początkiem nowego rozdziału mojego życia. Prawie każdego wieczoru Marcus i ja jedliśmy kolację w Morskim Strażniku albo Talosie, potem oglądaliśmy telewizję albo film i nauczyłam się, ile mogę wypić, żeby czuć się dobrze, nie wymiotując. Na ogół gotował Marcus, ale ja kupowałam wszystkie potrzebne składniki, co wydawało mi się ogromnym krokiem naprzód, bo nie robiłam zakupów od miesięcy. Wyprawy do sklepu w Sneads Ferry męczyły mnie i na ogół po powrocie zapadałam w drzemkę, ale już nie spałam w ubraniu ani nie zarastałam brudem. Zaczęłam czekać niecierpliwie na wieczory z Marcusem, choć początkowo martwiłam się, że się nade mną użala. Stopniowo zrozumiałam, że woli

204

205

przebywać ze mną niż z kumplami. Udowodniliśmy niesłuszność „Kiedy Harry poznał Sally”.
Mężczyźni i kobiety mogą być przyjaciółmi bez seksualnych podtekstów.

Zaczęłam się o niego martwić. Bałam się, kiedy widziałam, jak samotnie surfuje, bo wiedziałam, że pewnie jest pijany. Nie chciałam go stracić - nie tylko dlatego, że był moim szwagrem i przyjacielem, ale - całkiem szczerze - ponieważ był moim kompanem od kieliszka.

Alkohol rozwiązywał mi język. Rozmawiałam z Marcusem tak, jak nie potrafiłabym rozmawiać z Jamiem, terapeutą ani Sarą. Tylko jemu opowiedziałam, że boję się skrzywdzić Maggie.

- Tęsknisz za nią? - spytał mnie pewnej nocy w Talosie. Przycupnęliśmy na dwóch przeciwległych krańcach sofy.

Objęłam kolana rękami.

- Tęsknię... - Na to pytanie nie było łatwej odpowiedzi.

- Tęsknię za kobietą, w którą chciałam się przy niej zmienić. Matką, którą spodziewałam się zostać. Myślałam, że będę świetna. Tymczasem jestem okropna. Beznadziejna.

- Nie mów tak.

- Ulżyło mi, że nie ma jej przy mnie. - Opuściłam czoło na ręce. - Wiem, że to brzmi strasznie.

- Jesteś zbyt zmęczona, by się nią zająć.

- Nie dlatego mi ulżyło. - Spojrzałam mu prosto w oczy.

- Bałam się, że zrobię jej krzywdę.

Roześmiał się, ale zrozumiał, że mówię serio.

- Ty? - spytał. - Ty nawet nie łowisz ryb, bo uważasz, że to mord.

- Wiem, że to wariactwo, ale nie mam do niej cierpliwości i... wyobrażam sobie, jak ją krzywdzę. - Nie chciałam mu opowiadać, jakie obrazy stawały mi przed oczami. Te niechciane wizje, które nawiedzały mnie w najmniej spodziewanym momencie i sprawiały, że czułam się jak niebezpieczna wariatka. Nie chciałam, żeby on też je zobaczył.

- Wierz mi, lepiej jej będzie z dala ode mnie.

206

Raz na tydzień Jamie przyprawdzał Maggie do Morskiego Strażnika. Była piękna, o dużych brązowych oczach Jamiego i z ciemnymi włosami, które już teraz układały się w jedwabiste fale. Nie dostrzegałam u niej podobieństwa do siebie. Może właśnie dlatego, że wyglądała bardziej na cudze dziecko, chciałam poczuć do niej miłość. Kiedy widziałam, jak Jamie wysiada z nią z samochodu, serce wzbierało mi jakąś tęsknotą, lecz?; im bardziej się zbliżała, tym mniej czułam. Ale udawałam.

- Cześć, Maggie! - mówiłam głosem, który brzmiał fałszywie nawet w moich uszach. — Chciałabyś się pobawić klockami? Albo układanką?

Maggie przywierała do nogi Jamiego, ale nie spuszczała ze mnie oka. Udawanie wesołości pożerało całą moją energię, ale na ogół udawało mi się skłonić małą do zabawy, o ile Jamie także wziął w niej udział.

Pewnego dnia Jamie uściskał mnie jak zwykle, a potem cofnął się zaskoczony.

- Piłeś? - spytał. Zdradził mnie oddech.

- Tylko niskoprocentowego drinka do obiadu.

- Uważaj. - Położył dużą dłoń na głowie Maggie. - Wiesz, że alkohol prowadzi do depresji..

- Jasne, jasne - rzuciłam lekko. - Nie musisz się martwić.

Wtedy się uśmiechnął.

- Wyglądasz ostatnio dużo lepiej.

Alkohol może wywoływać depresję u wielu osób, ale na mnie miał odwrotny wpływ. Zagłuszył mój wewnętrzny ból sprawił, że poczułam się niemal sobą.

Przed następną wizytą Jamiego umyłam zęby i wypłukałam usta płynem. Przeszedł mnie dreszcz, kiedy uświadomiłam sobie, co robię. Że muszę już ukrywać swoje picie.

Uważałam też w obecności Sary, na wypadek, gdyby Jamie kazał jej mieć na mnie oko. Od czasu do czasu

207

przynosiła mi obiad i miałam wrażenie, że wraz z Jamiem opracowali jakiś grafik odwiedzin u mnie.

Pewnego ciepłego listopadowego dnia Sara zaproponowała, żebyśmy wyszły po obiedzie na plażę.

- Fantastyczna pogoda. Masz ochotę?

W pierwszym odruchu chciałam się wykręcić zmęczeniem, ale kiedy wyjrzałam przez okno, piasek zaiskrzył się w słońcu, a morze i niebo miały ten sam intensywny odcień błękitu, nagle zapragnęłam się przespacerować.

- Pewnie - powiedziałam. - Zimno? Sara na chwilę zaniemówiła.

- Wierz mi lub nie, ale można chodzić boso. - Zdjęła tenisówki i zaczęła ściągać skarpetki, przytrzymując się kuchennego stołu.

Zdjęłam kaptcie i razem wyszliśmy na taras, a z niego po schodkach na plażę. Poczułam przyptyw szczęścia, choć nie wiem, o ile z powodu piękna tego dnia, o ile zaś dzięki alkoholowi, który wypięłam przed obiadem. Zanurzyłam palce u stóp w chłodny piasek.

- Boso w listopadzie! - odezwała się Sara. - Nigdy nie wrócę do Michigan.

- Dobrze. Bardzo bym nie chciała cię stracić.

- Nigdzie się nie wybieram, ale sprawy się zmieniają. - Zerknęła na mnie z uśmiechem. - Chciałam ci powiedzieć, zanim wszyscy zauważą. - Położyła dłoń na brzuchu.

- Jesteś w ciąży? Skinęła głową.

- Czwarty miesiąc. Poród w maju.

- Gratulacje! - Usiłowałam włączyć w swój głos entuzjazm, ale nagle zawładnęła mną zazdrość. Sara będzie fantastyczną matką - taką, która cieszy się z narodzin dziecka. - Steve pewnie szaleje ze szczęścia?

Sara parsknęła śmiechem.

- O ile to u niego możliwe. Znasz go. Zawsze chłodny,

208

spokojny i opanowany. Dlatego wojsko go kocha - z wzajemnością.

Tak naprawdę nie znałam Steve'a zbyt dobrze. Był cichy, skryty i poważny, i czasami miałam wrażenie, że Sara wołała, kiedy go nie było w domu, ale może tylko przypisywałam jej swoje pragnienie, by znaleźć się daleko od Jamiego. Usiłowałam sformułować następne pytanie, kiedy Sara znowu się odezwała.

- Wiesz, że Jamie tak naprawdę nie chce z nami mieszkać, prawda? Że wolałby być z tobą? Nadal cię kocha. Odszedł tylko dlatego, że tego chciał.

- Wiem.

- Kochasz go jeszcze?

Westchnęłam i spojrzałam w niebo, jakbym szukała w nim odpowiedzi.

- W tej chwili nie kocham nawet siebie - odezwałam się w końcu, choć przez myśl przebiegł mi obraz Marcusa. Ciepła wdzięczność do niego była ostatnio najbliższym miłości uczuciem, jakie znałam.

- Nie wiem, czy to dobrze, że Jamie tu nie mieszka. Że nie masz kontaktu z córką.

Potrafiłam odczytać aluzję i serce mi się ścisnęło. Nie spodobało mi się to.

- Musi się wyprowadzić natychmiast? Pewnie potrzebujecie pokoju dla dziecka.

- Właściwie nie. Maggie śpi teraz w trzeciej sypialni, ale dziecko przez jakiś czas będzie w naszym pokoju, więc to nie problem. Na pierwszy tydzień po porodzie przyjedzie do nas moja matka z Michigan i wtedy pokój będzie potrzebny, ale poza tym Jamie i Maggie mogą zostać, jak długo chcą. Szczerze mówiąc, pieniądze za czynsz są nam potrzebne. Poza tym Steve tak często wyjeżdża, że Jamie się przydaje, kiedy zapcha się zlew, drzwi wypadną z zawiasów, a toaleta zmieni się w gejzer.

Roześmiałam się, głównie z ulgi, że mój mąż i dziecko nie wrócą na razie do domu - z wyjątkiem jednego tygodnia w maju.

- I to wszystko wydarzyło się naprawdę?

- W zeszłym tygodniu. Przedziwne. Poza tym będę tęsknić za Mags. Jest cudowna.

Ominęłam kłęb wodorostów. Wstrząsnęło mną, że Sara nazywa Maggie Mags, jak Jamie. I zasmuciło mnie, że Mag-gie jest cudowna przy Sarze, a skrępowana przy mnie. Jak bardzo przywiązała się do niej? Nie miałam prawa czuć tej zazdrości.

- Co ci się stało? - spytała Sara. - Tak bardzo się zmieniłaś po urodzeniu Maggie, no a teraz sama jestem w ciąży i zastanawiam się, czy mnie też się to nie przydarzy.

Dobrze, że miałam ciemne okulary, bo w oczach stanęły mi łzy.

- Nic ci nie będzie - zapewniłam. - Jestem dziwolągiem.

- O nie. Chyba masz depresję poporodową.

- No, już mi lepiej - oznajmiłam. Wiedziałam, że kiedy wrócę do domu, na pewno poczuję się dużo lepiej - z butelką w dłoni.

Kiedy Marcus powiedział mi, że Andy jest podejrzany o podłożenie ognia, nie zmrużyłam oka przez niemal całą noc. W głowie nieustannie rozbrzmiewało mi słowo: „Absurd!”. Tworzyłam w myślach małe przemowy, pełne oburzenia, i omal nie zadzwoniłam do Marcusa o świcie, bo czułam, że muszę powiedzieć to głośno. Andy nie jest zdolny do zaplanowania zbrodni i z pewnością nie potrafiłby zatrzeć po sobie śladów!

Myślałam o tym, jak jako pięciolatek ukradł batonik, gdy staliśmy w kolejce do kasy. Odkryłam to, kiedy sprawdziłam jego pas bezpieczeństwa. Zrobiłam to, co powinien zrobić każdy dobry rodzic: wróciłam z nim do sklepu, kazałam mu przeprosić kierownika i zapowiedziałam kategorycznie, że nigdy więcej nie wolno mu kraść słodyczy. To wbrew prawu.

Ale tydzień później po powrocie z drogerii okazało się, że Andy ma przy sobie pistolet na wodę. Nawet nie usiłował go ukryć.

- Skąd to masz? - spytałam.

- Ze sklepu.

- W zeszłym tygodniu mówiłam ci, że kradzież jest nielegalna! - krzyknęłam.

- Mówiłaś, że nie wolno kraść słodyczy! - odpowiedział równie głośno.

Oczywiście, teraz był starszy. I choć to doświadczenie było nieprzyjemne, kiedy opowiedziałam o nim znajomym, dostrzegli w nim zabawną stronę. Jednak kiedy Andy dorósł, jego niezrozumienie

mechanizmów rządzących światem przestało być takie urocze, o czym przypominałam sobie tydzień temu na lotnisku. Ludzie nie okazywali mu już zrozumienia i nie wybacжали tak łatwo, jak kierownik w sklepie.

Kiedy Maggie i Andy wyjechali do szkoły, poszłam na górę do pokoju Andy'ego i stanęłam w drzwiach, usiłując obejrzeć wewnątrz okiem detektywa. Z pozoru wydawało się schludne. Od dzieciństwa wbijałam mu do głowy „wszystko na swoim miejscu”; w przeciwnym razie w jego pokoju panowałby kompletny chaos. Nawet łóżko było posłane. To znajdowało się na pierwszym miejscu na jego wykresie „Poranne przygotowania”. Ale trochę brzydko tu pachniało. Otworzyłam okno wychodzące na południe i wpuściłam letnie powietrze.

Nakłoniłam Andy'ego, żeby przypiął do korkowej ściany niektóre laurki i listy, które mu przysłano po pożarze, zamiast rozrzucić je po pokoju. Na tablicę trafiło trzydzieści, reszta - do dużego wiklinowego kosza na komodzie.

Najpierw podeszłam do komputera. Już dawno zainstalowałam program do kontroli rodzicielskiej na komputerze jego i Maggie - za ich wiedzą. Parę lat temu odinstalowałam go z komputera Maggie na jej uzasadniony wniosek. Doszłam do wniosku, że jest już na tyle dorosła, iż matka nie musi wścibiać nosa w jej sprawy. Miała prawo do prywatności i nie należała do osób, które rozmawiają na czacie z nieznanymi. Pewnie minie sporo czasu, zanim usunę program z komputera Andy'ego. Nie czułam się swobodnie, przeglądając jego mejle lub wiadomości z komunikatorów, ponieważ zawsze przypominały mi o jego niedojrzałości i samotności. Jego mejle dotyczyły przeważnie treningów pływackich i spotkań albo też były wiadomościami od Marcusa i Emily. Nie czytałam mejli

212

Marcusa i przejrzałam tylko parę Emily, która robiła tak straszliwe błędy, że nie wiedziałam, czy Andy coś z nich rozumie. Rozmawiał też przez komunikator, przeważnie z Maggie - „Powodzenia jutro!”. Wiedziałam, dlaczego Maggie wysyła mu te wiadomości - i popierałam ją. Chciała, żeby je dostawał, tak jak jego koledzy. Przygotowałam się na parę wrednych wiadomości od smarkaczy z jego klasy, bo wiedziałam, że są nieuniknione. Andy pisał czasem do jakiegoś przypadkowego ucznia, którego uważał za jednego z wielu swoich „przyjaciół”. Ci sympatyczniejsi odpowiadali mu wymijająco. Ale raz na jakiś czas Andy znajdował sobie niewłaściwy obiekt zainteresowania. Przejrzałam szybko wiadomości.

Ktoś z nickiem Purrpetual napisał: Dzięki za uratowanie życia!

Odpowiedź Andy'ego: Spoko. Gdyby mnie nie było, mógłbyś się spalić.

Wzdrygnęłam się. Zapomniałam mu powiedzieć, żeby nie chwalił się w mejlach i na czacie. Co by pomyślała o tym policja?

Dzień po zawodach pływackich BTrippett wysłał wiadomość: Andy, jesteś super!

Odpowiedź Andy'ego, stosowna: Dziękuję!!!

Andy wysłał mejla do jakiegoś MuzicRuuls: Chcesz pojeździć w sobotę na desce?

MuzicRuuls odpowiedział: Nie z tobą, leszczu.

Dość. Nie chciałam dalej czytać.

Przeszukałam jego szuflady, ale nie znalazłam nic nadzwyczajnego. Otworzyłam górną szufladę komody, przygotowując się na bałagan, który na pewno znajdował się w środku. Pozwalałam Andy'emu trzymać w jednej szufladzie wszystko, co chciał. Miał skłonności do bałaganiarstwa, składanie rzeczy w kostkę sprawiało mu kłopoty. Jedna szuflada, do której mógł wrzucać rzeczy jak popadnie, stanowiła coś w rodzaju wentyla bezpieczeństwa.

213

Ledwie zdołałam ją wysunąć, tak była pełna. Cuchnęła. Znalazłam brudne skarpety, zwinięty w kulkę podkoszulek, który było czuć rybami i solą, pewnie z ostatniego wędkowania z Marcusem. Rzuciłam brudne rzeczy na podłogę. Znalazłam stare Nintendo i kilka pewnie wyczerpanych baterii. Parę starych resoraków, których nie widziałam od jego dzieciństwa. Krem na trądzik, choć Andy miał na razie tylko dwie krosty. Puste i na wpół opróżnione paczki gumy, mnóstwo zmiętych chusteczek. Na samym dnie znalazłam zapakowany kondom i surowo zapowiedziałam sobie, że mam nie panikować. Kupno gumki to dla każdego nastolatka rytuał przejścia, nieprawda? Zastanowiłam się, czyby go nie usunąć, ale się rozmyśliłam. Niech Andy poczuje się raz jak normalny chłopak.

W szufladzie znajdowała się też uwaga od nauczyciela, z datą sprzed roku. Najwyraźniej miałam ją podpisać, ale nigdy jej nie widziałam. Informowała, że Andy ma często zaległości w nauce. I w końcu nowa, nieotwarta płyta Beatlesów. Nie wiedziałam, że Andy kupował płyty, tym bardziej Beatlesów. Zaniepokoiłam się, że mógł ją ukraść. Poczułam się jak na lotnisku, gdy znaleziono przy nim zapalniczkę. Nie wiedziałam wszystkiego o swoim synu. Znajomy strach znowu zakradł się do mojego serca. Jak zdołam pokierować Andym przez następną dekadę, gdy stanie się dorosły? Czy zdoła utrzymać jakąś pracę? Żyć samodzielnie? Wątpiłam. Ale w tej chwili miałam bardziej naglące troski.

Otworzyłam kolejną szufladę, w której spoczywały jego niezbyt starannie złożone podkoszulki. Już miałam ją zamknąć, kiedy zauważyłam coś białego, wystającego spod środkowego z trzech stosików. Sięgnęłam po to i wyciągnęłam zgniecione w kulkę papierki. Rachunki. Wyjęłam je i rozprostowałam na jego łóżku. Z ulgą zobaczyłam rachunek za CD. Jeden za gumę do żucia i snickersa. Jeden za scyzoryk, ten który Andy miał „od zawsze” i który

214

wymienił na zapalniczkę. Jeden, z datą sprzed czterech miesięcy, za papierosy. Uniosłam stosiki podkoszulków i znalazłam paczkę marlboro, w której brakowało trzech papierosów. Powąchałam je. Trochę zatęchłe, jakby od jakiegoś czasu leżały w szufladzie. Moje dzieciątko. Tak bardzo stara się dopasować do innych.

Przejrzałam jego szufladę z bielizną. Niezbyt schludna, ale nic podejrzanego.

Rozsunęłam składane w harmonijkę drzwi jego szafy i spojrzałam na bluzę w zielone paski i brązowe spodnie, które miał na sobie w noc pożaru. Uprałam te rzeczy dwa razy, usiłując je doprowadzić do porządku - wydawało mi się, że z sukcesem, ale kiedy je powąchałam, nadal wyczuwałam woń dymu. Pochyliłam się i wzięłam trampki, które włożył tamtej nocy. Były ciemnobrązowe, z jasno-brązowymi akcentami. Kupiliśmy je w przeddzień pożaru. Zbliżyłam do nich nos. Zapach był ledwie wyczuwalny. Może to skóra? Odsunęłam się, zaczerpnęłam świeżego powietrza i znowu powąchałam. Nie skóra.

Coś zdecydowanie chemicznego. Zapalniczka w skarpecie! Miał te same buty w drodze do Nowego Jorku. Pewnie płyn z zapalniczki wsiąkł mu w buty. Będę musiała poinformować policjantów o tej zapalniczce, jeśli i oni poczują coś niepokojącego.

Wszystko będzie dobrze, zapowiedziałam sobie. Nie ma tu nic, do czego można by się przyczepić.

I byłam absolutnie pewna, że mogę wyjaśnić wszystko, co znajdą policjanci.

Po późniejszym niż zwykle treningu w zatoce zapakowałem kajak do pick-upu i wsiadłem do szoferki. Ramiona bolały mnie w ten dobry sposób, jak zawsze po godzinie wiosłowania. Sprawdziłem telefon, czy nie ma w nim wiadomości. Była jedna.

- Marcus, tu Sara. - Matko, ale miała napięty głos. - Keith może już mówić i chciałabym z tobą porozmawiać. To ważne. Wróciłam do Surf City i będę dziś w Jabeen's.

I tak chciałem tam wstąpić. Nie miałem zmiany i zamierzałem posiedzieć przy kawie nad gazetą. Podejrzewałem, że Sara powie mi to, co już wiedziałem: że w dniu pożaru Keith widział Andy'ego przed kościołem. A może się wkurzyła, że byłem w szpitalu i nie starałem się z nią spotkać. Albo że spotkałem się z Keithem i nie powiedziałem jej o tym.

Nie zgadłem.

Sara spojrzała na mnie, gdy tylko stanąłem w drzwiach kawiarni, i skinęła mi głową, robiąc jakiś skomplikowany, parujący i za drogi napój dla klientki. Nie widzieliśmy się od pożaru. Minęło tylko dwa i pół tygodnia, ale było to gówniane dwa i pół tygodnia i każda minuta odcisnęła się na jej twarzy. Sara należała do tych kobiet, które przez cały rok noszą opaleniznę. Dziś była blada. Kredowobiała.

Odkąd ją znam, nosi krótką jasną fryzurę z grzywką. Teraz rozczesała włosy na boki i założyła za uszy, jakby nie miała czasu się nimi zająć.

- Marcus, duża? - Podała kubek kobiecie przede mną.

- Przyda się.

- Na miejscu? - Miała ciemne podkopy pod oczami. Skinąłem głową. Było mi jej autentycznie żal. Odwróciła się i nałła kawy z ekspresu do białego kubka.

Brązowe rybaczki zwisały jej luźno na biodrach. Nawet wychudzona i zbyt blada była atrakcyjna. Parę lat temu zastanawiałem się nad związkiem z nią. Ale choć była ładna, mądra i cholernie miła, nie pociągała mnie tak, jak powinna. Nie chciałem zaczynać czegoś, czego nie mogę skończyć. Kiedy się mieszka w małym miasteczku, w którym wszyscy znają wszystkich, trzeba uważać na takie rzeczy. Poza tym Sara nie jest Laurel Podała mi kubek.

- Chciałaś porozmawiać? - spytałem. Nieznajomy mężczyzna i kobieta w średnim wieku weszli do kawiarni. Zerknąłem na nich. Turyści.

- Rano jestem tu sama - wyjaśniła Sara. - Dawn poszła do dentysty, więc nie mam zbyt wiele czasu... - uśmiechnęła się do turystów - ...ale muszę ci coś powiedzieć.

- Trochę tu posiedzę. - Wskazałem głową mój ulubiony stolik przy oknie.

- Dobrze.

Usiadłem i otworzyłem gazetę, a Sara zajęła się parą przybyszy. Potem podeszła do mnie. Usiadła naprzeciwko mnie.

- Keith może już mówić. - Nie wyglądała, jakby ją to cieszyło. - Czy powiedziałam to w wiadomości?

- Tak. A ja z nim wczoraj rozmawiałem. Świetnie, że zdrowieje.

Otworzyła oczy.

- Naprawdę? W centrum oparzeń? Co powiedział?

216

217

- Że widział Andy'ego przed kościołem.

- Mówił coś jeszcze? - Czekala na jakąś informację.

- Nie siedziałem tam długo. Przepraszam, że cię nie odszukałem. Powiedzieli mi, że wróciłeś do hotelu.

Paru agentów z biura handlu nieruchomościami na tej ulicy weszło do kawiarni.

- Zaraz wracam - rzuciła Sara. Drżącą ręką odgarnęła pasmo włosów z czoła. Pochyliła się do mnie. - Znalazł twój stary list - szepnęła.

- Jaki list? - Ledwie te słowa padły z moich ust, przypomniałem sobie. - Zachowałeś go?

- Cśśś.

Zniżyłem głos.

- Dlaczego go nie wyrzuciłeś?

- Dawno temu włożyłam go do dokumentów bankowych i zapomniałam o nim. Keith zaczął grzebać w moich papierach i znalazł go.

Co ja tam napisałem? Nie mogłem sobie przypomnieć słów, choć to, co pamiętałem, wystarczyło.

- Co powiedział?

- Wściekł się. I bardzo go to zabolalo. Powiedziałam, że nie wolno mu o tym nikomu mówić, że zraniłby zbyt wiele osób.

- Kiedy się dowiedział? - Czułem spoczywający na nas - a w każdym razie na Sarze - niecierpliwy wzrok agentów.

- W dniu zabawy. - Wstała. - Zostawiłam ci wiadomość, ale potem wybuchł pożar i... martwiłam się, czy Keith przeżyje, nie czy komuś powie o liście. - Klepnęła blat stołu. - Na razie.

Wróciła za ladę.

Mgliście przypomniałem sobie, że przed pożarem dostałem od niej wiadomość i zapamiętałem, żeby do niej oddzwonić po zmianie.

Może to Keith podłożył ogień, powiedziała Laurel Ten list dawał mu motyw. Ale dlaczego miałby dać się uwięzić w podpalonym przez siebie kościele?

Nie znałem odpowiedzi na to pytanie. Za to zrozumiałem, dlaczego Keith nazwał tego wieczoru Andy'ego małym bogaczem. Keith miał po zabawie wrócić do mieszkalnej przyczepy. Andy - do piętrowej willi nad wodą.

Sam zawsze uważałem, że to niesprawiedliwe.

218

Talos był pod jednym względem lepszy od Morskiego Strażnika: miał jacuzzi. Gdy zima w końcu zaatakowała wichrami, które na tym krańcu wyspy wydawały się ark-tyczne, Marcus i ja nabraliśmy zwyczaju przesiadywania wieczorami w gorącej kąpeli - oczywiście, z butelkami alkoholu. Opierałam głowę o krawędź zbiornika, przyglądałam się zimnym białym gwiazdom na czarnym aksamitnym tle i przypominałam sobie te noce, gdy Jamie i ja kładliśmy się opatuleni na plaży w zimowe noce i wyglądaliśmy satelitów. Od tego czasu minęło tylko kilka lat, a jednak wydawało się, że to scena z cudzego życia, nie mojego.

Pewnej nocy pod koniec marca chyba zostaliśmy w jacuzzi za długo, woda była za gorąca albo za dużo wypiliśmy. Kiedy wróciłam do domu i szybko narzuciłam na siebie frotowy szlafrok, żeby opanować dreszcze, nagle zakręciło mi się w głowie.

- O rety - Zamknęłam oczy i oparłam się o ścianę salonu.

- Niedobrze ci? - spytał Marcus, narzucając ręcznik na ramiona.

Uniosłam powieki. Pokój się zamglił, ale nie wirował.

- Chyba nie.

- Chcesz kawy? Gorącej czekolady?

- Fuj... nie. - Ostrożnie zrobiłam krok naprzód, potem drugi. - Położę się w twoim gościnnym pokoju.

- Żadna z tobą zabawa - mruknął Marcus. I krzyknął za mną: - Zawołaj, jeśli będziesz mnie potrzebować.

W jego pokoju gościnnym, w którym czułam się swobodniej niż u siebie, zdjęłam ręcznik i mokrą bieliznę i wpełzałam pod kołdrę.

Nie wiem, jak długo spałam. Wiem tylko, że kiedy się obudziłam, leżałam na prawym boku, twarzą do ściany. Powoli, powolutku uświadomiłam sobie, że Marcus leży za mną. Poczułam jego obejmujące mnie ramię, jego palec lekko muskający miejsce, w którym moja pierś stykała się z klatką piersiową. W mój lewy pośladek wpierała się jego gorąca erekcja. Leżałam tak parę minut, między jawą i snem, ani trzeźwa, ani pijana. Potem odwróciłam się i gdzieś w drodze od ściany do niego minęłam punkt, z którego nie ma odwrotu.

220

221

Panna Betts przysiadła na biurku - czasem to robi

- i spytała:

- Co jeszcze świadczy o globalnym ociepleniu?

Podniosłem rękę pierwszy. Pani spytała Brynn zamiast mnie, choć nie podnosiłem ręki od jakichś dziesięciu minut. Miałem to robić tylko co trzecie pytanie, na które znałem odpowiedź. Byłem dobry w takich sprawach, jak „dowody globalnego ocieplenia”, bo to fakty. Potrafię je zapamiętywać. Ta część mojego mózgu działa wspaniale. Z dyskusjami

- na przykład czy powinno się nadal stosować karę śmierci na krześle elektrycznym - nie radzę sobie aż tak dobrze. Ta część mojego mózgu jest słaba. Elektryczne krzesło zabija ludzi, a zabijanie jest niedobre, więc to proste. Ale przechodząc do dyskusji, mieliśmy unikać czarno-białego myślenia, jak mówi panna Betts. To już trudniejsze. To mama poradziła mi, że powinienem podnosić rękę co trzeci raz. Powiedziała mi, że doprowadzam nauczycieli do szału tym ciągłym podnoszeniem ręki. No to się staram nie doprowadzać, ale czasami i tak nie pozwalają mi odpowiedzieć.

Brynn odpowiedziała tak samo, jak zamierzałem: topnienie lodowców. Potem do klasy przyszła pani z kancelarii. Patrzyła wprost na mnie. Szepnęła coś do panny Betts. Wtedy panna Betts też na mnie spojrzała.

222

- Andy - powiedziała - weź swoje rzeczy i idź z panią Potter.

- Dlaczego? - spytałem.

- Pani Potter ci to wytłumaczy.

Włożyłem książki i zeszyt do plecaka, trochę zły, bo nie chciałem stracić reszty lekcji. Pani Potter jest bardzo, bardzo stara. Uśmiechała się, kiedy do niej szedłem. Objęła mnie i wyszliśmy z pokoju.

W korytarzu zobaczyłem policjanta. Nie uśmiechał się. Przez głowę przebiegło mi wszystko, co dziś zrobiłem. Czy coś nabroiłem? Niczego sobie nie przypomiinałem.

- Andy - powiedziała pani Potter - to jest sierżant Wood. Chce z tobą przez parę minut porozmawiać.

Policjant był duży. Wolałem, żeby pani Potter nie zostawiała mnie z nim samego, ale wiedziałem, że tak się stanie. Serce biło mi szybko. Miał pistolet przy pasku! Widziałem go, parę centymetrów ode mnie. Jeszcze nigdy nie widziałem z bliska prawdziwej broni.

- Proszę skorzystać z pokoju psychologa - zaprosiła policjanta pani Potter i tam weszliśmy. Policjant zamknął drzwi. Nagle oddychanie zaczęło mi sprawiać kłopoty. Inhalator miałem w plecaku, który położyłem na podłodze. Na razie go nie potrzebowałem, ale uspokajała mnie świadomość, że mam go pod ręką.

- Możesz usiąść - powiedział policjant.

Usiadłem na krześle przy takim wysokim meblu z szufladami. Policjant zajął krzesło pod oknem. Pokój był mały. Nie podobało mi się, że znajduję się tak blisko broni. Policjant miał na piersi wielką odznakę ze słowem „sierżant”, a nad nią taką cienką flagę jak amerykańska, ale bez odpowiedniej liczby pasków.

- Andy, masz prawo zachować milczenie - oznajmił i bardzo szybko dodał mnóstwo różnych słów, ale ja myślałem tylko o tym, że mam prawo zachować milczenie. Policjant potarł brodę. - Zrozumiałeś, co ci powiedziałem?

223

- Oczywiście miałem bardzo błękitne, jak wujek Marcus. - Że masz prawo zachować milczenie? - Tak.

- To znaczy, że nie musisz ze mną teraz rozmawiać. Zadam ci parę pytań, ale masz prawo nie odpowiadać.

Skinąłem głową. To głupie, bo po co pyta, skoro mogłem nie odpowiadać, ale czasem ludzie robią rzeczy bez sensu. To był pewnie jeden z tych razów.

- Masz prawo rozmawiać ze mną w obecności rodzica. Rozumiesz?

- Tak - powiedziałem, choć wszystko mi się już poplątało. Mamy tu nie było, a jednak ze mną rozmawiał.

- Chcę z tobą pomówić o pożarze - dodał.

- Dobrze - zgodziłem się.

- Opuszczając kościół podczas zabawy?

Nie wiedziałem, co robić. Mogłem zachować milczenie. Choć policjant trochę się odwrócił i nie widziałem już jego broni, wiedziałem, że nadal tu jest. W każdej chwili mógł ją wyjąć i mnie zastrzelić. Pomyślałem, że lepiej mu odpowiedzieć, ale wtedy musiałbym skłamać. A jeśli miał ze sobą wykrywacz kłamstw? Gardło mi się zacisnęło, ale bałem się sięgnąć po plecak. Policjant mógłby pomyśleć, że też chcę wyjąć broń.

- Wyszedłeś z kościoła podczas zabawy? - spytał znowu. - Nie.

- Nie wyszedłeś?

Pokręciłem głową. Dlaczego pytał mnie po raz drugi? Zjrzałem pod stół, żeby sprawdzić, czy stoi tam wykrywacz kłamstw. Zobaczyłem tylko stopy policjanta.

- Mieliliśmy parę doniesień, że widziano cię przed kościołem.

Koszula zrobiła mi się mokra pod pachami. Zapomniałem dziś użyć dezodorantu. Mama dodała ten punkt ołówkiem na skraju mojego wykresu „Poranne przygotowania”. Zawsze go przegapiałem.

- Nie wychodziłem - powtórzyłem.

- Wdałeś się w kościele w bójkę z Keithem Westonem, tak?

Może to o to chodziło. Chciał się dowiedzieć, kto zaczął.

- On mnie obraził - wyjaśniłem.

- A ty się na niego pogniewałeś. -Tak.

- Tak bardzo, że podłożyłeś ogień.

- Co? - Teraz to już naprawdę się pogubiłem.

- Podłożyłeś ogień, Andy?

- Nie. Ja jestem ten, który uratował ludzi - sprostowałem. Pomylił mnie z kimś innym.

- Może mi opowiesz, jak ich uratowałeś?

To było proste. Opowiadałam to tyle razy, że słowa popłynęły z moich ust jak wiadomości o globalnym ociepleniu. Wyjaśniłem, że wyszedłem przez okno w łazience chłopców, zeskoczyłem na klimatyzator i tak dalej.

- Dobrze, Andy. - Policjant wstał. Rękojeść pistoletu znalazła się tuż przed moimi oczami! - Możesz już wrócić do klasy. Dziękuję za pomoc.

- Proszę bardzo.

Zostawiłem go i poszedłem do pokoju panny Betts. Lekcja się skończyła i panna Betts musiała mi pomóc trafić na następną. Kiedy mój plan dnia się psuje, wszystko mi się płacze. Pani powiedziała, że powinienem iść na zajęcia plastyczne, które odbywają się w sali na końcu korytarza. Potem spytała:

- Jak ci poszła rozmowa z policjantem?

- Dobrze - powiedziałem, mam nadzieję, że wesoło, i poszedłem na zajęcia. Po drodze myślałem o pytaniach policjanta i moich odpowiedziach i uznałem, że mądrzej byłoby zachować milczenie. Chociaż miał broń.

224

Bonnie Betts zjrzała do mojego gabinetu, w którym mierzyłam temperaturę czwartoklasistce.

- Pozwól na słówko - rzuciła i cofnęła się na korytarz. Wyjęłam termometr z ust dziewczynki.

- W normie, kochanie - powiedziałam. - To pewnie alergia.

Mała skrzywiła buzię.

- Nie mogę oczyścić nosa, choć go wydmuchuję.

- To przykre - przyznałam, wyrzucając plastikową oprawkę termometru do kosza. - Poproś mamę, żeby kupiła ci spray z morską wodą. To pomoże.

Dziewczynka wstała ociężale, jakby miała na ramionach wór kartofli, i opuściła mój gabinet.

Zawołałam Bonnie. Podstawówka, w której pracowałam, znajdowała się w tej samej okolicy co szkoła średnia, a także liceum, w którym uczyła Bonnie, ale jej pojawienie się w moim budynku w środku dnia wydało mi się czymś niezwykłym.

- Jak się masz? - zagadnęłam. - Chcesz usiąść? - Wskazałam krzeselko, które opuściła czwartoklasistka.

Bonnie zatrzymała się w progu.

- Nie, postoję, dziękuję. Powinnaś wiedzieć, że na poprzedniej przerwie pani Potter zabrała Andy'ego z moich

226

zajęć na rozmowę z policjantem. Wrócił w dobrym humorze, ale uznałam, że powinnaś wiedzieć.

- Rozmawiali z nim, nie powiadamiając mnie? - Nie wiedziałam, czy to w ogóle legalne.

Bonnie wzruszyła ramionami.

- Nie przyszło mi do głowy, żeby o to spytać. - Spojrzała na zegarek. - Muszę wracać. Chciałam ci tylko powiedzieć.

Podziękowałam jej i usiadłam przy biurku, zastanawiając się, czy powinnam wywołać Andy'ego z następnej lekcji, żeby się dowiedzieć, co się stało. Wtedy do reszty zupełnie zepsułabym mu dzień, choć i tak na pewno miał już mętlik w głowie po rozmowie z policją. Zanim zdołałam podjąć decyzję, na moją komórkę zadzwonił Flip Cates.

- Dowiedziałam się, że jeden z twoich ludzi rozmawiał z Andym - oznajmiłam. Znałam go od lat i wiedziałam, że nie będzie mnie okłamywać.

- Sierżant Wood - przyznał. Nie znałam tego nazwiska. - Musieliśmy go spytać o pożar.

- Nie powinnam być przy tym obecna?

- Rodzic powinien być obecny przy przesłuchaniu dziecka poniżej czternastego roku życia. Sierżant Wood uprzedził Andy'ego, że ma prawo do obecności rodzica, ale Andy nie protestował.

- Bo pewnie miał mętlik w głowie! - Wstałam i zamknęłam drzwi gabinetu. - Ktoś powinien się ze mną skontaktować.

- Dobrze sobie poradził. Przepraszam, że zrzucam ci to na głowę, ale chcielibyśmy przeszukać pokój Andy'ego. Musisz podpisać zgodę. Zależy nam, żeby to się odbyło jeszcze dziś. Możesz się zwolnić z pracy?

- Chcecie przeszukać jego pokój? - Uznałam, że powinnam udawać zaskoczenie. Ostrzegając mnie, Marcus prawdopodobnie złamał zasady.

- Tak. To nie potrwa długo.

227

Mogłam powiedzieć, że nie podpiszę. Formularz zgody na przeszukanie to nie to samo co nakaz rewizji. Ale czy mogliby znaleźć w pokoju Andy'ego coś więcej niż ja? Buty, pomyślałam. Powinnam po prostu wyrzucić te buty. Idiotka. Dlaczego tego nie zrobiłam? Musiałabym tylko powiedzieć im o rozlanym płynie z zapalniczki.

- Mogę przyjechać za czterdzieści pięć minut - oznajmiłam. Pozwolę im przeszukać pokój i oczyścić imię Andy'ego, położyć kres plotkom. Potem niech się zajmą szukaniem prawdziwego przestępcy.

- Świetnie. Spotkajmy się w twoim domu o dwunastęj.

Choć przyjechałam za piętnaście dwunasta, radiowóz stał już na końcu ulicy tuż koło plaży. Pomachałam ręką do dwóch postaci w jego wnętrzu i skręciłam w mój podjazd. Zastanawiałam się, czy specjalnie przyjechali wcześniej, żeby nie zdążyła przeszukać pokoju Andy'ego przed ich przybyciem. To pewnie naturalna reakcja rodzica.

Spotkałam się z nimi na frontowym ganku. Flip uśmiechnął się i uścisnął mi rękę.

- Laurel, to sierżant Wood.

- Dzień dobry. - Sierżant skinął mi głową, ale nie podał ręki. Miał przedwcześnie posiwiałe włosy i intensywnie niebieskie oczy. Byłby przystojny, gdyby pozwolił sobie na choćby cień uśmiechu. Zrobiło mi się przykro na myśl, że to on przesłuchiwał Andy'ego.

Flip podał mi formularz i długopis.

- To zgoda na przeszukanie.

Omiotłam druk wzrokiem, jakbym naprawdę go czytała, ale słowa zlewały mi się przed oczami.

- Musicie spojrzeć tylko na pokój Andy'ego, tak? - spytałam, podpisując. - Nie chcecie przeszukiwać całego domu?

- Zgadza się - powiedział Flip. Wydało mi się, że widzę w jego oczach skruchę.

- Nie ma problemu. - Wpuściłam ich do środka. - Wiem, że musicie sprawdzać wszystkie poszlaki. I chcę oczyścić imię Andy'ego.

Poszli za mną na górę. Sierżant niósł duży płócienny worek. Zaciekawiałam się, czy zamierza zabrać w nim jakieś przedmioty. Jak ja to wytłumaczę Andy'emu?

W drzwiach sypialni obaj zatrzymali się i włożyli lateksowe rękawiczki.

- Mogę tu zostać? - spytałam.

- Może pani - odpowiedział Flip, jakby zapomniał, jak długo się znamy.

Usiadłam na brzeжку łóżka Andy'ego, trzymając zwilgotniałe dłonie na kolanach i starając się nie przeszkadzać, a oni otwierali szuflady i czytali kartki na korkowej ścianie.

- Czy podczas rozmowy z Andym usłyszał pan coś, co skłoniło was do zrobienia przeszukania? - spytałam.

- Nie. - Flip wyręczył sierżanta. - Postanowiliśmy to już wcześniej.

- O czym z nim pan rozmawiał?

- Zainstalowała pani w jego komputerze program kontroli rodzicielskiej? - spytał sierżant Wood, jakby mnie nie słyszał.

- Tak. Rzadko surfuje po Internecie. Głównie lubi gry. Sierżant Wood usiadł przy biurku Andy'ego i włożył

płytę do nagrywarki CD. Pomyślałam o przykrej wiadomości od MuzicRuuls. Ciekawe, jakie jeszcze paskudztwa przysły.

Sierżant Wood klikał myszką i przyglądał się ekranowi komputera, a tymczasem Flip zaczął wyciągać szuflady biurka. Wiedziałam, co w nich zobaczy, i trochę się rozluźniłam. Poprosił mnie, żebym wstała, i przesunął ręką pod materacem. Zajrzał pod łóżko.

- Czego właściwie szukacie? - spytałam, znowu siadając.

228

229

- Płynę do zapalniczek. Zapalek. Instrukcji dla podpalaczy, które mógł znaleźć w Internecie. Takich rzeczy. Wiem, że musi być trudno na to patrzeć.

- Andy nie jest osobą, która mogłaby podłożyć gdzieś ogień, więc się nie martwię. Ty też o tym wiesz, Flip - dodałam, żeby mu przypomnieć o naszej znajomości.

Doszedł już do zabałaganionej szuflady. Stał plecami do mnie. Wiedziałam, kiedy znalazł gumkę, bo spytał, czy Andy jest aktywny seksualnie.

- Mała szansa - powiedziałam ze śmiechem. Trzasnęły drzwi frontowe.

- Mamo! - zawołała Maggie i nagle przypominałam sobie, że dziś starsze klasy kończą wcześniej.

- Jestem na górze - odpowiedziałam.

- Co tu robi radiowóz? - rzuciła na schodach. Niemal wpadła do pokoju. - Co się dzieje?

- Cześć, Maggie - powiedział Flip.

- Czy to... - Przeniosła spojrzenie ze mnie na Flipa i sierżanta - rewizja?

- Tak - przyznałam.

- Dlaczego? - Spojrzała na mnie. - Nie powinnaś... Mogą to zrobić?

Skinęłam głowę.

- Chodzi tylko o pokój Andy'ego - zapewniłam ją na wypadek, gdyby bała się o własną prywatność. - Nie cały dom.

- Przecież to idiotyzm!

- Wiem, skarbie. - Poklepałam łóżko. - Siadaj.

- To przez to, co powiedział Keith? - Skierowała to pytanie do mnie. Wzruszyłam ramionami.

- Pewnie tak.

Sierżant Wood wstał od komputera, wyjął płytę i wrzucił ją do plastikowej koszulki, którą wyjął z płóciennego worka. Potem wydobyl z niego plik papierowych toreb.

- Chcielibyśmy wziąć ubrania, które Andy miał na sobie w czasie pożaru.

230

- Oczywiście, ale je uprałam. - Wstałam i otworzyłam harmonijkowe drzwi szafy. -I to parę razy, żeby się pozbyć tego swądu.

-I tak poprosimy.

Sięgnęłam po bluzkę w zielone paski, ale moje dłonie, jakby z własnej woli, chwyciły jego grubą zieloną koszulę.

- Nie - odezwała się Maggie. - Miał... Zerknęłam na nią tak ostro, że urwała. Zrozumiała.

- A nie, zapomniałam. Myślałam, że miał tamtą koszulę, ale nosił ją w dzień, prawda?

Skinęłam głowę. Bałam się, że powie za dużo, doda niepotrzebne szczegóły, które ją zdradzą. Podałam koszulę sierżantowi, który włożył ją do papierowej torby. Potem sięgnęłam po spodnie. Dzięki Bogu, Andy ma kilka par w brązowym kolorze. Ominęłam te, które miał na sobie, i podałam spodnie khaki Maggie, która oddała je sierżantowi Woodowi.

Flip podniósł głowę znad koszyka kart, które przeglądał.

- Nie zapomnijcie o skarpetkach i butach.

- Nie pamiętam, które skarpetki wtedy nosił. - Pochyliłam się po buty, ale Maggie mnie uprzedziła, wyjęła inną parę trampek niż tamte. Unikając mojego wzroku, podała je sierżantowi, który umieścił

każdy w osobnej torbie. Stałyśmy się współniczkami. Wzdrygnęłam się na myśl, że zmusiłam swoją córkę do oszustwa.

- Doceniamy pani współpracę - powiedział sierżant Wood, wrzucając ostatnią torbę do płóciennego worka.

- Dzięki, Laurel. - Flip obrzucił pokój ostatnim spojrzeniem. - Sami trafimy do wyjścia.

Maggie i ja nie patrzyłyśmy na siebie, gdy mężczyźni zeszli na dół - nawet kiedy usłyszałyśmy stuk zamykanych drzwi. Czekałyśmy na dźwięk zatraskiwanych drzwi samochodu i zgrzyt żwiru pod ich oponami. Ciekawe, czy Maggie czuła się tak zlodowaciała z poczucia winy, jak

231

ja. Nie mogłam uwierzyć, że wciągnęłam ją w swoje matactwo.

Objęłam ją.

- Przepraszam - szepnęłam.

- Zrobiłabym to samo, gdybym wcześniej na to wpadła - odpowiedziała.

- Ale dlaczego? Dlaczego to zrobiliśmy? Skoro mamy stuprocentową pewność, że to nie on, dlaczego... dlaczego ich oszukałyśmy?

Powoli pokręciła głową.

- Żeby go chronić. Nie wiemy, co znaleźliby na ubraniach, które wtedy miał na sobie. Jeśli przypadkiem wdepnął w kałużę benzyny, dopadliby go na dobre. A tak wiemy, że nic nie znajdą.

Spojrzałam na buty, które Andy miał w noc pożaru, i pomyślałam, że nawet tu, gdzie siedzę, nadal czuję na nich zapach czegoś żrącego, czegoś łatwopalnego. Nie mogłam tego powiedzieć Maggie. Nie chciałam, żeby zwątpiła w jego niewinność.

- Bałam się, że płyn z zapalniczki mógł wyciec mu do butów - powiedziałam.

Wypuściłam ją z objęć i sięgnęłam po poduszkę Andy'ego, którą Flip rzucił byle jak, przeszukawszy łóżko. Przytuliłam ją do piersi. Pachniała Andym, nadal bardziej chłopczykiem niż mężczyzną. Nawet gdyby Andy potrafił znaleźć jakiś sposób przetransportowania paliwa do kościoła i wywołania pożaru, żeby wyjść na bohatera, nigdy by tego nie zrobił.

Znałam swojego syna. Znałam jego charakter. Andy nie umiałby skrzywdzić żadnego żywego stworzenia.

Sara urodziła trzy tygodnie przed czasem. Chłopczyk dostał imię Keith i miał lekką niewydolność serca, z czasem być może wymagającą operacji. Bardzo współczułam Sarze. Zasługiwała na tak idealne dziecko, jak moje.

Sara i Keith spędzili dwie noce w szpitalu w Jacksonville. Drugiego wieczoru Steve zadzwonił do mnie z wiadomością, że Jamie trafił na pogotowie. Odwiedzając wraz z nim Sarę, nagle zgiął się wpół z bólu w klatce piersiowej.

Usiłowałam się dodzwonić do Marcusa, ale był poza zasięgiem, więc sama pojechałam do Jacksonville. Tydzień temu miałam wypadek. Kiedy wycofywałam zaparkowany przed sklepem samochód, jakoś zderzyłam się z latarnią. Wsiadłam, żeby sprawdzić szkody, i potknęłam się o własne nogi. Rozciąłam sobie policzek o boczne lustro. Kilku przechodniów podbiegło, żeby mi pomóc, ale uciekałam do samochodu i dałam im znak, że nic się nie stało, uśmiechając się, jakby policzek wcale mnie nie bolał, a parking nie wirował. Nie chciałam, żeby zbliżyli się na tyle, by spostrzec, że jestem napruta jak stodoła. Po powrocie do domu znalazłam długą, głęboką rysę w błotniku. Miałam nadzieję, że Jamie jej nie zauważy.

Ale jadąc do szpitala w Jacksonville, nie byłam pijana. Mimo to w mojej krwi szumiało tyle alkoholu,

233

że wiedziałam, iż nie powinnam wsiadać do samochodu. Jechałam powoli, z szeroko otwartymi oczami. O tej późnej porze na jezdni było niewiele samochodów, ale bałam się, że zjadę do rowu albo potrącę jelenia. Za to o mojego męża się nie martwiłam. Wiedziałam, co mu jest.

Oczywiście, lekarze nie znaleźli nic niepokojącego, ale zatrzymali Jamiego na noc na obserwację. Usiadłam przy jego łóżku, sztywno trzymając go za rękę. W jego oczach zobaczyłam potwierdzenie, że i on wie, choć nie starał się tego wyjaśnić lekarzom: na widok bladego dziecka Sary i Steve'a dał o sobie znać jego gen empatii. Jego dar. Jego klątwa.

Gdy matka Sary zamieszkała na tydzień z Westonami, Jamie i Maggie przeprowadzili się do Morskiego Strażnika. Pierwszej nocy Maggie nie chciała się położyć w łóżeczku, w którym nie leżała niemal rok. Słuchałam, jak Jamie układa się z nią w naszym pokoju gościnnym. Ulżyło mi, że nie wymagał, żeby spała ze mną.

W jego obecności czułam się skrępowana, zwłaszcza drugiego wieczoru, kiedy Marcus wpadł do nas, żeby się przywitać z bratem i bratanicą. Kochaliśmy się tylko ten jeden raz. Wytrzeźwiali i ogarnięci skruchą, przysięgliśmy sobie, że nigdy więcej do tego nie dojdzie, i dotrzyaliśmy słowa przez cały miesiąc, który upłynął od tamtej nocy. Ale czuliśmy się sobie bliscy, połączeni więzią, która między mną i Jamieem już znikła. Dlatego gdy obaj znajdowali się w tym samym pomieszczeniu, czułam się roztrzęsiona

i skrępowana.

- Słuchaj, bracie - powiedział Marcus, bawiąc się z Maggie na podłodze. - Chciałbym ci pomóc z... no wiesz, z zarządzaniem posiadłościami. Z ich remontem, o którym kiedyś mówiliśmy.

Zauważyłam zaskoczone spojrzenie Jamiego. Jego uśmiech. Pewnie pomyślał, że Marcus wreszcie dorósł albo że przestraszył się jego napadem bólu. Ale ja wiedziałam,

co się kryje za propozycją Marcusa: stare, dobre wyrzuty sumienia. W momentach trzeźwości sama je odczuwałam. W każdym razie niespodziewane ocieplenie między braćmi trochę uspokoiło moje nerwy.

Jamie miał na parę pierwszych dni wziąć urlop, żeby pomóc Maggie zaaklimatyzować się w Morskim Strażniku, ale drugiego dnia dostał wezwanie z remizy i musiał jechać. Położył Maggie do snu i oboje mieliśmy nadzieję, że wróci, kiedy mała się obudzi. Ledwie Jamie wyszedł, naszła mnie chęć na breeze, ale wiedziałam, że nie zdołam się ograniczyć do jednej butelki. Chciałam być przytomna na wypadek, gdyby Maggie się obudziła. Dlatego zdrzemnąłam się, żeby nie pić. Drzwi zostawiłam otwarte, żeby słyszeć, jeśli Maggie będzie mnie potrzebować.

Obudziło mnie stłumione wołanie.

- Ta-ta! Ta-ta! Ta-ta!

Wstałam i poszłam do pokoju dziecinnego. Maggie stała w łóżeczku, trzymając się szczebelków i zawodząc. -Ta...

Zobaczyła mnie i oczy jej się rozszerzyły.

- Cześć, kotku! - starałam się wydusić z siebie radosny ton.

Maggie wrzasnęła i padła twarzą na materac.

- Ta-ta! Ta-ta!

- Tata musiał iść do remizy, ale niedługo wróci do domu. - Pogłaskałam ją po plecach, odsunęła się jednak z głośnym rykiem.

Trzęsącymi się rękami wyjęłam ją z łóżeczka. Wiła się w moich ramionach, odpychała mnie. Posadziłam ją na podłodze.

- Tata! - Wybiegła z pokoju z przekrzywioną pieluchą, wyraźnie szukając Jamiego. Chodziłam za nią bezradnie z pokoju do pokoju, żeby nie zrobiła sobie krzywdy. Przytrzymałam frontowe drzwi, kiedy zaczęła manipulować przy klamce.

234

235

- Chodź, kochanie - powiedziałam. - Zmienię ci pieluchę.

- Niiieeee! - Upadła na podłogę salonu, tak jak na materac łóżeczka, i zaczęła przeraźliwie wrzeszczeć, od czasu do czasu przedzielając ryki słowem „tata”. Patrzyłam na nią, nie wiedząc, co zrobić.

W końcu usiadłam obok niej na podłodze. Nie dotknęłam jej, ale zaczęłam cicho mówić, zapewniając, że tata niedługo wróci. Wątpię, żeby mnie usłyszała. Śpiewałam jej kołysankę, ale ryk nie ucichł. Czy weszła już w wiek przekory? Miała dopiero rok i jedenaście miesięcy. Wstałam i poszłam po pudełko z zabawkami. Zaczęłam je wyjmować, mówiąc o każdej z nich.

- Uwielbiam tę układankę - powiedziałam. - Chciałabym, żeby Maggie pomogła mi ją ułożyć.

Nie zwróciła na mnie uwagi. Czytałam jej książeczki, a ona dalej się darła.

Nienawidzi mnie, pomyślałam. Po prostu mnie nienawidzi.

Wyjęłam z lodówki breezera i wypiałam całą butelkę jednym długim haustem.

Z biblioteczki w salonie wyjęłam książkę o jednorocznych dzieciach, którą tak pilnie zgłębiałam w czasie ciąży. „Ataki złości same ustają”, przeczytałam. Włączyłam telewizor i patrzyłam na ekran oczami pełnymi łez. Moja córka mnie nienawidzi i kto by jej się dziwił? Byłam straszną matką.

Atak złości trwał czterdzieści pięć minut. Maggie ryczała coraz słabiej i wreszcie usnęła na podłodze. Wstałam, wzięłam ją na ręce i zaniósłam na sofę. Czuć ją było sikami i kupą, ale nie chciałam ryzykować, że ją obudzę podczas przewijania. Pewnie nie powinna spać o tej porze dnia. Była taka cicha i bezwładna w moich ramionach. Kołysałam ją delikatnie, a jej włosy muskały mi policzek.

- Kocham cię - szepnęłam, choć to uczucie nadal do mnie nie docierało. - Przepraszam.

To ostatnie powiedziałam szczerze.

Obudziła się i zaczęło się od nowa. Wypiłam drugiego breezera. Musiałam. Maggie nadal krzyczała, kiedy Jamie wrócił do domu. Usłyszałam trzask drzwiczek i wzdrygnęłam się, pewna, że usłyszała jej wrzaski z podjazdu.

Ledwie otworzył drzwi, podbiegła do niego. Wziął ją w ramiona.

- Co się dzieje, Mags? - Spojrzał na mnie, opartą o sofę i załamującą ręce. - Jak długo to trwa?

Zawahałam się, upokorzona.

- Była zdenerwowana od pierwszej chwili po przebudzeniu. Potem na chwilę się uspokoiła, ale nie chciałam jej przewijać, bo...

- Ma mokro. Masz mokro, pączuszk. - Minął mnie i poszedł do pokoju dzieciennego. Słyszałam jej protesty; mnie by się to nigdy nie udało. Wykorzystując chwilę przerwy, umyłam zęby i wypłukałam usta.

- Dlaczego jej nie przewinięś? - spytał, wracając do salonu. Maggie dreptała u jego boku, pociągając nosem. Ścisnęła rączką jego palec wskazujący.

- Wołała cię, krzyczała... Jamie, ona mnie nie lubi.

- Cśśś... Ona rozumie więcej, niż sądzisz. Pewnie, że cię lubi. Po prostu zakłóciliśmy jej porządek dnia i tyle.

Przez ten tydzień sytuacja między Maggie i mną nieco się poprawiła. Wyrzuciłam resztę breezerów - z wyjątkiem trzech butelek na czarną godzinę, które ukryłam w szafie. Wytrzymałam całe dwa dni bez alkoholu, udowadniając sobie, że nie jestem alkoholiczką. Zmuszałam się do zabawy z Maggie. Czytałam jej, kiedy tylko mi pozwoliła, co zdarzało się coraz częściej. Nigdy nie okazała mi jednak sympatii, jakby potrafiła mnie przejrzeć, a ja czułam się tak, jakbym się opiekowała dzieckiem przyjaciółki - choć tak bardzo pragnęłam ją pokochać. Ale udawałam. Nauczyłam się bardzo dobrze udawać.

236

237

Marcus pracował w domach Lockwoodów dokładnie trzy dni. Pierwszego umył tarasy. Drugiego naprawił dach. Jamie był tak zadowolony że trzeciego dnia poprosił brata o wymianę paru okien w chatce w Surf City. Marcus wyjął stare szyby i powiększył otwory na nowe framugi, ale zrobił je za duże i krzywe, bo - całkiem po prostu - był pijany.

Tego wieczoru zjawił się u nas, żeby się przyznać do błędu.

Jamie podał mi Maggie i powiedział, żebym ją zabrała do sypialni. Zrobiłam to chętnie, nie chcąc być świadkiem awantury. Usiadłam na łóżku z Maggie w ramionach. Ale awantura przebiła się przez cienkie ściany sypialni.

- Wymierzyłeś je? - krzyknął Jamie.

- No pewnie!

- Tata! - Maggie wymknęła mi się z ramion i popetzała przez łóżko. Chwyciłam ją za koszulkę, żeby ją zatrzymać.

- To jak to się stało?

- Nie wiem! Stało się! To nie koniec świata.

- Tata!

Zamknęłam oczy. Błagam, dość. Nie mogłam znieść tych wrzasków.

- Jesteś niechlujny! Naprawa tego błędu będzie kosztować majątek!

- Możemy kupić większe okna.

- Żadni „my”! Nie pozwolę ci się więcej zbliżyć do tych okien!

- Tylko czekałeś, aż się potknę! Maggie wyrwała mi się z ramion.

- To ostatnia rzecz, jakiej chciałem! - powiedział Jamie. - Miałem nadzieję, że w końcu się pozbierałeś. Wreszcie. Masz dwadzieścia dwa lata! Jesteś pijakiem, Marcus. Potrzebujesz pomocy. I straciłeś tę robotę.

Wyciągnęłam ręce po Maggie, ale spadła głową naprzód z łóżka. Podniosłam ją - nic się jej nie stało - ale skrzywiła

238

się w grymasie zapowiadającym kolejny mrozący krew w żyłach wrzask.

-Nie, skarbie! - Zaczęłam ją kołysać na kolanie. - Cśśś...

Marcus parsknął śmiechem.

- Jaką robotę? - krzyknął. - Przecież nie dostaję pieniędzy. I niepotrzebne mi te przepychanki. To wszystko należy do ciebie.

Trzasnęły drzwi, a Maggie wydała ryk, na który się zanosilo.

Wyszłam z sypialni. Czerwony na twarzy Jamie gapił się na drzwi frontowe, trzymając się pod boki.

- Muszę się przespać - powiedziałam i podałam mu Maggie, zanim zdołał zareagować. Wróciłam do sypialni, zamknęłam drzwi na klucz, wyjęłam z szafy trzeciego i ostatniego breezeera i wypiałam napój nieschlodzony.

Następną noc - ostatnią przed powrotem Jamiego i Maggie do Westonów - Jamie znowu dostał wezwanie do remizy. Maggie na szczęście już spała, a kiedy Jamie wrócił, ja też leżałam już w łóżku. Zapukał do drzwi.

- Możemy chwilę porozmawiać? - spytał, uchylając drzwi.

Jeszcze nie spałam.

- Aha - powiedziałam. Usiadłam, oparta o wezglowie, i podciągnęłam kołdrę pod brodę, bo nie miałam nic na sobie.

Jamie ochłonął już z gniewu na Marcusa - a w każdym razie miał dość rozumu, żeby go nie wyładowywać na mnie. Usiadł na skraju łóżka; światło wpadające z korytarza kładło mu się na policzkach i wydobywało kolor jego oczu. Kiedyś tak kochałam te wielkie brązowe oczy! Żałowałam, że nie mogę znowu poczuć tej miłości. Do niego i mojej córki, która zasługiwała na coś lepszego niż to, co ode mnie otrzymywała.

- Miło było znowu być z tobą - odezwał się.

239

Skinęłam głową, choć nie mogłam się doczekać, kiedy odejdą. Chciałam odzyskać moje łatwe życie, wypełnione snem i pić.

- Przynajmniej Maggie nie krzyczy, kiedy mnie z nią zostawiasz.

Nie odpowiedział uśmiechem.

- Zdobyłaś się na wielki wysiłek. Wiem, że jeszcze nie wróciłaś do siebie, i chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo doceniam, że starałaś się... być jej mamą przez ten tydzień.

W oczach wezbrały mi łzy.

Przysunął się i ujął moją dłoń w te swoje ręce wielkie jak łapy niedźwiadka.

- Co się dzieje? - spytał. - Czemu płaczesz?

- Żałuję, że nic do niej nie czuję... - Przetknęłam ślinę. - I do ciebie... Jak normalna matka i kobieta.

Pochylił się i zaskoczył mnie pocałunkiem.

- Poczujesz - zapewnił, kładąc mi rękę na policzku. Potem pocałował mnie znowu. Dotyk jego ust był znajomy, dotknął we mnie jakiegoś ukrytego głęboko miejsca - miejsca, do którego chciałam się znowu dostać, ale którego nie mogłam osiągnąć.

Zaczął odsuwać kódrę, zasłaniającą mi pierś. Pozwoliłam mu, bo nie mogłam mu zabronić dostępu do resztek mojego serca. Zaczął szukać gumki w szafce, otworzył ją i włożył.

Udałam, że go pożądam - chciałam mu dać ten prezent

- ale moje ciało nic nie czuło. Po raz pierwszy udałam orgazm.

Skończył i wyszedł ze mnie. Zaklął.

- Cholera! To pierwszy raz.

- Co? - Myślałam, że chodzi mu o moje kiepskie udawanie.

- Pękła - powiedział. Zrozumiałam, że mówi o gumce.

- Pewnie była stara. - Położył się obok mnie z ręką na moim brzuchu. - Jaki to dzień cyklu?

Przypomniałam sobie, kiedy ostatnio miałam okres. Ponad miesiąc temu. Ponad miesiąc temu. Przed tygodniem przez parę dni kręciło mi się w głowie, co przypisałam nadmiernemu picciu. Serce załomotało mi tak, że straciłam dech. Chciałam wyskoczyć z łóżka i popędzić do kuchennego kalendarza, policzyć dni w nadziei, że się mylę. Ale nie drgnęłam. Usiłowałam zachować spokój.

- Nie jestem pewna - wykrztusiłam.

- Jeszcze tego byłoby ci trzeba - powiedział. - Kolejnej ciąży.

Może i jej nie potrzebowałam, ale to właśnie mnie czekało.

240

Cola z orzeszkami ziemnymi zawsze poprawiała mi humor, ale dziś rano nie zadziałała. Siedziałem na tylnym tarasie mojej wieży, przyglądając się falom bijącym o brzeg. Morze piekliło się dziś i pienilo, opryskując mi twarz i leżącą na kolanach gazetę. Pomachałem spacerującej po plaży parze. Ich biszkoptowy labrador przyniósł rzuconą do morza piłkę. Usiłowałem udawać, że to zwykły dzień, i prawie mi się udało - póki znowu nie podniosłem gazety.

„Czy bohater jest podpalaczem?” - głosił tytuł.

Przez ostatnie parę dni rozszalały się plotki. Wczoraj policja zorganizowała konferencję prasową, usiłując im zapobiec, ale rezultat okazał się odwrotny do zamierzonego. Zadano zbyt wiele pytań, udzielono zbyt wielu odpowiedzi.

Zjawiła się nawet ekipa z CNN. To efekt pokazywania się w „Today”. Nagle pożar w małym miasteczku stał się tematem na pierwszej stronie.

- Czy to prawda, że kilku świadków widziało Andy'ego Lockwooda przed kościołem w czasie zabawy? - spytał dziennikarz.

Jak ta informacja zdołała przeciec? - pomyślałem. - Przepłynęła w powietrzu do ludzkich głów?

- Jak powiedziałem - powtórzył dowódca policji po raz

trzeci lub czwarty - dochodzenie nadal się toczy i ciągle prowadzimy przesłuchania i zbieramy dowody.

- Nazwałby go pan obiektem zainteresowania policji?

- spytał ktoś.

- Wszyscy, którzy mieli tego wieczoru coś wspólnego z kościołem, są obiektem zainteresowania policji.

- Słyszeliśmy pogłoski o porywczym charakterze Andy'ego Lockwooda - odezwał się reporter. - Czy może pan potwierdzić, że publiczne wybuchy już mu się zdarzały?

- Nigdy tego nie widziałem.

Przypomniałem sobie, jak Laurel wyjechała z miasta, żeby wygłosić mowę o FASD. Zadzwoniono do mnie ze szkoły, bo byłem drugą osobą, z którą w sytuacjach alarmowych kontaktowano się w sprawie Andy'ego. Pierwszą była oczywiście Sara, ale nie mogli się do niej dodzwonić. Andy został zawieszony. Uderzył dziewczynkę, która nazwała go palantem. Laurel musiała się także zmagać z innymi incydentami, choć nie było ich wiele. Andy potrafił się zachować w nieprzewidywalny sposób - jeszcze przed chwilą spokojny i przymilny, w następnej wpadał w furję. Wyobrażałem sobie, jak bije Keitha w kościele. Ale był impulsywny. Wybuchowy. Nigdy nie działał z premedytacją.

I choć podczas konferencji nie powiedziano nic złego o Andym, same pytania zasiały ziarno zwątpienia.

- Cześć, wujku.

Maggie szła plażą koło mojego domu. Złożyłem gazetę

- na wypadek, gdyby jej jeszcze nie czytała.

- Cześć, Mags - powiedziałem.

- Pukałam, ale kiedy nie odpowiedziałeś, doszłam do wniosku, że siedzisz tutaj. - Weszła po schodkach na taras.

- Wcale nie chodzisz już do szkoły? - zażartowałem.

- Musiałam się z tobą spotkać. - Stała przede mną. Wiatr porywał długie faliste pasma jej włosów, unosząc

242

243

je wokół głowy. - Musisz mi powiedzieć, co się dzieje. - Wyjęła z kieszeni spodni gumkę i ściągnęła włosy. - Ta cholerna konferencja była niewiarygodna. Nie rozumiem, co się dzieje! - Przeczesła palcami długi koński ogon.

- Usiądź, Mags. Rzuciła się na krzesło.

- Jestem normalnie wkurzona.

- Chcesz coli? - spytałem, choć w tej chwili prawdopodobnie nie powinna się faszerować kofeiną.

- Nie, chcę się dowiedzieć, o co naprawdę chodzi w tym śledztwie.

Spojrzałem na labradora, którego obryzgały morskie fale. Otrząsnął się i znowu wbiegł do morza.

- Wujku! Powiedz.

- Wiesz, że już w nim nie biorę udziału.

- Wczoraj zrewidowali pokój Andy'ego. Skinąłem głową.

- Coś znaleźli?

- Gumkę i papierosy. - Wzruszyła ramionami. - Zabrali ubranie, które wtedy miał na sobie. Jakby mogli coś na nim znaleźć.

- Gumkę? - Czy Laureł spytała Andy'ego, skąd ją miał? I czy jej powiedział? Zabiłaby mnie, ale chłopak miał piętnaście lat i nie wiedziałem, ile mu powiedziała o seksie. Ktoś musiał to zrobić.

- To było takie... obcesowe - wyznała. - Masakra.

Powiedziała to jak prawdziwa nastolatka. Na ogół wydawała się starsza. Musiałem sobie przypominać, że ma tylko siedemnaście lat.

- Twoja mama czuje się dobrze?

- Nie. Wszyscy nagle zaczęli mówić, że Andy jest podpalaczem. Jak mogłaby się czuć dobrze? To szaleństwo. - Spojrzała na mnie. Policzki miała purpurowe. - Przede wszystkim policjant na konferencji prasowej nawet nie powiedział, że to podpalenie. Czy możliwe, że to wypadek?

244

- Nie nazwą tego podpaleniem, dopóki dochodzenie się nie skończy, ale takie ślady po ogniu nie powstają przypadkiem.

- Ale może to ma coś wspólnego z awarią prądu w klubie młodzieżowym?

- To jeszcze nie wyjaśnia tych śladów.

- Powiedz, jakie zebrali dowody. Mają na Andy'ego coś,

o czym nie wiem?

- Wiedzą, jakiego paliwa użyto. Mieszanki benzyny

i oleju.

Prychnęła.

- Jakby Andy mógł wnieść do kościoła coś takiego. Ja go przywiozłam, chyba bym zauważyła.

- Wiem, skarbie. Spojrzała na plażę.

- Wydaje mi się, że uznali Andy'ego za podejrzanego. Nawet nie starają się dojść, co naprawdę się wydarzyło.

- Andy to tylko sensacja dnia, nic więcej. W końcu odkryją prawdę.

- Czy w tym roku w Wilmingtonie nie spłonął kościół? Może to jakiś seryjny podpalacz?

- Nieźle. - Naprawdę zrobiła na mnie wrażenie. - Zaproponuję, żeby policja cię zaangażowała.

- Serio?

Parsknąłem śmiechem.

- Nie, nie serio. Jeśli ja nie mogę z nimi pracować, to siostra Andy'ego tym bardziej. Ale z tym kościołem w Wilmingtonie masz rację. Różnica polega na tym, że tamten kościół był pusty.

- Ale nadal rozważają tę możliwość?

- Oczywiście. Czy mama rozmawiała już z prawnikiem?

- Chyba nie.

- To na co czeka? Sama się oszukuje.

- Nie wiem. Wiem tylko, że Andy się całkiem pogubił.

245

Wczoraj płakał w nocy. Ciągłe powtarza: „Ale ja jestem bohaterem”. - Głos jej się załamał. - Nie chciałam, żeby poszedł dziś do szkoły. Dzieci będą dla niego okrutne.

- Może powinien zostać w domu przez parę dni.

- Zaczynam planować dobroczynną imprezę. Odbędzie się w maju. Wielki festiwal, kurs zmiany wizerunku. Przyjdą uczniowie szkoły piękności, będzie aukcja i tak dalej. Ale teraz nie chce mi się wysilać.

Ta moja bratanica była niepokonana. Kogo obchodzi, czy ma najlepsze stopnie w klasie?

- Pamiętaj, że to dla ofiar. Nie karz ich za to, że ludzie plotkują o Andym.

Skrzywiła się.

- Masz rację. - Spojrzała na zegarek i westchnęła. - No, to wracam do szkoły.

- Słuchaj, Mags - odezwałem się, kiedy wstała. - Najlepsze, co możesz... możemy zrobić, to towarzyszyć Andy'emu. Wspieraj go, dobrze? Nie daj się zastraszyć.

- Dobrze. - Pochyliła się, żeby pocałować mnie w policzek, nadal przygnębiona.

Odprowadziłem ją wzrokiem. Kiedy znikła za rogiem domu, rozłożyłem gazetę. Znowu spojrzałem na nagłówek. „Czy bohater jest podpalaczem?”.

Czułem, że wszyscy zaczynają podejrzewać Andy'ego, tak jak przed laty mnie. Wiedziałem, że to niszczy. I że nie da się tego powstrzymać. Jak fał, kradnących piasek z mojej plaży.

31

Wezwano mnie do gabinetu dyrektorki - jak na dywanik. Tak się czułam, siedząc w fartuchu pielęgniarki na małym drewnianym krzeselku bez oparc w poczekalni i czekając na wezwanie. Z tego miejsca widziałam kraniec budynku liceum. Jak sobie radzi dziś Andy? Może trzeba było go zatrzymać w domu? Powiedziałam mu, że jeśli ktoś będzie go przezywał albo powie coś, co go rozgniewa, powinien ćwiczyć panowanie nad sobą. Obiecał, że się postara, i wiem, że mówił szczerze, ale nie wierzyłam, żeby zdołał zlekceważyć wredne uwagi swoich kolegów.

To wezwanie do pani Terrell musiało mieć coś wspólnego z Andym. Wiedziałam, że paru rodziców zadzwoniło do dyrektorki z pretensją, że mój syn nadal chodzi na zajęcia. Martwili się, że podobnie jak inne niepotrafiące się dopasować do środowiska dzieci, przyniesie do szkoły pistolet i zabije swoich kolegów. Przypuszczałam, że jego dyrektorka zadzwoniła do pani Terrell, prosząc ją o wywarcie na mnie wpływu.

Pani Terrell otworzyła drzwi gabinetu i uśmiechnęła się do mnie.

Weszłam do środka. Przy moim skromnym wzroście - sto sześćdziesiąt pięć centymetrów - górowałam nad nią.

247

Był to jej pierwszy rok w szkole i nie znałam jej dobrze, choć sporo o niej słyszałam. Miała doktorat, liczyła około czterdziestu lat i była drobną Afroamerykanką, która dorastała na ulicach Baltimore, i pomimo drobnutki sylwetki, zawsze noszonych pererek i obcasików, których stukot słychać było z daleka, była twarda jak diament. Budziła w uczniach trwożny szacunek. Siedząc naprzeciwko niej, też go poczułam.

- Jak się pani trzyma? - spytała.

- Daję radę. - Uśmiechnęłam się, starając się nie zdradzać nieufności.

- Chciałam określić, na czym stoimy, ze względu na sytuację z pani synem - oznajmiła, równo składając dłonie na blacie. - Uznałam, że mogłaby pani wziąć urlop na czas tego zamieszania.

Zawahałam się, usiłując odczytać wyraz jej twarzy. Na jej czole rysowały się surowe zmarszczki, a w oczach dostrzegłam chyba troskę.

- Czy... rodzice protestowali przeciwko mojej obecności?

- Nie. Wiem jednak, że paru rodziców protestowało przeciwko obecności Andy'ego w szkole. Co do pani nie miałam żadnych oficjalnych skarg. Tylko...

- Nieoficjalne? Westchnęła.

- Skarga to za mocne słowo. Pani praca z całą pewnością nie pozostawia nic do życzenia. Dzieci panią uwielbiają. - Rozplotła dłonie i opuściła je na kolana. - Ale ludzie plotkują. Wie pani, jak to jest.

- Nie mają prawa snuć domysłów na temat naszego życia - rzuciłam ostro. Złożyłam ręce jak do modlitwy. - Przepraszam. Na ogół nie jestem taka napastliwa. Po prostu... wiem, że Andy jest niewinny, i trudno to... ludzie i tak go nie rozumieją. To już przesada.

- No tak. - Dyrektorka spojrzała na liceum za oknem.

248

Zaciekawiłam się, o czym myśli. - Ja też mam syna - oznajmiła w końcu.

- Naprawdę? - zdziwiłam się. Nie wiedziałam, że jest mężatką.

- Urodziłam go jako piętnastolatka. Teraz ma dwadzieścia pięć lat i studiuje medycynę.

- Boże... - Musiała od samego początku przeć do przodu jak lokomotywa, żeby zająć tu, gdzie się dziś znalazła. - Jak pani zdołała... - Zatoczyłam ręką, wskazując dyplomy na ścianach. - Tak wiele pani osiągnęła.

- Już wtedy zamierzałam się kształcić i zrobiłabym aborcję, gdybym ze strachu nie zwlekała za długo. Ale, oczywiście, nie żałuję. - Uśmiechnęła się, wskazując ramkę na biurku. Nie widziałam zdjęcia, ale przypuszczałam, że przedstawia jej syna. - Miałam wielkie szczęście. Moja matka i babka pomogły mi go wychować, więc mogłam się uczyć. Kiedy był nastolatkiem, nasza dzielnica stała się... no, niezbyt przyjazna dla Afroamerykanów. Mój syn nie był święty, ale nie był też gardzącym kobietami, naćpanym hiphopowcem, jak wielu innych chłopców w jego wieku. Tylko że policjanci o tym nie wiedzieli. Zobaczyli czarnego nastolatka i zgarnęli go razem z innymi - Zarabiałam już wtedy tyle, że zdołałam go wydostać z miasta. Jak powiedziałam, miałam szczęście. - ZnoWU złożyła ręce na biurku i pochyliła się do mnie. - Mówi? to pani, żeby udowodnić, że wiem, co to znaczy być młodym i zdolnym do nieodpowiedzialnych wyskoków, jak ciąża w wieku piętnastu lat albo - skinęła głową w moją stronę - ...picie w ciąży. Wiem też, co to ostracyzm i macierzyństwo. Dlatego rozumiem, jeśli będzie pani potrzebować trochę czasu dla siebie.

Przez chwilę przyglądałam jej się w zamyśleniu.

- Dziękuję - powiedziałam w końcu. - Może powinnam zrobić sobie krótki urlop, żeby znaleźć prawnika.

- Jeszcze go pani nie ma? - spytała zaskoczona.

249

Wyjaśniłam, że zadzwoniłam do prawnika, który spisał mój testament i sporządził inne dokumenty, a on podał mi nazwisko kobiety z Hampstead; jej siostrzeniec - jak się okazało - odniósł w pożarze

kościół poparzenia, odmówiła więc zajęcia się moją sprawą i nie poleciła mi nikogo. Byłam gotowa szukać w książce telefonicznej.

Pani Terrell zapisała mi na odwrocie swojej wizytówki nazwisko. Stuknęła w klawiaturę komputera i nagryzmoła pod nazwiskiem numer.

- Nie znam go dobrze - wyjaśniła, podając mi kartonik - ale wiem, że prowadził sprawy kryminalne. Nazywa się Dennis Shartell i poznałam go przez przyjaciela przyjaciela. Mieszka aż w Wilmingtonie. Może warto zacząć od niego.

Wstałam.

- Jeszcze raz dziękuję.

Wracając do gabinetu, ścisnęłam mocno wizytówkę. Zadzwoń do tego człowieka, tego Dennisa Shartella. Wiązałam z nim wielkie nadzieje. On powstrzyma falę podejrzeń wobec mojego syna. Popęniałam w życiu błędy. Powtórne opuszczenie Andy'ego nie będzie jednym z nich.

32

Wraz ze świadomością, że jestem w ciąży, zwała się na mnie lepka, grząska depresja, przy której przygnębienie towarzyszące mi od narodzin Maggie wydawało się lekkim brakiem humoru. W głowie nieustannie słyszałam głos powtarzający: „Jesteś kłamczuchą, puszczałską, wyrodną matką”.

Nienawidziłam siebie. Nie spotykałam się z nikim, nawet z Marcusem, nigdy nie odwiedzałam go w Talosie, choć on parę razy w tygodniu przychodził do Morskiego Strażnika, żeby pić i oglądać telewizję. Pewnie sądził, że na zmianę mojego zachowania wpłynęła tamta noc.

Tęskniłam za nim. Był moim przyjacielem. Jedynym prawdziwym przyjacielem. Ale bałam się, że spędzając z nim zbyt wiele czasu, w końcu mu wygadam to, o czym nie powinien się dowiedzieć.

Zrozumiałam, że nie mogę urodzić tego dziecka - dziecka mojego szwagra, kolejnego dziecka, któremu zmarnowałabym życie swoim brakiem instynktu macierzyńskiego. Dziecka, na które nie zasługiwałam i które nie zasługiwało na taką matkę. Ale zrobienie aborcji wiązało się z koniecznością podniesienia słuchawki, umówienia się na wizytę, pojechania do kliniki w Wilmingtonie i powrotu, a za każdym razem, kiedy myślałam o tych wszystkich czynnościach,

251

koniecznych do rozwiązania mojego problemu, kładłam się i płakałam tak długo, aż zasypiałam.

Pewnego popołudnia leżałam w łóżku, kiedy nagle poczułam trzepot ptasich skrzydełek między pępkiem i kością biodrową. Króciutkie drżenie, ale wystarczyło, żeby mnie przestraszyć. Czy to możliwe, że ciąża jest aż tak zaawansowana? To uczucie wreszcie zmotywowało mnie do zwleczenia się z łóżka i zadzwonienia do kliniki.

- Data ostatniej miesiączki? - spytała moja rozmówczyni. Zerknęłam na kalendarz, wiszący na ścianie w kuchni.

Nadal był otwarty na którejś majowej stronie, choć musiała już być połowa czerwca.

- Nie wiem - przyznałam. - Dwa, może trzy miesiące temu.

Umówiono mnie na następny dzień.

Przed kliniką stali protestujący, dwunastu lub trzynastu. Trzymali transparenty, które omijałam wzrokiem, parkując samochód. Muszę to zrobić, myślałam.

Czułam na sobie łakomy wzrok protestujących. Czekali, aż wysiądę. Otworzyłam drzwi, cicho je zamknęłam i ruszyłam do drzwi kliniki.

- Nie zabijaj swego dziecka! - zaczęli skandować, kiedy ich mijałam. - Nie zabijaj swego dziecka!

Jakaś kobieta podetknęła mi tablicę pod sam nos. Musiałam uskoczyć w lewo, żeby nią nie oberwać.

W drzwiach kliniki powitała mnie młoda kobieta.

- Będę pani towarzyszyć. - Uśmiechnęła się, a ja pozwoliłam wziąć się pod rękę i zaprowadzić do środka. Weszłam do poczekalni, w której za szklaną ścianą siedziała recepcjonistka. Zaciekawiałam się, czy to kuloodporne szkło. Może dziś pod klinikę zostanie podłożona bomba. Ta myśl mnie nie zaniepokoiła. Nie przeszkadzało mi to, o ile to ja będę jedyną ofiarą. Oszczędź tę młodą dziewczynę, personel i inne pacjentki, pomyślałam. Weź tylko mnie.

252

Recepcjonistka podała mi tablicę z klipsem, którym przypięła mnóstwo broszurek do przeczytania i formularzy do wypełnienia. Usiadłam i zabrałam się do roboty. Kiedy uporałam się z dokumentami, zaczęłam obserwować inne pacjentki. Która przyszła w sprawie środków antykoncepcyjnych, a która na aborcję? Jakaś nastolatka podchwyciła mój wzrok i rzuciła mi odpychające spojrzenie. Spuściłam głowę. Nie podniosłam jej, dopóki pielęgniarka nie przyniosła mi papierowego kubka. Wskazała dystrybutor wody w kącie poczekalni.

- Musi pani wypić wodę przed badaniem USG Wstałam.

- USG? - szepnęłam. - Przyszłam na aborcję.

- Musimy stwierdzić, jak zaawansowana jest ciąża, żeby zdecydować się na odpowiednią procedurę.

Wypiłam kilka kubków wody, aż pęcherz zaczął mnie uwierać. W końcu zaprowadzono mnie do przebieralni, gdzie włożyłam cienką żółtą koszulę. Tak bardzo chciało mi się siusiu, że zaciskałam zęby. Dopiero na leżance zdałam sobie sprawę, że mój brzuch jest okrągły - gładka mała piłeczka. Znowu poczułam trzepot skrzydełek.

- Dzień dobry. - Lekarka o krótkich, nastroszonych ciemnych włosach weszła do pokoju z moimi formularzami. - Jak się pani miewa?

- Dobrze - mruknęłam.

Nie marnując czasu, sięgnęła po tubę żelu i rozsmarowała go na moim brzuchu. Przycisnęła do niego głowicę aparatu.

-Hmm... Jakiś osiemnasty tydzień. Chce pani zobaczyć?

- Osiemnasty? - powtórzyłam z niedowierzaniem. Czy to naprawdę tyle czasu upłynęło od tamtej nocy z Marcu-sem?

- Który to?

Kobieta oderwała na chwilę spojrzenie od ekranu.

253

- Słucham?

- Którego dziś mamy?

- A, dwudziesty pierwszy lipca. Chce pani spojrzeć? - powtórzyła.

Pokręciłam głową. Nie. Nadal nie otrząsnęłam się z zaskoczenia, że mamy już lipiec. Przycisnęłam rękę do czoła i potarłam je mocno, jakbym chciała wypędzić z głowy mgłę.

- Wszystko mi się miesza - powiedziałam mimowolnie.

- Cóż... - lekarka wyłączyła ultrasonograf i wytarła chusteczką żel z mojego brzucha - ...ciąża ma czasem taki wpływ. Dlatego zatrudniamy doradców, którzy pomogą pani to zrozumieć. - Pomogła mi usiąść. - Może pani opróżnić pęcherz w łazience naprzeciwko. Potem proszę się ubrać i wejść do pierwszego pokoju na lewo. Doradca porozmawia z panią o aborcji. Przy ciąży osiemnastotygodniowej procedura zajmie dwa dni. I musi pani mieć osobę wspierającą, która codziennie będzie panią odwoziła do domu.

W łazience siusiałam, płacząc. Czułam się zupełnie sama. Wiedziałam, że aborcja w drugim trymestrze to procedura dwudniowa. Byłam pielęgniarką, rozumiałam, co się z tym łączy. Otumaniona alkoholem i depresją miałam nadzieję, że ciąża nie jest aż tak zaawansowana, że aborcja będzie łatwa. Ale to nie złożoność zabiegu ani brak „osoby wspierającej” wytrąciły mnie tak z równowagi. Chodziło o to, że dokładnie pamiętałam USG Maggie, zrobione w osiemnastym tygodniu. Ssała kciuk. Zrobiła salto. Pomachała nam rączką. Lekarka powiedziała wtedy, że to prawdopodobnie dziewczynka. Wydawała się taka prawdziwa. Idealna. Delikatna drobina możliwości, z którą wiązaliśmy nasze nadzieje i marzenia.

W gabinecie doradcy usiadłam naprzeciwko kobiety o krótkich siwych włosach, grubych siwych brwiach i ciemnej opaleniznie.

254

- Jest pani zimno? - Spojrzała na mnie z prawdziwą troską. Uświadomiłam sobie, że dygoczę.

- To nerwy - wyjaśniłam. Zacisnęłam zęby, żeby nie szczękały.

Usiadła tak blisko mnie, że nasze kolana prawie się stykały.

- Podobno zdziwiła się pani, że ciąża jest tak zaawansowana?

Skinęłam głową.

- Nie zrobię aborcji - powiedziałam - więc pewnie nie muszę z panią rozmawiać.

- Decyzja należy do pani. Dlaczego zmieniła pani zdanie? Splotłam dłonie na kolanach.

-Bo pamiętam USG mojej córki... zrobione właśnie w osiemnastym tygodniu... i nie mogę... czułabym się źle, skoro dziecko jest już tak rozwinięte.

- Ach... Rozumiem. Musiała mieć pani sprzeczne uczucia co do tej ciąży, skoro czekała pani tak długo.

Skinęłam głowę, myśląc o małym rynku, który minęłam w drodze do Wilmingtonu. Mogłam tam kupić breezera w drodze do domu.

- Ktoś panią wspiera? - Spojrzała na mój palec serdeczny. - Mąż? Czy to on chce aborcji?

- On nie wie o ciąży - przyznałam.

- To jego? - spytała łagodnie.

Nie twój interes, pomyślałam, ale pokręciłam głowę.

- Co pani zamierza?

- Nie wiem - szepnęłam.

Spojrzała na dokumenty przypięte do tablicy z klipsem.

- Mieszka pani na Topsail Island? Mogę panią polecić terapeutę z Hampstead. Przed panią trudne decyzje i przyda się pani pomoc.

Znowu skinęłam głowę, choć wiedziałam, że nie pójdę. Nadal bałam się spotkania z terapeutą - obawiałam się, że jeśli zanadto się otworzę, wyląduję w wariatkowie.

255

Kobieta zajrzała do kołonoatnika, zapisała na kartce nazwisko i numer i podała ją mi.

- Jeśli zdecydowała pani, żeby nie robić aborcji, proszę natychmiast skontaktować się z lekarzem prowadzącym ciążę.

- Dobrze.

-I jeszcze jedno. - Pochyliła się, przyglądając mi się spod nastroszonych białych brwi. - Nasza pracownica powiedziała, że czuć od pani alkohol.

Otworzyłam usta, ale nie miałam siły zaprotestować. Spuściłam wzrok na dłonie, zaciśnięte na kartce, którą mi podała.

- Alkohol ma toksyczne działanie na pani dziecko.

- Piję tylko breezery.

- Mają tyle samo alkoholu co piwo. Pokręciłam głowę.

- Na pewno nie. Na etykiecie piwa napisano, że nie wolno go pić w ciąży, ale na etykiecie breezera o tym nie wspomniano.

- A szkoda. Prawo tego nie wymaga, ale proszę mi wierzyć, breezer zawiera tyle samo alkoholu co piwo.

Pomyślałam, że kobieta się myli albo chce mnie nastraszyć. Może moje ulubione breezery zawierały tak niewiele alkoholu, że ostrzeżenie na etykiecie było zbędne.

- Rozumiem - powiedziałam, żeby przerwać wykład.

- Czy chce pani wziąć udział w spotkaniu AA w pani okolicy?

- Nie potrzebuję spotkań AA. - Poczułam, że palą mnie policzki.

Ale jej słowa mną wstrząsnęły. Na tyle, że wróciłam do domu, nie zatrzymując się po breezera, a w Morskim Strażniku znalazłam resztki witamin, które brałam w ciąży z Maggie, i zażyłam jedną. Otworzyłam lodówkę, żeby znaleźć coś do popicia. Mogłam wybierać między sokiem pomarańczowym sprzed trzech tygodni i sześciopakiem breezerów, czyli nie miałam wyboru.

256

Przez następne dwa tygodnie nikomu nie wyjawiałam mojego sekretu. Usiłowałam rzucić picie - bezskutecznie - ale zmusiłam się do lepszego odżywiania i brania witamin. Nie spotkałam się z lekarzem. Poprosiłam Jamiego, żeby nie przyprowadzał Maggie, bo czuję się źle - co oczywiście było prawdą.

Sara miała na głowie tyle roboty z dzieckiem, że rzadko do mnie wpadała, i to mi sprawiło ulgę. Marcus nadal przychodził. Nosiłam długie plażowe sukienki i byłam nudnym towarzystwem, zajęta tylko jednym problemem. Wiedziałam, że urodzę to dziecko, ale zastanawiałam się, czy powinnam je zatrzymać. Może mogłabym urodzić je gdzieś daleko, gdzie mogłabym je dyskretnie oddać do adopcji.

Pewnego wieczoru dwudziestego pierwszego tygodnia ciąży odwiedził mnie Marcus. Wypiliśmy za dużo i oglądaliśmy „Seinfelda”, jedząc pizzę. Marcus zaniósł puste talerze do kuchni. Po chwili przyszedł z pustymi butelkami.

- W tej sukience wyglądasz, jakbyś była w ciąży - zażartował.

Zaskoczył mnie tak, że nie zdołałam odpowiedzieć. Nasze spojrzenia się spotkały.

Marcus dotknął mojego brzucha i gwałtownie odsunął rękę.

-Jezus!

- To dziecko Jamiego - powiedziałam szybko.

- Jamiego? - powtórzył, jakby się zdziwił, że mogłabym spać z Jamiem podczas naszej separacji.

- To się stało w tym tygodniu, kiedy zamieszkał tu z Maggie, pamiętasz? Kiedy Sara urodziła.

- On wie? Pokręciłam głową.

- Jeszcze nie zdecydowałam, co robić.

- A mnie się zdaje, że już zdecydowałaś. Dlaczego nie zrobiłaś zabiegu?

Potarłam oczy, nagle bardzo zmęczona.

257

- Nie zadawaj trudnych pytań - mruknęłam i wróciłam do salonu. Usiadłam na sofie.

Poszedł za mną.

- Co w tym takiego trudnego?

- Straciłam poczucie czasu i za długo czekałam. Teraz muszę zdecydować, czy powinnam gdzieś wyjechać, urodzić i oddać to dziecko.

Pokręcił głową.

- Musisz powiedzieć Jamiemu. Westchnęłam i odchyliłam głowę na oparcie sofy.

- Tak. - Wiedziałam od początku, że nie wyjadę - nie dlatego, że czułam jakąś specjalną więź z dzieckiem, ale ponieważ nie miałam siły podjąć decyzji.

Usiadł na drugim krańcu sofy.

- Skąd wiesz, że to nie moje? - spytał.

- Wiem - oznajmiłam, patrząc mu prosto w oczy - bo tak zdecydowałam.

Jamie i Maggie wprowadzili się do Morskiego Strażnika, kiedy byłam w siódmym miesiącu. Jamie był wściekły na siebie za pękniętą gumkę, jakby to była jego wina. Mówił, że powinien sprawdzić, czy nie jest przeterminowana, i nie kochać się ze mną, kiedy byłam nadal w depresji. Chciał się mną zająć i był zdenerwowany, że nie potrafiłam mu wcześniej powiedzieć o ciąży. Ja niepokoiłam się o to, czy oszustwo się nie wyda. Miałam nadzieję, że dziecko urodzi się dwa tygodnie po terminie i nikt się nie zorientuje.

Maggie miała dwa i pół roku i trajkotała jak maszynka, ale nie rozumiałam większości słów i Jamie musiał mi służyć jako tłumacz. Bardzo się starałam, żeby rozszyfrować jej mowę.

- Przepraszam, kochanie - powtarzałam do znudzenia. - Mogłabyś to powiedzieć jeszcze raz?

A kiedy powtarzała, a ja nadal nie pojmowałam, płakała z bezradności. Tymczasem Jamie od razu ją rozumiał.

258

To niebываłe. Wydawało mi się, że mają własny tajny język.

Jamie wiedział, że nie należy mnie zostawiać samej z małą. Wynajął nianię, która opiekowała się Maggie, w czasie gdy on pracował w biurze nieruchomości i w niedzielne poranki, kiedy był w kaplicy. Zupełnie zrezygnował z pracy w straży pożarnej, żeby uniknąć niespodziewanych wezwań.

Choć całkowicie popierałam zaangażowanie niani, nie lubiłam przebywać w domu, kiedy ta kobieta w nim była. Czułam, że mnie w duchu krytykuje, widząc moje chłodne relacje z dzieckiem. Jamie powiedział jej, że lekarz kazał mi odpoczywać w ostatnich miesiącach ciąży, więc moje wyobcowanie i nieustanne drzemki nie wydawały się jej dziwne, ale czułam się obca we własnym domu. Dlatego prawie całe dni przesiadywałam w Talosie. Drzemałam na sofie Marcusa, oglądałam telewizję i piłam breezery, do których w domu nie miałam dostępu. Potrzebowałam ich bardziej niż zwykle - pragnęłam ich z łapczywością, która stała się bardziej fizyczna niż emocjonalna.

Dlatego byłam pijana, gdy zaczął się poród - trzy tygodnie przed terminem, na pięć tygodni przed fikcyjną datą, którą podałam Jamiemu. I dlatego zadzwoniłam do Marcusa, żeby zawiózł mnie do szpitala. Nie chciałam się widzieć z Jamiem, dopóki nie wytrzeźwieję.

Andy przebywał na świecie od dziesięciu godzin, gdy w moim pokoju zjawiła się pracownica opieki społecznej. Jamie siedział przy łóżku. Powiedział właśnie, że chciałby nazwać dziecko Andrew po ojcu, a ja powtórzyłam to imię parę razy, choć myślałam: „Nie obchodzi mnie, jak go nazwiemy”. Tak naprawdę zależało mi tylko na tym, żeby znowu zasnąć.

Kobieta z opieki społecznej, której nazwiska od razu zapomniałam, miała koło trzydziestki - o pięć lat więcej ode mnie. Patrzyła na mnie z miną, którą opisałabym jako

259

dziesięć procent litości i dziewięćdziesiąt pogardy. Usiadła przy moim łóżku i zadawała mi pytania, na które nie chciało mi się odpowiadać. Nie obchodziło mnie, co sobie o mnie pomyśli. Zamknęłam oczy, żeby nie widzieć poważnej miny Jamiego.

- Pani dziecko urodziło się przedwcześnie, ale nawet, jeśli przyjmiemy, że ma około trzydziestu siedmiu tygodni, jest mniejsze, niż powinno. Nie rozwijało się dobrze.

Nadal nie otwierając oczu, usiłowałam się zorientować, czy to, co powiedziała, obudzi w Jamiem wątpliwości, czy to on jest ojcem, ale te słowa i tygodnie splątały się w mojej głowie i nie mogłam ich rozdzielić.

- Personel szpitala wezwał mnie właśnie dlatego - a także, ponieważ była pani w stanie wskazującym na spożycie alkoholu.

- Nadal nie mogę w to uwierzyć - odezwał się Jamie. Już zrobił mi za to awanturę i miałam nadzieję, że nie zacznie znowu.

- Ma pani tak zwane podwójne rozpoznanie - oznajmiła kobieta.

- Co to znaczy? - spytał Jamie.

- Po pierwsze, ma pani problem alkoholowy. Otworzyłam oczy - tylko po to, żeby nimi przewrócić.

- Kiedy panią przywieziono, miała pani dziewięć dziesiątych promila alkoholu we krwi. Mężczyzna, który pani towarzyszył... pani szwagier?... powiedział personelowi, że piła pani przez całą ciążę.

Wściekłam się na Marcusa. Jakim prawem mnie wsypał?

- Myślę, że wcześniej naprawdę piła - powiedział naiwnie Jamie. - Byliśmy w separacji. Ale przez ostatnie miesiące mieszkaliśmy razem i nie piła, chyba że tego ostatniego dnia... - Dostrzegłam w jego oczach błysk zrozumienia. - Piłaś za dnia u Marcusa?

- Tylko breezezy - odpowiedziałam.

260

- Laurel!

Nie wiedziałam, czy w jego głosie zabrzmiało rozczarowanie, czy niesmak.

- Drugą częścią diagnozy jest depresja poporodowa - ciągnęła kobieta z opieki społecznej. - Zamieniłam parę słów z pielęgniarką, która z panem rozmawiała - skinęła głową Jamiemu - i zdaje się, że pańska żona ma problem od narodzin poprzedniego dziecka.

Jamie spojrzął na mnie.

- Wreszcie - powiedział. - Wreszcie wiemy, co się z tobą działo.

Wiedziałam o istnieniu depresji poporodowej, ale to, co czułam, było o wiele gorsze. Wyobrażałam sobie, że mogłabym przebić serce mojego dziecka nożem. Czy to jeszcze depresja?

Kobieta wygłosiła pogadankę o hormonach i chemii mózgu.

- Prawdopodobnie mieszkając na Topsail Island, czuła się pani po narodzeniu córki samotna.

Przed oczami stanęły mi te tygodnie, kiedy Maggie nieustannie płakała, a ja miałam wrażenie, że nie mogę się zwrócić do nikogo. Otworzyłam usta, ale słowa nie chciały mi przejść przez zaciśnięte gardło.

- Pani szwagier powiedział, że przedtem prawie pani nie piła - ciągnęła kobieta. - Sądzę, że po narodzeniu córki czuła się pani tak źle, że zaczęła pani traktować alkohol jako środek przeciwbólowy.

Strasznie zachciało mi się breezeza.

- Położnik z oddziału intensywnej terapii sądzi, że przyjmowanie przez panią alkoholu mogło zaszkodzić dziecku.

Nagle zaczęłam słuchać.

- W jaki sposób?

- Jego niewielki wzrost i waga prawdopodobnie mają związek z pani problemem. Otrzymał mało punktów w skali

261

Apgar. Na szczęście nie ma zdeformowanej twarzy, co jest typowe dla dzieci, których matki piły, ale obserwujemy u niego pewne problemy z oddychaniem, poważniejsze niż u innych wcześniaków. Możliwe jest intelektualne albo poznawcze upośledzenie. Za wcześnie, by wyrokować, jak dalece zaawansowane.

Zamarłam. Co ja narobiłam? Tak samo czułam się w dniu, kiedy potrąciłam Jamiego na motocyklu. Skrzywdziłam człowieka. Skrzywdziłam moje dziecko.

-Jamie, przepraszam... - szepnęłam. - Bardzo przepraszam...

Odwrócił się i zrozumiałam, że tym razem mi tak szybko nie wybaczy. Wcale mnie to nie dziwiło.

- Czy... - Usiłowałam sobie przypomnieć dziecko, które widziałam przelotnie na sali porodowej. - Czy on cierpi?

- Trudno ocenić, co czują noworodki. Ale musi pani wiedzieć, że od tej pory Andrew znajdzie się pod opieką państwa. Kiedy opuści szpital, trafi do rodziny zastępczej, dopóki nie zdołamy ocenić państwa sytuacji domowej.

- Co? - rzucił Jamie. - Możemy mu zapewnić najlepszą opiekę. - Nie spojrzał na mnie. - W każdym razie ja na pewno.

- Opieka społeczna zorientuje się w sytuacji - odpowiedziała. - Wynajął pan nianię do opieki nad drugim dzieckiem, tak?

Jamie przytaknął.

- Skontaktowała się z opieką społeczną, kiedy Laurel zaczęła rodzić. Niepokoiła się, że pański dom nie stanowi bezpiecznego środowiska dla niemowlęcia.

- Ta kobieta mnie nienawidzi - odezwałam się. Nie pamiętałam nawet jej imienia.

- Zatem z powodu jej raportu - ciągnęła - pani problemu alkoholowego i słabego zdrowia Andrew musimy zrobić to, co najlepsze dla dziecka, czyli umieścić je w domu zastępczym na czas oceny sytuacji rodziny.

262

- Kiedy go dostaniemy? - spytał Jamie.

- Macie na to największą szansę, jeśli Laurel pójdzie na odwyk. Mamy w Wilmingtonie placówkę specjalizującą się w leczeniu osób z podwójnym rozpoznaniem. Ale to kosztowne, więc...

- Pieniądze nie grają roli - przerwał Jamie. Przeraziłam się.

- Jamie, nie pozwól im mnie zamknąć!

- Udział w programie jest w stu procentach dobrowolny - wyjaśniła kobieta. - Ale zalecam wyrażenie zgody, jeśli chce pani kiedyś odzyskać prawo do opieki nad dzieckiem.

- Proszę, idź na odwyk. - Sara pochyliła się ku mnie błagalnie. Był wieczór tego samego dnia. Sara przyszła do mojego pokoju i powiedziała Jamiemu, żeby zrobił sobie przerwę. Ledwie usiadła przy łóżku, zaczęła mnie namawiać. - Zrób to dla swojej rodziny, jeśli nie dla siebie.

- Dlaczego nie dacie mi wszyscy spokoju? - jęknęłam. Jamie wiercił mi o to dziurę w brzuchu przez parę godzin i nerwy miałam napięte do ostateczności.

Sara wyprostowała się, a ja odwróciłam głowę i wyrżałam przez okno na ciemniejące zimowe niebo. Sara milczała tak długo, że nabrałam nadziei, iż zrezygnowała. Usłyszałam skrzypnięcie krzesła i myślałam, że już odchodzi, ale ona tylko znowu się do mnie pochyliła.

- Pamiętam pewną kobietę... - odezwała się powoli. - Widziałam ją parę lat temu w kaplicy, którą zbudował jej mąż. Jej mąż wstał i przemówił do ludzi, którzy się tam zebrali, a ta kobieta... no cóż, patrzyła na niego, jakby był jej całym światem. Pamiętam, że przyglądałam się jej z zazdrością i myślałam: „Żebym to ja umiała tak kochać”.

Chciałam jej powiedzieć, żeby się zamknęła, ale moje wargi nie chciały się poruszyć. Gapiłam się na daleką wieżę ciśnierni i słuchałam.

263

- Ten mężczyzna spytał, gdzie w tym tygodniu odczuliśmy Boga, a kiedy nikt nie odpowiedział, jego żona wstała, bo tak bardzo kochała męża, że nie chciała widzieć jego porażki. I powiedziała, że poczuła Boga poprzedniej nocy, kiedy leżała pod gwiazdami. Powiedziała, że przepełniło ją piękno świata.

Odwróciłam się do niej.

- Pamiętasz to?

- O tak - potwierdziła Sara. - Podziwiałam tę kobietę. Podziwiałam ją i bardzo jej zazdrościłam.

- Gdzie... - mój głos brzmiał jak szept - ...gdzie się podziiała?

- Utonęła w butelce - oznajmiła Sara bezlitośnie. - Jej mąż chce ją odzyskać. A dzieci jej potrzebują.

- Maggie to nie obchodzi. Nienawidzi mnie.

- Maggie nie ma nawet trzech lat! - krzyknęła Sara. - Nie jest zdolna do nienawiści. Ona cię nie zna! Nie ufa ci!

Pokręciłam głową.

- W tej chwili chcę się tylko napić.

Sara nagle chwyciła mnie za nadgarstek. Jęknęłam z zaskoczenia, usiłując się wyszarpnąć, ale trzymała mocno.

- Stałaś się egoistyczną, zapatrzoną w siebie suką. - Spojrzała mi prosto w oczy, a ja nie potrafiłam odwrócić wzroku. - Rozumiem, że hormony ci szaleją. Rozumiem, że nie potrafisz opanować depresji. Ale możesz to naprawić. Tylko ty możesz to zrobić.

Gniew Sary bardziej niż błagania Jamiego skłoniły mnie do pójścia na odwyk. Nie zrobiłam tego, żeby odzyskać syna - byłam pewna, że lepiej mu będzie beze mnie. Ale Sara przypomniała mi tę szczęśliwą, zadowoloną, godną szacunku kobietę, którą kiedyś byłam. Jeśli istniała szansa na jej odzyskanie - uratowanie tej kobiety, która utonęła w butelce - to zamierzałam ją wykorzystać.

Klinika stała w spokojnej, idyllicznej okolicy, której spokój nie zapowiadał ogromu pracy, odbywającej się

w czterech budynkach kompleksu. Na początku nic mi się tam nie podobało: narzucony rygor, jedzenie, ćwiczenia, grupowe sesje, indywidualne spotkania z terapeutą. Otaczali mnie uzależnieni i wariaci, z którymi nie miałam nic wspólnego. Nikt, nawet Jamie, nie mógł mnie odwiedzać. Dawali mi prozac, którego parę lat temu nie zgodziłam się przyjmować. Spędziłam tam cały miesiąc, zanim poczułam, że coś się we mnie zmienia. W czasie terapii wyplakałam morze łez, które w sobie dusiłam, może nawet od czasu śmierci rodziców. Pamiętałam, jak Jamie powiedział mi dawno temu: Jeśli nie przepracujesz swojej rozpacz, ona wróci, żeby cię ugryźć. Czy to właśnie się ze mną stało?

I wreszcie nadszedł pamiętny dzień, gdy roześmiałam się z reklamy w telewizji. Nie poznałam własnego głosu. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio się śmiałam.

A pewnego ranka, po niemal dwu miesiącach programu, obudziłam się i poczułam, że życie mnie obchodzi. Obchodziło mnie samopoczucie Maggie i Jamiego. Obchodził mnie mój syn, którego twarzy prawie nie zauważyłam, a teraz chciałam dotknąć. Miałam jego zdjęcie, które Jamie zrobił w szpitalu, i trzymałam je w kieszeni za dnia i na szafce w nocy. Dziecko nie większe od dłoni, ciemnowłose, leżące w inkubatorze z twarzą odwróconą od obiektywu, podłączone do niezliczonych przewodów i rurek. Wiedziałam, że znajduje się teraz w rodzinie zastępczej, i modliłam się, żeby trafił do ludzi, którzy go przytulają i kochają. Możliwość troszczenia się o niego, Maggie i Jamiego wydawała mi się nadzwyczajnym darem. Tak jak możliwość troszczenia się o siebie.

Do tego czasu poznałam już imiona tych narkomanów i wariatów i rozumiałam, że aż tak się ode mnie nie różnią. Niektórzy stracili swoje dzieci na zawsze. Nie zamierzałam do tego dopuścić. Postanowiłam, że wydobrzeję za wszelką cenę, a potem wywalczę sobie prawo do odzyskania mojego dziecka. A kiedy znajdzie się w moich ramionach, nigdy, przenigdy go już nie oddam.

33

Ben oparł się na łokciu i przystawił zapałkę do jointa w ustach. W szybkim rozbłysku płomienia zobaczyłam gładki, ciemny zarost na jego piersi. Położyłam mu rękę na brzuchu i wtuliłam policzek w te włosy. Czasami nie potrafiłam się do niego dostatecznie zbliżyć. Nawet kiedy był we mnie, nie wydawał się blisko. Co się ze mną działo? Dał mi tak wiele, a ja chciałam jeszcze więcej... choć nie wiedziałam, czego dokładnie pragnę.

Podał mi jointa; wciągnęłam dym w płuca i zatrzymałam go w nich jak najdłużej.

- Martwię się o Andy'ego - odezwał się nagle.

- Ja też. - Wiedziałam, że mama nadal się denerwuje z powodu tej podmiany ubrań, które dałyśmy policjantom, ale ja się z tego cieszyłam. Szkoda, że nie mogłam się zwierzyć Benowi. Chciałam opowiedzieć komuś o tej błyskawicznej decyzji, którą razem podjęłyśmy. O dziwnym, nagłym porozumieniu między nami. O tej chwili, po której nie było już odwrotu. Ale nie mogłam go tym obarczyć. Chciałam mu powiedzieć tak wiele rzeczy... i nie mogłam. - Nagle wszyscy obrócili się przeciwko niemu.

- Ty nie. Ani ja. I z całą pewnością nie twoja mama.

- To prawda.

Ben znowu się zaciągnął.

- Twoja mama uczyniła Andy'ego dziełem swojego życia

- odezwał się, gdy w końcu wypuścił dym. - Zrozumiałem to za pierwszym razem, kiedy spotkałem ją na basenie. Dała mi pisemne instrukcje, jak najlepiej z nim postępować.

- Roześmiał się. Głowa podskoczyła mi na jego piersi.

- Cała mama.

- Tobie tak nie matkuje, prawda?

- Mam siedemnaście lat.

- A kiedyś matkowała? Czy kiedykolwiek opiekowała się tobą tak, jak Andym?

Poczułam niechciany ból.

- Nigdy nie potrzebowałam takiej opieki, jak Andy.

- Każdy potrzebuje opieki.

- I dlatego mam ciebie.

Nie odpowiedział, a ból w mojej piersi się rozrósł. Znowu podał mi jointa, ale pokręciłam głową. Trochę mnie już mdliło. Usiłowałam znaleźć inny temat rozmowy. Jego córka. Uwielbiał o niej rozmawiać. Mogłam go spytać, kiedy ją znowu zobaczy. Otworzyłam już usta, ale nagle rozległ się pisk jego pagera, ukrytego gdzieś pod ubraniami na podłodze.

Ben zerwał się na nogi, tak jak się spodziewałam.

- Nie wstajesz? - Włożył podkoszulek. Przeciągnęłam się pod kołdrą.

- Zostanę tu jeszcze chwilę. - Podłużne okno na wprost łóżka było pełne gwiazd. Mogłam posiedzieć na dworze i spróbować znowu nawiązać kontakt z duchem taty. Tak dawno mi się to nie udało, a gadanie o tym, że każdy potrzebuje opieki, naprawdę nadszarpnęło mi nerwy.

- Nie chciałbym, żebyś tu siedziała przez całą noc. - Nie miał pojęcia, jak często przyjeżdżam do Morskiego Strażnika sama.

- Poradzę sobie - odpowiedziałam.

Słuchałam, jak idzie przez salon i zamyka za sobą drzwi. Usłyszałam, jak zeskakuje na piasek. Nastawiłam ucha,

266

267

czekając, aż dotrze do mnie warkot samochodu, ale chyba zaparkował za daleko.

Zanim wyszedł, oddał mi jointa. Trzymałam go między wargami, nie zaciągając się, i wkładałam szorty i bluzkę. Zdmuchnęłam świece i wyszłam na zewnątrz, na moje ulubione miejsce tarasu. Wyrzuciłam jointa w piasek. Marnotrawstwo, powiedziała by Ben.

Zamknęłam oczy i odetchnęłam słonym powietrzem, starając się uspokoić myśli.

Przynajmniej pożar przydał się Benowi, pomyślałam. Dzięki niemu Ben poczuł się szczęśliwy w oddziale strażackim. Już nie wyjedzie.

Przestań myśleć!

Znowu odetchnęłam i prawie oczyściłam umysł, kiedy te cholerne zdjęcia z ceremonii pogrzebowej stanęły mi przed oczami.

Jęknęłam.

- Tato - szepnęłam bezradnie. - Proszę cię, przyjdź.

A jeśli on był tak samo bezradny jak ja? Może czekał po tamtej stronie, aż uspokoję myśli na tyle, żeby zdołał się ze mną połączyć? Może zawiodłam go - jak wszystkich innych?

Wydawało mi się, że w domu rozległ się jakiś stuk. Odwróciłam się, ale słyszałam tylko szum morza.

Promień latarki padł na balustradę obok mnie. Poderwałam się na równe nogi.

- Maggie?

Głos kobiety. Poczułam się przyłapaną na gorącym uczynku. Dobrze, że wyrzuciłam tego jointa.

Usiłowałam osłonić oczy ręką, by zobaczyć, kto trzyma latarkę. Zakręciło mi się w głowie od zbyt szybkiego wstania. Chwyciłam się balustrady.

- Kto to? - zawołałam.

- Boże, nie wierzę!

Dawn. Otworzyła drzwi na taras. Światło latarki mnie oślepiło.

268

- Co tu robisz? - spytałam, cofając się i osłaniając oczy.

- Mogłabym ci zadać to samo pytanie.

Jak wiele wiedziała? To światło przyszpilało mnie do miejsca. Musiałam przed nim uciec. Minęłam Dawn i weszłam do domu. Poszła za mną.

- W tym domu mieszkałam w dzieciństwie. - Głos mi drżał. - Czasami go odwiedzam. Właśnie chciałam wyjść.

Dawn przesunęła światłem latarki po salonie i kuchni. Ledwie dostrzegałam jej związane w koński ogon włosy i parę zmarszczek na czole. Usiadła na oparciu sofy i położyła latarkę na podłodze,

kierując jej światło w kąt pokoju. Była dziwnie milcząca. Musiałam zabrać z sypialni torebkę, żeby móc uciec, ale co by się stało, gdyby za mną poszła i zobaczyła rozgrzebane łóżko? Czy zdawała sobie sprawę, co się dzieje między mną i Benem? Dlaczego tu przyszła?

Wzięłam butelkę wody z bufetu w kuchni i zaczęłam mówić, żeby wypełnić to milczenie słowami.

- Przepraszam, że jeszcze do ciebie nie zadzwoniłam w sprawie zbierania datków. Czekałam, aż uzgodnię szczegóły, ale organizujemy wielką imprezę z...

- Po co Ben tu przyszedł? - spytała. Cholera. Cholera. Cholera.

- Ben? - spytałam. - Dlaczego sądzisz, że tu był?

- Nie udawaj głupiej. Myślisz, że weszłam tu przypadkiem? Śledziłam go. Chciałam się dowiedzieć, gdzie znika bez wyjaśnienia na tak wiele wieczorów. Kiedy zobaczyłam, jak wychodzi z tej chatki, postanowiłam sprawdzić, co tu znalazł tak... kuszącego. Teraz już wiem.

Otworzyłam butelkę i pociągnęłam łyk, żeby zyskać na czasie.

- Czasami się tu spotykamy, żeby porozmawiać o drużynie pływackiej.

- Stać cię na coś więcej.

269

- Dawn, to naprawdę nie...

- Nie wciskaj mi tego kitu - warknęła ostro, całkiem nie tak jak ta Dawn, którą znałam. - Jak długo to się ciągnie?

Westchnęłam. Skapitulowałam. Poczułam, że się kulę.

- Jakiś czas.

- Nie do wiary. Zdradzał mnie z nastolatką. Z dzieckiem. Zboczeniec.

- On cię nie zdradzał!

- A jak byś to nazwała?

- Przecież jesteście tylko przyjaciółmi.

- No, nie mogę. Tak ci powiedział?

Nie chciałam narobić Benowi większych kłopotów, mówiąc coś niewłaściwego, ale tak się zdenerwowałam, że nie potrafiłam myśleć przytomnie.

-Wiem, że kiedy się wprowadził... że... że spaliście ze sobą, i wiem, że miałaś nadzieję na coś więcej niż przyjaźń, ale...

- A to cholerny sukinkot. - Potarła kark. - Myślałam, że jest inny, ale okazuje się, że niczym się nie różni. Chce dreszczyku, zakazanego owocu, tajemnicy. Młodego, jędrnego ciała. - Wskazała mnie... moje ciało.

- Ben taki nie jest.

- Nie opowiadaj mi, jaki jest Ben! - warknęła. - Żyję z nim, słonko. Znam go lepiej, niż kiedykolwiek ci się uda go poznać.

Obracałam zakrętkę butelki. Bałam się gniewu Dawn i tego, co mogłaby zrobić. Komu mogłaby powiedzieć.

- Twoja mama o tym wie? - Chyba czytała mi w myślach. - Może go oskarżyć o gwałt.

- Wiek przyzwolenia to szesnaście lat. Roześmiała się brzydtko.

- Już się zorientowałaś? Nawet jeśli prawo nie zakazuje sypiania z siedemnastolatką, to niemoralne!

- Wiek to tylko liczba. - Zmarszczyłam nos, słysząc ten frazes, padający z moich własnych ust.

-I niemoralne jest sypiać z dwiema kobietami naraz i nie mówić im prawdy.

- Nie naraz. Jesteś dla niego przeszłością! - Czułam się jak suka, ale na to zasłużyła. - Myślisz, że jest twoim chłopakiem, ale to nieprawda.

Zrobiła wielkie oczy i znowu parsknęła śmiechem.

- Boże, zmiłuj się. Powiem do słuchu temu draniowi. - Przechyliła głowę. - To twój pierwszy?

- Nie twoja sprawa.

- Na pewno. Mężczyźni to kochają, prawda? Zaliczać dziewice.

- Nie mów tak o nim! Nie wrzucaj go do jednego worka z tymi łajzami, z którymi...

- Twoja mama wie, że jarasz? -Co?

- Nie zgrywaj się, Maggie. Śmierdzi stąd na kilometr. Boże. Teraz miała na mnie dwie rzeczy. Moja dłoń obracała nakrętkę w lewo i prawo. W lewo i prawo.

Nagle Dawn wstała. Kiedy znowu się odezwała, miała zupełnie inny głos. Jak pomruk tygrysa.

- Odczep się od mojego faceta, dziewczynko. - Wzięła latarkę i poszła do drzwi. - Jeśli tego nie zrobisz, będę musiała powiedzieć twojej mamie, co tu wyrabiasz, a ma w tej chwili dość zmartwień. Na pewno nie chcesz jej dodawać następnego, prawda, słonko?

Rzuciłam butelką - ze wszystkich sił - zanim zdołałam pomyśleć. Trafiłam ją w szyję. Dawn wrzasnęła, upuszczając latarkę.

-Ty suko!

- Przepraszam! - Zastoniłam twarz rękami. - Nie chciałam! Naprawdę!

Dawn podniosła latarkę i myślałam, że mnie nią uderzy, ale otworzyła drzwi i wybiegła na zewnątrz. Słuchałam skrzypienia schodów, a potem głuchego pacnięcia jej stóp o piasek.

270

271

Trzasnęłam drzwiami i obróciłam pokrętło zamka. Potem wyjęłam z kieszeni telefon i wcisnęłam klawisz szybkiego wybierania, łączący mnie z komórką Bena. Zero odpowiedzi.

Wystukałam gorączkowo SMS-a:

D. wie.

3\$

- Proszę usiąść.

Dennis Shartell wprowadził mnie do swojego gabinetu i wskazał mi obity skórą fotel przed masywnym mahoniowym biurkiem.

- Dziękuję, że przyjął mnie pan tak szybko - powiedziałam, siadając. Pani Terrell podała mi jego nazwisko zaledwie wczoraj, ale sekretarka prawnika powiedziała, że Shartell dziś znajdzie dla mnie czas.

- Wyobrażam sobie, co pani czuje - powiedział adwokat, siadając za biurkiem. - Słyszałem plotki.

- Dotarły tutaj? Do Wilmingtonu?

- O pożarze było głośno, a choć policja nie wspomina o podpaleniu, wszyscy wiedzą, że to to - a w języku prawa „sprowadzenie pożaru, zagrażającego mieniu w wielkich rozmiarach”. Ludzie uwielbiają niespodziewane zwroty akcji. Co może być lepszego, niż gdy bohater okazuje się przestępcą?

- Ale mój syn nim nie jest.

Prawnik skinął głową. Szkła jego okularów odbiły światło lampy. Pan Shartell był szczupły, lecz wydawał się jakiś miękki, jakby nie musiał ćwiczyć, żeby się ustrzec nadwagi. Miał rzędzące ciemne włosy, pociągłą twarz i uśmiech życzliwy i pewny siebie. Spodobał mi się. Prawie się w nim

273

zakochałam. On mi pomoże wygrzebać się z tych idiotycznych kłopotów.

- Proszę mi powiedzieć wszystko, co pani wie - powiedział, pstrykając długopisem nad żółtym notesem. - Jakie mają na razie dowody?

- O ile wiem, tylko zeznania paru osób, że widziały Andy'ego na dworze w czasie trwania zabawy. Ale ja w to nie wierzę. Nawet jeśli tak było, to co z tego? Mój syn posługuje się żelaznym rozumowaniem. Jeśli zasada brzmi „to zamknięta zabawa i nie wolno ci wychodzić z sali”, nie wyjdzie.

- Jak to „żelaznym rozumowaniem”?

Wyjaśniłam mu, co to jest FASD. Może powinnam raczej znaleźć prawnika zaznajomionego z tym upośledzeniem. Ale on robił notatki i słuchał z uwagą.

- Dobrze - powiedział, gdy wreszcie skończyłam. - Kto widział Andy'ego przed kościołem?

- Pewien chłopiec, Keith Weston. - Opowiedziałam mu o bójce Andy'ego z Keithem podczas zabawy i o ich długoletniej przyjaźni. - I kobieta, która przejeżdżała tamtej nocy koło kościoła. Oczywiście, nie podała nazwiska Andy'ego, ale opisała chłopca, który go przypominał. I jeszcze jego przyjaciółka Emily - która także jest dzieckiem specjalnej troski.

Prawnik patrzył na mnie wyczekująco.

- To wszystko? - spytał w końcu.

- Wszystko, o czym wiem. Przeszukali jego pokój.

- Mieli nakaz?

- Nie. Podpisałam zgodę.

- Wynieśli coś?

- Wzięli ubranie, które miał na sobie na zabawie. I chyba jakieś informacje z jego komputera.

Prawnik w zamyśleniu dotknął brody długopisem.

- Wygląda na to, że tylko Andy znał bezpieczne wyjście z budynku, tak?

- Tak. Ale to nie zbrodnia.

274

- O nie - przyznał ze śmiechem. - Z tego, co czytałem, wynika, że pani syn jest outsiderem. Nie cieszy się sympatią kolegów. Zgadza się pani z tym?

Skinęłam głową.

- Tak. Nie pasuje do rówieśników, ale to nie znaczy, że podpalił kościół, żeby udawać bohatera.

- Hmm... - Dennis położył długopis na notesie i odchylił się na krześle. - Jeśli nie ma tu czegoś, czego nie dostrzegamy na pierwszy rzut oka, wygląda na to, że mają tylko poszlaki. Nie mogą oskarżyć pani syna o podpalenie, to pewne. Jak się dostał do kościoła?

- Moja córka Maggie - jego siostra - zawiozła go samochodem.

- I zakładam, że Maggie wie, iż brat nie miał przy sobie paru galonów łatwopalnego płynu, tak?

Uśmiechnęłam się. Zaczęłam się powoli uspokajać. Te oskarżenia były - tak jak mi się wydawało od samego początku - absurdalne.

- Tak - powiedziałam.

- Jeśli na jego ubraniu nie znajdzie się ślad łatwopalnego płynu, powiedziałbym, że Andy nie ma się o co martwić.

- Na pewno się nie znajdzie - oświadczyłam z niezachwianą pewnością.

Tak bardzo mi ulżyło po rozmowie z prawnikiem, że wracając, śpiewałam do wtóru piosence z radia. Otworzyłam okno; wiosenny wietrzyk rozwiewał mi włosy, a ja darłam się na całe gardło aż do mostu.

Po zjeździe z niego skręcałam w prawo i skierowałam się do Jabeen's. Może Sara nadal jest w Surf City i znajdzie dla mnie parę chwil. Znowu straciłyśmy kontakt. W ostatnich dniach dzwoniłam do niej dwa razy, ale nie oddzwoniła.

Kiedy weszłam do pustej kawiarni, Dawn właśnie wycierała kontuar. Spojrzała na mnie i skinęła mi oswiale ręką.

275

- Cześć - powiedziałam. - Sara dziś pracuje?

- Wróciła do szpitala. - Ledwie na mnie spojrzała, ale zauważyłam, że ma zaczerwienione oczy, i natychmiast się zaniepokoiłam.

- Keith czuje się dobrze?

- Coraz lepiej. - Dawn odłożyła ścierkę i spray i wzięła papierowy kubek, który podstawiła pod dyszę ekspresu. - Ale zdaje się, że leczenie oparzeń jest dość drastyczne.

- Wiem - odpowiedziałam. - Na studiach miałam paru pacjentów z oparzeniami. - Zeskrobywanie spalonej skóry do żywego mięsa było niewątpliwie jednym z najprzyk-rzejszych wspomnień. - Biedny Keith. Sara pewnie cierpi, kiedy go widzi w takim stanie.

Dawn przykryła wieczkiem kubek kawy, której nie zamawiałam, i podała mi go.

- Dzięki - powiedziałam i pociągnęłam łyk.

- Mówi, jakby to nie było nic wielkiego, ale wiadomo, że ledwie żyje. - Dawn też wyglądała, jakby ledwie żyła. Miała podpuchnięte oczy.

- A ty? - Nie chciałam być wścibska, ale widziałam wyraźnie, że coś jej dolega. - Wszystko dobrze?

Skinęła głową.

- Jestem tylko zmęczona. - Usiadła na stołku przy kasie, oparła stopy o poprzeczkę i potarła szczupłe uda w džinsach. - Nie uwierzyłybyś, ile pieniędzy napłynęło do nas dzięki temu programowi w telewizji - dodała z odrobiną ożywienia. - Dzięki, że mi w tym pomogłaś.

- Ty odwalasz całą robotę. - Wypiłam następny łyk kawy. - Głowa Bena się goi?

Dawn przeciągnęła palcami przez ładne rude włosy, jakby musiała się zastanowić nad odpowiedzią.

- Maggie ci nie mówiła?

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że moje dzieci widują Bena na treningach pływackich.

- A, oczywiście. Pewnie gdyby miał problemy, Maggie

albo Andy by mi powiedzieli. - Choć szczerze mówiąc, nie wiedziałam, któremu z nich przyszłoby to do głowy. - Ale wszystko z nim dobrze, tak?

- Tak - ucięła. Potem nagle zachichotała. Doszłam do wniosku, że przyszło jej do głowy jakieś zabawne wspomnienie, bo kiedy się znowu odezwała, nie powiedziała nic zabawnego. - Słuchaj, słonko... - Oparła się łokciami o blat. - Wiem, że wszyscy gadają na Andy'ego i pewnie dostajesz od tego fioła.

- Oj, tak - przyznałam.

- Chciałam tylko powiedzieć, że nawet jeśli Andy naprawdę miał coś wspólnego z pożarem, na pewno się wywinie, bo nie rozumiał, co robi.

Spojrzałam na nią zdumiona, oniemiała. Wiedziałam, że to ma być pociecha, ale jakoś do mnie nie trafiła.

- Andy nie zrobił nic złego - powiedziałam.

- No, ale gdyby... Westchnęłam ciężko.

-Dobrze. - Wstałam. Ludzie mogą sobie wierzyć, w co chcą. Nie miałam na to wpływu. - Dzięki za kawę. A jeśli porozmawiasz z Sarą przede mną, proszę, powiedz jej, że pytałam o nią i Keitha.

Wracając do domu, zastanawiałam się, czy Sara nie oddzwania, bo ona także sądzi, że to Andy podłożył ogień. Absurd. Sara znała Andy'ego niemal tak dobrze jak ja. Spróbuję do niej zadzwonić jeszcze raz, kiedy tylko wrócę do domu.

Przed moim domem stał policyjny radiowóz. Wbiegłam do środka i natknęłam się w korytarzu na Maggie z sierżantem Woodem.

- Sądzą, że dałyśmy im niewłaściwe ubrania - rzuciła szybko Maggie.

Spojrzałam na policjanta.

- Przepraszam, że znowu zakłócamy pani spokój

276

277

- powiedział - ale mamy zdjęcia z zabawy robione przez dzieci aparatami komórkowymi. Ubranie i buty, które nam pani dała, są inne niż te, które Andy miał na tych zdjęciach.

- Żartuje pan. - Nie spojrzałam na Maggie. Nie powinienam była jej w to wciągać.

- Chciałbym jeszcze raz zajrzeć do jego pokoju i znaleźć właściwe ubranie.

Zawahałam się, może o chwilę za długo.

- Pewnie - powiedziałam. - Proszę.

Poszliśmy na górę za sierżantem. Maggie zagryzała wargę. Wyglądała jak winowajczyni.

W pokoju Andy'ego sierżant wybrał z szafy właściwe trampki.

- Te wyglądają bardziej podobnie - oznajmił. Wyjął z kieszeni koszuli zdjęcie, przyjrzał się mu i podał mi.

Wzięłam fotografię spotniałymi rękami. Zdjęcie przedstawiało dwóch nieznanym mi chłopców w pozach kulturystów, napinających wątle dziecięce bicepsy. Z boku stali Andy i Emily z obojętnymi minami, najwyraźniej nieuczestniczący w scenie.

- Byłam pewna, że miał na sobie tamte - powiedziałam. Bałam się, że sierżant uniesie buty do nosa i poczuje to, co na nich wyczułam, ale on tylko wrzucił je do dwóch oddzielnych toreb. Znowu spojrzałam na zdjęcie.

-I przysięgłabym, że miał na sobie tę zieloną koszulę.

- Ja też - poparła mnie Maggie. - Nosił ją tego dnia, więc pewnie nam się pomyliło.

Wolałabym, żeby się nie odzywała. Mogła nas zdradzić

- jeśli to się już nie stało.

- Mhm - mruknął sierżant Wood. Pewnie nie uwierzył w ani jedno nasze słowo, ale nie zamierzał nas przyciskać. Na razie.

Sierżant zebrał wszystkie ubrania. Znowu zeszyliśmy w ślad za nim na dół.

278

- Dobrego dnia. - Skinął nam głową i wyszedł. Ledwie znalazł się za drzwiami, Maggie chwyciła mnie za ramię.

- Dlaczego ich nie wyrzuciłaś? - szepnęła. - Butów i ubrań?

- Nie pomyślałam o tym - przyznałam. - Nie przyszło mi do głowy, że dzieci robiły zdjęcia. Ale od samego początku powinnam im dać właściwe ubrania. Zachowałam się bardzo głupio. Przepraszam cię.

Zamilkłyśmy. Żadna z nas nie ruszyła się od drzwi.

- W końcu co za różnica? - dodałam. - Andy jest niewinny, więc na jego ubraniach nie powinno być łatwopalnego płynu, prawda?

- Boże, mam nadzieję.

- Maggie, chyba nie myślisz...

- A jeśli ta zapalniczka naprawdę przeciekła?

- Wyjaśnimy to - oznajmiłam spokojnie. - Dziś spotkałam się z prawnikiem. Powiedział, że na razie mają same poszlaki. Dlatego jeśli na tych ubraniach nic nie ma, Andy'emu nic nie grozi.

Maggie spojrzała na mnie z troską.

- Nic na nich nie będzie. - Uścisnęłam ją, a ona wtuliła mi się w ramiona - rzecz niezwykła u mojej niezależnej córki. - Nie mamy się czym martwić.

35

Odkąd Dawn przytapała mnie w domku, Ben się nie odzywał, choć zostawiłam mu sześć wiadomości. Żyłam w ciągłym oczekiwaniu, że mama powie: „Maggie, dzwoniła do mnie Dawn Reynolds”. Byłam bliska podcięcia sobie żył. I naszło mnie słabiutki - słabiuteńkie - zwątpienie w Bena. To było w tym wszystkim najgorsze.

W końcu wieczorem się odezwał.

- Oddzwonię! - rzuciłam. Potem poszłam na przystań; nie mogłam ryzykować, że mama mnie podsłucha.

Zadzwoniłam do niego, gdy odeszłam od domu na bezpieczną odległość.

- Odchodzę od zmysłów! - zawołałam. - Co powiedziała Dawn?

- Wszystko gra - powiedział. - Przynajmniej na razie. Ale wczoraj wróciła do domu wściekła.

- Co jej powiedziałaś?

- Uspokoilem ją. Trochę to potrwało. - Roześmiał się cicho. - Powiedziałem jej... no, wiesz... że wydawało się jej, iż coś nas łączy, ale to nieprawda.

Odetchnęłam. Do niedawna było mi żal Dawn. Po ostatniej nocy mi przeszło.

- Naprawdę się zdenerwowała?

- No pewnie. Ale chyba do niej dotarło.

280

- Myślisz, że komuś powie? - Dotarłam na koniec pomostu i usiadłam na jednym ze słupków. - Myślałam, że zadzwoni dziś do mojej mamy.

- No, to się jeszcze może zdarzyć. Ona uważa, że nie powinniśmy się spotykać. Że bałamucę dziecko.

- Niech się nie wtrąca! - Mój głos poniósł się po ciemnej wodzie. Dotarło do mnie, że może jednak nie znalazłam sobie najlepszego miejsca na rozmowę.

- Boję się, że zechce się wtrącić.

- Więc co teraz?

- Przez jakiś czas powinniśmy się nie rzucać w oczy. Dopóki Dawn nie ochłonie.

- Jak to „nie rzucać się w oczy”?

- Nie widywać się ze sobą. Na pewno nie w chatce. Możemy rozmawiać i wysyłać sobie mejle, ale nie powinniśmy się spotykać.

Jak mógł choćby o tym pomyśleć?

- Ben! Ja muszę się z tobą spotykać! W przeciwnym razie oszaleję!

- Wiem, ja też. Ale nie możemy rozjuszać Dawn. Niedługo skończysz osiemnaście lat, zrobisz maturę. Wtedy to nie będzie aż tyle znaczyć. Więc na razie...

- A nie moglibyśmy... W sobotę mamy trening pływacki. Czy nie wyglądałoby to naturalnie, gdybyśmy potem gdzieś poszli, jak kiedyś? No wiesz, żeby porozmawiać o drużynie? Dawn nie mogłaby się przyczepić.

W słuchawce zapadła chwila ciszy.

- Dawn przyjdzie w tę sobotę.

- Co? - Poderwałam się. - Dlaczego?

- Mówi, że tęskni za dziećmi, ale na pewno chce mieć na nas oko. Więc musimy się zachowywać. Dobrze?

- Dlaczego jej nie zabroniłeś przyjść?

- Bo usiłuję nas chronić. - Wydawało mi się, że ma mnie trochę dość. - Może powiedziec nie tylko twojej mamie, ale także Marcusowi, personelowi klubu sportowego albo

281

rodzicom dzieci, z którymi pracujemy. Pozwól, że ja się nią zajmę, dobrze? Znam ją lepiej niż ty. Musimy przez chwilę się przycisnąć... aż skończysz szkołę.

- To dopiero za miesiąc!

- Czas szybko płynie, aniołku.

- Jak możesz być taki spokojny?

- Nie jestem. Ale miałem dwadzieścia cztery godziny na zastanowienie się, co powinniśmy zrobić. Dla ciebie to nowość.

Położyłam się na pomoście. Było zbyt wiele chmur, żeby zobaczyć gwiazdy. Zresztą i tak wszystko zasłaniały mi łzy. Wiedziałam, że Ben ma rację. Cierpliwość nie przychodziła mi łatwo, ale chyba mogłam zaczekać miesiąc, by dzielić z nim całe życie.

- Maggie! Jesteś tam jeszcze?

- Myślę... - W mojej głowie zaczął się kształtować plan. - Myślę, że w przyszłym roku nie będę mieszkać w kampusie. Będę dojeżdżać. Może znajdę na wyspie współlokatorkę i wyprowadzę się z domu.

- Co ty opowiadasz? Zawsze chciałaś mieszkać w kampusie.

- Nie chcę być tak daleko od ciebie.

- To tylko czterdzieści pięć minut drogi.

- Za daleko. - Wytarłam palcami łzy z policzków.

- Powinnaś zamieszkać w kampusie. To będzie dla ciebie dobre doświadczenie.

- Nie chcesz mnie mieć bliżej?

- Pewnie że chcę. Ale będę cię często odwiedzać, jeśli nie będziesz się wstydziła pokazywać z takim staruchem.

Uśmiechnęłam się.

- Mowy nie ma.

Co za cudowna myśl: wreszcie będę mogła pokazywać się z nim publicznie.

- Nie podejmuj decyzji już teraz - poprosił. - Moim zdaniem, mieszkanie w kampusie ci się przyda. No wiesz, studenckie doświadczenie.

282

Gdyby to on wyjechał na studia, zostawiając mnie na Topsail Island, nie chciałabym, żeby mieszkał w kampusie. Jak mógł tak łatwo ze mnie zrezygnować? Pomyślałam, jak lubię opierać głowę na jego piersi. Jaka się czuję zadowolona, kiedy otacza mnie ramionami.

-Ben?

- Jestem.

-Czy możemy... za jakiś tydzień... spotkać się gdzieś na chwilę? Na plaży w nocy czy gdzieś indziej? Nikt się nie dowie. Proszę...

Przez chwilę nie odpowiadał. W napięciu czekałam, aż przemówi.

- Dobrze - powiedział. - Muszę kończyć.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

Wyłączyłam telefon i leżałam na pomoście, aż zasnęłam. Trzymałam się kurczowo tego „ja też cię kocham”.

36

Odłożyłam telefon i przebiegłam z podstawówki do liceum. Wpadłam do sekretariatu zdyszana i spocona.

- Tutaj. - Sekretarka wskazała mi głową pomieszczenie, w którym organizowano konferencje. Drzwi były lekko uchylone. Otworzyłam je, nie pukając. Flip Cates siedział przy długim stole i choć nie był masywny, Andy wydawał się przy nim malutki jak krasnoludek. Mój syn rzucił mi się z łkaniem w ramiona.

- Już dobrze, skarbie. - Zakotłosałam go jak w dzieciństwie. - Nie bój się. Wszystko będzie dobrze.

Czy naprawdę? Czy Andy czuł, jak się trzęsę?

Flip nagrał mi wiadomość, że mają wniosek o aresztowanie Andy'ego. Spojrzałam na niego nad głową mojego syna.

- Dlaczego? - spytałam.

- Na jego spodniach i butach znaleziono ślady substancji łatwopalnej. Przykro mi, Laurel.

Zapalniczka.

- Może rozlał płyn z zapalniczki, kiedy... Flip pokręcił głową.

- To benzyna i olej.

Czy to ten zapach bił od jego butów? Niemożliwe.

- To wykluczone. - Andy wtulił mi się w ramiona, jakby

chciał w nich zostać na zawsze. - To musi być jakaś pomyłka. To jakiś spisek - rzucałam gorączkowo, a moje serce łomotało nierówno. - To absolutnie wykluczone!

- Wiem, że się zdenerwowałaś...

- Flip! Znasz to dziecko. - Przytuliłam Andy'ego jeszcze mocniej. Po moich policzkach toczyły się łzy, których nie chciałam mu pokazać. - Znałeś go prawie całe życie! Proszę! Przynajmniej powiedz, że, twoim zdaniem, to jakieś absurdałne nieporozumienie!

W oczach Flipa pewnie było nieco współczucia, ale wtedy tego nie dostrzegałam.

- Przepraszam - powiedział - ale muszę go zabrać do aresztu dla nieletnich w Castle Hayne. Możesz za nami pojechać swoim samochodem albo towarzyszyć mu w moim.

- Jadę z nim - oznajmiłam. - Nie spuszczę go z oczu.

Z radiowozu Flipa zadzwoniłam do Marcusa.

- Już jadę - rzucił. - Właśnie się dowiedziałem.

- Nie wiem, co się dzieje. - Usiłowałam zachować spokój - dla dobra Andy'ego. I tak go wystraszyłam swoimi histeriami. Teraz siedział wtulony we mnie, dygocząc. Nie widziałam go w takim stanie od lat.

- Dzwoni do prawnika - polecił Marcus. - Spotkamy się na miejscu.

- Czy on nas zastrzeli? - szepnął Andy, kiedy się rozłączyłam.

- Kto? Flip? Nie, na pewno nie. Nikt nas nie zastrzeli.

W areszcie dla nieletnich trzydziestoparoletni, tysięcący funkcjonariusz kazał mi wypełnić formularz, przerzucając się z Flipem prawniczym żargonem. Potem pobrał odciski palców Andy'ego ze względu na „poważny charakter zarzutów”.

Marcus przyjechał w chwili, gdy kolejny funkcjonariusz podał Andy'emu granatowy kombinezon. Nagle dotarło do mnie, że zamierzają go tu zatrzymać.

284

285

- On nie może tu zostać! - zwróciłam się do funkcjonariusza. Marcus stanął u mojego boku. - Wpłacę kaucję. Proszę mi tylko powiedzieć ile, a...

- W sprawach nieletnich nie stosuje się kaucji. Marcus pochylał się nad biurkiem, by uścisnąć rękę oficera. Ucieszyłam się, że przyszedł w mundurze.

- Jestem Marcus Lockwood - powiedział. - Wuj chłopca.

- Pan jest szefem służby przeciwpożarowej w Surf City? Marcus skinął głową.

- Dlaczego nie ma kaucji? - spytał.

- Chłopiec będzie poddany przesłuchaniu w ciągu pięciu dni. Wtedy sędzia zdecyduje, czy zostawi go tutaj do czasu procesu, czy też pozwoli mu wrócić do domu. Zważywszy poważny charakter zarzutów, sądzę, że chłopiec zostanie tutaj.

- Pięć dni! - jęknęłam. - Nie pozwolę mu tu zostać nawet jednej nocy!

Chwyliłam Marcusa za ramię. Wiedziałam, że wbijam mu paznokcie w ciało, ale nie potrafiłam się powstrzymać.

- Andy jest dzieckiem specjalnej troski - wyjaśnił Marcus. - Nie zniesie dobrze aresztu.

- Pani Lockwood już nam to wyjaśniła.

- Ale nie sądziłam, że mimo to będziecie chcieli go zatrzymać!

- A jak pani rozumiała słowo „areszt”?

- Nie wiedziała, że zamierzacie go zatrzymać na noc - wytłumaczył Marcus z niedostępnym mi spokojem. - On nigdy nie przebywał w nocy poza domem.

- Radzę, by poprosić o wyznaczenie przesłuchania w jak najszybszym czasie - oznajmił funkcjonariusz.

- Dzisiaj - rzuciłam. - Proszę. Koniecznie dzisiaj.

- Proszę pani, już trzecia. To nie jest priorytetowa sprawa. Poza tym pewnie nie wzięła pani pod uwagę, że kiedy ta wiadomość się rozniesie, społeczeństwo może się

rozgniewać. Być może lepiej, żeby pani syn pozostał tutaj

- dla własnego bezpieczeństwa. Sędzia na pewno weźmie to pod uwagę.

- Pozostanie tutaj nie będzie dla niego dobre w żadnych okolicznościach!

- Ona ma rację - powiedział Marcus do funkcjonariusza.

- Zróbcie wszystko, żeby przesłuchanie odbyło się jutro.

Andy wrócił do pokoju w za dużym na niego granatowym kombinezonie i niebieskich klapkach. Oczywiście miał zapuchnięte i czerwone, ale nie wyglądał już na przerażonego. Raczej na pokonanego. Ja oddychałam nierówno, usiłując się powstrzymać od płaczu. To by go jeszcze bardziej wystraszyło.

Marcus przytulił go, a ja też pragnęłam go porwać w ramiona, ale wiedziałam, że się rozkleję. Andy nie odzywał się ani słowem. To milczenie było tak nietypowe, że zaczęłam się niepokoić, co drugi policjant mógł mu powiedzieć - albo gorzej, zrobić.

- Andy - zdołałam wykrztusić. - Proszę, nie martw się, skarbie. Wszystko wyjaśnimy.

- Mogą państwo usiąść - oznajmił funkcjonariusz, choć sam stał. - Muszę zrobić kopię dokumentu. Wyślemy go pani prawnikowi.

Usiedliśmy na twardych drewnianych krzesłach, a on wyszedł z pokoju.

- Ten pan powiedział, że muszę tu zostać. - Andy spojrzał na Marcusa.

- Na parę dni - odpowiedział Marcus. - Wszystko będzie dobrze. Twoja mama wynajęła prawnika. Przyjdzie z tobą porozmawiać.

- Nazywa się pan Shartell. - Mój głos brzmiał zdumiewająco spokojnie, jeśli wziąć pod uwagę, że zanosłam się wewnętrznym krzykiem. - Jest po twojej stronie, skarbie, więc nie musisz się niczego bać. Powiedz mu całą prawdę, dobrze?

286

287

- Nie chcę tu zostać. - Nie usłyszał ani jednego mojego słowa. Byłam tego pewna. Zastanawiałam się, czy Marcus zauważył drżenie jego brody.

- Wiem - powiedziałam. - Wiem, że nie chcesz. Zabierzemy cię stąd jak najszybciej. - Nad jego głową wyrzekłam bezgłośnie do Marcusa: Nie mogę go tu zostawić!

Marcus uściśnął mi ramię. Andy znowu na niego spojrzał.

- Nie rozumiem, wujku. Nie zrobiłem nic złego. Marcus przeniósł rękę z mojego ramienia na ramię

Andy'ego. Uśmiechnął się lekko.

- Wiem, synu.

Spojrzałam na niego wstrząśnięta. Nigdy nie słyszałam, żeby nazywał Andy'ego synem. Nigdy. Nie życzyłam sobie tego. Ale teraz chciałam słyszeć, jak powtarza to słowo raz po raz.

37

Przez pierwsze trzy miesiące pobytu Laurel na odwyku Jamie nie pozwolił mi się z nią widywać. Choć i tak próbowałam. Odeśłał mnie strażnik z recepcji.

- Ta pani może się spotykać tylko z mężem i osobami, które wskazał - oznajmił. Najwyraźniej nie należałam do tych osób. Jamie powiedział, że umożliwialem jej picie. Litości. Laurel nie była alkoholiczką i nie wierzyłem, że coś się stało z jej dzieckiem. Jamie, personel szpitala i opieka społeczna robili wiele hałasu o nic.

- Możesz się z nią spotkać - powiedział w końcu Jamie pewnego popołudnia w Morskim Strażniku. - Już nabrała dość sił.

- Musi być silna, żeby się ze mną spotkać? - Ależ mnie wkurzył.

- Otóż to.

- Wal się.

Jamie zamknął oczy jak zawsze, kiedy był zły i starał się opanować. Jakby liczył po cichu do dziesięciu. Nie znosiłem, kiedy to robił- Nie znosiłem tego jego opanowania.

- Wiesz... - Otworzył oczy. - W sąsiednim pokoju jest moja trzyletnia córka. Może śpi, a może nie. Nie życzę sobie, żebyś używał takich słów w jej obecności.

- Ty przemądrzały...

289

- Chcesz się z nią zobaczyć czy nie? - przerwał mi. - Bo jeszcze mogę im powiedzieć, żeby cię nie wpuszczali.

- Tak, chcę się z nią zobaczyć!

- To się zamknij. A jak się tam wybierzesz, to bądź trzeźwy.

Prawie jej nie poznałem, kiedy do mnie podeszła. Odzyskała krągłości - nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo schudła przez parę ostatnich lat. Miała na sobie czerwony sweter z wycięciem w serek, plamę szokującego koloru, kontrastującego z jej ciemnymi włosami. Uśmiechnęła się do mnie. Przytuliłem ją do siebie i nie chciałem puścić, bo wtedy zobaczyłaby tży w moich oczach. Zapomniałem już, jak wygląda prawdziwa Laurel. Jaki ma uśmiech. Jakie błyszczące oczy.

W końcu się odsunąłem.

- Wyglądasz niesamowicie - powiedziałem. Wiedziała o tym. Wiedziała, że promienieje.

- Dobrze cię znowu widzieć - oznajmiła. - Chodź, przejdźmy do pokoju, w którym będziemy mogli pogadać.

Wzięła mnie pod ramię i zaprowadziła labiryntem korytarzy do małego pomieszczenia, pełnego foteli. Oprócz nas nie było w nim nikogo. Usiedliśmy pod oknem.

Laurel zdjęła buty i skuliła się na fotelu, podciągając kolana pod brodę.

- Co u ciebie? - spytała.

- W porządku. Ale chcę spytać o ciebie. Jak ci jest w tym więzieniu?

Znowu się uśmiechnęła. Tajemniczo. Jak Jamie, kiedy mówił o swoim „związku z Bogiem”, jakby tylko on potrafił to zrozumieć, a taki prymityw jak ja - nigdy. Nie zależało mi, żeby poznać tę tajemnicę.

- Początkowo było źle - przyznała. -I nie znosiłam tego miejsca. Ale bardzo mi pomogli.

- Wmówili ci, że masz problem z pićciem?

290

Znowu ten cholerny uśmiech.

- Jestem alkoholiczką. - Wyklepała to jak wyuczona papuga.

Pochyliłem się do niej.

- Piłaś różową oranżadkę dla dziewczyn.

- Po odstawieniu tej oranżadki miałam trzęsawkę, tak kiepsko ze mną było. Jestem alkoholiczką, Marcus. Ty też jesteś alkoholikiem.

Popukałem ją w głowę.

- Przepraszam, jest tam moja ulubiona bratowa? Oparła brodę na kolanach i spojrzała na mnie surowo.

- Skrzywdziłam moje dziecko. Byłam w depresji od urodzenia Maggie. Nie miałam na to wpływu - choć powinnam brać środki przeciwdepresyjne, o których wspomniał mi doktor. Żałuję, że byłam złą matką dla Maggie, ale muszę sobie wybaczyć i żyć dalej. Nie będę złą matką dla mojego synka, kiedy go odzyskam. Dla mojego Andy'ego.

Straciłem ją. Nie żebym chciał, żeby była złą matką, ale chciałem, żeby pozostała moją przyjaciółką. Była moją najlepszą przyjaciółką. Kimś więcej. Ta noc w moim pokoju gościnnym - noc, której ona żałowała, a ja nie potrafiłem - zawsze pozostanie w mojej pamięci. Tamta Laurel odeszła i nigdy jej nie odzyskam.

- Co oni z tobą zrobili? - spytałem.

- Jak to?

- Zmienili cię w stepfordzką żonę!

- Jestem trzeźwa. I szczęśliwa. I znowu zaczynam się czuć dobrze we własnej skórze.

Wyrzałem przez okno. Kilometry falujących łąk, obrzeżonych gęstym lasem. Taki krajobraz pewnie uspokajał większość osób, ale ja patrząc na niego, zacząłem się dusić. Potrzebowałem morza. Ona nie?

- Kiedy wracasz? - spytałem.

- Na razie nie jestem gotowa. Czuję się tu bezpieczna.

291

Bezpieczna od alkoholu. - Znowu przeszła mnie wzrokiem. - Bezpieczna od ciebie.

Chciałem powiedzieć, że to bzdura, ale się powstrzymałem. Bo nagle do mnie dotarło. Mogłem ją kochać. Mogłem być dla niej przyjacielem - najbardziej ze wszystkich - ale nie byłem dla niej dobry.

Wyjęła zdjęcie z kieszeni koszuli i podała mi je. Dziecko. Widziałem je po urodzeniu, podłączone do monitorów na OIOM-ie. Wyglądało na półżywe, wątpia pierś z wysiłkiem unosiła się i opadała, żebra cienkie jak ptasie kostki. Nie mogłem na nie patrzeć. Smutne, że ten kawałek papieru to wszystko, co jej zostało.

- Był bezbronny - powiedziała. - Zupełnie zależny ode mnie. - Przycisnęła palce do ust, a oczy jej się zaszklily.

- Nieważne, czy mi tu ciężko. Dla niego wspięłabym się na Mount Everest. Chętnie zrezygnuję z alkoholu, żeby go odzyskać. Być dla niego prawdziwą matką.

Spojrzałem na zdjęcie tego małego chłopczyka i coś we mnie pękło. Widziałem siniaki w miejscu, gdzie igły wkłuwały się w jego ciało. Widziałem żyły pod skórą. Był taki bezbronny. Kruchy. Skrzywdzony. Jeśli mówili, że to przez alkohol, to może mieli rację. A ja przyłożyłem rękę do upijania jego matki. Po raz drugi w ciągu tej godziny zaczęły mnie piec oczy.

- Marcus - odezwała się Laurel. - Proszę cię, wytrzeźwiej. Jeśli nie wytrzeźwiejesz, po moim powrocie nie przychodź do Morskiego Strażnika. Rozumiesz?

- Nie. Nie rozumiem.

- Jeśli nie wytrzeźwiejesz, będę musiała cię unikać.

- Głos jej się załamał. To, co powiedziała, nie było dla niej łatwe.

- Wykluczysz mnie ze swojego życia? Z życia Maggie i... - uniosłem zdjęcie - ... tego małego?

Skinęła głową.

- Wytrzeźwiej - powtórzyła błagalnie. - Kocham cię, a ty w głębi serca jesteś dobrym człowiekiem. Wiem o tym.

Myliła się. Od urodzenia miałem w sobie jakąś usterkę. Zawsze udawało mi się zniechęcić do siebie ludzi, na których mi zależało. Ludzi, którym zależało na mnie.

Chciałem jej oddać zdjęcie, ale wzięła moją dłoń w obie ręce.

- Zatrzymaj je - powiedziała. - Jest twoje. Spojrzałem na nią w szoku, tak wielkim, że straciłem głos.

Co jest moje? - chciałem spytać. Zdjęcie czy dziecko?

Chwila minęła. Laurel odwróciła wzrok. Tak szybko, że zrozumiałem wszystko.

Tej nocy wypłem pół butelki whisky, patrząc na zdjęcie dziecka. Alkohol nie smakował mi tak jak zawsze. Po chwili, w przypiływie ogromnej determinacji, wylałem do zlewu cały trzymany w domu alkohol, do ostatniej kropli. Zadzwoiłem na całodobowy numer AA. Spotkanie odbywało się w Wilmingtonie następnego dnia o siódmej rano.

Tej nocy nie mogłem zasnąć, tak się bałem, że nie usłyszę budzika. Wyszedłem z domu o wpół do szóstej, gdy świt różowił niebo, i pojechałem do Wilmingtonu. Znalazłem kościół, w którym odbywało się spotkanie. Zmusiłem się do wejścia - i omal nie padłem, widząc Flipa Catesa. Był młodym policjantem z Surf City, o rok czy dwa starszym ode mnie i, tak jak ja, jechał przez godzinę, żeby się tu dostać. Uśmiechnął się zaskoczony. Objął mnie i wprowadził do pokoju.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedział.

- Ty też pierwszy raz? - spytałem. Parsknął śmiechem.

- Raczej sto pierwszy - oznajmił, a ja pomyślałem: skoro on daje radę, to może i ja...?

292

293

Zjawiałem się na spotkaniach codziennie, przejeżdżając kilometry. Flip załatwił mi pracę na budowie, gdzie majster pozwalał mi brać wolne na spotkania w dni, w które czułem, że się załamuję. Wątpię, żeby udało mi się przetrwać bez Flipa, bo osiemdziesiąt procent mnie nie miało przekonania do trzeźwości. Osiemdziesiąt procent mnie pragnęło piwa. Ale pozostałe dwadzieścia okazało się uparte jak wszyscy diabli. Uczepiło się zdjęcia dziecka podłączonego do przewodów i rurek. I kobiety, która powiedziała, że mnie kocha, nawet jeśli miała to być miłość do szwagra. Te dwadzieścia procent miało siłę, jakiej się nie spodziewałem.

Nie chwaliłem się moim trzeźwieniem. Nie chciałem słyszeć, jak Jamie mówi, że jest ze mnie dumny - bo już dawno powinien to powiedzieć. Nie chciałem czuć na sobie jego uważnego wzroku, sprawdzającego, czy znowu nie zawalę sprawy. I nie chciałem czuć tego palącego poczucia winy, które przeszywało mnie za każdym razem, gdy sobie przypominałem, że spałem z żoną swojego brata.

Im bardziej zbliżał się dzień wyjścia Laurel z kliniki, tym bardziej się denerwowałem. Tak, chciałem ją zobaczyć, ale znowu mieszkać obok niej? Błąd - dla nas obojga. Nie chciałem być jej szwagrem. Pragnąłem znacznie więcej. Niemożność posiadania tego przy jej jednoczesnej bliskości byłaby torturą. Tego mi jeszcze brakowało po zaledwie dwóch miesiącach trzeźwości.

Miałem w AA kolegę z Asheville. Postanowiłem się tam przeprowadzić - dobre sześć godzin jazdy z Topsail - na tydzień przed powrotem Laurel. Jamie był zdumiony, lecz zadowolony.

- Dobrze robisz - powiedział. - Powinieneś wreszcie stanąć na własnych nogach. Może to cię wyprostuje. Wal się, bracie.

Po powrocie Laurel mama napisała, że wróciła „dawna Laurel”. Pamiętałem tę dawną Laurel. Bardzo fajna kobieta. Cieszyłem się jej szczęściem.

Parę miesięcy później mama powiedziała, że roczny Andy wrócił do Jamiego i Laurel. Chciałem ich odwiedzić. Chciałem zobaczyć Laurel i chłopca, który na pewno był moim synem. Nie pojechałem. Zostałem w Asheville, wstąpiłem do straży pożarnej - najpierw jako ochotnik, potem płatny pracownik - i zacząłem sobie układać życie sześćset kilometrów od mojej rodziny. Nie zamierzałem wrócić, bo widok Laurel byłby dla mnie jak łyk alkoholu: zapragnąłbym więcej.

294

Dostałem własny pokój jak w domu, ale to był zły pokój. Nie miałem okien, z wyjątkiem takiego małego w metalowych drzwiach, a łazienka była zaraz przy łóżku. Kiedy do niej poszedłem, martwiłem się, że ktoś zajrzy przez okienko w drzwiach. Denerwowałem się, kiedy musiałem siusiu, i pod koniec pierwszego dnia rozboleł mnie żołądek.

Byłem o wiele mniejszy niż inni chłopcy. Wszyscy nosili takie ciemnoniebieskie cosie i klapki. Pan, który dał mi mojego cosia, powiedział, że to najmniejszy rozmiar, jaki mają. Na kolację poszedłem do takiego czegoś jak stołówka w szkole, z długimi stołami i tak dalej, tylko dziewczyn nie było. Powiedziałem „cześć” i uśmiechnąłem się do wszystkich. Było mi trudno, bo się bałem. I nikt się nie uśmiechnął. Pytałem ciągle, kiedy wrócę do domu. Paru chłopców powiedziało: może nigdy.

W nocy źle spałem. Bałem się, że ktoś wejdzie przez te metalowe drzwi i coś mi zrobi. Przez cały czas na nie patrzyłem. Może trochę jednak spałem, bo przyśniło mi się, że łowię ryby w przystani z wujkiem Marcusem.

Tego ranka wydarzyło się coś niedobrego. Powiedziałem do jednego chłopca „cześć” i uśmiechnąłem się do niego. A on się roześmiał i powiedział do innych chłopców: „Mamy pedałka”, i tamci też się zaczęli śmiać i mnie

296

przezywali. Jeden prawie strącił moją tacę ze stołu i powiedział: „Cioty nie mają prawa siadać przy naszym stole”. Wiedziałem, co znaczy to słowo, podbiegłem i zacząłem go bić pięściami. A oni wszyscy zaczęli bić mnie. Nie wiem dokładnie, co się stało potem. Na pewno trafiłem do gabinetu pielęgniarskiego, ale zamiast pielęgniarki był tam jeden pan. Powiedział, że naprawdę jest pielęgniarzem, jak bonie dydy, a potem położył mi na ranach coś piekącego. Bolało, przestraszyłem się i chciałem do mamy. Spytałem: kiedy mogę wrócić do domu? Pielęgniarz powiedział dużo słów, których nie zrozumiałem, i coś o „postuchaniu”. Poprosiłem, żeby mi to wytłumaczył, a on spytał: „Naprawdę jesteś taki bystry jak woda w sraczu czy tylko udajesz?”. Usiadłem na rękach, żeby go nie uderzyć. Powiedział mi, żebym „nie pękał”. Nie wiem, co to znaczy, ale podejrzewam, że to brzydkie słowo.

Powiedzieli mi, że mogę jeść w swoim pokoju, i choć nie jest w nim miło, to się ucieszyłem. Dzięki temu chłopcy nie zobaczą, jak płaczę.

Dennis Shartell mnie niepokoił. Nie do wiary, że na początku pokładałam w nim takie nadzieje. Uznał, że Andy jest winny. Nie powiedział tego, ale to czułam. Przed przesłuchaniem powiedział, że - jego zdaniem - Andy będzie bezpieczniejszy w areszcie, bo, jak przewidział funkcjonariusz, ludzie zaczęli się burzyć.

- Wykluczone! - oznajmiłam. - Proszę go stamtąd wyciągnąć.

Wzruszył ramionami, jakby mówiąc: „Pchasz się w kłopoty”.

Sędzia, bardzo młoda kobieta, która przypominała mi Sarę, potraktowała nas ze zrozumieniem i czułam, że mieliśmy szczęście, że na nią trafiliśmy. Wyglądało na to, że wzięła sobie do serca zasadę niewinności do czasu udowodnienia winy. W końcu niechętnie pozwoliła Andy'emu na opuszczenie aresztu.

- Zalecam, by Andrew nie chodził od szkoły aż do przesłuchania. W areszcie gwarantowalibyśmy mu bezpieczeństwo.

Skinęłam głową, już myśląc o korepetytorach i innych sposobach nauki, żeby nie narobił sobie zaległości. Wydawało mi się, że to niesprawiedliwe, ale musiałam się pogodzić z rzeczywistością. Łatwopalny płyn jakoś znalazł

się na jego ubraniu. Teraz w to wierzyłam. Marcus zdołał mi wybić z głowy podejrzenia o spisek i błędy laboratorium. Ale oboje się zgadzaliśmy, że Andy'emu brakuje umiejętności zaplanowania pożaru i zrealizowania go. Bałam się tylko, że jego adwokat nie podziela naszego zdania.

- Andrew - odezwała się sędzia. - Wstań. Andy i Shartell wstali.

- Jesteś oskarżony o podpalenie kościoła, trzy zabójstwa i czterdzieści dwa usiłowania zabójstwa. Czy rozumiesz te zarzuty?

Wiedziałam, że Andy zostanie oskarżony, lecz słowa, które padły z ust sędzi, brzmiały niewiarygodnie. Przestraszyłam się, że zemdleję, a przecież siedziałam. Mogłam sobie tylko wyobrazić, jak czuje się Andy.

Shartell szepnął coś do niego.

- Tak, proszę pani - powiedział Andy, choć nie dam głowy, czy rozumiał.

- Zostaniesz przesłuchany w ciągu piętnastu dni. W tym czasie zostanie podjęta decyzja, czy twój proces zostanie przekazany Sądowi Najwyższemu.

- Przekazany? - szepnęłam do Marcusa.

Nie spojrzał na mnie. Wpatrywał się prosto przed siebie. Drgał mu mięsień na policzku.

- Do sądu dla dorosłych - szepnął. - Zdecydują, czy powinni go sądzić jako dorosłego.

Wtedy, po raz pierwszy w życiu, naprawdę zemdlałam.

Tego samego dnia po południu odbyłam z prawnikiem długą rozmowę przez telefon. Wyjaśnił mi, że „zważywszy poważny charakter zarzutów” - szybko zniechęciłam się tej formułce - Andy najprawdopodobniej zostanie przekazany sądowi dla dorosłych. Sędzia może - ale nie musi - wyznaczyć kaucję. Powiedziałam, że jeśli wyznaczy, to ją wpłacę, choćby była najwyższa.

298

299

- Jeśli ją wyznaczy, kaucja będzie iść w miliony - odparł.

- Ale musi się pani przygotować. Zważywszy poważny charakter zarzutów, mogą go uznać za niebezpiecznego dla otoczenia i nie pozwolą na ustanowienie kaucji. Spowodowanie śmiertelnych obrażeń w wyniku pożaru uważa się za zabójstwo. Jeśli Andy będzie traktowany jak dorosły, powinien się przyznać do spowodowania pożaru, a wtedy może nie zostaną mu postawione zarzuty o zabójstwo.

- A jeśli nie spowodował pożaru? - spytałam. Shartell wahał się tak długo, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie przerwało nam połączenia.

- Będziemy mieli czas się nad tym zastanowić.

- Czy pan nie słyszał, co powiedziałam? Chcę, żeby pan

o to walczył! Niech pan walczy, żeby go nie przekazano sądowi dla dorosłych. - Jeśli będą go sądzić jako dorosłego

i orzekną jego winę, to już po nim. - Jaką ma szansę na pozostanie w sądzie dla nieletnich?

- Powiedziałbym, że istnieje jeszcze niewielka nadzieja. Sędziowie nie lubią oddawania nieletnich pod sąd dla dorosłych. Jeśli nie znajdzie się więcej dowodów i nie pojawią się nowe obciążające zeznania, mamy o co walczyć.

Maggie, Marcus i ja zrobiliśmy wszystko, żeby powrót Andy'ego do domu był świętem. Zignorowaliśmy ekipy telewizyjne pod domem, a ja wyłączyłam wszystkie telefony z wyjątkiem swojej komórki. Zamówiliśmy pizzę, a Marcus kupił tort lodowy. Zjedliśmy w salonie - ale tylko Andy'emu dopisywał apetyt. Odkąd zemdlałam, kręciło mi się w głowie. Maggie dosłownie zbieleła na twarzy, kiedy jej opowiedziałam, co nas prawdopodobnie czeka.

- Postawią go przed sądem dla dorosłych? - spytała, otwierając szeroko oczy. Siedziałyśmy w moim pokoju.

- Przecież ma dopiero piętnaście lat! - krzyknęła, machając rękami z furją. - Cała ta sprawa została rozdmuchana do jakichś obłąkanych rozmiarów! Czy ten prawnik jest

kompletnie odmóżdżony? Nie wiem, jak benzyna dostała się na spodnie Andy'ego, ale on tego nie mógł zrobić!

- Nie dojdzie do tego - powiedziałam szybko, przestraszona jej wybuchem. - Nasz prawnik na pewno zdoła go zatrzymać w sądzie dla nieletnich, więc nie martw się o nic.

Pożałowałam, że powiedziałam jej tak dużo. Maggie okazała się o wiele bardziej krucha, niż się spodziewałam. Ostatnio przyłapywałam ją na popłakiwaniu. Kiedy pytałam, co się stało, jak zwykle słyszałam „nic”, ale wiedziałam, że Maggie tak samo szaleje z niepokoju, jak my. Właśnie wtedy postanowiłam, że najgorsze szczegóły zachowamy z Marcusem dla siebie. Maggie nie musiała wiedzieć.

W salonie, skubiąc pizzę bez apetytu, rozmawialiśmy o wszystkim, byle nie o pobycie Andy'ego w areszcie, o tym, co wydarzyło się w sądzie, ani o tym, co nas czekało. Przez chwilę poczułam się bezpiecznie.

Komórka Marcusa zadzwoniła, kiedy zaczęłam kroić tort, i zrozumiałam, że tylko jedno z nas będzie mogło jeść. Marcus wyszedł z pokoju, żeby porozmawiać.

- Jak w moje urodziny - powiedział Andy, kiedy podałam mu pierwszy kawałek.

- Właśnie, Pandusiu. - Maggie znowu miała czerwone oczy. Nie wiem, kiedy zdążyła się popłakać. Bardzo się starała być dzielna ze względu na brata, i to mnie wzruszyło. - To już nie musimy świętować twoich prawdziwych urodzin - zażartowała.

- A właśnie że musimy - odpowiedział.

Marcus stanął w drzwiach i dał mi znak, żebym poszła za nim do kuchni. Oddałam nóż Maggie.

- Co się stało? - spytałam, gdy znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu dzieci.

- Dziś rano znaleźli na wysypisku dwa plastikowe

300

301

kanistry - powiedział. - Mogły należeć do podpalacza, bo każdy zawierał ślady benzyny i oleju. Odetchnęłam głęboko.

- Są na nich odciski palców? - Miałam nadzieję, że prawdziwy podpalacz był na tyle niechlujny, że o nich zapomniał.

- Wysłali je do laboratorium. - Prawie się uśmiechnął. - To chyba cud, że je znaleźli. Jeśli podpalacz zostawił na nich odciski, to Andy jest uratowany.

Uśmiechnięty niedowierzająco Jamie odłożył telefon.

- Jutro - powiedział z ulgą. - Przyjedzie jutro. Objęłam go.

- Dobrze - szepnęłam, choć miałam mieszane uczucia co do przybycia Marcusa. Panna Emma umarła poprzedniego dnia po długiej walce z rakiem i Marcus powinien przyjechać, ale nie widziałam go ani z nim nie rozmawiałam od czterech lat, odkąd przeprowadził się do Asheville. Niewiele wiedzieliśmy o jego życiu - z wyjątkiem tego, że został strażakiem i prawdopodobnie jest trzeźwy. Czasem pisywał mejle do Jamiego i wysyłał pocztówki i świąteczne prezenty dla dzieci, ale poza tym izolował się od rodziny, a ja się z tego cieszyłam. Jamie bał się, że Marcus nie przyjedzie na pogrzeb. Sądził, że brat

wyjechał z powodu urazy do matki i pewnie także do niego. Nie domyślił się, że to może mieć coś wspólnego ze mną.

Marcus zjawił się w Morskim Strażniku następnego dnia po południu. Przez te cztery lata jego smukła sylwetka stała się muskularna, twarz dojrzała, a błękit oczu się rozjaśnił. Od razu zrozumiałam, że to nie tylko zewnętrzne zmiany. Ten pewny siebie mężczyzna ścisnął Jamiego. Bracia trzymali się w objęciach całą minutę, a kiedy się rozłączyli, oczy im lśniły.

303

- Tęskniłem za tobą, bracie - powiedział Marcus. Potem spojrzął na mnie. Wyciągnął z uśmiechem rękę, a ja go przytuliłam. Cofnęliśmy się dopiero po paru sekundach. Pachniał zupełnie inaczej, szamponem i mydłem. Ani śladu alkoholu czy tytoniu.

- Tęskniłem za wami - oznajmił.

- My za tobą też - wyrecytowałam sztywno. Nie mogłam mu patrzeć w oczy, nie czując czegoś, czego się nie spodziewałam - i z całą pewnością nie chciałam.

Marcus pochylił się nad siedmioletnią Maggie.

- Pamiętasz mnie, Mags? - spytał.

- Nie. - Pokręciła głową. Marcus parsknął śmiechem.

- To dobrze. - Znowu się wyprostował. - Kiedy byłaś mała, nie zachowywałam się najlepiej. A gdzie Andy? - zwrócił się do mnie. - Nigdy nie widziałem go na własne oczy.

Bałam się ich spotkania. Dla mnie ich podobieństwo było demaskujące jak test DNA.

- Drzemie - powiedziałam, obejmując Jamiego, jakbym szukała siły w nim i naszym małżeństwie. Przez te cztery lata walczyłam o spokój. Nie chciałam, żeby mi go teraz burzono.

Przez pół roku w klinice bardzo się zmieniałam. Wypłakałam życiowy przydział łez, łez winy i żalu, a także gorących łez determinacji. Po powrocie do domu rozpoczęła się wielka przygoda poznawania mojej trzyletniej córki, której do tej pory nie umiałam matkować. Maggie początkowo wtulała się w ojca, nieśmiało na mnie popatrując. Byłam dla niej obca. Wyglądałam inaczej i na pewno inaczej pachniałam niż kobieta, którą znała jako mamę. Wyobraziłam sobie, że kojarzyła ze mną zapach alkoholu, tak jak inne dzieci kojarzą matki z zapachem perfum.

Mojej pierwszej nocy w domu usiadłam z Jamiem na jej łóżeczku, wzięliśmy ją między siebie i zaczęliśmy

jej czytać. Opierała się o Jamiego, a mnie łamał się głos. Czułam na sobie zaniepokojone spojrzenie Mags. Gdy czytałam, Jamie opierał brodę o jej głowę. Czasami miłość staje się niemal namacalna, a miłość mojego męża i córki była właśnie taka - czułam jej obecność w pokoju. Nie miałam do niej wstępu i choć z czasem mój związek z Maggie się umocnił, wiedziałam, że nigdy nie stanę się Maggie tak bliska, jak Jamie.

Choć uwielbiałam swoją córeczkę, przygotowywałam się na powrót syna. Nauczyłam się wszystkiego na temat dzieci z FASD. Wiadomości na ten temat było niewiele, ale odszukałam wszystkie. Stałam się apostołem zdrowego życia w ciąży - nie znosiłam alkoholu, tak jak byli palacze nie tolerują zapachu dymu. Sara nauczyła mnie, czego się spodziewać po rocznym chłopcu. Niedawno rozwiodła się ze Steve'em i wychowywała Keitha samotnie. Było mi przykro, że straciła męża akurat teraz, gdy ja odzyskałam swojego. Włączyliśmy ją do naszego kółka i z radością przekonałam się, że mam dość energii i miłości, by obdzielić nimi ją i jej syna, nie tylko swoją rodzinę.

Teraz, gdy Marcus wrócił na pogrzeb panny Emmy, nie mogłam dłużej zaprzeczać, że mnie pociąga. Ale choć przez to czułam się przy nim niezręcznie, nie bałam się swoich uczuć. Dorosłam. Przez te cztery lata trzeźwości dowiedziałam się, jaka potrafię być silna. Miałam męża o sercu z czystego złota - ilu mężczyzn wytrzymałoby przy chorej, dążącej do samozagłady, oziębłej kobiecie, którą się stałam po narodzinach Maggie? Miałam dwoje cudownych dzieci, za które oddałabym życie. A przy każdym spotkaniu z Sarą, mieszkającą teraz w jednej z licznych starych przyczep w Surf City, przypominałam sobie, jakim skarbem było moje małżeństwo i ile bym oddała, żeby je ocalić.

W tych pierwszych dniach po przyjeździe Marcusa Jamie nie przestawał się uśmiechać. W towarzystwie brata jakby się rozświecił i wspaniale było patrzeć na łączącą

304

305

ich więź. Oczywiście, śmierć matki go zasmuciła, ale radość ponownego poznania trzeźwego, godnego szacunku i doskonale prosperującego brata łagodziła jego żal.

Dzieci zakochały się w Marcusie. Grał z nimi na plaży w piłkę, pozwalał się zakopywać w piasku aż po brodę, dokazywał z Andym w sposób, który mnie trochę niepokoił, ale na twarzy Jamiego wywoływał uśmiech. Jamie nie należał do tych, co dokazują, ale widziałam, że podziwiał zabawy brata z dziećmi.

- Powinien mieć własne - powiedział do mnie pewnej nocy, gdy leżeliśmy w łóżku. - Świetnie sobie z nimi radzi.

- Najpierw musi znaleźć żonę - zauważyłam.

- Aha. W tej dziedzinie jakoś szczęście mu nie dopisuje. Powiedział, że spotykał się z paroma dziewczynami, ale z żadną na poważnie.

- Ma dopiero dwadzieścia osiem lat. Mnóstwo czasu. Jamie westchnął.

- Żałuję tylko, że mama nie zobaczyła go w takiej formie.

- Tak... - Pomyślałam o pannie Emmie, o tym, że jej miłość do synów zaważyła na ich osiągnięciach, że Marcus nigdy nie zdołał dorównać w jej oczach Jamiemu. Zachowałam tę myśl dla siebie. To nie była pora na krytykowanie ich matki.

- Przekonam go, żeby się tu przeprowadził - oznajmił Jamie.

Zesztywniałam na myśl o tym, że będę patrzeć, jak Andy na naszych oczach stanie się podobny do Marcusa. Nie miałam stuprocentowej pewności, że Marcus wie, iż Andy jest jego synem, ale czy mógłby się nie domyślić? Czy ktoś mógłby spojrzeć na tych dwóch i nie zrozumieć, co ich łączy?

- Myślisz, że się zgodzi? - spytałam. - Czy to dla niego dobrze? Rozumiesz, to tutaj się tak upijał.

- Nie wiem. Wyspa może mu przypominać złe czasy, ale to oczywiste, że się bardzo zmienił. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek taki był. Co tam, spytać nie zaszkodzi. Nie byłoby świetnie, gdyby dzieci miały tu wujka?

- Byłoby - mruknęłam. Bo faktycznie. I byłoby świetnie, gdyby Jamie odzyskał brata.

Jamie porozmawiał z Marcusem przy kolacji. Siedzieliśmy na tarasie, jedząc rybę, sałatkę z makaronem i pączki, a słońce zaczynało zachodzić za dach domu. Za parę tygodni komary miały zacząć tak ciąć, że nie sposób byłoby jeść na zewnątrz, ale ten czerwcowy wieczór należał do tych magicznych, ciepłych, lecz nie upalnych. Morze - spokojne, bładobłękitne i nieprzejrzyste - kołysało się jak półpłynna galareta. Jak mógłby się temu oprzeć? - pomyślałam.

Marcus pociągnął długi łyk mrożonej herbaty, jakby się zastanawiał.

- No, nie wiem - powiedział, odstawiając szklanekę. - Tęsknię za wyspą. Mam ją we krwi, no nie? - Spojrzał na brata. - Kocham góry, ale to nie to samo, co życie nad wodą, i świetnie byłoby was codziennie widywać. - Uśmiechnął się do Maggie i Andy'ego, który rozdłubywał rybę palcami. - Bardzo kusząca propozycja.

- Więc co cię powstrzymuje? - spytał Jamie. - W remizie w Hampstead zwolniło się miejsce.

- Przeprowadź się! Przeprowadź się! - Maggie zaczęła podskakiwać na ławie. Położyłam jej rękę na ramieniu.

- Przesadzasz, skarbie. - Uśmiechnęłam się na widok jej entuzjazmu.

- Pomyślę o tym - obiecał jej Marcus.

Tego wieczoru Jamie przygotowywał dzieci do snu, a ja sprzątnęłam kuchnię. Marcus zaczął wycierać blaty gąbką. Mieszkał u nas od pięciu dni, ale dopiero teraz znalazłam się z nim sam na sam.

- Co myślisz o moim powrocie? - spytał cicho.

306

307

Nie oderwałam wzroku od mydlin w zlewie.

- Jamie bardzo chce, żebyś tu był. A dzieci za tobą szaleją.

- Ale co ty sądzisz? Zgadzasz się na to? - Zniżył głos.

- Możesz to zaakceptować?

- Chciałabym, żebyś znowu należał do naszej rodziny - powiedziałam, jakbym nigdy nie czuła do niego nic oprócz przyjaźni.

- To dla mnie ważne, żebyś czuła się przy mnie swobodnie.

Wolałabym, żeby się już nie odzywał. Bałam się, że powie coś o Andym. Spojrzałam na niego, jakbym nie wiedziała, co go tak martwi. Jakbym sama się nie martwiła.

- Będzie dobrze - zapewniłam.

- Nie jestem dumny z...

Położyłam mu palec na ustach i natychmiast cofnęłam rękę.

- Niech przeszłość zostanie przeszłością - szepnęłam.

- Proszę.

Patrzył na mnie przez chwilę - na tyle długo, że się odwróciłam.

- Dobrze - powiedział. - Nie musisz się martwić.

Marcus stał się naszym stałym gościem. Wprowadził się do najbardziej nieprawdopodobnego lokum, jakie odziedziczyli po ojcu: jednej z wież Operacji Trzmiel. Przebudował ten dwupiętrowy budynek w imponującym tempie i pomalował go na morski kolor z białymi szlakami wokół okien.

W straży pożarnej go szanowano; uwielbiał pracować ramię w ramię z Jamiem. Ja też go szanowałam. Pamiętałam, jak trudno było mi wytrzeźwieć w klinice. A on osiągnął to wyłącznie z pomocą klubu AA. To robiło wrażenie.

Natomiast ja czułam się tak, jakbym jednocześnie jadła ciastko i je miała. Kochałam męża, ale kochałam też

przebywać w towarzystwie jego brata, bo stało się jasne, że Marcus rzeczywiście nie zamierza wracać do przeszłości. Uwielbiałam jego charakter i poczucie humoru, a te inne uczucia, jakie do niego żywiłam, zaksięgowałam schludnie w rubryce „szwagier”.

Andy poszedł do przedszkola, a ja zaczęłam pracować na część etatu w gabinecie dermatologa. Resztę energii poświęciłam projektom związanym z FASD - stworzeniu strony internetowej, pisaniu biuletynów i czasem przemawianiu na medycznych lub edukacyjnych konferencjach. Maggie i Andy uwielbiali moje wyjazdy, bo wtedy do domu przychodził Marcus i razem z Jamiem zabierali ich do kina, bawili się z nimi i karmili je pizzą i innym niezdrowym jedzeniem, surowo przeze mnie zakazanym.

Jakiś rok po przeprowadzce na Topsail Island Marcus czekał na mnie na lotnisku w Wilmingtonie, kiedy wróciłam z wyjazdowej konferencji.

- Gdzie Jamie? - spytałam zaskoczona.

- Chciał dłużej pospać, więc zgłosiłem się na ochotnika.

- Wziął moją walizkę na kółkach i pchnął ją przed sobą, ruszając do wyjścia.

- Fajny był weekend? - spytałam.

- Świetny. - Szliśmy przez parking do jego pick-upu.

- Ale wczoraj zdezerterowałem i kupiłem nową łódź.

- Co? - Prychnęłam śmiechem, wsiadając. Opuściłam szybę, by wpuścić wilgotne czerwcowe powietrze. Przyleciałam z Nowego Jorku. W Wilmingtonie było z dziesięć stopni więcej. - A co się stało ze starą?

- Była stara.

Wyjechaliśmy z parkingu. Marcus opowiedział mi film, który wczoraj oglądali, i ile razy pozwolił Andy'emu wygrać w chińczyka.

- Maggie jest słodka - dodał, oglądając się, by zmienić pas. - Pozwala Andy'emu wygrać za każdym razem.

- Wiem - powiedziałam. - Martwię się o nią.

308

309

- Nie powinnaś.

- Myślę, że odziedziczyła po Jamiem... wiesz... empatię.

- Ach... - Zrozumiał. - Oby nie.

Przez jakiś czas zastanawiałam się nad tym, co powiedział - że wolałby, żeby Maggie nie miała zdolności Jamie-go do nadmiernej empatii - a potem zorientowałam się, że Marcus też zamilkł.

- Myślisz o łodzi? - zagadnęłam. - Nadałeś jej nazwę? Oblizał wargi i mocniej chwycił kierownicę.

- Muszę cię o coś spytać - powiedział, jakby nie usłyszał mojego pytania.

O nie. Czy to dlatego chciał mnie odebrać z lotniska? A już się przestałam denerwować tym, kto jest ojcem Andy'ego; Marcus nie wydawał się tym przejmować. Ale w końcu miał zadać to pytanie, więc spięłam się i czekałam.

Jabłko Adama drgnęło mu pod opaloną skórą szyi.

- Myślałem, że kiedy się tu przeprowadzę, będzie w porządku.

- Co będzie w porządku? - spytałam ostrożnie.

- Myślałem, że panuję nad uczuciami. Tego się nie spodziewałam.

- O czym ty...

- Przestań. - Zerknął na mnie. - Nic nie mów. Daj mi minutę, dobrze?

- Nie. Chcę...

- Im częściej cię spotykam, tym silniejsze stają się moje uczucia. To nie ma nic wspólnego z przeszłością, rozumiesz? Ani z tymi chorymi ludźmi, którymi byliśmy. Już wyzdrowieliśmy. To się dzieje tu i teraz. Podziwiam cię, Laurel. Za to, jak sobie radzisz z Andym. Za to, jak się zajęłaś sprawą FASD, i...

- Marcus, proszę cię, przestań. To znaczy... dziękuję. Za komplement. Ja też ciebie podziwiam. Oboje zmieniliśmy tor naszego życia. Nie róbmy teraz czegoś, co znowu je spięrzy.

310

- Kocham cię.

- Proszę, nie mów tak. - Wyrzłałam przez okno, nie chcąc widzieć tego, co się malowało na jego twarzy.

- Walczyłem z tym przez cały rok - powiedział - i mam już dość. Muszę wiedzieć, czy mam szansę. Tylko o to pytam. Powiedz, że nie, a zamknę się i nigdy więcej o tym nie wspomnę. Ale muszę wiedzieć, czy kiedykolwiek weźmiesz pod uwagę... - Pokręcił głową. - Nie mówię o romansie. Nigdy więcej. Mówię o nas razem, otwarcie. O twoim rozwodzie. - Choć nie odwracałam spojrzenia od drogi, czułam na sobie jego wzrok. - Kocham mojego brata - dodał - i boli mnie, że chcę go skrzywdzić, ale nie wiem, jak mam dłużej ukrywać swoje uczucia do ciebie. Każda kobieta, z którą się umawiałem... Żałowałem, że to nie ty.

- Marcus, proszę się, przestań! - rzuciłam, odwracając się do niego. - Nigdy nie rozwiodę się z Jamiem. Tyle ze mną przeszedł... I...

- Mówisz, że coś do mnie czujesz? - przerwał. - Że gdyby nie Jamie...

- Kocham cię, bo jesteś bratem mojego męża.

- Nie wierzę.

- Dlaczego?

- Czasami widzę, jak na mnie patrzysz. To aż takie oczywiste?

- Kocham Jamiego - oznajmiłam twardo. - Mamy dzieci. Proszę, uszanuj to. Nie chcę... - Westchnęłam bezradnie. - Ten rok z tobą był taki radosny. Nie psuj tego.

Milczał przez chwilę.

- Masz rację - powiedział w końcu. - Zupelną rację. Przepraszam. Musiałem spytać.

- Teraz wiesz.

- Teraz wiem.

Cisza między nami stawała się coraz bardziej krępująca. W końcu ją przerwałam.

- Musisz znaleźć sobie kobietę, która nie ma zobowiązań

311

i która miłością przepędzi z ciebie diabła - oznajmiłam, zastanawiając się, co bym poczuła, gdybym zobaczyła go dotykającego innej kobiety i okazującego jej miłość.

- Masz rację - mruknął ponuro. - Tak zrobię.

Następnego dnia był poniedziałek i Marcus z Jamiem mieli wolne od pracy. Słońce dopiero wychyliło się nad horyzont, zalewając naszą sypialnię różowym blaskiem, gdy zadzwonił telefon. Odebrał go Jamie. Słuchałam jego nieprzytomnych odpowiedzi.

- Tak - oznajmił po paru minutach. - Chętnie. Odłożył słuchawkę.

- To z remizy? - spytałam. Nikt inny nie dzwonił tak wcześnie.

- Nie. To Marcus. - Jamie wstał. - Mam się z nim spotkać nad przystanią i przyrzeć się jego nowej łodzi.

- Teraz? To jedyny dzień, kiedy możesz się wyspać.

- No tak, ale spójrz. - Wskazał wschodzące słońce i zrozumiałam, dlaczego chce się znaleźć na wodzie. Pochylił się, żeby mnie pocałować. - Śpij dalej. Nie obudzę dzieci.

Parę godzin później Marcus zadzwonił do mnie z posterunku policji w Surf City. Płakał i ledwie zdołałam go zrozumieć. Powiedział, że mieli wypadek na łodzi. Wieloryb wyrzucił ją w powietrze, a oni z niej wypadli. Marcus długo szukał Jamiego, ale w końcu musiał zrezygnować.

Odłożyłam słuchawkę, dygocząc. Zrobiło mi się niedobrze. Dzieci na mnie patrzyły, więc starałam się nie okazywać przerażenia. Zadzwoniłam do Sary, prosząc, żeby z nimi została, choć zdenerwowała się niemal tak samo jak ja. Wpadła do domu z sześciolatkiem Keithem i chwyciła mnie w objęcia, płacząc, a trójka dzieci przyglądała nam się z niepokojem, usiłując pojąć, co się dzieje.

312

Popędziłam na posterunek, a kiedy spojrzałam w oczy Marcusa - mężczyzny, który zaledwie wczoraj spytał, czy opuściłabym dla niego męża - zrozumiałam, że dobrze go znam. Na tyle dobrze, by wiedzieć, że historia, którą opowiedział, jest nieprawdziwa.

Przesłuchanie zostało wyznaczone na środę, za dwa krótkie dni, zbyt wcześnie, jak na mój gust. Wiedziałam, że dosłownie oznacza koniec wolności Andy'ego, „zważywszy poważny charakter zarzutów”. Prawnik wydawał się coraz pewniejszy, że Andy zostanie przekazany sądowi dla dorosłych, i coraz bardziej tracił przekonanie, że uda mi się uzyskać rozsądną kaucję. To oznaczało, że mój syn miał zostać w więzieniu do procesu, który mógł się odbyć za parę miesięcy, jeśli nie lat. Groziło mu dożywocie bez prawa do zwolnienia warunkowego.

- Ale nie dostanie kary śmierci - zapewnił mnie Shartell - więc o to może się pani nie martwić.

A to palant! Musiałam się martwić tylko o moje chore na FASD dziecko, które spędzi życie w więzieniu. Powinnam zmienić prawnika natychmiast, gdy zaczęłam mieć co do niego wątpliwości.

Przyszło mi do głowy, że FASD to dobry powód, by pozostawić Andy'ego w sądzie dla nieletnich, i znowu spróbowałam wyjaśnić Dennisowi, na czym polega to schorzenie, ale czułam się tak, jakbym mówiła do Andy'ego. Jego umysł się wyłączył, kiedy zaczynałam o tym mówić.

-To bardzo słaby argument - powiedział. - Niegdyś skutkował jako linia obrony, nie lernz każdy twierdzi, że jego

matka piła w ciąży. IQ Andy'ego jest w normie, chłopak nie ma choroby psychicznej i potrafi odróżnić dobro od zła. Na tym skupi się sędzia.

- Po czyjej stronie pan właściwie stoi? - Zaczęłam tracić do niego cierpliwość. Podczas każdej rozmowy z nim ogarniała mnie panika. - W ogóle mnie pan nie słucha! Przede wszystkim nie mówię o linii obrony. Tłumaczę, dlaczego nie powinien być traktowany jak dorosły. Może wygląda jak nastolatek i ma normalne IQ - w dolnej granicy - ale rozumuje jak dziecko. Jestem ekspertem od FASD. Przemawiałam wiele razy o...

- Jest pani jego matką - przerwał mi. - Pani fachowa wiedza się nie liczy.

Parę lat temu obudziłam się w nocy i zobaczyłam Jamie-go siedzącego na łóżku. Pewnie mi się przyśnił - jak wiele razy - ale wydawał się bardzo realny. Siedział w dżinsach i niebieskim podkoszulku, z tatuażem wyraźnym jak w życiu. Nie przestraszyłam się. Ucieszyłam się, że go widzę. Przemówił do mnie, choć nie poruszał ustami. Powiedział: Jesteś wojowniczką, Laurie. Jesteś mistrzynią.

Od tego czasu często myślałam o tym śnie-nie śnie. Zawsze gdy stawałam przed wyzwaniem, przypominałam sobie te słowa. Słowa, których nie powiedział do mnie za życia, choć potrafiłam sobie wyobrazić, że to robi. Życie dostarczyło mi nadprogramową liczbę wyzwań, to pewne. Ale teraz stałam przed największym z nich i zamierałam walczyć ze wszystkich sił, żeby uchronić Andy'ego przed więzieniem.

Skoro moja wiedza fachowa się nie liczyła, postanowiłam znaleźć eksperta, którego sąd wysłucha. Działałam jak w transie. Musiałam znaleźć kogoś doświadczonego w zeznawaniu przed sądem w imieniu osób z FASD. Zaczęłam szukać w Internecie. Poprzez ogólnokrajową sieć rodziców dzieci z FASD znalazłam nazwisko neurologa

i i-l

315

w Raleigh. Zadzwoiłam do niego i umówiłam się na następny dzień. Zasugerował, że na razie powinnam przyjść sama i tylko przynieść ze sobą historię choroby Andy'ego. Jeśli dojdzie do procesu, on dostarczy mi argumentów, które zapobiegną przekazaniu Andy'ego sądowi dla dorosłych, a ja mam je przekazać Shartellowi. Odłożyłam słuchawkę i rozplakałam się z ulgi. Lekarz był dobrej myśli, a jego optymizm dał mi nadzieję.

Uzgodniłam z matką chłopca z drużyny pływackiej, że Andy spędzi u niej następny dzień. Ben przekonał mnie, że Andy powinien zostać w zespole, a ja ceniłam jego gotowość do stawienia czoła skutkom swojej decyzji. Andy nie rozumiał, dlaczego nie idzie do szkoły; gdybym w dodatku odebrała mu ukochaną drużynę pływacką, jeszcze bardziej by się pogubił.

Tego wieczoru ułożyłam go do snu i opowiedziałam, co się wydarzy następnego dnia.

- Muszę jutro wyjechać z miasta, więc...

- Żeby mówić o alkoholowych płodach?

- Nie. - Uśmiechnęłam się. - Nie tym razem. Pojadę na jeden dzień do Raleigh. Ty zostaniesz u Tylera z jego mamą i...

- Tyler też będzie?

- Tyler będzie w szkole, więc weź ze sobą książki i...

- Mogę zabrać iPoda?

- Tak, ale chcę, żebyś poczytał i odrobił te zadania z matematyki, o których rozmawialiśmy. Dobrze? Zaznaczyłam je w podręczniku. I powiem mamie Tylera, więc cię dopilnuje.

- Dostanę obiad?

- Mama Tylera ci zrobi. A po szkole zabierze ciebie i Tylera na trening. Maggie odwiezie cię do domu.

- Tyler nie pływa dobrze. -Nie?

- Choć Men wszystko dobrze tłumaczy.

- O tak - powiedziałam. - Ben wszystko dobrze tłumaczy.

- Ben powiedział, że jeśli będę ciężko pracować, stanę się najlepszym pływakiem.

- Już jesteś.

- Nie, mamó. Nie najlepszym w Piratach. Najlepszym na świecie. Mistrzem.

Przesunęłam dłonią po jego kędzierzawych włosach.

- Cudowne aspiracje. Andy ziewnął.

- Co to są aspiracje? - Potarł ręką oczy. Mój śpioszek.

- Cele. No wiesz, takie jak na naszej liście celów?

- Aha. - Zamknął oczy.

- Kocham cię.

- Mmm... - Już oddychał miarowo, z lekkim uśmiechem na ustach.

Przyglądałam mu się przez chwilę, walcząc ze łzami. Potem pochyliłam się i szepnęłam mu do ucha:

- Jesteś wojownikiem, skarbie. Już jesteś mistrzem.

Łódź jest za mała na taki burzliwy dzień na morzu. Uświadamiam to sobie w chwili, gdy wypływamy na otwartą wodę. Mija nas wielki żółty jacht rozmiaru i kształtu szkolnego autobusu. Wzburzona

przez niego fala unosi nas, a potem spadamy w dół, woda nas zalewa. Przez chwilę ogarnia mnie strach, ale kiedy Jamie wybuchą śmiechem i zdejmują mokry podkoszulek, odprężam się i śmieję razem z nim. Dodaję gazu, a warkot mojej łodzi staje się głośniejszy, gdy śmigamy przez wodę.

- Patrz! - Jamie robi wielkie oczy, wskazując na wschód. Odwracam się i widzę stado czarnych jak węgiel wielorybów, płynących rzędem i jednocześnie wyrzucających strumień wody. Jak na rysunku w dziecięcej książeczce.

- Bóg z nami płynie! - mówi Jamie.

Budzę się, konwulsyjnie łapiąc oddech, jak zawsze, choć udało mi się wyrwać ze snu, zanim zacznę się najgorsze. Serce łomotało mi w piersi. Ten sen prześladował mnie od prawie dziesięciu lat. Wstałem z łóżka, żeby się otrząsnąć. Czy będzie mi się śnić do końca życia? Wątpiłem, żeby moje serce to wytrzymało.

W łazience ochlapałem twarz wodą. Gdybym od razu wrócił do łóżka, sen zmieniłby się w koszmar. Nie zamierzałem do tego dopuścić.

318

Włączyłem komputer i zacząłem stawiać pasjansa, ale w głowie mi się kręciło. Karty zlewały mi się w oczach. Zacisnąłem powieki.

Ode mnie zależało, jak skończy się tamten dzień. Mogłem zaproponować, żeby nie wypływać na otwarte morze. Albo popłynąć po południu zamiast rano. Mogłem kupić tę łódź tydzień wcześniej albo tydzień później. Nie po raz pierwszy doprowadzałem się do szaleństwa rozważaniami, co by było, gdyby.

Na dzień przed wypadkiem odebrałem Laurel z lotniska i zadałem jej pytanie, które od miesięcy mi towarzyszyło: czy jest dla nas szansa? Odpowiedziała mi i postanowiłem żyć z tą świadomością. Musiałem. Odwoziłem ją do Morskiego Strażnika, ale Jamie wyszedł, zanim zdążyłem się oddalić.

- Cześć. - Wsiadł do samochodu. Włosy miał mokre po prysznicu albo pływaniu. - Masz dziś czas na spotkanie? Tylko ze mną.

Dziwna prośba, ale wtedy nie zwróciłem na to uwagi. Myślałem tylko o tym, że akurat teraz nie mam ochoty z nim przebywać. Nie po tej rozmowie z Laurel.

- Może jutro? - spytałem. - Masz dzień wolny, nie?

- Dobrze. Zadzwoń rano.

- Może pomożesz mi ochrzcić nową łódź - zaproponowałem.

- Jak chcesz. - Obejrzał się na dom i wysiadł.

Następnego dnia zadzwoniłem o świcie, spodziewając się, że Jamie się wykręci z powodu wczesnej pory. W dni wolne lubił spać do późna. Ale on zachowywał się tak, jakby nie mógł się doczekać, żeby ze mną wypłynąć. Powinno mnie to zaniepokoić.

Spotkaliśmy się w dokach i wyczułem, że coś się święci. Wymuszony uśmiech. Ręce w kieszeniach. Jamie pytał mnie o łódź, ale czułem, że nie słucha odpowiedzi. Za wcześnie, pomyślałem. Jeszcze się nie obudził.

319

Wskoczyłem na łódź z termosem kawy i paroma styropianowymi kubkami. On poszedł za mną.

- Chciałem coś małego i zwrotnego, ale na tyle dużego, żebyśmy się wszyscy zmieścili - oznajmiłem. Już sobie wyobrażałem Laurel z dziećmi na łodzi, podczas gdy Jamie jest w pracy. Świetny ze mnie brat.

Usiadłem w miękkim fotelu za sterem.

- Kawy? - Podałem mu termos.

Jamie usiadł na siedzeniu pasażera. Pokręcił głową, nadal z tym sztucznym uśmiechem.

- W porządku? - spytałem. Wzruszył ramionami.

- Jestem trochę zajęty - przyznał. - No, to pokaż mi, co potrafi - dodał, wskazując łódź.

- Wypływamy na morze? - spytałem, odbijając. - Już wypróbowałem łódź w zatoce i na drodze wodnej. Chciałem się przekonać, jak sobie radzi na pełnym morzu.

- Jasne. - Poprawił ciemne okulary. - Znalazłeś już nazwę?

Zastanawiałem się, czy nie nazwać jej „Laurel”. Serio. Aż tak mi odbiło.

- Może „Maggie”?

- Super. Maggie będzie zachwycona.

Po chwili płynęliśmy już przez zatokę. Poczułem dreszcz, jak zawsze, kiedy otwierało się przede mną morze. Tak rozległe, że - przysięgam - widziałem krzywiznę Ziemi. Nie wiem, jak wytrzymałem w tych górach.

Kiedy wypływaliśmy z zatoki, nie wiadomo skąd pojawił się ogromny statek. Wyłonił się zupełnie nagle. Minął nas z ogłuszającym rykiem syreny. Ścisnąłem mocno ster, wpływając na wzburzoną wodę.

- Jasna cholera! - mruknąłem, kiedy uniosła nas pierwsza fala.

- Trzymaj się! - krzyknął Jamie. Jakbym sam nie wiedział.

.320

Wspięliśmy się na falę i spadliśmy w przepaść za nią. Zanim zdołaliśmy ochłonąć, przed nami wyrosła następna. Ściana wody spadła na nas, strąciła mi okulary z nosa i niemal nas zatopiła. Przywarłem do steru. Jamie wrzasnął radośnie, jakby ujeżdżał byka.

Dwie kolejne fale i wreszcie najgorsze mieliśmy za sobą. Odwróciłem się i zobaczyłem Jamiego, który ze śmiechem zdejmował przesiąknięty wodą podkoszulek. Zdjął okulary i rozejrzał się, szukając chyba czegoś do ich wytarcia.

- Nic nie widzę - powiedział.

- No co ty - prychnąłem, już zdolny do śmiechu. - Zgubiłem okulary, cholera.

Jamie oparł okulary na czubku głowy. Wyjął podkoszulek za burtą.

- Nieźle się spisała.

- Przez chwilę sądziłem, że ją stracę. Wyłynęliśmy na morze. Dodałem gazu. Po chwili Jamie wytarł okulary mokrym podkoszulkiem i znowu zasłonił nimi oczy. Potem wskazał na południe.

- To humbak? - Musiał krzyknąć, żebym go usłyszał przez ryk silnika.

- Gdzie? - Tafla wody była spokojna.

- Zanurkował.

- Niemożliwe! - odkrzyknąłem. - To nie sezon.

- Masz rację. Ale tak wyglądał. Śmigaliśmy, jakbyśmy unosili się w powietrzu.

- Nieźle zasuwają, co? - zawołałem.

- Jest wspaniała!

Była genialna. Frunęliśmy.

- Znowu! - wskazał Jamie. - Prawie na nim siedzimy.

Tym razem go zobaczyłem. Nie sposób go było nie dostrzec. Wyłonił się na południe od nas, trzydziesto- lub czterdziestotonowa góra, która po chwili zanurzyła się pod wodę.

-Ja cię... - Zwolniłem; rozejrzeliśmy się za nim. - Nie

321

do wiary. Przecież to czerwiec! - Widywaliście tu humbaki w grudniu lub styczniu, gdy zmierzały na południe, i na wiosnę, gdy wracały na północ. Ale pod koniec czerwca?

Rozległ się szum wyrzucanej wody; odwróciłem się i ujrzałem fontannę w powietrzu niespełna dwadzieścia metrów od nas. Potem wielki ogon uniósł się w powietrze niczym potężny ptak z rozłożonymi skrzydłami. Plasnął o wodę i zniknął. Rozpędziłem łódź, aż prawie unosiliśmy się w powietrzu.

- Myślisz, że jest sam? - spytał Jamie zdławionym głosem.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziałem. - Powinniśmy zabrać aparat. Nikt nam w to nie uwierzy.

Humbak nagle znowu się wynurzył, górując tuż przed nami.

- To ten sam? - spytał Jamie.

- Nie wiem, ale - cholera - duży jest!

I zbyt blisko jak na mój gust. Już widywałem z bliska humbaki z pokładu łodzi rybackiej. Mógłbym podrapać je po grzbietach. Ale ten był inny. Przy nim wyglądaliśmy jak krasnoludki. W jego brzuchu Jonasz mógłby sobie urządzić dom.

- Czy ktoś mógłby to zobaczyć i nie poczuć obecności Boga? - spytał Jamie.

Nie odpowiedziałem. Znalazłem swoją siłę wyższą przez AA, ale ja i Jamie mieliśmy różnych bogów.

Humbak znowu zanurkował. Czekaliśmy jeszcze trochę, rozglądając się na wszystkie strony. Przepadł.

Chciałem ruszyć.

- Czekaj - odezwał się Jamie. - Posiedźmy jeszcze trochę.

- Chyba już odpłynął.

- Wiem. Chciałem z tobą pogadać.

Ręce mi opadły. Cholera. Laurel powiedziała mu o naszej rozmowie?

322

- Chętnie bym się teraz napił kawy - dodał. Podałem mu termos i kubek. Patrzyłem, jak nalewa. Ręka mu się trzęsła. Mnie też, po tym bliskim spotkaniu z Moby Dickiem.

Pociągnął łyk kawy i westchnął.

- Cholera. Trudno to powiedzieć. Wytarłem spocone ręce o szorty.

- Co się dzieje?

- Podjąłem trudną decyzję. - Ciemne okulary zasłaniały mu oczy, ale czułem, że patrzy prosto na mnie.

- Jestem egoistą. Prawdziwym egoistą. I będę potrzebować twojej pomocy, bracie.

Odetchnąłem. To nie mogło dotyczyć Laurel i mnie.

- Co tylko zechcesz.

Jamie spojrzał w miejsce, w którym przed chwilą widzieliśmy humbaka.

- Poproszę Laurel o rozwód - powiedział.

Mięśnie wokół mojego serca zacisnęły się tak konwulsyjnie, że potarłem pierś.

- O czym ty mówisz?

- Wiem, że to szok. Pewnie myślisz, że zwariowałem. Mam najlepsze na świecie małżeństwo i chcę je rozwalić.

-Dokładnie. Jesteś... Nie znam nikogo, komu zależy na rodzinie bardziej niż tobie.

Jamie sięgnął pod okulary kciukiem i palcem wskazującym. Może wycierał łzy, nie wiem.

- Kocham ją, ale jak przyjaciółkę. Od dawna. To się zaczęło, kiedy była na odwyku. Wiem, jestem niesprawiedliwy. To, co się stało, nie wynikało z jej winy, i miałem nadzieję, że dawne uczucie powróci, ale... - Pokręcił głową.

- Jak możesz jej nie kochać? - Naprawdę oszalał. Chciał ją zostawić? I czy to nie to, czego pragnąłem niespełna dwadzieścia cztery godziny temu? Nie. Nie to. Chciałem, żeby Laurel poprosiła o rozwód jego. Chciałem, żeby była tą, która odchodzi, nie tą, która zostanie zraniona.

323

- Nie wiem, jak jej to powiedzieć - wyznał Jamie. - Nie chcę jej zranić bardziej, niż muszę.

- Czy to pytanie? - warknąłem. - Bo jeśli tak, to odpowiedź brzmi: nie oszukuj się, to ją zabije.

Miałem ochotę opowiedzieć mu, że Laurel mnie odtrąciła z powodu lojalności wobec niego. Chciałem, żeby mu w piętę poszło.

- Wiem - powiedział Jamie. -I przepraszam, że cię tym obarczam. Chciałem, żebyś to usłyszał ode mnie, bo oni będą cię potrzebować. Tak bardzo troszczysz się o nią i dzieci. Przez jakiś czas oprą się na tobie.

Nad naszymi głowami przeleciało parę mew. Przyglądałem się, jak jedna muska powierzchnię wody i wzbija się w powietrze z rybką w dziobie, jakby bez wysiłku.

- Nie do wiary - odezwałem się w końcu. - Powiesz jej i co? Wyprowadzisz się? Pojedziesz do Kalifornii, żeby zacząć nowe życie, czy jak?

- Wkurzyłeś się.

- Nie, tylko nie rozumiem.

- Wcale ci się nie dziwię. - Jamie znowu westchnął. Tętnica pulsowała mu pod wilgotną skórą szyi. - Dobra, powiem ci całą prawdę. Zakochałem się w innej.

Chciałem zobaczyć jego oczy za tymi ciemnymi szklami.

- Zdradzałeś Laurel?

- To brzydkie słowo. Parsknąłem śmiechem.

- Znasz ładniejsze?

- Nie chodzi o to.

- To powiedz, o co. - Założyłem ręce na piersi. Nagle stałem się tym szlachetniejszym z dwóch sukinsynów na mojej łodzi.

- Powinienem ci powiedzieć już dawno.

Nie chciałem, żeby zamilkł. Musiałem znać wszystkie szczegóły.

324

- To chyba normalne, że się wściekłem - powiedziałem.

- Nie jesteś już Jamiem. Stałeś się kimś innym.

- To Sara.

Te słowa rozbrzmiewały mi przez chwilę w głowie, zanim pojąłem, co znaczą.

- A to pięknie - warknąłem. - Wybrałeś sobie najlepszą przyjaciółkę żony.

- To... nie tak to wyglądało. - Wziął mokry podkoszulek z dna łodzi i wytarł nim czoło. - Mieszkałem z Sarą i Steve'em, kiedy Maggie była mała, pamiętasz? Wtedy się w niej zakochałem. Zaiskrzyło. Laurel była w strasznym stanie, a Sara... w jej małżeństwie źle się działo i Steve często wyjeżdżał. Potrzebowaliśmy się nawzajem.

- To było dawno temu. I ciągniesz to przez tyle lat?

- Nie. W każdym razie nie fizycznie. Kiedy Laurel zaszła w ciążę, a ja wróciłem do Morskiego Strażnika, związek z Sarą się skończył, przynajmniej dla mnie. Ale powiedzieć to jedno, a poczuć - drugie. - Potarł brodę. - Sara była cudowna - powiedział z mimowolnym uśmiechem. Miałem ochotę zetrzeć mu go z twarzy. - Zawsze mówiła, że to, co się wydarzy, zależy ode mnie. Przez ostatnie miesiące uświadomiłem sobie, że żyję w kłamstwie. Udawałem, że kocham Laurel, mówiłem jej słowa miłości, której nie czułem. Nie wolno nikogo okłamywać..

- Ty sukinsynu, odejdiesz od własnych dzieci?

- Nigdy bym tego nie zrobił - rzucił szybko Jamie. - Dlatego tu zostaniemy. Na wyspie albo na stałym lądzie. Myślimy o Hampstead. W ten sposób nadal będę uczestniczył w życiu Andy'ego i Maggie i oszczędzę Laurel przypadkowych spotkań w spożywczaku. Zawsze będę na nich łożył

- dodał. - Na Laurel też.

Naprawdę miałem ochotę go uderzyć. W dzieciństwie usiłowałem się z nim bić, ale zawsze wygrywał. Był silniejszy i starszy. Ale teraz pomagał mi gniew. Dziś mógłbym zwyciężyć.

325

- Marcus - odezwał się Jamie tym spokojnym, cichym głosem, którym przemawiał w niedzielne ranki w kaplicy

- Spójrz na mnie.

Spojrzałem. Zaciskałem wargi tak mocno, że aż bolały.

- Mam jeszcze jedno dziecko, o które muszę dbać - powiedział. - Przy którym muszę być.

- Co ty opo... - Przed oczami stanął mi Keith. Sześciolatek. Ładne dziecko. Duże brązowe oczy. Ciemne kędzierzawe włosy. Powoli pokręciłem głową.

- Keith - powiedział Jamie, jakbym sam się nie domyślił.

- Dawałem Sarze pieniądze, odkąd się urodził. Zasluguje na więcej niż kilkaset dolców co miesiąc.

- Mam wrażenie, że wcale cię nie znam - odezwałem się, patrząc na tego obcego w mojej łodzi. - Prosiłeś Sarę, żeby pomagała Laurel. Prawie zmusiłeś je, żeby się ze sobą zaprzyjaźniły. Twoja żona i... kochanka. Ile razy miałeś żonę i kochankę tego samego dnia, w tym samym domu?

- Zamknij się.

Zaczął się denerwować, i to mi się podobało. Nie znosiłem jego opanowania. Jego samokontroli.

-I twój bękart - dodałem. - Spodziewasz się, że będzie się bawił z Maggie i Andym? Jak wielka szczęśliwa rodzina? Oczywiście, oprócz Laurel?

- Spójrz na siebie. - Jamie zgniótł w dłoni pusty kubek i wyrzucił go za burtę. - Różniłeś moją żonę.

Chyba pokręciłem głową, bo pochylił się ku mnie.

-Nie próbuj się wypierać! Myślisz, że urodziłem się wczoraj? Różniłeś ją i rozpiłeś. Andy jest, jaki jest, przez ciebie.

Rzuciłem się na niego. Uderzyłem go pięścią w szczękę. Głowa odskoczyła mu na bok, ale szybko się otrząsnął, chwycił mnie za ramiona i przewrócił na dno łodzi. Stawiałem mu opór z siłą, której się po sobie nie spodziewałem. Ugiąłem nogi, oparłem boscie stopy na jego piersi

i odrzuciłem go na drugą stronę łodzi. Ze stęknieniem wylądował na fotelu.

Kręciło mi się w głowie. Niebo nade mną wirowało. Podniosłem się na kolana. Miałem wrażenie, że unoszę się w powietrzu. Jamie ruszył do mnie, ale po chwili on też to poczuł. Kołysanie.

- Co jest, do... - Rozłożył ręce, żeby zachować równowagę.

Rozejrzałem się, szukając tej łodzi, która mogła spowodować tę dziwną falę. Potem zobaczyłem - ogromny ogon za burtą. Zanim zdążyłem się chwycić siedzenia, wyrzuciło mnie w powietrze.

Jamie krzyknął, wypadając z łodzi. Runął głową w dół; usłyszałem głucho łupnięcie jego głowy o dziób. Potem znalazłem się pod wodą, nie wiedząc, gdzie góra, a gdzie dół, niepewny, czy ciemny cień w górze to łódź, czy hubak.

Dotarłem na powierzchnię wody. Zacerpnąłem wielki łyk powietrza. Stłona woda szczypała mnie w oczy. Znalazłem się o parę metrów od łodzi; gniew na Jamiego spożytkowałem na walkę o przeżycie. Dopłynąłem do łodzi, chwyciłem się krótkiej drabinki na rufie i rozejrzałem się za moim bratem.

- Jamie! - krzyknąłem, nasłuchując jego głosu. Odpowiedział mi tylko wrzask mew. Wszedłem na łódź, żeby lepiej widzieć. - Jamie! - wołałem raz po raz. Nieustannie słyszałem to łupnięcie o dziób.

Zanurkowałem i zacząłem szukać Jamiego w mroku pod wodą. Pływałem aż do omdlenia mięśni, a potem zostałem w wodzie, gwałtownie szlochając i krztusząc się każdym haustem wilgotnego powietrza.

Wpełzłem do łodzi i rozejrzałem się dokoła. Jamie nie mógł zginąć. To niemożliwe. Spodziewałem się, że lata chwila wyłoni się z wody, roześmiany. Że to nauczka za to, że wdałem się z nim w bójkę. Nie mogłem odpłynąć. To by znaczyło, że dałem za wygraną.

326

327

- Jamie! - krzychałem, aż w końcu z moich ust wydostawał się tylko chrapliwy szept. Chciałem odzyskać brata.

Nawet gdy wracałem na brzeg, płacząc bez skrępowania, sądziłem, że Jamie powita mnie na przystani. Powie, że zasłużyłem na ten okrutny kawał, i zwymyśla mnie za to, że jestem takim hipokrytą.

Ale oczywiście go tam nie było, a prawdziwy koszmar zaczął się, kiedy opowiedziałem na policji, co się stało: humbak uniósł łódź i wyrzucił nas z niej. W czerwcu, kiedy wszystkie powinny przebywać gdzieś na północ od Nowej Anglii! Idiotyzm. Czasami sam się zastanawiałem, czy nie wyobraziłem sobie tego wielkiego ogona. Nikomu nie powiedziałem o naszej bójce ani rozmowie, ale na ramieniu miałem zadrapania, a na karku siniaki. Czy to dziwne, że oblałem test na wariografie, na który się zgodziłem jak idiota?

Ludzie, którzy od lat znali naszą rodzinę, przypomnieli sobie o dawnej rywalizacji między mną i Jamie. Chcieli wiedzieć, czy pokłóciliśmy się na łodzi. Przypomnieli sobie o moim picciu. Czy piłem? Ale ostatecznie nie znaleźli obciążających dowodów i musieli mnie wypuścić. Strażacy, którzy kochali mnie i podziwiali niemal tak jak Jamiego, stanęli po mojej stronie, ale Laurel nie uwierzyła w ani jedno moje słowo. A tylko na niej mi zależało.

- Odważna jesteś, że odwiedzasz Keitha - oznajmiła Amber. Siedziała rozwalona w moim samochodzie, opierając boscie stopy o deskę rozdzielczą. Ostrzegłam ją, że jeśli będziemy mieć wypadek i otworzą się poduszki powietrzne, połamią jej nogi, a od impetu uderzenia sama sobie rozwali kolanami nos, ale powiedziała, że przesadzam. Na pewno za bardzo się zamartwiałam. Nie mogłam na to nic poradzić. Po pożarze zrozumiałam, jak szybko sytuacja może się obrócić na niekorzyść. Myślisz, że panujesz nad swoim życiem, aż tu bach! Pobudka.

- Dlaczego? - spytałam.

- Słyszałam, że oddziały oparzeniowe są ohydne. - Amber zawsze była nerwowa. Kiedy zaniósłamy laurki od dzieci z podstawówki do New Hanover Hospital, została w lobby, podczas gdy ja poszłam do pokoi pacjentów. Większość znalazła się tam z powodu zatrucia dymem i pomniejszych oparzeń, więc nie wyglądali tak strasznie. Uznałam, że zanieśenie im tych kartek to mój obowiązek. Byłam w stu procentach zdrowa. Przynajmniej tyle mogłam zrobić. Dziś zwolnili mnie ze szkoły, bo mój doradca powiedział, że wizyta u Keitha liczy się jako „działalność społeczna”, tak jak planowanie dobroczynnej imprezy. Zaharowywałam się przy niej na śmierć, ale w życiu nie porozmawiałabym

znowu o niej z Dawn. Po fakcie wyślę jej czek na okrągłą sumkę, ale gadać z nią już nigdy nie będę.

- Mam wyrzuty sumienia, że nie poszłam wcześniej - powiedziałam do Amber. - Noszę te kartki dla niego od tygodnia.

Amber miała kilka rozmów na wydziale handlowym Uniwersytetu Karoliny Północnej w Chapel Hill, gdzie miała studiować od jesieni. Powiedziałam, że ją tam zawiozę, a rodzice mieli ją odebrać pod koniec tygodnia. Chciałam się spotkać z Keithem, nie tylko żeby dać mu kartki. Keith upierał się, że widział Andy'ego chodzącego po dworze tuż po pożarze. To nie miało sensu. Chciałam się dowiedzieć, co dokładnie powiedział policji, żeby się zorientować, jak zrozumieć tę pełną dziur historię. Mama znalazła najgorszego prawnika na świecie, więc wyciągnięcie Andy'ego z tych kłopotów spadło na mnie. Kiedy ja pojechałam do Chapel Hill, mama wybrała się do Raleigh na rozmowę z neurologiem, specjalizującym się w FASD. Wstępne przesłuchanie miało się odbyć jutro i choć mama twierdziła, że wszystko będzie dobrze, widziałam, jak się denerwuje.

- Rodzice Trávisa dostali zawału, kiedy się dowiedzieli, że pojedę do Karoliny - oznajmiła Amber ze śmiechem. Rodzice Trávisa uważali, że ich związek za szybko stał się poważny.

- Nie mają na to wpływu - zauważyłam. - Travis jest dorosły.

- No właśnie.

Nie ciekawiła mnie niekończąca się saga o Amber i Travisie, ale utknęłam w samochodzie na dwie i pół godziny i musiałam wysłuchać z ust tej dziewczyny, która kiedyś była moją najlepszą przyjaciółką, każdego głupiego szczegółu ich związku. A sama nie mogłam nawet pisać o Benie. Amber nigdy by nie zrozumiała. Pewnie napisałaby o tym na Face-booku. Nie miała pojęcia, co znaczą prawdziwe problemy.

Boże, jak ja jej zazdrościłam, że mogła się pokazywać z Travisem publicznie, nikogo się nie bojąc. To straszna niesprawiedliwość. Tęskniłam za Benem! Rozmawialiśmy przez telefon, ale chciałam z nim być. Zaplanowaliśmy, że spotkamy się w piątek na plaży na północnym krańcu wyspy, gdzie stały ruiny kaplicy taty. Miałam nadzieję, że nie będzie padać, ale nawet gdyby, nic by mnie nie zniechęciło. Na myśl, że znowu z nim będę, serce biło mi szybciej.

Amber założyła ręce na piersi obleczonej w bluzę z logo uniwersytetu.

- Dobrze, że będę dziś na łądzie - oznajmiła.

- Dlaczego?

- Obudź się! - Strzepnęła jakiś pyłek z różowego paznokietka. - Dziś w nocy nadciągnie sztorm. Dotrze w głąb wybrzeża. W kampusie pewnie też go odczujemy, ale nie tak, jak wy na wyspie.

Czy to dlatego wydawało się tak mroczno? Zdjęłam ciemne okulary i przekonałam się, że chmury wyglądają jak kopce popiołu. Może przez ten sztorm nie odbędzie się jutrzejsze przesłuchanie. Gdyby się rozszalał, mogliby zamknąć budynek sądu. Może trzeba będzie odłożyć przesłuchanie i zdążymy znaleźć lepszego prawnika.

Podwiozłam Amber na kampus uniwersytetu, a potem przez czterdzieści pięć minut szukałam szpitala i parkingu centrum oparzeń. Zapomniałam o niebieskiej torbie z laurkami i przypomniałam sobie o niej dopiero przed windą. Wróciłam do samochodu; już zaczynało się ściemniać. Nie chciałam wracać podczas sztormu, piękne dzięki. Będę się musiała pośpieszyć.

Znalazłam centrum oparzeń. Przy wielkim biurku siedziało kilka pielęgniarek. Spytałam, jak trafić do pokoju Keitha.

Jedna z nich - pulchna blondynka, mniej więcej w wieku mamy - podniosła głowę znad klawiatury komputera.

- To nie godziny odwiedzin, słonko - powiedziała. Wzdrygnęłam się na słowo „słonko”. Za bardzo przypominało mi Dawn.

- Sprawdziłam w Internecie i godziny odwiedzin są od szóstej do dziesiątej.

- Centrum oparzeń ma inne - wyjaśniła, ale wstała. - Powiedziałaś, że kogo chcesz zobaczyć? Keitha Westona?

Skinęłam głową.

- Przyjechałam aż z Topsail Island.

- Kochane dziecko. No trudno, idź. Jego mama dziś nie przyszła i chłopak pewnie chce się rozerwać. - Wskazała korytarz. - Drugie drzwi po prawej.

Stałam przed salą Keitha, nagle tak przestraszona, że nie mogłam wejść. Widziałam go na łóżku przy drzwiach, wpatzonego w zawieszony pod sufitem telewizor. Wydało mi się, że po obu stronach jego ciała zwisają białe wałki; dopiero po chwili zrozumiałam, że to owinięte bandażami ręce. To przez pożar. To tylko maleńka część jego skutków. Nogi się przede mną ugięły; oparłam się o framugę. Amber się myliła. Nie byłam odważna. Chciałam uciec.

Ale musiałam to zrobić. Opanowałam rozdygotane nogi i weszłam.

- Cześć, Keith - powiedziałam. Znałam go przez całe życie. Na jednym zdjęciu, z czasów, kiedy miałam trzy lata, trzymam go na kolanach. Długo sądziłam, że na zdjęciu jest Andy, aż mama wyjaśniła mi, że Andy zamieszkał z nami, dopiero kiedy skończył rok. Miałam jedenaście lat, gdy opowiedziała mi o swoim piciu w ciąży i że to właśnie przez to Andy jest taki. Tak się na nią rozgniewałam, że chciałam ją uderzyć. Chwyliła mnie za rękę i, jak to mama, powiedziała, że rozumiem mój gniew, że sama też gniewała się na siebie za to, co zrobiła, ale próbowała sobie wybaczyć i ma nadzieję, że ja też to zrobię. Do dziś nie jestem pewna, czy mi się udało.

Keith odwrócił do mnie twarz. Bandaż zakrywał mu jedną jej stronę. Omal się nie rozplakałam. Wydawał się trochę zdezorientowany, jakby nie wiedział, kogo widzi.

- Jestem Maggie. - Podeszłam do niego.

- Wiem, kim jesteś. Co tu robisz? Odwiedzasz ubogich? Co? O co mu chodziło? Pokazałam mu niebieską torbę.

- Dzieci z podstawówki zrobiły ci parę laurów i obrazków.

Oczywiście, nie wyciągnął dłoni po torbę. Spojrzałam na jego ręce i zauważyłam cienkie metalowe pręty, wystające spomiędzy bandaży na lewej. Zrobiło mi się niedobrze. Obok jego łóżka stało krzesło, na którym usiadłam.

- Chcesz, żebym ci przeczytała parę? - spytałam.

- Chcesz uspokoić sumienie? Bogata dziewczyna odwiedza biednego chłopca?

Wkurzył mnie. O co mu chodziło? Na zabawie nazwał Andy'ego bogaczem, a teraz przyczepił się do mnie.

- Co ty gadasz? - spytałam. - Dlaczego nagle zacząłeś mówić, że Andy i ja jesteśmy bogaci?

- Bo jesteście, może nie? Zwłaszcza w porównaniu ze mną i mamą. Bogaci i fartowni.

Doszłam do wniosku, że chodzi o to, iż Andy wyszedł z pożaru z niewielkimi obrażeniami, a on leżał tu, owinięty w bandażu.

- Wiem, że mieliśmy fart - przyznałam. Zerknęłam na ekran z mapą pogody i znowu spojrzałam na Keitha. - Co mówiłeś policjantom o Andym?

Albo kaszlnął, albo się roześmiał. Nie byłam pewna. Potem przez całą minutę odzyskiwał oddech.

- A, to o to chodzi - powiedział w końcu. - Nie przyszłaś odwiedzić biednego Keitha. Dać biednemu Keithowi jakieś gówniane kartki. Przyszłaś go przekonać, że twój bezcenny, chory braciszek jest niewinny.

- Nieprawda. Chcę tylko wiedzieć, co, twoim zdaniem, widziałeś.

332

333

- Mam dla ciebie newsa, Maggie. To nie tylko twój brat.

-Co?

- Jest także moim bratem.

Może odleciał na lekach przeciwbólowych.

- Naprawdę widziałeś go przed kościołem?

- Nie słyszałaś? - Wydawało mi się, że chce usiąść, ale nie miał siły. Nie wiedziałam, czy powinnam mu pomóc.

- Andy jest moim bratem - powiedział. - A ty moją siostrą.

Wstałam.

- Poproszę pielęgniarkę.

- Dlaczego? Myślisz, że zwariowałem? Że bredzę?

- Nie wiem, o co ci...

- Twój ojciec przeleciał moją matkę. -Co?

- Słyszałaś. Przeleciał moją matkę i dziewięć miesięcy później przyszedłem na świat. To znaczy, że jestem twoim przyrodnim bratem. Krewnym, który mieszka w przyczepie i je chińskie zupki, podczas gdy ty i Andy obżeracie się stekami.

- Nie wierzę.

- Spytaj wujka. On wie wszystko. Cofnęłam się o krok. Nogi znowu mi się ugięły

- Bzdury. Mój ojciec nigdy by nie zrobił czegoś takiego. Znowu zachrypiał tym ni to kaszlem, ni śmiechem.

- Wychodzi na to, że nie za dobrze go znasz, co nie, siostrzo?

- Znam go lepiej niż ktokolwiek! - Zobaczyłam siebie jako małą dziewczynkę, siedzącą obok taty na tarasie i głaszczącą tatuaż na jego ramieniu. - Chcesz mnie wkurzyć.

- Nie wyglądasz na wkurzoną. Wyglądasz, jakby ktoś cię kopnął w brzuch. Co jest? Nie chcesz drugiego brata?

Zagapiłam się na niego i nagle poczułam się tak, jakbym patrzyła w lustro. Ciemne kędzierzawe włosy, ogromne

334

brązowe oczy, grube, czarne rzęsy. Pokój wydłużył się jak korytarz, jego ciemne ściany zaczęły na mnie napierać. Cofnęłam się o kolejny krok, namacałam framugę drzwi.

- Spytaj wujka - powtórzył Keith. - On ci opowie ze wszystkimi soczystymi, obleśnymi szczegółami.

Odwrociłam się i wybiegłam, niemal potykając się o własne zdrętwiałe nogi, ale jego głos biegł za mną aż do windy:

- E, siostra! Następnym razem przynieś mi trochę pieniędzy!

Wcisnęłam łokciem guzik windy, obiema rękami zatykając uszy.

Prując sto dwadzieścia na godzinę w deszczu, wcisnęłam klawisz szybkiego wybierania na komórce.

- To ty, Mags? - usłyszałam głos wujka Marcusa.

- Muszę z tobą porozmawiać. - W tle usłyszałam trzask krótkofalówki. - Jesteś w remizie?

- Tak. A ty w szkole?

- Wracam z Chapel Hill. - Musiałam zwolnić, bo samochód przede mną się strasznie włókł. - Rozmawiałam z Keithem.

Milczenie.

- Boże! - jęknęłam. - Nie mów, że to prawda!

- Słuchaj, Maggie. Uspokój się. Blisko jesteś? Kiedy możemy się spotkać?

- Zostały mi jeszcze ze dwie godziny! Musisz mi powiedzieć teraz!

- Aha. Nie przez telefon. Prawie druga. Zadzwoń, kiedy będziesz dojeżdżać, a ja spróbuję się wyrwać, dobrze?

- Czy Keith jest moim przyrodnim bratem?

- Maggie. Nie zamierzam o tym teraz rozmawiać. Włącz radio, CD czy co tam masz, i staraj się o tym nie myśleć. Czy tam, gdzie jesteś, pada?

Wycieraczki pracowały. -Tak.

336

- Skup się na jeździe, kochanie, dobrze? Kocham cię. Zadzwoń, kiedy będziesz dojeżdżać.

Rzuciłam telefon na siedzenie obok i zaczęłam krzyczeć. Krzyczałam, aż ochrypłam.

Ten żółw przede mną jeszcze bardziej zwolnił. Musiałam go wyminąć, bo wiedziałam, że nerwy mnie poniosą. Spojrzałam w lusterko. Nic za mną nie jechało. Ale ledwie zaczęłam zjeżdżać w lewo, ryknął klakson i zobaczyłam w lusterku czarnego saaba. A ten skąd się wziął? Przycisnęłam hamulec i zwolniłam do żółwiego tempa. Adrenalina tętniła mi w żyłach, pulsowała w opuszkach palców. Muszę bardziej uważać. Mogłam zginąć, a jeśli zginę, to kto pomoże mojemu bratu?

Znowu wzięłam komórkę i usiłowałam się dodzwonić do Bena, żeby mu powiedzieć o tej sprawie z Keithem, ale przekierowało mnie na jego pocztę głosową.

- Tu Ben Trippett. Jeśli chodziło ci o mnie, zostaw wiadomość.

Nie wiedziałam, jak to sformułować, żeby go nie zmartwić. Brzmienie jego głosu sprawiło mi przyjemność. Połączyłam się jeszcze kilka razy tylko po to, żeby go posłuchać. Nie chciałam powtarzać słów Keitha, nie wiedząc, czy są prawdziwe, ale czułam, że coś w nich jest, skoro wujek Marcus tak przycichł.

Minęłam żółwia, kiedy się upewniłam, że to bezpieczne. Włączyłam radio, tak jak radził wujek. Tu, daleko od Surf City, nie mogłam złapać mojej ulubionej stacji, więc wrzuciłam funkcję skanowania i przez godzinę słuchałam muzyki country i programów biblijnych. Nawet nie zauważałam, że automat zatrzymuje się na stacjach tylko na dziesięć sekund.

- Tatusiu - szepnęłam do jedynej znanej mi idealnej osoby. - Proszę, niech to nie będzie prawda.

Wujek Marcus powiedział, że spotkamy się w Sears Landing. Przyjechałam pierwsza i usiadłam w odległym

337

kącie restauracji. Chciałam się znaleźć jak najdalej drzwi i kuchni, bo wiedziałam, że się popłaczę. Patrzyłam przez okno na deszcz siekący zatokę. Krople padały ukośnie; wiatr już się rozpędzał. Ciężkie, sine chmury niemal dotykały wody.

Wujek Marcus przyszedł przemoczony. Wyglądał, jakby się postarzał. Pewnie przez mój telefon. Nie miałam siły wstać i go uścisnąć, więc pochylił się i pocałował mnie w policzek.

- Jak tam?

- Genialnie - mruknęłam sarkastycznie.

- No tak. - Usiadł obok mnie. - Wyobrażam sobie. No to powiedz, co ci nagadał Keith.

- Że jest moim przyrodnim bratem. Moim i Andy'ego. Powiedział, że tata i Sara... wiesz. - Nie mogłam, po prostu nie mogłam o tym myśleć. - Wydawało mi się, że chciał mnie wkurzyć. Jest zły, że się poparzył. Nawet go rozumiem.

Wujek Marcus zaczął się bawić stojącą na stoliku sol-niczką. Przesuwał ją po blacie czubkami palców. Siliłam się na cierpliwość, ale grał mi na nerwach. A potem przy naszym stole stanęła kelnerka, Georgia Ann, która skończyła moją szkołę parę lat wcześniej.

- Cześć, Marcus, cześć, Maggie - powiedziała, otwierając notes. - Szykujesz się na koniec roku?

- Pewnie. - Wiedziałam, że nie powinniśmy tu przychodzić, ale za bardzo padało, żeby się spotkać na plaży, a wujek nie chciał rozmawiać w remizie.

- Ja proszę hot doga, smażone krążki cebuli i herbatę z lodem - rzucił wujek. Nie rozumiałam, jak mógł myśleć o jedzeniu. - A ty, Maggie?

- Nie jestem głodna.

- Dla niej herbata.

- Jasne - powiedziała Georgia Ann. Odetchnęłam, kiedy sobie poszła.

Wujek Marcus znowu zabrał się do solniczki.

- Postanowiłem powiedzieć ci wszystko, bo jeśli zacznę coś opuszczać... - Odchylił się i spojrzał w sufit.

- Rzecz w tym, że twoja matka powinna to usłyszeć pierwsza.

- Ona nie wie?! Pokręcił głową.

- I zamierzałem zaczekać przynajmniej do jutrzejszego przesłuchania, bo dość ma na głowie. Jest w Raleigh?

Skinęłam głową.

- Może już wraca.

- A gdzie Andy?

- Jego drużyna ma dziś specjalny trening i ktoś go tam podwiózł. Ja go odbiorę. - Zaczęłam się denerwować. - Nie możesz mi kazać czekać, aż powiesz mamie.

- Słusznie. Wiem. - Wujek jeszcze parę razy pchnął sol-niczkę. - Cóż... to prawda - powiedział wprost. - Tylko ja wiem, co się stało. Nie chciałem, żeby Keith się dowiedział. I na pewno nie chciałem, żebyś ty się dowiedziała.

- Jak to możliwe, że Keith wie, a inni nie? Georgia Ann przyniosła herbatę i słomki.

- Jedzenie będzie za minutkę - dodała. Wujek odczekał, aż odejdzie.

- Keith nie wie wszystkiego. - Rozerwał opakowanie słomki i wrzucił ją do szklanki. Ja swojej nie tknęłam. - Wiesz, jak zginął twój tata, prawda?

- Humbak.

- Tak. I wiem, że pewnie dotarły do ciebie stare plotki, że miałem z tym coś wspólnego.

Pokręciłam głową. Nie wierzyłam w to.

- Niektórzy tak uważali.

- To dlatego wielbny Bill tak przy tobie świruje?

- Częściowo. I nie lubił Jamiego, który pojmował religię inaczej niż on.

- Nie rozumiem, dlaczego ktoś mógłby sądzić, że miałeś coś wspólnego ze śmiercią taty.

338

339

Wujek zamieszał napój słomką.

- Przede wszystkim to nie był sezon na humbaki. A Jamie i ja nie zawsze się dogadywaliśmy, więc niektórzy sądzili, że... że go zabiłem.

- Idiotyizm.

- Masz rację. Idiotyizm. Ale pokłóciliśmy się na łodzi i o tym nie wie nikt. Ani Keith, ani nikt, z wyjątkiem ciebie i mnie.

Zjawiła się Georgia Ann z hot dogiem i cebulą. Od tego zapachu żołądek mi się skręcił.

- Coś jeszcze? - spytała.

- Dziękujemy - odpowiedział wujek.

- Jak będziecie czegoś chcieli, krzyknijcie, dobra? Wujek Marcus pociągnął łyk herbaty, czekając, aż Georgia Ann odejdzie.

- Na łodzi Jamie powiedział mi, że kocha Sarę i chce się rozwieść z twoją mamą.

- No nie!

- Przykro mi, Mags. Tak było. Powiedział mi też, że jest ojcem Keitha. - Wujek ugryzł krążek cebuli z odchodzącą panierką. Siliłam się na cierpliwość.

- Nigdy nikomu nie powiedziałem o tej rozmowie, bo sądziłem, że ta tajemnica umrze razem z Jamiem - wyjaśnił wujek, przełknąwszy. - Jamie dawał Sarze pieniądze na dziecko, a oczywiście po jego śmierci to się skończyło. Żałowałem, że mi to powiedział, no, ale stało się, ale skoro wiedziałem, nie mogłem siedzieć bezczynnie. Keith miał wtedy tylko... sześć lat. Nie mogłem znieść, że będzie dorastać bez grosza przy duszy, skoro wiedziałem, że to syn Jamiego i mój bratanek. Więc z własnych pieniędzy założyłem dla niego fundusz powierniczy. Czterdzieści tysięcy dolarów.

- Zalewasz?

- Napisałem list do Sary i dałem go jej razem z czekiem. Brzmiał jakoś tak: „To na studia Keitha. Wiem, że Jamie

340

Cię kochał i chciał zapewnić przyszłość Tobie i dziecku". Chciałem jej dać do zrozumienia, że wiem. Że rozumiem, iż ona także opłakuje Jamiego, ale nie wolno jej tego okazać. Było mi Sary żal.

- A mamy nie?

- Mamy też. Ale rzecz w tym, że nie poznała prawdy. Dla niej Jamie zmarł jako kochający mąż. Tymczasem Sara musiała udawać, że straciła tylko przyjaciela.

- Jak możesz jej tak współczuć? - prawie krzyknęłam.

- To najlepsza przyjaciółka mamy, a... - Nie potrafiłam tego nawet powiedzieć.

- Wiem, że to trudno zrozumieć. Ja też początkowo byłem zły. Tak zły, że aż pobitem się z twoim ojcem. Ale ludzie popełniają błędy. I ich uczucia z czasem się zmieniają.

Pomyślałam o Benie. Wyobraziłam sobie, że mogłabym przestać czuć do niego to, co teraz. Wykluczone.

Wyjęłam słomkę z opakowania, żeby mieć się czym bawić. Zgniotłam papier w kuleczkę, potem ją spłaszczyłam.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego Keith nagle zaczął o tym mówić.

- Sara zatrzymała mój list - wyjaśnił wujek Marcus.

- Trzymała go gdzieś z wydrukami z konta i Keith na niego trafił. Znalazł go rano przed zabawą w kościele, i to wyjaśnia, dlaczego potraktował Andy'ego tak niegrzecznie.

- Kiedy go odwiedziłam w szpitalu, też mi wytknął, że jestem bogata.

- Bo jesteś. Żyjesz z ładnego spadku po Jamiem, a pieniądze z jego polisy na życie przez lata zapewniały wam utrzymanie. Sara i Keith mieli bardzo niewiele, i choć poważnie się wkurzyłem na twojego ojca za to, co zrobił, nie mogłem pozwolić, żeby zostali z niczym.

Wyjrzałam przez okno na zatokę. Deszcz ustał - przynajmniej na razie.

- Zawsze sądziłam, że tata był ideałem - powiedziałam.

341

- Nie rozumiem, jak mógł zrobić coś takiego. Zdradzić mamę i rodzinę.

- Wiesz, Mags, pod wieloma względami był wspaniałym człowiekiem. Bardzo dobrym ojcem. Stawiał sobie wysokie wymagania. Prawie nigdy nie słyszałem, żeby przeklinał - tak na serio, jak dorośli. Został z twoją mamą, kiedy była w ciąży z Andym, choć zrobiła się dość nieprzyjemna. Ja też - dodał szybko. - Oboje piliśmy. Mieszkałem wtedy w sąsiedztwie i razem piliśmy. Bardzo sobie nawzajem szkodziliśmy.

Skinęłam głową. Wiedziałam, że wujek Marcus był niepijącym alkoholikiem, tak jak mama, choć nie przyjmowałam do wiadomości, że mogliby się razem upijać. Nie umiałam sobie wyobrazić, że któreś z nich w ogóle mogłoby pić. A już razem? Nigdy w życiu. Mama zawsze traktowała wujka tak chłodno. Ale nagle wszystko zaczęło mi się zgadzać.

- Czy mama myślała... czy przypuszczała, że mogłeś zabić tatę? - szepnęłam.

Skinął głową.

- Bo, widzisz... - zawahał się. - Bardzo lubiłem twoją mamę, a ona o tym wiedziała. Sądziła, że właśnie dlatego mogłem chcieć... pozbyć się twojego ojca.

- Przecież to obłąd!

- Masz rację. - Ugryzł kawałek hot doga i popił herbatą.

- A morał z tego taki, że wszyscy jesteśmy omylni. Wszyscy co najmniej raz w życiu popełniamy błąd.

Niektórzy częściej niż inni, pomyślałam.

- Wiesz o depresji mamy? - spytał wujek.

- Tylko tyle, że poprawiała sobie humor alkoholem.

- Tak. Po twoim przyjściu na świat mama miała depresję poporodową. Jej hormony oszalały, co się czasem zdarza. No więc myśleliśmy, że macierzyństwo ją przygnębia, i tak dalej. Twój tata próbował jej pomóc, ale nie chciała chodzić na terapię ani nic i poprosiła... postanowili się na jakiś czas rozejść.

- Tak? Nic o tym nie wiem.

- Tata przeprowadził się do Sary i jej ówczesnego męża Steve'a. Steve często wyjeżdżał z wojskiem i podejrzewam, że twój tata i Sara... pocieszali się nawzajem.

- Yyyy... - Wzdrygnęłam się.

- Mags. - Przykrył dłonią moją leżącą na stole rękę.

- Proszę cię, skarbie. Zachowaj się jak dorosła.

Przewróciłam oczami.

- Przepraszam. Spróbuję. Gdzie byłam, kiedy mieszkał z Sarą?

- Z nim. Twoja mama nie potrafiła zadbać o samą siebie. Sara pomagała mu przy tobie. Początkowo byłem na niego o to zły, ale teraz sądzę, że potrzebowali się nawzajem.

- Ale chciał nas zostawić. Andy'ego i mnie. - Po policzku spłynęła mi łza. Nawet nie zauważyłam, że płaczę.

- Nie, chciał być przy wszystkich swoich dzieciach.

- Znowu dotknął mojej ręki. - Byłaś jego kochaną córeczką. Najbliższą mu osobą. Uwielbiał cię. Przez pierwsze trzy lata twojego życia był ci matką i ojcem.

To wiele wyjaśniało.

- Nadal czuję się z nim związana - przyznałam. - Często o nim myślę. Tak dobrze go pamiętam z dzieciństwa, a mamy wcale. Jakby jej nie było.

- Bo właściwie nie było, ale nie miej jej tego za złe, dobrze? Kiedy wytrzeźwiała, stała się dla was bardzo dobrą matką. Nic ci z tego nie przyjdzie, że będziesz obwiniać ją, Sarę czy tatę. To już przeszłość i wszyscy starają się o niej zapomnieć.

- Skoro Keith powiedział mi, to mógł powiedzieć także mamie. - To by ją zdruzgotało. Ja uważałam ojca za ideał, ale mama go wręcz ubóstwiała. - Mówiłeś, że mama nic nie wie.

- Tak. Zamierzam jej powiedzieć, ale jeszcze nie teraz. Jutro jest przesłuchanie, więc zatrzymaj to dla siebie.

- A jeśli Keith do niej zadzwoni?

342

343

- Na razie nie poradzi sobie z telefonem.

No tak, grubo obandażowane ręce Keitha, metalowe pręty, wystające mu z palców.

Nagle rozdzwonił się pager i wujek poderwał się w ułamku chwili, owijając hot doga w serwetkę.

- Muszę lecieć, skarbie - powiedział, rzucając na stół dziesięciodolarowy banknot. - Poradzisz sobie?

Skinęłam głową i odprowadziłam go wzrokiem do wyjścia. Potem wstałam. Nie chciałam znowu rozmawiać z Georgią Ann.

Kiedy znalazłam się na dworze, poczułam na biodrze wibrowanie komórki. SMS od Bena.

Pokłóciłem się z D. Szaleje. 3maj się, KC, B.

Kiedy wyjechałam z Raleigh, deszcz lał już strumieniami. Czekala mnie przykra jazda. Minęła czwarta, a ja właśnie rzuciłam słuchawką, przerywając rozmowę z prawnikiem. Nie pamiętam, kiedy ostatnio zrobiłam coś takiego, ale wpadłam w furję. Zaczęłam go całkiem na serio nienawidzić, a niedobrze nienawidzić człowieka, od którego zależy los twojego syna. Po pierwsze, odpowiedział na mój telefon dopiero po dwóch godzinach, choć wiedział, że staram się znaleźć kogoś, kto pomoże nam jutro na przesłuchaniu. Po drugie, choć powiedziałam mu o moim trwającym niemal dwie godziny spotkaniu z neurologiem w Raleigh, nadal uważał, że nie warto z nim porozmawiać.

- Mówiłem pani, że to zużyta linia obrony. Straciła swoją siłę rażenia.

- Ale w przypadku Andy'ego nie była używana! - krzyknęłam. - Wcale nie zamierza jej pan wykorzystać?

- Kiedy sprawa dotrze do sądu, zeznania neurologa pomogą w udowodnieniu, że Andy nie działał z premedytacją.

- Ale do tego czasu stanie przed sądem dla dorosłych! - Wtedy właśnie się rozłączyłam. Czułam, że za chwilę zacznę płakać, przeklinać, albo to i to. Shartell po prostu nie chwycił. Andy nie przeżyłby pobytu w więzieniu. Tak po prostu.

345

Gdy dwadzieścia minut później zadzwoniła komórka, nadal płakałam. Miałam nadzieję, że to dzwoni Shartell, który przemyślał sprawę, choć wiedziałam, że to niemożliwe. Odebrałam.

- Chwileczkę - rzuciłam szybko w słuchawkę. Położyłam komórkę na kolanach i zjechałam w siekącym deszczu na pobocze. Zatrzymałam samochód i podniosłam komórkę.

- Halo? - Miałam nadzieję, że w moim głosie nie słychać, że płakałam.

- Laurel, tu Dawn. - Jej głos brzmiał dziwnie. Był napięty. Przestraszyłam się, że Keithowi się pogorszyło, a ona dzwoni do mnie w imieniu Sary. Deszcz bębnił o dach samochodu. Podkręciłam dźwięk w telefonie.

- Czy wszystko w porządku? - spytałam.

- Zależy, co rozumiesz przez „w porządku”. Gdzie jesteś? Co to za hałas?

- Deszcz. Wracam z Raleigh. Co się dzieje?

- Dzwonię, bo musisz się dowiedzieć, co kombinuje twoja córka.

- Maggie? - spytałam, jakbym miała ich kilka.

- Ma romans z Benem. Zdradzał mnie z nią.

- Maggie? - powtórzyłam.

- Kręcą ze sobą, odkąd zaczęli prowadzić drużynę.

- Dawn, dlaczego sądzisz...
- Ben mi wszystko powiedział. Podobno chce z nią zerwać, ale jakoś mu się nie śpieszy.
- Maggie nawet nie chodzi na randki. Dawn prychnęła śmiechem.
- Oni nie tylko chodzą ze sobą, Laurel. Zamilkłam. Przypomniałam sobie, jak Maggie pocieszała Bena na pogotowiu.
- Przecież... ile on ma lat?
- Dwadzieścia osiem. Zaledwie jedenaście lat różnicy.
- To wynikało z jego inicjatywy? - Poczułam coś, co rzadko mi się zdarzało pragnienie chronienia mojej córki.

346

Całą swoją opiekuńczość poświęciłam Andy'emu. Dla niej nic nie zostało. Ale to uczucie szybko zastąpiła furia. Jak on śmiał!

- Czy to ważne, kto zaczął? - spytała Dawn. - Na miłość boską, Laurel! Mój chłopak bzyka twoją nastoletnią córkę. Mało tego, pali z nią trawkę!
- Nie wierzę. - Maggie wiedziała - postarałam się, żeby moje dzieci nie miały co do tego wątpliwości - że w naszej rodzinie narkotyki są niedozwolone. Zero tolerancji.
- Więc chowasz głowę w piasek.
- Muszę kończyć, Dawn, przepraszam. - Rozłączyłam się drżącą ręką. Potem zadzwoniłam do Maggie.
- Udało się? - spytała od razu.
- Nie dlatego dzwonię. - Przesunęłam wolną ręką po kierownicy. - Właśnie rozmawiałam z Dawn.

Milczenie Maggie powiedziało mi wszystko.

- Och, Maggie... - Rozczarowanie podeszło mi do gardła. - Więc to prawda?
- Mamo, pozwól, że ci to wytłumaczę. Dawn pewnie nie przedstawiła tego w najlepszym świetle.
- O nie. Oszukiwałaś mnie przez cały rok. „Nie chcę się umawiać na randki, skupię się na nauce”. Jak mogłaś mi kłamać prosto w oczy?
- Bo wiedziałam, że jeśli ci powiem prawdę, nie pozwolisz mi się z nim spotykać.
- No pewnie, że bym nie pozwoliła! On ma dwadzieścia osiem lat, mieszka ze swoją dziewczyną!
- To nie jest jego dziewczyna. I dlaczego jego wiek miałby mieć jakieś znaczenie?
- Bo istnieje ogromna różnica między siedemnastolatką i dwudziestośmiolatkiem!

- Zawsze mówisz, że jestem dojrzała. Nie rozumiem, co w tym takiego szokującego i strasznego. Kocham go. Nigdy nie spotkało mnie nic lepszego niż znajomość z nim.

- Jesteś na to za mądra. Nie rozumiesz, że on cię

347

wykorzystuje? Mieszka z Dawn, a ciebie ma na boku. Jaką przyszłość dla siebie widzisz?

- Dawn jest tylko jego współlokatorką.

- Jej się wydaje, że kimś więcej.

- To się myli!

- Na miłość boską, wszyscy wiedzą, że oni ze sobą chodzą.

- On jej nie kocha. Dawn to tylko nasza przykrywka.

- Maggie! - zawołałam wstrząśnięta. - Jak śmiesz? Jeśli to prawda... Jak możesz kogoś tak wykorzystywać?

- Oni nie są parą!

- Maggie...

- Nie zepsujesz mi tego!

- Czego? Myślisz, że on zostawi dla ciebie Dawn?

- Ile razy mam ci powtarzać, że oni nie żyją ze sobą?

- Jaką przyszłość chcesz z nim mieć?

- Długą! - krzyknęła Maggie.

- Nie liczyłabym na to. Jeśli oszukuje Dawn, ciebie też będzie.

- Ty mnie nie słuchasz! Jeśli Dawn sądzi, że Ben jest jej chłopakiem, to żyje w świecie fantazji!

- Boję się, że to ty w nim żyjesz. Dawn powiedziała, że Ben chce z tobą zerwać.

- Kłamie! Odkładam słuchawkę.

- Nie waż się.

- Porozmawiamy o tym później.

- Nie, teraz! Porozmawiamy teraz, bo chcę, żebyś do niego zadzwoniła i powiedziała mu, że z wami koniec.

Maggie parsknęła śmiechem.

- Po siedemnastu latach obojętności nagle zapragnęłaś brać udział w moim życiu?

-Maggie! - Serce mnie zabolalo. Jest zdenerwowana, pomyslam. Chce mnie zranic. - Niewazne. Sama do niego zadzwonie.

-Nie!

348

- Pewnie mial wiele kochanek - dodalam. - Zdajesz sobie z tego sprawe? Moze ma chorebe weneryczna. Moglas zajsc w ciagle.

- Mamo, troche zaufania. Nie jestem glupia.

- Owszem, wlasnie jestes! - Deszcz bębnil tak glownie, ze musialam zatkać drugie ucho palcem. - Jesteś niewiarygodnie glupia. Jak moglas zaufac męzczyznie, który wdaje się w romans z dwa razy mlodsza od siebie dziewczyna?

- Bo nie jestem jak ty! - warknela Maggie. - Ufam ludziom. A ty nie ufasz nikomu. Nawet wujkowi Marcuso-wi. Skończysz sama, a ja nie chce, zeby to samo spotkalo mnie.

- Bardzo ufam ludziom - odpowiedzialam, dajac się wciagnac w dyskusje. - Bez reszty ufałam twojemu ojcu.

- I wiesz co, mamo? Bardzo glupio zrobilas.

- Maggie! Dlaczego tak mowisz?

- Bo cię zdradzal.

- Absurd. Nie rozmawiamy o mnie.

- Rozmawiamy. Uważasz, że Benowi nie wolno ufac, a o tacie mowisz jak o swietym. A wiesz co? Nie był swiety. Zakochal się w Sarze.

- W Sarze? - Skąd jej to przyszlo do glowy? - Sara bardzo mu pomagala, kiedy bylaś malutka. To ci się przypomniało?

- Keith jest synem taty!

Omal nie parsknelam śmiechem. Absurd.

- Maggie, co ty pleciesz? Przerazasz mnie. - Jeszcze nie slyszalam, zeby mowila z taka zaciekloscia i desperacja. - Poprosze Marcusa, zeby z toba posiedzial.

- Mamo! To wujek mi wszystko powiedzial. Tata przyznal mu się na łodzi tego dnia, kiedy utonal. Chcial cię zostawic dla Sary i Keitha.

W glowie mi się zakrecilo. Niemozliwe.

- Nawet jeśli, to dlaczego Marcus ci to powiedzial?

- Bo Keith wie. To od niego się dowiedzialam.

-Co?!

- Wujek Marcus nie chciał ci mówić. Zgrywasz przy nim królową lodu, bo myślisz, że miał coś wspólnego ze śmiercią taty, a jemu chodziło o to, żebyś się nie dowiedziała. Po śmierci taty ustanowił fundusz dla Keitha. Keith znalazł dokumenty i teraz zna prawdę. Wujek Marcus chciał ci powiedzieć po przesłuchaniu.

Samochód stał się jakby ciaśniejszy. Kurtyny deszczu spływały po szybach niby płynne szkło. Poczułam ukłucie w sercu, jakby wbił się w nie czubek noża.

Maggie chlipnęła.

- Przepraszam, mamó... Nie chciałam ci tego tak powiedzieć. Wiem, że to zły moment, ale mnie sprowokowałaś. Proszę, proszę, pogódź się, że jestem z Benem. Dawn nam zazdrości, to wszystko. On jej nie zdradza. Już dawno powiedział jej, że powinni zostać jedynie przyjaciółmi. Ona się złości, że...

- Maggie - prawie jej nie słuchałam - jadę do domu. To był straszny dzień.

- Dlaczego? Co powiedział neurolog?

- Porozmawiamy o tym za parę godzin, kiedy wrócę. Tutaj bardzo pada i wieje, chcę się przebić przez najgorszą burzę. - Mówiłam wyjątkowo spokojnie - aż się zdziwiłam - choć nóż obracał się w moim sercu i wwierał się w nie coraz głębiej.

- Mamó, powiedz tylko, że rozumiesz... że Ben i ja jesteśmy razem z właściwych powodów. Kocham go.

- Porozmawiamy, kiedy wrócę. I nie zapomnij odebrać Andy'ego z treningu.

- Czy kiedykolwiek zapomniałam? - burknęła i się rozłączyła.

Zamknęłam telefon i oparłam czoło o kierownicę. Myślałam, że Jamie zawsze należał do mnie. Że był solidny, pomocny i kochający. Kiedy wytrzeźwiałam, mieliśmy jeszcze parę dobrych lat. Te wszystkie wyznania miłości.

Czułe chwile z dziećmi. Ze sobą. To przecież były wspaniałe czasy, prawda? Czy tylko je sobie wyobraziłam? Czy mówiąc „kocham cię”, miał na myśli Sarę, nie mnie? Sarę?

Ale dlaczego miałby jej nie pokochać? Była ładna, słodka i dobra. Jej mąż często wyjeżdżał, trzymał się na dystans, a ja całymi latami byłam pijana, zaniedbana i bardzo trudna do kochania.

I Marcus. Czy naprawdę przez wszystkie te lata, kiedy odsunęłam go od siebie, starał się ukrywać przede mną prawdę? Chciałam do niego zadzwonić, oddzielić prawdę od przeinaczeń, których w gniewie mogła się dopuścić Maggie. Ale musiałam wrócić do domu, a nie mogłabym jednocześnie jechać przez tę ulewę i rozmawiać przez telefon. Nie dziś. Nie w tej sprawie.

Przekręciłam kluczyk w stacyjce i wjechałam na szosę.

Andy popędził do mnie przez deszcz, kiedy wysiadłam z samochodu przed centrum sportu.

- Motylkowanie idzie mi coraz lepiej! - zawołał na powitanie.

- Świetnie - powiedziałam, otwierając parasol. - Zaczekaj w samochodzie, dobrze? Muszę porozmawiać z Benem. Za minutkę wrócę.

Wbiegłam do budynku i zesłam na dół na basen. Ben rozmawiał z rodzicami jednego ze swoich podopiecznych. Demonstrował ruch ręki. Był fantastyczny. Boże, niech to nie będzie koniec. Usiadłam na najniższej ławce na trybunach. Zauważył mnie i przeprosił rodziców.

- Dawn powiedziała mojej mamie - odezwałam się, kiedy podszedł.

- Cholera. - Usiadł obok mnie. - Przepraszam. Bałem się, że to zrobi. Twoja matka pewnie dostała szału.

- Tak, to nie wszystko. - Usiłowałam dodzwonić się do wujka, żeby uprzedzić, że zawałam sprawę z mamą, ale nie odbierał. Myślałam o wysłaniu mu SMS-a, ale kiepsko mu szło ich odbieranie. Poza tym bałam się przyznać. Zachowałam się wstrętnie w stosunku do mamy. Miałam wyrzuty sumienia, ale jednocześnie rozkoszowałam się każdą sekundą jej bólu. Miałam tyle samo empatii,

co grzechotnik. - Nie uwierzysz. - Kolejna matka ruszyła w naszą stronę. - Muszę z tobą porozmawiać. Możesz do mnie później zadzwonić?

Wstał i odwrócił się plecami do kobiety, która zatrzymała się o parę kroków od nas.

- Spróbuję.

- Ben... - Wstałam. - Moja mama powiedziała, że, według Dawn, zamierzasz ze mną zerwać.

Pokręcił głową.

- Znasz Dawn. Chce nam tylko narobić kłopotów. Pogadamy później, dobrze?

Wyszłam na dwór. Podmuch wiatru prawie mnie przewrócił. Uniosłam parasol, trzymając go kurczowo, a wiatr usiłował mi go wyrwać z rąk. Do samochodu dotarłam przemoczona.

- Wyglądasz, jakbyś wpadła do basenu - zauważył Andy.

- I tak się czuję. - Zadrżałam, przekręcając kluczyk w stacyjce.

- Przyniosłaś mojego iPoda?

- Zapomniałam. Przepraszam.

- Z tym motylkiem chodzi o to, żeby dobrze oddychać - powiedział, kiedy wyjechałam na ulicę.

- Jak ze wszystkim w pływaniu. - Opryskliwie to zabrzmiało, ale Andy tego jakby nie zauważył.

- Chcę być mistrzem.

- Andy, nie musisz być zawsze we wszystkim najlepszy.

- Muszę.

- Dlaczego?

- Żebym był szczęśliwy. Musiałam się roześmiać.

- Twoje życie jest dość proste, nie? -Tak.

Czy wiedział o jutrzejszym przesłuchaniu? Najwyraźniej go to nie martwiło.

352

353

- Dobrze, że się starasz - pochwaliłam. - Ale dojrzewanie to także nauka, jak przegrywać z godnością.

- Co to znaczy?

- Pamiętasz, że Ben mówi, żeby gratulować zwycięzcy z drużyny przeciwników? - Jak ja lubiłam wypowiadać jego imię.

- Nie znoszę tego.

- To właśnie przegrywanie z godnością.

- Ale lepiej wygrywać, nie?

- Pewnie tak-westchnęłam. Nie mogłam się dłużej skupiać na rozmowie. - Dziś ja robię obiad, bo mama wróci później.

- Och, jak się bałam tego spotkania! - Na co masz ochotę?

- Na pizzę!

- Chyba mamy pizzę w zamrażarce. Przygotuję ją, a ty się przebierz.

Telefon zadzwonił, gdy wsuwałam pizzę do piekarnika. Spojrzałam na ekranik. Wujek Marcus. Pewnie mnie zabije.

- Cześć, Maggie - odezwał się, kiedy odebrałam. - Mama już w domu?

- Nie, a ja zawaliłam sprawę - przyznałam się. - Zadzwoniła, wkurzyłam się na nią o coś i powiedziałam jej.

- Zagryzłam wargę, czekając na reakcję.

- Dlaczego? - spytał, raczej zaskoczony niż zły.

- Bo się czepiała, a potem powiedziała, że tata był jedynym znanym jej godnym zaufania mężczyzną, czy coś w tym stylu, no i jakoś samo się stało. Wiem, że nie powinnam. Nie mogłam się powstrzymać.

Wujek zamilkł. Skrzywiłam się, czekając, aż zaczną krzyżeć.

- Wiesz, jak jej poszło u neurologa? - spytał w końcu.
- Zostawiła mi wiadomość, ale chyba wyłączyła telefon.
- Nie wiem. Powiedziała, że miała straszny dzień.
- Cholera.
- Ale będzie dobrze, prawda? Jutro?
- Nie, jeśli Andy zostanie przekazany sądowi dla dorosłych.

Zbił mnie z tropu.

- Ale... Mama powiedziała, że do tego prawdopodobnie nie dojdzie.
- Powiedziała to dziś?

Usiłowałam sobie przypomnieć dzisiejszą rozmowę.

- Nie. Tego dnia, kiedy Andy wrócił z więzienia. Ja gadałam o tym bez końca, a ona powiedziała, żebym się nie martwiła. Że do tego nie dojdzie.

Wujek znowu zamilkł.

- Dojdzie? - spytałam.
- Mama chciała cię uspokoić - powiedział. - Skoro miała straszny dzień, to albo nie powiodło jej się u neurologa, albo u prawnika. A jeśli tak, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że Andy wyląduje w sądzie dla dorosłych.
- To... - Co to dokładnie znaczyło? - Kiedy będzie rozprawa? Andy będzie na nią czekać w domu, tak?

Andy zszedł po schodach. Odprowadziłam go wzrokiem, kiedy przeszedł do salonu i włączył telewizor.

- Nie, Mags. Słuchaj, twoja mama nie chce cię martwić, ale jest tak: jeśli zostanie przekazany sądowi dla dorosłych, natychmiast go zamkną i...
- Jak to „zamkną”? - szepnęłam, odwracając się plecami do salonu.
- To znaczy, że po jutrzejszym przesłuchaniu zabiorą go znowu do więzienia. I bardzo wątpię, żeby wyznaczyli mu kaucję, więc będzie musiał doczekać w więzieniu do rozprawy. A czasami czeka się na nią ponad rok. Potem, jeśli zostanie uznany za winnego, może wylądować w więzieniu do końca życia.

Zabrakło mi słów. To się nie mogło dziać naprawdę.

- Dlatego twoja mama wychodzi ze skóry, żeby znaleźć odpowiedniego biegłego, dlatego się tak martwiła i dlatego zachowałaś się dziś naprawdę... okrutnie, Maggie. Nie potrzebowała jeszcze i tego.

354

355

- Nie mogę w to uwierzyć.

- W którą część?

- W żadną. - Zajrzałam do salonu. Widziałam głowę siedzącego na sofie Andy'ego. Nie miał pojęcia, że jutro jego świat mógł się całkowicie zmienić. Ja też. - Bardzo przepraszam - powiedziałam do wujka. - Nie miałam pojęcia... wiedziałam, że sytuacja jest poważna, ale nie że aż tak.

- Jest jeszcze gorzej. Dlatego właśnie dzwonię.

- Co może być gorszego?

- Już ci mówię. Pamiętasz te puste kanistry z wysypiska? Na jednym znaleźli odciski palców Andy'ego.

W drodze z Raleigh do domu musiałam zrobić jeszcze jeden postój - tym razem z powodu ulewy. Nie tylko ja zjechałam na pobocze i stanęłam na światłach awaryjnych, ale chyba żaden inny kierowca nie przeżywał takiej rozterki, takiego emocjonalnego bólu, jak ja. Nie udało mi się zdobyć koniecznej pomocy dla mojego syna, a córka okłamywała mnie przez cały rok i okazała się kimś mi nieznanym. Myślałam o tym, ile razy Ben Trippett rozmawiał ze mną o postępach Andy'ego, w duchu pewnie naśmiewając się z mojej naiwności.

A potem ten nóż w sercu, najbardziej przejmujący ból. Mój ukochany Jamie prowadził podwójne życie. Najlepsza przyjaciółka mnie oszukiwała. Dlaczego ludzie zawsze ode mnie odchodzą? Rodzice. Ciotka i wujek. Jamie. A teraz nawet wspomnienie o nim. I Sara! Jak mogła! Nawet Marcus mnie zdradził, choć starał się mnie chronić - akt szlachetności, którego się nie domyślałam, obwiniając go o spowodowanie śmierci Jamiego. Nic nie było takie, jak się wydawało. Jedyną osobą, w którą nie wątpiłam, był Andy, a jutro mieli mi go wyrzucić z ramion za to, że jest zbyt naiwny i bezbronny wobec świata, którego nie potrafił w pełni zrozumieć. Rozpłakałam się. Szlochałam tak gwałtownie, że nawet gdy deszcz ustał

357

i inne samochody ruszyły, ja zostałam na poboczu, usiłując się uspokoić.

Nawałnica rozszalała się w pełni, gdy dotarłam do domu. Niebo pociemniało upiornie jak na tę porę dnia, a po chwili rozległ się głuchy grzmot, który przypominał mi tę chwilę podczas pożaru, kiedy zawalił się dach kościoła. Smukłe drzewa na moim podwórku skłoniły się w stronę, z której dochodził dźwięk. Przesunęłam po nich światłem reflektorów i wtedy uświadomiłam sobie, że to jedyne źródło światła. Prąd w domu musiał wycieknąć.

Ale drzwi garażu się otworzyły, a kiedy wjechałam do środka, nie zauważyłam volkswagena Maggie. Weszłam do domu, jeszcze bardziej zaniepokojona. Coś tu się nie zgadzało.

- Maggie? Andy?

Wiatr załomotał w szyby; przez jego wycie dobiegł mnie pomruk lodówki. To znaczy, że prąd jest. Wcisnęłam włącznik w kuchni, którą zalało światło. Na granitowym blacie leżała nietknięta pizza. Gdzie oni się podziali?

Obeszłam dom, nawołując swoje dzieci. Przeraziłam się, że policja znowu zabrała Andy'ego. Ale dlaczego? I gdzie Maggie?

Usiadłam w salonie na sofie i zadzwoniłam na jej komórkę, ale nie odebrała. Pewnie bała się ze mną rozmawiać po naszej kłótni. Spróbowałam się dodzwonić do Andy'ego, ale, tak jak w przypadku Maggie, przełączyło mnie na pocztę głosową.

-Cześć! Tu Andy... Zostaw... zostaw mi wiadomość po sygnale. - Nagranie tej wiadomości zajęło nam godzinę.

- Andy, tu mama - powiedziałam. - Natychmiast od-dzwoń!

Znowu połączyłam się z numerem Maggie i tym razem zostawiłam wiadomość.

- Gdzie jesteście? Wróciłam do domu i bardzo się martwię!

Potem zadzwoniłam do Marcusa.

- Wiesz, gdzie są Maggie i Andy? - spytałam, kiedy odebrał.

- Rozmawiałem z Maggie jakąś godzinę temu. Była w domu z Andym. Powiedziała, że robią pizzę.

- Właśnie przyjechałam, w domu jest ciemno i pusto, a na blacie leży nietknięta pizza. Nie ma samochodu Maggie. Pogniewała się na mnie. Pokłóciłyśmy się przez telefon. - Przesunęłam dłonią po zielonym oparciu sofy, zastanawiając się, ile mogę wyjawić.

- Więc nie wiesz o kanistrach?

- Jakich kanistrach?

- Tych, które znaleziono na wysypisku. - Zawahał się. - Na co najmniej jednym znajdują się odciski palców Andy'ego.

- Nie! - Poderwałam się. - Nie, niemożliwe! Po prostu niemożliwe. Nie rozumiem, co się dzieje.

- Przyjadę.

- A może policja go zabrała?

- Wątpię. Mają większy problem ze sztormem. Ale dla pewności zadzwonię do nich po drodze.

- Tak, proszę. - Rozłączyłam się. Usiłowałam zaparzyć kawę, ale zapomniałam dosypać kawy do ekspresu i do dzbanka nakapała sama mętna woda. Spróbowałam jeszcze raz, wstrząsana łkaniem. Tym razem pamiętałam o kawie, ale prąd wysiadł, gdy pierwsze ciemne krople zaczęły spadać do dzbanka.

Potyając się w ciemnościach, znalazłam latarnie, których używaliśmy podczas huraganów. Zapaliłam je i porozstawiałam na stołach i kominku w salonie.

Jeśli policja aresztowała Andy'ego, czy Marcus może go jakoś wydobyć z aresztu? A może te odciski palców przesądziły sprawę i to już koniec? Czy Andy trafi dziś do aresztu, a jutro do więzienia i nie zdołam go już stamtąd wyciągnąć?

358

359

Marcus przyjechał o dziewiątej. Trzasnęły drzwiczki furgonetki. Rzuciłam się do drzwi, chcąc z nim jak najszybciej porozmawiać. Wpadł do domu z takim rozpędem, jakby niósł go wicher.

- Cholera! - rzucił, potrącając stolik w korytarzu.

- Prawie przypląnąłem! - Pomógł mi zamknąć szarpane przez wicher drzwi. - Musimy wnieść meble z tarasu do garażu.

Na ogół podczas sztormu nie traciłam przytomności umysłu. Ale dziś ledwie kojarzyłam, o jakich meblach mówi.

- Policja go zabrała? - spytałam.

- Nie. Ale martwię się o jutro. Myślałam, że mamy szansę - do czasu, gdy pojawiły się te kanistry.

- Nie rozumiem! - powtórzyłam po raz setny.

- Najpierw zabezpieczmy meble, a potem zastanówmy się, co robić.

- Nie obchodzą mnie żadne meble! - rzuciłam. - Cały dom może się zawalić, chcę wiedzieć, gdzie moje dzieci!

- Więc tu zostań, ja się tym zajmę.

Oczywiście, miał rację. Podczas zeszłorocznego sztormu czyjś kubek na śmieci wybił mi frontowe okno. Wyszłam na dwór i razem zaciągnęliśmy do garażu fotele i stolik z tarasu. Mój kubek już zniknął, zdmuchnięty nie wiadomo gdzie. Płakałam w wietrznych ciemnościach, pozwoliwszy sobie na to, bo nikt nie mógł mnie usłyszeć. Zdołałam się opanować, zanim wróciliśmy do domu.

- Zastanówmy się - powiedział Marcus, kiedy na nowo zapaliłam zagasłą latarnię. - Jak odciski Andy'ego mogły się znaleźć na kanistrze?

- Ktoś go zrobił. To jedyna możliwość. Może Keith, bo gniewa się, że... - Urwałam, przyciskając ręce do skroni, bo cała rozmowa z Maggie znowu do mnie wróciła.

- Marcus... - Głos mi się załamał. Oparłam się o kamienny

gzyms kominka. - Wiem o wszystkim. Od Maggie. Czy to o Jamiem i Sarze to prawda? Marcus usiadł ciężko na sofie.

- Przykro mi, że dowiedziałaś się w ten sposób. Chciałem poczekać na lepszy moment.

Pokręciłam głową, osuwając się na krzesło. Nie ma czasu na rozpacz, powiedziałam sobie. Na razie muszę się skupić na Andym.

- Powinniśmy ich poszukać - powiedziałam.

- Przez ten deszcz nie widać na dwa kroki.

I znowu miał rację. Roztarłam ramiona, zapatrzona w migoczący płomyk latarni na kominku.

- Jak sądzisz? - spytałam. - Czy Keith mógł zrobić Andy'ego?

- Ale wtedy znowu wraca pytanie, dlaczego dał się uwięzić w płonącym kościele, skoro sam go podpalił.

- Ben! - zawołałam nagle, zrywając się na nogi i chwytając leżący na stoliku bezprzewodowy telefon. - Maggie i Andy mogą być z Benem!

- Z Benem? Dlaczego?

- To kolejna straszna wiadomość. Dawn powiedziała, że Ben i Maggie widują się od niemal roku.

- Widują się? - powtórzy! Marcus z niedowierzaniem.

- To znaczy... intymnie?

- Otóż to. Dlatego Maggie się na mnie wściekła. Rozmawiałam z nią o tym i byłam zdenerwowana. A ona...

- Ben? - Marcus nadal nie mógł uwierzyć. - Widziałem go niedawno z Dawn, gruchali jak dwa gołąbki. Poza tym on ma pod trzydziestkę, jak Boga Kocham!

- Wiem. Zamierzam go udusić.

- Ja pierwszy.

Znowu usiadłam, tylko po to, żeby coś zrobić.

- Masz jego numer? - Wcisnęłam klawisz telefonu, ale nie usłyszałam sygnału. Oczywiście. - Nie ma prądu

- mruknęłam.

360

361

Marcus wyjął komórkę z futerału przy pasku.

- Komórki dziś zawodzą - powiedział, spoglądając na ekranik. - Tylko jedna kreska.

Przyglądałam mu się, kiedy wybierał numer. Przez chwilę słuchał, kręcąc głową.

- Poczta głosowa - wyjaśnił. A do telefonu powiedział: - Ben, tu Marcus. Oddzwon.

Ręce mi opadły.

- To moja wina - wymamrotałam. - Maggie i Ben. Byłam dla niej okropną matką. Nieobecna. Zmusiłam ją, żeby razem ze mną opiekowała się Andym, i nie zwracałam uwagi na jej potrzeby. Jamie ją wychowywał, potem umarł, a ja zostawiłam ją samopas. Uważałam, że sama się sobą zajmie.

- Bardzo dobrze jej szło.

- Jak mogłam się nie domyślić, że spotyka się z Benem? I to od tak dawna?

- Jezu! - Marcus wstał gwałtownie, podszedł do schodów i zawrócił. - Zabiję bydlaka!

- A może są u niego? - spytałam. - U Bena?

- To dom Dawn, więc raczej nie.

Potałam czoło. Zaczęła się migrena, a może miałam ją od dawna i nie zauważyłam.

- Te kanistry... to bez sensu. - Mocniej potarłam skronie. - Ale jeśli Maggie miała drugie życie, to może Andy też. - Nie umiałam tego inaczej wytłumaczyć. - Myślę o matkach tych uczniów, którzy zastrzelili swoich kolegów w szkole. Na pewno nie podejrzewały, że ich dzieci są do tego zdolne. Marcus, ja wiedziałam, że na jego butach jest jakaś substancja - wyznałam. - Miałam nadzieję, że to płyn z zapalniczki. Pamiętasz, na lotnisku schował ją do skarpetki. Poświęciłam Andy'emu tyle czasu i uwagi, a jednak zawałam sprawę. Czy naprawdę ukrywał przede mną jakąś stronę swojego charakteru? - Miałam wrażenie, że oszukują mnie wszyscy, których znam.

- Nie zaczynaj w niego wątpić, dobrze? - Marcus przestał krążyć. - Właśnie ty nie możesz sobie na to pozwolić.

- Ale jak to wytłumaczyć? - Rozłożyłam ręce bezradnie. - Musiał się poczuć silny i wspaniały. Uwielbiał być bohaterem. A jeśli...

- Jak możesz tak myśleć?

Spojrzałam na niego - człowieka, któremu nie ufałam od piętnastu lat.

- Mogę - powiedziałam - bo dziś przekonałam się, że wcale nie znam ludzi, których kocham.

.162

Los musiał sobie wybrać akurat tę noc, żeby rozpętać sztorm. Zaparkowałam w bocznej uliczce na północnym krańcu wyspy. Deszcz bębnił o dach mojego samochodu jak spadające gwoździe. W domach było ciemno; pewnie wiadomość o sztormie dotarła do ludzi, którzy postanowili trzymać się z dala od plaży. Mnie to akurat odpowiadało. Im ciemniej i odludniej, tym lepiej.

- Gdzie jesteśmy? - spytał Andy, kiedy nie zrobiłam żadnego ruchu, żeby wysiąść.

- W pobliżu Morskiego Strażnika. No, wiesz. Przejeżdżaliśmy koło niego parę razy.

- Ten okrągły dom, gdzie mieszkałam, kiedy byłem dzieckiem?

- Tak, kiedy byłeś mały. To ten dom. Spędzimy tu noc. Będzie fajnie.

- Super. - Andy spojrzał na padający w mroku deszcz.

- Gdzie to?

- Niedaleko. - Nie wyglądało na to, żeby miało przestać lać, więc chwyciłam latarkę i worek na śmieci, do którego wrzuciłam nasze ubrania i iPod'a Andy'ego. - Zmokniemy

- ostrzegłam. Otworzyłam drzwi, mocno je trzymając, żeby wicher nie wydarł mi ich z ręki. Morze huczało, jakbym zaparkowała na plaży. - Wsiadaj ostrożnie! - krzyknęłam.

364

Za późno. Wiatr porwał drzwi od strony Andy'ego, który wypadł na piaszczyste pobocze drogi. Wstał roześmiany. Nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje. Co stanie się jutro.

Niemal oślepiąca deszczem obeszłam samochód, żeby pomóc Andy'emu zamknąć drzwi. Wicher zmagił się z nami niczym żywa istota, napierał na drzwiczki. Czułam się nieswojo, jakbym wyczuwała tu czyjąś obecność. Bałam się tego, co miałam zrobić, ale musiałam. Nie będzie to moje pierwsze szaleństwo. Szkoda, że mama nie powiedziała mi, jak wygląda sytuacja. Zaczęłabym działać wcześniej. Obmyśliłabym lepszy plan. I w ogóle. Jutro Andy miał się stawić na przesłuchaniu, nie wiedząc, że w jego wyniku trafi na zawsze do więzienia. Nie mogłam do tego dopuścić. Mój plan nie sięgał poza dzień jutrzejszy, ale wiedziałam jedno: jeśli nie znajdą Andy'ego, nie zdołają go zamknąć. I na razie tylko tyle się liczyło.

- Możesz wziąć jedzenie? - krzyknęłam, wręczając mu papierową torbę z chlebem, masłem orzechowym i owocami. W domku była skrzynka butelkowanej wody. To wystarczy na dziś i jutro. - Nie otwieraj, bo wszystko przemoknie - poleciłam. Zarzuciłam na ramię worek z ubraniami i ruszyliśmy w stronę Morskiego Strażnika.

- Nic nie widać! - zawołał Andy.

- Zaraz dojdziemy. - Prawie nie rozróżniałam domów. Mrużyłam oczy, chroniąc je przed wichrem.

Przeoczyliśmy wąski drewniany chodnik, który prowadził do Strażnika, i musieliśmy się cofnąć.

- Chodź - rzuciłam, stając na deskach. - Trzymaj się blisko mnie.

Dotarliśmy do malutkiej wydmy przed domem. Nawet w ciemnościach widziałam uderzające o brzeg wzburzone fale. Poświeciłam latarką w stronę plaży pod chatką. Coś wyglądało inaczej. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że ten srebrzysty połysk to nie lśnienie mokrego piasku,

365

lecz woda. Morze kipiało wokół pali chatki, obryzgując taras pianą i wodnym pyłem. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby woda podeszła aż tak daleko. Nie chciałam pokazać Andy'emu, jak się przestraszyłam.

- Deszcz mnie gryzie! - krzyknął Andy.

- To wiatr niesie ze sobą piasek. - Ostre drobinki kłuły mnie w twarz i ręce. - Chodź - rzuciłam, zeskakując z wydmy.

- Ta torba... - Wiatr zagłuszył jego dalsze słowa, a ja nie poprosiłam, żeby powtórzył. Za bardzo pochłonęło mnie przypominanie sobie, że ta chatka przetrwała niejednym huraganem i mnóstwem sztormów. Ten także przetrwał.

Znalazłam cementowy pustak i przetoczyłam go pod schody.

- Wejść pierwsza, a potem ci pomogę! - krzyknęłam. Dopiero za trzecim razem udało mi się wrzucić ciężki worek na mały taras od frontu. Potem stanęłam na betonie i podciągnęłam się na schodki.

- Sam sobie poradzę! - krzyknął Andy. - Nie musisz mi pomagać.

- Dobrze, podaj mi jedzenie.

Uniósł ku mnie torbę; chwyciłam ją. Rozmiękła od deszczu i zanim zdołałam ją ująć mocniej, wiatr wyrwał mi ją z rąk, rozrzucając wszystko po mokrej plaży.

- Pozbieram to, nie martw się! - Andy popędził za bochenkiem chleba, który wiatr unosił w powietrzu jak piórko.

- Zaraz zejść, Pandusiu! - zawołałam. Otworzyłam drzwi i wrzuciłam do środka worek z ubraniami. Zeskoczyłam z tarasu i razem pozbieraliśmy tyle jedzenia, ile mogliśmy odszukać.

Na tarasie Andy kazał mi oświetlić latarką tablicę.

- Do rozbiórki - odczytał.

- Do rozbiórki - krzyknęłam. - Kiedy byliśmy mali, huragan Frań zburzył wiele budynków na wyspie.

366

- Wiem! - odkrzyknął Andy. - Uczyłem się o tym. A „do rozbiórki” znaczy „nie zbliżać się”, ale my nie będziemy się zbliżać.

- Masz rację. - Znowu otworzyłam drzwi i przeszłam pod tablicą.

- Robimy coś niedobrego? - spytał Andy, wchodząc do salonu. Jego tenisówki skrzypiały. Wiedziałam, że specjalnie stara się skrzypieć jak najgłośniej.

Wzięłam drugą latarkę z kuchennego blatu.

- Ta jest dla ciebie. - Podałam mu ją. - A jeśli chodzi o to, czy to coś niedobrego, to niektórzy mogą tak myśleć, ale ja nie.

- A mama? - Andy włączył latarkę, świecąc mi prosto w twarz, i znowu ją wyłączył.

- Przestań. - Odsunęłam ją. - Oślepiasz mnie.

- Przepraszam. Czy mama pomyśli, że to coś niedobrego?

- Zobacz, ile tu świec. Zapalmy je, a wtedy odpowiem na to pytanie. - Podałam mu pudełko zapalek.

- A mogę zapalniczką? - Sięgnął do kieszeni i zobaczyłam na jego dłoni zielony drobiazg.

- Nadal to masz? Myślałam, że na lotnisku ci zabrali.

- To inna.

Mój braciszek jednak miał buntowniczą żytkę.

- Dlaczego? - spytałam. - Nadal palisz?

Parę dni temu wydawało mi się, że czuję od niego dym, ale od czasu pożaru cały świat pachniał mi dymem.

- Nie mów mamie.

- Nie powiem. Ale to dla ciebie niedobre, Pandusiu. Wolałabym, żebyś tego nie robił.

- Okłamałem mamę - wyznał.

- Aha. Ja też, parę razy.

- Mówiłem jej, że nie wdycham dymu, ale wdycham.

- To ci świetnie zrobi na astmę - mruknęłam, zapalając świeczkę na blacie.

367

- Chciałem, żeby dym mi wychodził nosem. Usiłowałam wyobrazić go sobie z papierosem.

- Gdzie palisz? - spytałam. Przecież zawsze ktoś nad nim czuwał. Poczutybyśmy dym, gdyby palił w domu, a w szkole przecież nie mógł.

- Robię to, kiedy ja i chłopacy spotykamy się w te dni, co mnie nie odwozisz do domu.

- Chłopcy - poprawił go. Wyobraziłam sobie, jak czeka na autobus z kolegami ze szkoły, których uważał za przyjaciół, choć pewnie naciągali go na papierosy i wyśmiewali się z niego za plecami.

- Gdyby pożar wybuchnął tutaj, wyskoczyłbym tym oknem na tamte deski. - Zaświecił latarką w okno salonu, wychodzące na taras na tyłach domu.

- Jasne. A w kuchni są drzwi, którymi też moglibyśmy się wydostać na taras.

- Chciałem powiedzieć „taras”. Nie deski. Zawstydził go ten błąd.

- Nie szkodzi - powiedziałam. - Wiedziałam, o co ci chodzi. A taras jest z desek, więc w zasadzie miałeś rację.

- W domu mamy duży taras.

- To prawda.

- Kiedy wrócimy do domu? Postawiłam jedzenie na blacie w kuchni.

- Zostaniemy tu dziś, a potem zastanowimy się, co zrobimy jutro. - Otworzyłam opakowany bochenek chleba. - Chcesz kanapkę z masłem orzechowym? - Powinnam wymyślić jakiś sposób na przetransportowanie pizzy. Co pomyśli mama, kiedy ją zobaczy?

- Dobrze.

Przyglądał mi się w świetle świec, jak smaruję masłem dwie kromki. Podałam mu jedną.

Usiedliśmy razem na kanapie, zwróceni w stronę ciemnego okna, jedliśmy kanapki i piliśmy wodę.

- Morze jest tam - powiedziałam. Było ciemno,

368

a my znajdowaliśmy się tak wysoko, że nie widziałam białych grzyw fal.

- Wiem. Nie jestem imbecylem.

- Dobre słowo, Pandusiu.

Przez chwilę jedliśmy bez apetytu. Wyobrażałam sobie, co poczuje mama, kiedy wejdzie do domu i nie znajdzie w nim Andy'ego. Ten dzień dał jej w kość, a ja dobiłam ją jeszcze wiadomością o tacie. Potem musiała wrócić do domu w wichurze i siekącym deszczu, martwiąc się o jutro, a na koniec przekonała się, że jej dzieci znikły. W mojej głowie rozbrzmiewały dwa głosy - jeden mówił mi, żebym ją uspokoiła, drugi - żebym siedziała cicho. Kiedy myślałam o jej niepokoju, tatuaż palił mnie w biodro.

- Zadzwoń do mamy i powiem jej, że nic się nam nie stało - powiedziałam, kiedy skończyliśmy jeść. Wyjęłam iPod'a z worka na śmieci i podałam Andy'emu. Potem spojrzałam na telefon. Zero zasięgu. Dziwne. Na ogół mogłam stąd dzwonić. Pewnie to przez sztorm. Ciekawe, czy Ben usiłował się ze mną skontaktować. Nie chciałam o nim myśleć. To by mnie kompletnie rozbiło.

Telefon Andy'ego leżał na blacie, ale on także nie miał zasięgu. Wyobraziłam sobie mamę, z każdą chwilą coraz bardziej szalejącą z przerażenia. Dlaczego musiałam jej powiedzieć o tacie? Potrafiłam się zachować podle. Chciałam, żeby się odczepiła. Przestała mnie nękać o Bena.

- Andy, wyjdę na taras, bo nie mogę tu złapać zasięgu.

- Dobrze. - Nie podniósł głowy znad iPod'a.

Na tarasie musiałam się przytrzymać balustrady, żeby wiatr mnie nie przewrócił. Nawet gdybym mogła się stąd dodzwonić - a nie mogłam - nie zdołałabym usłyszeć mamy. Będę musiała zadzwonić z samochodu.

Wróciłam do kuchni, zrobiłam w worku na śmieci dziurę na głowę i założyłam go jak poncho.

- Wracam za parę minut, Andy! - rzuciłam, zerkając na świeczki w pokoju, żeby się upewnić, że bezpiecznie się

369

pałą. Brakowało nam jeszcze kolejnego pożaru z udziałem mojego brata.

Dotarłam do samochodu, ale nadal nie miałam zasięgu, więc zaczęłam jechać. Szosą płynęły strumienie wody, więc poruszałam się bardzo powoli, żeby mnie nie zniosło na piasek. A gdyby coś mi się stało i Andy zostałyby sam w domku? Przestań, pomyślałam, przestań krakać!

W mijanych domkach nie świeciło się ani jedno okno. Wysiadła elektryczność. Zasięg złapałam dopiero w okolicach wielkiego apartamentowca, Villi Capriani. Mama nagrała mi się trzy razy. Miała śmiertelnie wystraszony, drżący głos i zrozumiałam, że słusznie do niej dzwonię. Zatrzymałam się na niemal zupełnie opustoszałym parkingu Villi Capriani i wybrałam numer mamy.

-Maggie! Gdzie jesteście! - Oj, niedobrze. Płakała. Powinnam zadzwonić wcześniej albo chociaż zostawić kartkę.

- Dzwonię, żebyś wiedziała, że Andy i ja mamy się dobrze. Nic nam nie grozi.

- Gdzie jesteś, Maggie? Co robisz?

- Nie mogę ci powiedzieć. Chciałam cię tylko uspokoić.

- Nie chce powiedzieć - przekazała mama komuś.

- Kto tam jest? - Przeraziłam się, że to policja.

- Maggie? - usłyszałam głos wujka Marcusa. - Co robisz? Jesteś z Benem?

- Nie. - Boże. Wujek też wie o Benie. - On nic o tym nie wie, więc go w to nie mieszej. Chciałam tylko powiedzieć mamie, że Andy i ja jesteśmy cali i zdrowi.

- Dlaczego to zrobiłaś? Wróć do domu. Tylko pogarszasz sprawę, kochanie.

- A da się ją pogorszyć? Wyobrażasz sobie Andy'ego w celi, bez prawa do kaucji? Jak czeka cały rok na rozprawę, tak jak mówiłeś? Jak go dręczą, biją i gwałcą? A on nie rozumie dlaczego? - Głos mi się załamał. - Nie rozumie, co się dzieje?

370

- Wiem, Mags. Ale postaraj się uspokoić, dobrze? Może jutro sędzia okaże się rozsądny i go nie zamknie. Może nawet zatrzyma go w sądzie dla nieletnich.

- Jasne - warknęłam. - Parę godzin temu mówiłeś coś innego. Zwłaszcza teraz, kiedy znaleźli jego odciski palców na kanistrze.

- Jeśli nie stawi się na przesłuchaniu, będzie jeszcze gorzej.

- Rozłączam się. - Wyłączyłam telefon, żeby nie musieć słuchać dzwonka, kiedy będą się usiłovali do mnie dodzwonić. Zastanawiałam się, czy w tej chwili nawet mama i wujek Marcus nie uwierzyli w winę Andy'ego. Czy tylko ja wiedziałam, że jest niewinny?

Bałam się. Jechałam coraz szybciej, znowu myśląc

o świecach, ale Morski Strażnik nadal stał, a mnie z serca spadł kamień. Zaparkowałam na New River Inlet Road

i popędziłam do chatki. Andy siedział ze słuchawkami na uszach i niemal nie zauważył, kiedy wpadłam do salonu.

Namówiłam go na grę w czarnego piotrusia talią starych lepkich kart, znalezionych w kuchennej szufladzie. Ręce mi się trzęsły. Teraz, gdy już nakarmiłam brata i zadzwoniłam do matki, nie pozostało mi nic więcej do zrobienia. Zaczęłam świrować. Co ja robię? Co ja zrobiłam?

- Wygrałem! - zawołał Andy. Ten jeden raz pozazdrościłam mu prostoty w patrzeniu na życie.

Zagraliśmy jeszcze kilka partyjek. Potem zdmuchnęłam świecę na parapecie i razem patrzyliśmy, jak deszcz i słona woda chlapią na szybę. Chatka się trzęsła, pewnie dlatego, że woda uderzała o jej słupy. Nerwy miałam napięte do ostateczności.

Andy zdjął buty i oparł stopy o parapet.

- Szkoda, że nie widać morza - powiedział. Wychyliłam się, żeby sprawdzić, czy widać spienioną wodę.

371

- Nie boisz się znowu zmoknąć?

- Wracamy do samochodu?

- Nie. Nie pada już tak bardzo. Posiedźmy na tarasie i popatrzmy na morze.

Andy wyszedł za mną na taras. Może i nie lało tak jak przedtem, ale wiatr wydymał nam koszule i świstał w uszach. Usiadłam na swoim ulubionym miejscu, na skraju mokrego tarasu, ze spuszczone nogami i rękami opartymi o dolną barierkę. Tu drzenie domu czuło się o wiele wyraźniej. Podłoga tarasu dygotała, jakby ktoś po niej biegał.

Poklepałam miejsce obok siebie i Andy też usiadł.

- Teraz możemy popatrzeć na morze. - Po białych grzywach fal poznawałam, że nadal są wysokie i burzliwe. Ale te ciemności budziły mój strach, bo nie mogłam się zorientować, jak blisko podeszło morze. Na bosych stopach czułam wodny pył z fal kipiących wokół pali.

- Moglibyśmy łowić stąd ryby - zauważył Andy. - Jeśli skończy nam się jedzenie, możemy łowić ryby.

Jasne, pomyślałam. Akurat to zaplanowałam.

- Masz rację - powiedziałam.

Położyłam rękę na ramionach Andy'ego. Inny piętnastolatek pewnie by mnie odtrącił, ale Andy'emu to nie przeszkadzało. Tak naprawdę chciałam go chwycić w objęcia. Mocno przytulić. Miałam pretensję do mamy, że poświęciła mu sto procent swojej miłości i uwagi, że oddała mu moją połowę. Ale do Andy'ego nie miałam urazy. To nie jego wina, że kochała go bardziej.

- Pamiętasz tatę? - spytałam.

- Jeździłem mu na barana - powiedział Andy. W pokoju miał zdjęcie taty trzymającego go na ramionach. Miał wtedy dwa lata. Nie miałam pewności, czy zapamiętał to, co działo się naprawdę, czy zdjęcie.

- Czasami, kiedy tu siedzę, czuję jego duszę - wyznałam.

372

- Ducha?

- Nie, nie całkiem. To trudno wyjaśnić. Pamiętasz Chlupcia?

Chlupcio był jego złotą rybką. Parę miesięcy temu znaleźliśmy go pływającego brzuchem do góry w akwarium.

- Tak. Był ładny.

- Nigdy nie wydaje ci się, że Chlupcio jest przy tobie? No wiesz, rozumiesz, że już go nie ma, ale czujesz, jakby był.

- Nie. Chlupcio nie żyje.

- Niech będzie. Próbuję ci wyjaśnić, co mam na myśli, ale chyba nie zrozumiesz. - Zdjęłam rękę z jego ramion i znowu oparłam ją na barierce. - Czasem czuję, że tata tu ze mną jest.

- On nie żyje! - Andy wydawał się tak zgorzony, że musiałam się roześmiać.

- Wiem, Pandusiu. Nie zastanawiaj się nad tym. Wiał wiatr, kropił deszcz, na tarasie było zimno, ale nie chciałam wracać do domu. Pomyślałam, że powinnam uważać na morze, choć byłam pewna, że nie zatopi domu. Ale gdyby taras zaczął się kołysać, trzeba by było się ewakuować.

- Moi przyjaciele myślą, że pójde do więzienia - odezwał się niespodziewanie Andy.

- Nie pójdiesz.

- Boję się, że będę musiał, bo okłamałem policjantów. I wszystkich.

Nie rozumiałam.

- O co ci chodzi? Kiedy skłamałeś?

- Powiedziałem, że nie wyszedłem z kościoła, ale wyszedłem.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Żeby sprawdzić, czy robaki umierają. Czy spray działa. Ale było za ciemno.

Zamknęłam oczy. Wiedziałam, o czym mówi. Rozumiałam wszystko.

373

- Obiecuję ci - powiedziałam - że nie pozwolę ci zamknąć w więzieniu.

- Przysięgasz na życie?

- Przysięgam na życie. - Po plecach przebiegł mi dreszcz.

- Ale co zrobisz, żeby policjanci nie zabrali mnie do więzienia?

- Coś zrobię.

- Ale co?

Znowu go objęłam.

- Powiem im, co naprawdę wydarzyło się tej nocy.

W moim domu było nie tyle wilgotno, ile zimno, jakby zakradła się do niego ta burzliwa noc. Skuliłam się na sofie, otulona kocem, a Marcus dokładał drewna do ognia na kominku.

- Przynajmniej wiesz, że Maggie wywiozła go w jakieś bezpieczne miejsce. - Usiadł na sofie koło moich stóp. - Myślisz, że powinniśmy zadzwonić do Shartella?

- Nie chcę. - Dotarło do mnie, że ten obłąd, który skłonił Maggie do porwania Andy'ego, udzielił się częściowo także mnie. Dopóki Andy jest z nią, nie musi się bać i nie znajdzie się w więzieniu. - Ale nie wiem, co zrobię rano, kiedy będziemy musieli się stawić na przesłuchaniu.

- Wtedy będziemy się martwić. Uniostałam głowę, żeby na niego spojrzeć. -Dziękuję, że mówisz „my”.
Zawsze starałeś się przy

nas być. Przepraszam, że ci utrudniałam.

- Rozumiałem. - Poruszył się nerwowo. - Nie wiem, ile powiedziała ci Maggie, ale okropnie pokłóciłem się z Ja-miem na łodzi. Wściekłem się o tę sprawę z Sarą, a kiedy na niego wsiadłem, odgryzł się, że nie mam prawa go krytykować. Domyślił się, że Andy jest mój, i...

- Naprawdę? Nie wiedziałam nawet, że ty o tym wiesz.

- Kamień spadł mi z serca, że wreszcie wszystko wiadomo. Tak powinno być od lat.

W świetle latarni zobaczyłam jego uśmiech.

- Wiedziałem od początku. Od kiedy powiedziałaś, że jesteś w ciąży. Jamie pewnie też. Tylko udawaliśmy, że tego nie widzimy. Ale to niewidzialne okazało się za duże, żeby się zmieścić z nami na łodzi.

Przypominałam sobie siniaki na ciele Marcusa, z których powodu policja podejrzewała go o kłamstwo.

- Pobiliście się?

Nie mogłam sobie wyobrazić, że mogliby naprawdę ze sobą walczyć.

- A jak. Dlatego byłem poobijany, ale powiedziałem policjantom tylko o humbaku. Nie mogłem im zdradzić nic więcej, bo to by ich doprowadziło do bójki i reszty.

- Ten humbak naprawdę tam był? Marcus skinął głową.

- Przyglądaliśmy się mu, a potem zniknął. A kiedy... kiedy się kłóciliśmy, łódź nagle wystrzeliła w powietrze, a my z niej wypadliśmy. Jamie uderzył głową o dziób. To prawda.

- Powinieneś powiedzieć wszystko. Byłabym z tobą bardziej szczerą. Musiałeś wiedzieć.

- To by za dużo kosztowało. Nie chciałem cię skrzywdzić - ani odebrać ci dobrych wspomnień o Jamie. Nie sądziłem, że to się kiedykolwiek wyda.

- Keith naprawdę jest synem Jamiego? - szepnęłam.

- Tak mi powiedział Jamie. A kiedy to powiedział, dostrzegłem w chłopcu jego cechy. Ty nie?

Pomyślałam o ciemnych włosach Keitha, o jego sylwetce, która zaczęła się stawać muskularna i masywna. Potarłam pierś.

- Serce mnie boli... Od kiedy Maggie mi powiedziała... Bardzo boli.

- Wiem. - Marcus położył rękę na mojej osłoniętej kocem stopie. - Współczuję.

376

Odetchnęłam głęboko.

- Maggie powiedziała, że założyłeś dla niego fundusz.

- Tak. Dlatego się dowiedział. Wydawało mi się niesprawiedliwe, że Keith nie ma nic, a inne dzieci Jamiego - wszystko.

- Och! - Nagle przypomniałam sobie dzień, kiedy usiłowałam uiścić rachunek za hotelowy pokój Sary.

- Płacisz za hotel Sary!

Skinął głową. Oparłam głowę o sofę.

-Czuję się strasznie upokorzona. Sara... uważałam ją za swoją przyjaciółkę.

- Jest nią. Pokręciłam głową.

- Jak mogła mi to zrobić?

Marcus uścisnął przez koc moją stopę.

- Jak mogliśmy to zrobić Jamiemu? - spytał.

Nie wiem, jak mi się udało zasnąć. Marcus potrząsnął mną za ramiona. Obudziłam się z bólem karku od niewygodnej pozycji na kanapie.

- Wrócili? - spytałam, siadając i spoglądając na schody.

- Nie. Minęła piąta, sztorm ustał. Jadę do Bena i Dawn. Nie wysiedzę tu dłużej. Może Ben wie, gdzie ich szukać.

Odrzuciłam koc i wstałam chwiejnie.

- Jadę z tobą.

Gdy wyjechaliśmy z mojej uliczki na New River Inlet Road, poczułam się tak, jakbyśmy płynęli łodzią. Reflektory Marcusa odbijały się w wodzie stojącej na asfalcie, ale nie potrafiłam stwierdzić, czy jest głęboka. Po obu stronach furgonetki, choć Marcus jechał powoli, wzbijały się wysokie rozbryzgi. Wiatr ustał i już nie padało, ale wyspa pogrążyła się w zupełnych, nieprzeniknionych ciemnościach. Niebo wisiało tuż nad dachem samochodu.

377

- Nigdy nie widziałem tak ciemnej nocy - odezwał się Marcus. Siedział prosto, pochylony nad kierownicą, chyba tak samo spięty jak ja.

Choć na drodze oprócz nas nie było nikogo, przejechanie tych jedenastu kilometrów do Surf City zajęło nam godzinę. Marcus parę razy wysiadał i sprawdzał drogę przy świetle latarki, upewniając się, że woda nie jest zbyt głęboka ani rwąca. W końcu dotarliśmy do drogi przy domku Dawn i Marcus zwolnił jeszcze bardziej. Usiłowaliśmy dostrzec ten właściwy wśród szeregu mrocznych budynków.

- To chyba ten. - Wskazałam ledwie widoczny kształt.

- Tam, na ulicy, to samochód Dawn? - spytał Marcus. W świetle reflektorów dostrzegłam samochód zaparkowany przed furgonetką Bena.

- Dlaczego tak stoją? - zdziwiłam się.

Marcus skręcił na podjazd. Światło reflektorów ujawniło odpowiedź: wolne miejsce parkingowe pod chatką woda zalała co najmniej na metr.

- O rety. - Marcus wyłączył silnik. - Ten sztorm pewnie nieźle załatwił plażę.

Wysiedliśmy - każde z latarką. Marcus położył mi rękę na plecach. Weszliśmy po schodach, a on załomotał do drzwi pięścią.

Zaczekaliśmy pół minuty. Marcus nacisnął klamkę.

- Zamknięte. - Załomotał jeszcze raz, tym razem dłużej. - Ben! - krzyknął.

Jedno okno rozświetlił blask. Parę chwil później Ben otworzył drzwi. W rękę trzymał latarkę.

- Pożar? - spytał. Potem zauważył mnie. - Co się stało?

- Wpuść nas. - Marcus minął go. Poszłam za nim.

- Wiesz, gdzie są Maggie i Andy? - spytałam.

- Nie w domu? - Ben miał na sobie rozpięte brązowe szorty i nic więcej. Nie chciałam myśleć o tym, że Maggie go dotykała... że dotykała jego nagiej piersi.

- Nie, nie w domu - warknął Marcus. - Maggie go zabrała, żeby nie musiał się stawiać jutro na przesłuchaniu.

- Cholera. - Ben przeciągnął ręką po włosach. Nagle poczułam, że go nienawidzę.

- Jak śmiałeś ją wykorzystać? - Uderzyłam go w ramię latarką, w jakiś nieprzyjemny sposób świadoma jego męskości. - Ona chodzi do liceum!

Poczułam, że Marcus znowu kładzie rękę na moich plecach.

- Na to będzie czas później - powiedział. - Maggie mówiła ci, co zamierza?

- Kto przyszedł, Benny? - Dawn stanęła w drzwiach, zawiązując krótki szlafrok. Trzymała latarnię. Na nasz widok znieruchomiła.

- Zaginęli Maggie i Andy - poinformowałam.

- Zaginęli? Jak to? Porwano ich?

- Maggie zabrała gdzieś Andy'ego, żeby nie zjawił się na przesłuchaniu.

Dawn spojrzała na Bena.

- Wiesz coś o tym? Ben pokręcił głową. -Nie.

Unikał mojego spojrzenia.

- Zakładam się, że wiem, gdzie są - oznajmiła Dawn. Spojrzała na Bena. -I ty też.

- Gdzie? - zdziwił się Ben. Zamknął oczy. - O nie. Morski Strażnik.

- Morski Strażnik? - powtórzyliśmy jednocześnie, ja i Marcus.

- Przecież dom jest przeznaczony do rozbiórki.

- Tam Ben spotykał się z Maggie - wyjaśniła Dawn z obrzydzeniem.

Tego już Marcus nie wytrzymał.

- Ty gnojku! - Od ciosu w szczękę Ben upadł i przejechał na plecach po podłodze.

379

Chwytałam Marcusa za ramię, zanim zdążył uderzyć jeszcze raz. Skoro dowiedziałam się już, gdzie są moje dzieci, chciałam do nich jechać. Wziąć je w ramiona.

- Chodźmy - powiedziałam.

- Nie była mi obojętna! - Ben wstał, trzymając się za szczękę. - To nie tak, że nie mam uczuć...

- Zamknij się - warknęła Dawn.

Marcus zacisnął palce dłoni, którą uderzył Bena.

- Nie skończyłem z tobą, Trippett - zapowiedział, otwierając drzwi. - Pogadamy później.

- Morski Strażnik - powiedziałam, kiedy jechaliśmy w ciemnościach. Chciałam, żeby Marcus jechał szybciej, ale wiedziałam, że się nie odważy. - Skąd Maggie przyszło to do głowy?

- Tam jest niebezpiecznie. Przeznaczili ten dom do rozbiórki nie bez powodu. Już dawno powinni go zburzyć.

- Myślałam, że Maggie jest rozsądna - wymamrotałam, splatając dłonie na kolanach. - Myślałam, że nie potrzebuje moich rad. Mojego matkowania. Nie znam jej.

- Znasz. - Marcus puścił kierownicę i znalazł w ciemnościach moją rękę. Ucisnął ją. - Wiesz, że dla Andy'ego zrobiłaby wszystko. Tak jak ty.

Otworzyłem oczy, ale nic nie widziałem. Zamrugałem i znowu zamrugałem, żeby sprawdzić, czy naprawdę mam otwarte oczy. Zrobiło mi się niedobrze. Mózg mi się kręcił w głowie. Tak czułem się tylko na łodzi. Mogłem pływać po zatoce, ale nie po morzu. Kiedy wypłynąłem na morze z Emily, mózg mi się kręcił w głowie przez cały czas. Zwymiotowałem trzy razy i prawie czwarty. Mama powiedziała, że nie mogę nigdy więcej wypływać na morze. Zresztą mama też nie lubi łodzi.

Wiedziałem, że to nie łódź, tylko dom, w którym mieszkałem w dzieciństwie. Leżałem na kanapie. Było ciemno, ale trochę widziałem i było mi jakoś zimno. I głośno. Pode mną i nade mną trzaskało, skrzypiało i piszczało. Bałem się, że zwymiotuję, jeśli usiądę. Ale w końcu usiadłem, a w oknie nie było szyby. Niebo nad morzem zrobiło się różowe. Nie widziałem Maggie, ale słyszałem, jak mnie woła.

Nagle spadłem z kanapy i mózg mi zaczął wirować i nie pamiętałem już, gdzie jest łazienka do wymiotowania. Zresztą Maggie powiedziała, że łazienka nie działa. Nie mogłem wstać. Musiałem się przytrzymać takiego drewnianego. A potem zobaczyłem, że nie jestem już w chatce. Znalazłem się jakby na łodzi i wokół pływały wielkie kawały drewna i inne rzeczy. Woda zalewała mi stopy. Zacząłem się

381

zastanawiać, jak ratować życie, bo zrozumiałem, że mamy kłopoty, ale było inaczej niż podczas pożaru, kiedy można wyjść przez okno.

- Maggie! - krzyknąłem i popędziłem do niej, a podłoga się huśtała i rozpadała pod moimi nogami.

Gdy skręciliśmy z Sea Guli Lane na przedłużeniu New River Inlet Road, niebo zmieniło się z czarnego w jasnoszare. Furgonetka Marcusa sunęła powoli, zanurzona prawie na pół metra w wodzie. Między domkami na plaży widziałam paseczek różu nad horyzontem. Potem zauważyłam pierwsze domy przeznaczone do rozbiórki. Marcus gwałtownie odetchnął.

- Co? - spytałam. Pokręcił głową.

Opuściłam szybę i zobaczyłam to, co go poruszyło. Wiedziałam, gdzie powinien się znajdować drugi przeznaczony do rozbiórki dom, ale na jego miejscu piętrzyła się sterta gruzów. Promień słońca, wyglądający zza horyzontu, zaśnił na odłamkach szkła i metalu.

- O nie... - Moje serce ruszyło do galopu.

. - Czy to samochód Maggie? - Marcus zahamował tak gwałtownie, że mną rzuciło. Po drugiej stronie ulicy stał samotny pojazd - biały volkswagen Maggie.

- Może tam siedzą! - Wyskoczyłam z furgonetki w sięgającą mi kolan wodę i brnęłam przed siebie. Oświetliłam latarką wnętrze samochodu. Puste.

- Są? - zawołał Marcus przez otwarte okno.

- Nie. - Wróciłam do furgonetki. - Ale Dawn pewnie

383

ma rację. Po co Maggie parkowałyby tutaj, o przecznicy od Morskiego Strażnika?

Ruszyliśmy wolniutko przed siebie, mijając kolejne stare, przeznaczone do rozbiórki chatki, które zmieniły się w sterty gruzów. Czy Morski Strażnik ocalał? Czy ocalały moje dzieci?

-Wypuść mnie! - rzuciłam, otwierając drzwi. - Nie wytrzymam!

- Laurel...

Nie słyszałam reszty zdania. Przewróciłam się i upadłam w wodę. Szybko się podniosłam, nie tracąc czasu na zamknięcie drzwi furgonetki. Pobrnęłam w wodzie między dwoma domkami tuż nad morzem. Musiałam dotrzeć na plażę. Boże, spraw, żeby moje dzieci ocalały.

Niemal nie zauważyłam, że Marcus mnie dogonił.

- Gdzie ta mała wydma? - Rozejrzałam się, kompletnie zdezorientowana. Woda sięgała nam tu tylko do kostek, ale nie widziałam małego piaszczystego wzniesienia, które wyznaczało granicę między domkami przy ulicy i tymi na plaży.

- Chyba morze ją zmyło - powiedział Marcus. Woda nas już nie wstrzymywała, więc pobiegliśmy.

Od widoku, który nam się ukazał, ugięły mi się nogi.

- Marcus, o Boże! - Chwyciłam się jego koszuli, żeby się nie przewrócić.

- O nie - odezwał się Marcus z taką rezygnacją, że omal nie rzuciłam się na niego z pięściami.

Rozciągająca się przed nami plaża wyglądała jak strefa działań wojennych. Żaden z przeznaczonych do rozbiórki domów się nie ostał; zmieniły się w sterty gruzów, choć wiele słupów nadal sterczało na tle rozjaśniającego się nieba niczym totemy. Morski Strażnik znajdował się na samym końcu rzędu. Musiałam do niego dotrzeć. Choć było mi niedobrze i słabo, ruszyłam na północ.

- Uwważaj! - odezwał się idący niedaleko Marcus. - Wszędzie leży szkło.

Trudno było odróżnić jeden zburzony dom od drugiego. Kiedy stanęliśmy przed ostatnią stertą, ogarnęła mnie panika.

- Wszystko mi się pomieszało! - powiedziałam, rozglądając się po tej obcej, nieznannej plaży i szukając czegoś znajomego. Ta piramida desek, szkła i metalu przede mną po prostu nie mogła być Morskim Strażnikiem.

- Maggie! - zawołał Marcus, obchodząc ją. - Andy! Stałam jak skamieniała, zakrywając rękami twarz. Bałam

się, że zobaczę w tych gruzach nieruchomą rękę lub nogę. Zerknęłam spomiędzy palców na zwodniczo spokojne morze, usiane resztkami domków. Nagle zauważyłam na falach coś różowego i fioletowego.

- Marcus, patrz! - Wskazałam w stronę wschodzącego słońca.

- Gdzie? - Wyprostował się znad ruin. - Na co patrzysz?

- Na to! - Zrzuciłam przemoczone buty i wbiegłam w lodowatą wodę.

- Laurel, nie idź tam! - Dogonił mnie i chwycił za ramię. Potem zobaczył to co ja. Na kawałku drewna, daleko od nas, dryfowały dwie drobne sylwetki.

Moje dzieci.

384

5a

Początkowo wydawało mi się, że damy radę dopłynąć, ale kiedy przygotowaliśmy się do wyskoczenia z dryfującej tratwy, nagle chwyciłam Andy'ego w płu.

- To za daleko - powiedziałam. Prąd znosił nas w głąb morza szybciej, niż sądziłam, przyciągał nas w stronę oślepiającego pomarańczowego słońca. Plaża, zalana różowożółtym blaskiem, wydawała się bardzo odległa. - Nie damy rady.

Po raz trzeci czy czwarty straciliśmy równowagę i upadliśmy na kolana. Znowu spojrzałam na plażę. Co nam zostało, jeśli nie zdołamy popłynąć?

Musiałam się zastanowić. Nie wiedziałam, na której części domu płynęliśmy. Początkowo była większa, ale teraz zmieniała się w tratwę jak z przygód Hucka Finna, ze sterczącym z boku kawałkiem regału. Może to podłoga salonu. Nieważne. Cokolwiek to było, nadal się rozpadało, a nas dzieliła od śmierci coraz lichsza zapora. Ta tratwa nie będzie dryfować w nieskończoność.

- Możemy popłynąć - oznajmił Andy. - Będziemy udawać, że to basen.

- Ale to nie basen - sprzeciwiłam się. - Woda jest znacznie zimniejsza i w basenie nie ma odpływu. Widzisz, jak znosi tratwę na pełne morze? Nas też zniesie, jeśli będziemy próbować płynąć.

386

Strasznie się bałam. A jeśli nie uratuję mojego braciszka, tylko go zabiję?

Z naszej trzeszczącej tratwy oderwał się kolejny kawałek drewna. Andy pisnął, a ja go przytuliłam. Patrzyłam, jak część podłogi z półkami oddala się od nas, a potem ginie pod wodą. Jakbym widziała nasze przeznaczenie.

- Czy my utoniemy? - spytał Andy.

Różowa plaża wydawała się odleglejsza niż przed chwilą. Chwyciłam Andy'ego za ramiona i spojrzałam mu w oczy.

- Posłuchaj - powiedziałam. - Będziemy musieli popłynąć, ale trzymajmy się razem. Nie trać mnie z oczu, a ja nie stracę z oczu ciebie. I słuchaj! Nie możemy płynąć prosto do plaży! Jasne? Płyn równolegle do niej.

- Co to „równolegle”? - spytał przerażony. Wyczuwał mój strach.

Szloch, który mi się wyrwał, zaskoczył nas oboje. Szybko starłam łzy z policzków.

- To znaczy, że popłyniemy tam. - Wskazałam północ.

- To jak dotrzemy do plaży? - spytał cichutko. Co ja narobiłam?

- Pandusiu... - Przytuliłam go mocno. - Daję ci słowo... Popłyniemy kawałek w tamtą stronę, a potem zdołamy dotrzeć do plaży. Ale musisz być spokojny. Nie panikuj.

- Ty nie jesteś spokojna. - Wargi mu zadrżały.

- Pamiętaj, podczas zawodów musisz utrzymać równe tempo?

Skinął głową, choć nigdy nie widziałam, żeby kiedykolwiek utrzymywał równe tempo na basenie.

- Teraz też musisz. - Głos mi się załamał. - Proszę cię, Pandusiu. Nie płyn ze wszystkich sił, dobrze? Powoli i miarowo, w tamtą stronę - znowu wskazałam - a uda nam się.

Andy oderwał spojrzenie od mojej twarzy i nagle zobaczyłam odbitą w jego brązowych oczach pełną tarczę słońca.

387

- Patrz! - Wskazał coś za moimi plecami. Odwróciłam się i zobaczyłam pędzącą na nas ścianę

wody. Wznosiła się z zupełnie spokojnego morza. Chwyciłam Andy'ego za ramię i krzyknęłam. Fala runęła na nas. Zmiotła nas z tratwy, wydarła mi brata z rąk.

Runęłam w głębinę jak śmigająca w powietrze akrobatka. Wstrzymałam oddech, otworzyłam oczy, rozglądając się w spienionej, wirującej wodzie za Andym. Fala obracała mnie wokół własnej osi. Nie widziałam go. Spanikowana zamachałam rękami, jakby wodę dało się rozgarnąć jak kurtynę.

- Andy! - krzyknęłam. Woda wypełniła mi usta, płuca. Powoli wyłynęłam na szczyt fali. Miałam wrażenie,

że ktoś mnie unosi, ratuje. Płuca mnie rozboleły, kiedy odetchnęłam cudownym różowym powietrzem. Znowu runęłam w wodę i poddałam się. Oddałam się morzu.

53

-Już ich nie widzę! - krzyknęłam do Marcusa. Jego zresztą też nie widziałam, ale wiedziałam, że szuka na podwórkach domów łodzi lub tratwy.

- Co? - Pojawił się nagle, biegnąc przez wodę z deską surfingową.

Wskazałam miejsce, w którym ostatnio widziałam Mag-gie i Andy'ego.

- Znikli!

Marcus zatrzymał się i spojrzał na horyzont.

- Nie wiem, co się stało! - powiedziałam. - Tylko mrugnęłam i już ich nie było!

Marcus pobiegł do morza i rzucił deskę na fale.

- Ja też chcę! - zawołałam.

- Ty zostań i staraj się dodzwonić! - rozkazał. Odkąd się tu znaleźliśmy, usiłowaliśmy ożywić nasze komórki. Zimnymi, drżącymi palcami znowu wystukałam 911, ale nagle zauważyłam coś daleko na plaży. Ludzie? Mała postać w płytkiej wodzie nieopodal zatoki, oświetlona różowym blaskiem. To przecież żadne z moich dzieci. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach nie mogłyby przeplłynąć tej odległości w tak krótkim czasie.

Ten ktoś miał ciemne włosy i był bardzo szczupły.

-Marcus, wracaj! - krzyknęłam i poderwałam się

389

do biegu. Mokry piasek był twardy jak beton. Usiłowałam zrozumieć, co widzę. Co robi ta postać? Na pewno nie stoi. Przyśpieszyłam. Mewy i brodzie uciekały mi spod nóg. Jeszcze nigdy nie biegłam tak szybko.

-Uważaj! - zawołał Marcus za moimi plecami. Usłyszałam jego ciężkie kroki. Wiedziałam, że ostrzega mnie przed szczątkami poniewierającymi się po plaży, ale nie zamierzałam zwolnić tylko z powodu kawałków szkła czy zardzewiałych gwoździ. Wiedziałam, że on też nie.

Andy wstał powoli; fale obmywały mu stopy.

- Andy! - Zamachałam rękami. Żył! - Andy!

Andy pociągnął coś leżącego w wodzie. Dopiero kiedy do niego dobiegłam, uświadomiłam sobie, że to Maggie.

- O Boże! - Wbiegłam w lodowatą wodę do kolan, rozbryzgując ją na wszystkie strony.

- Mama! - Andy stracił równowagę i znowu usiadł. Położył sobie głowę Maggie na kolanach.

- Maggie! - Upadłam na kolana obok moich dzieci. Andy oddychał ciężko i chrapliwie. Jego pierś falowała

gwałtownie.

- Dziecinko! - Chwyciłam go za kark i pocałowałam w czoło, ale szybko zajęłam się Maggie.

- Co z nią? - Marcus wbiegł w wodę obok nas. Maggie zaczęła kaszleć. Oczy miała zamknięte, twarz siną, ale żyła.

Odetchnęła gwałtownie, krztusząc się słoną wodą. Przeniosłam jej głowę z kolan Andy'ego na moje. Ułożyłam ją na boku.

- Maggie, kochanie, tu mama. Nic ci nie jest, dziecinko.

Maggie rzęziła i kaszłała, ale nie wiedziałam, czy odzyskała przytomność. Wydawała się ciężka jak otów. Fale ochlapwały jej twarz.

- Wynieśmy ją z wody - powiedziałam.

- Oddycha? - spytał Marcus, biorąc Maggie na ręce. Przewrócił ją na brzuch.

390

Andy ukląkł przy niej.

- Maggie! - krzyknął. - Maggie, żyjesz? Miał krew na nogach.

- Andy, ty krwawisz! Gdzie się zraniłeś? Andy spojrzał na nogi. Miał krew na kolanie.

- To Maggie! - Marcus odwrócił Maggie na plecy. Zobaczyłam to, czego poprzednio nie zauważyłam: głęboką, buchającą krwią ranę na karku. Marcus zdjął podkoszulek i przycisnął go do rozcięcia.

Maggie zakaszłała i znowu chcieliśmy ją odwrócić na brzuch, ale po chwili odetchnęła lżej.

- Maggie, skarbie, słyszysz mnie? Wymamrotała coś niezrozumiale.

- Co, kochanie? - Pochyliłam się do niej.

- Przyplłynęliście aż stamtąd? - spytał niedowierzająco Marcus Andy'ego.

- Nie musieliśmy płynąć - wyjaśnił Andy. - Przyszła wielka fala i zabrała nas w górę! - Uniósł obie ręce.

Maggie znowu bezgłośnie poruszyła ustami.

Przysunęłam do nich ucho.

-Co?

Powiedziała coś niewyraźnie, odkaslnęła.

- To był tata - szepnęła.

Ktoś trzymał mnie za rękę. Myślałam, że to tata. Odetchnęłam; zaboląły mnie płuca. Wszystko mnie bolało, zwłaszcza szyja. Chciałam dotknąć tego bolącego miejsca, ale ręce mi zbyt ciężkiły, a zresztą zrobiło mi się wszystko jedno. Tak jakby moja głowa nie miała łączności z tym bólem. Czy tak jest w niebie - jeśli niebo istnieje? Unoszenie się ponad bólem, trzymanie taty za rękę? Uznałam, że tak.

- Uśmiecha się - powiedział jakiś mężczyzna. Wujek Marcus? Usiłowałam otworzyć oczy, ale powieki miałam tak samo ciężkie jak ręce.

- Maggie?

Mama. To mama trzymała mnie za rękę. Przypomniałam sobie o fali. I że zgubiłam Andy'ego.

- Andy! - Otworzyłam oczy i spróbowałam wstać.

- Hej, hej! - Wujek Marcus przytrzymał mnie za ramiona i zmusił, żebym się położyła.

- Nie tak szybko, skarbie - powiedziała mama. Znajdowałam się w obcym białym pokoju. Po mojej prawej stronie stała mama, nadal trzymając mnie za rękę, po lewej - wujek Marcus, głaszczący mnie po głowie.

- Zgubiłam Andy'ego - wychrypiałam nieswoim głosem.

392

- Nic mu nie jest - uspokoiła mnie mama.

- Przepraszam! - Zaczęłam płakać. - Zginął mi w fali!

- Nic mu się nie stało, Mags - potwierdził wujek. - Nie płacz. Przyjdzie do ciebie później.

Szyja mnie bolała. Ten ból przebił się przez moje oszołomienie. Zrobiło mi się niedobrze. Przełknęłam ślinę. I znowu. To na pewno nie niebo.

- Jesteś w szpitalu na Cape Fear - wyjaśniła mama. - Zraniłaś się w kark. Pewnie bardzo boli.

Skinęłam głowę, nie otwierając oczu. Andy jest bezpieczny? Chyba by mnie nie okłamali w takiej sprawie?

- Boli przy oddychaniu? - spytała mama.

- Tak - szepnęłam.

- Nic ci nie będzie. Mieliście niewiarygodne szczęście.

- Czy Ben tu jest? - Znowu otworzyłam oczy, mrużąc je w rażącym słońcu. Nie obchodziło mnie, kto o nas wie. Chciałam, żeby był przy mnie.

- Nie - odpowiedział wujek. - Jestem tylko ja i twoja mama.

- Powiedziałaś, że tata was uratował - odezwała się mama. - Że wam pomagał. Co to znaczy, skarbie?

Znowu zamknęłam oczy. Przypomniałam sobie to wrażenie błęgiego spokoju, które mnie ogarnęło, gdy fala wyniosła mnie wysoko w powietrze, ale teraz oprzytomniałam na tyle, żeby wiedzieć, jak to zabrzmiało. W tej chwili nawet mnie wydawało się to idiotyczne. Musiałam to zachować dla siebie.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Mama zawahała się. Coś mi się zdawało, że nie zamierza skapitulować.

- No dobrze - powiedziała w końcu.

Nagle przypomniałam sobie, dlaczego się tu w ogóle znalazłam.

- Przesłuchanie! - zawołałam, znowu siadając. - Czy...

393

- Przeniesione na inny dzień. - Mama znowu położyła mnie na łóżku. - Nie myśl o tym.

Przypomniałam sobie o wyznaniu Andy'ego, że wyszedł z kościoła sprawdzić, czy spray zabił robaki.

- Muszę z kimś porozmawiać - oznajmiłam.

- Na razie musisz odpocząć. - Wujek Marcus pogłaskał mnie po rękę.

- Nie. Nie. Muszę porozmawiać z prawnikiem Andy'ego. Nie! Z policją. Natychmiast!

- Dali ci mnóstwo środków przeciwbólowych - tłumaczyła mama. - Nie pora na to.

- Pora! - uparłam się. - Trzeba było to zrobić wczoraj. W zeszłym tygodniu! W zeszłym miesiącu!

- Mags, co ty wygadujesz? - przestraszył się wujek Marcus.

Nie mogłam im powiedzieć. Powstrzymaliby mnie przed zrobieniem tego, co musiałam. Co powinnam zrobić już dawno.

- Jestem przytomna - zapewniłam. - Nie bredzę i muszę natychmiast porozmawiać z policją. -

Przeniosłam spojrzenie z mamy na wujka Marcusa. Oboje patrzyli na mnie, zbici z tropu. -

Natychmiast - oznajmiłam. - Musicie mi pozwolić, zanim stchórzę. Muszę im powiedzieć, co się naprawdę wydarzyło.

- Jak to „co się naprawdę wydarzyło”? - powtórzyła mama. Wyglądała, jakby postarzała się o tysiąc lat. - Andy coś ci mówił?

Bała się. Myślała, że powiem coś, co na pewno pogrzeje Andy'ego? Ciekawe, czy bałaby się tak samo, gdyby wiedziała, że to ja wyląduję w więzieniu.

- Naprawdę powinnaś wezwać prawnika - powtórzył wujek po raz dziesiąty, kiedy Flip Cates odczytał mi moje prawa. Wiedziałam, że poprosił o przyjazd Flipa, a nie tego dziwnego sierżanta Wooda, i to mnie cieszyło. Ale nie

zamierzałam marnować czasu. Już i tak czekałam godzinę na Flipa.

Pokręciłam głową - błąd. Lekarz powiedział, żebym nie ruszała głową, bo rana na szyi znowu się otworzy. Lekko dotknęłam bandaża. Kark mnie palił, całe ciało bolało, ale nie zgadzałam się przyjąć nowej dawki leków przeciwbólowych, dopóki nie porozmawiam z Flipem. Nie chciałam, żeby ktoś twierdził, że nie byłam w pełni przytomna, składając zeznania.

Mama wstała i sprawdziła mój bandaż.

- Nie krwawi. Może się jednak zastanowisz? Może pan Shartell porozmawia z tobą przez telefon, zanim coś powiesz?

- Mogę zaczekać - zapewnił Flip. Siedział na dawnym miejscu wujka Marcusa. Postawił magnetofon na stoliku. Wujek stał w nogach łóżka.

- Nie chcę z nim rozmawiać - powtórzyłam. Mama i wujek nękali mnie o tego prawnika, odkąd oświadczyłam, że zamierzam złożyć zeznania. - Zamota wszystko tak, że sama nie będę pewna, co mówię. Chcę opowiedzieć, co naprawdę wydarzyło się podczas pożaru.

Mama zaczęła okręcać na palcu obrączkę.

- Nie możesz kryć Andy'ego, kochanie. Zaskoczyła mnie.

- Nie kryję go. To on przez cały czas krył mnie, wcale o tym nie wiedząc. - Spojrzałam na Flipa. - Możemy już zacząć?

- Jasne - powiedział. - Chcesz, żebym ci zadawał pytania, czy wolisz mówić?

- Wolę mówić.

- Więc dobrze. - Pomajstrował przy magnetofonie, przysunął go do mnie. - Zaczynaj.

Wzięłam głęboki oddech i zaczęłam.

Kiedy kochasz kogoś naprawdę, kiedy cieszysz się jego radością i cierpisz, gdy on cierpi - to coś jednocześnie wspaniałego i strasznego. Tak było z Benem i ze mną. Byłam przy nim jak żywa, chodząca empatia. Wszystko w nim mnie zachwycało. Miał nieskończoną cierpliwość do dzieci z drużyny. Zawsze dopingował mojego braciszka. Wierzył w niego tak jak ja. Za to go pokochałam - a także za czułość i za to, że uwielbiał swoją córeczkę. Za to, że w straży pożarnej starał się dawać z siebie wszystko, choć go to przerażało i nie przychodziło mu łatwo.

- Kiedy byłem mały - powiedział mi pewnego razu, leżąc ze mną w łóżku w Morskim Strażniku - ojciec zamknął mnie za karę w schowku pod schodami. Zaczęłam się dusić. Spanikowałem. Waliłem pięściami w drzwi schowka, ale nikt nie przychodził.

Głaskałam jego rękę. Nie wyobrażałam sobie, że rodzice mogą się zachować tak okrutnie.

- Ale potem klaustrofobia nie dawała o sobie znać... aż do chwili, kiedy podczas treningu włożyłem aparat powietrzny. Całkiem jakbym znowu stał się tym pięcioletnim dzieckiem. Tak się czuję za każdym razem, kiedy go nakładam. Nie potrafię tego przewyciężyć. Wszystko inne opanowałem. Twój wujek mówi, żebyś dał sobie

396

czas, ale mnie się zdaje, że czas tylko pogarsza sytuację.

Zdumiewało mnie, że Ben mi się zwierza. Wyjawiał mi swoją tajemnicę. Poczułam, że ja też mogę mu zaufać. We wszystkim.

Parę tygodni później byłam w Jabeen's z Amber i z innymi dziewczynami - wtedy jeszcze z nimi wytrzymywałam. Przy sąsiednim stoliku siedzieli strażacy. Dwaj mężczyźni i kobieta.

Podniosłam głowę znad mojej latte i zobaczyłam stojącego w drzwiach Bena. Skinął mi głową; odpowiedziałam tym samym. Mieliśmy wprawę w udawaniu, że nie łączy nas nic oprócz pracy.

- Cześć - rzucił Ben do strażaków i podszedł do lady, za którą stała Sara.

- Cześć - odpowiedzieli.

Zamówił kawę na wynos. Amber paplała o Travisie, ale jej słowa zlewały mi się w jednostajny szum. Za bardzo skupiłam się na Benie, jednocześnie udając, że wcale na niego nie zwracam uwagi.

Kiedy wyszedł, strażacy parsknęli śmiechem. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że śmieją się z niego.

- Cykor - rzucił jeden.

Policzki mi zapłonęły, a serce zabolowało - całkiem jakby pękło.

- Mówiłam Marcusowi, że w życiu nie będę pracować z tym zetenem - powiedziała kobieta. - W zeszłym tygodniu zostawił mnie samą w tym magazynie. Hiperwentylacji dostał, idiota.

Zeten - zaszary nowy. Za dobrze znałam strażacki żargon.

- A Travis powiedział, że jeśli kiedykolwiek zobaczy, jak Marty mnie dotyka, to go wykastruje - gęgała Amber.

- Jak ktoś nie wytrzyma - mówił strażak - to niech się nie pcha w ogień.

397

- No pewnie - dodał drugi. - Nie pozwolę mu leżeć ze mną do pożaru.

- Ćśśś! - Kobieta zniżyła głos. - Jego dziewczyna tu pracuje.

- Dawn? Nie dzisiaj.

Jego dziewczyna siedzi tuż za tobą, debilu, pomyślałam.

Ben powiedział mi, że strażacy żartują z niego z powodu jego problemu z aparatem, ale to było coś więcej niż żarty. To było okrucieństwo.

Nie powtórzyłam Benowi tego, co usłyszałam. Niektóre dziewczyny straciłyby trochę szacunku do swojego chłopca, gdyby usłyszały o nim coś takiego. Ja tylko zapragnęłam bardziej mu pomagać. Przynieść mu ukojenie.

Ben powiedział, że walczy ze swoją klaustrofobią. Miał w domu sprzęt do ćwiczeń, a trenując, nakładał czasem aparat powietrzny, żeby się z nim oswoić. Pojechał do Waszyngtonu, żeby wziąć udział w kursie korzystania z takich aparatów. Robił ćwiczenia spowalniające oddech: pięć sekund wdechu, pięć sekund wydechu. Chciałam, żeby ci strażacy, którzy tak z niego kpili, dowiedzieli się o jego poświęceniu.

- Jestem gotowy - powiedział mi Ben pewnej nocy, kiedy leżeliśmy na plaży. Była to jedna z tych dziwnie ciepłych nocy, które nie wiadomo czemu zdarzają się w zimie. Kochaliśmy się, a teraz leżeliśmy spleceni ze sobą i przykryci kocem. - Powiedziałem Marcusowi, że mogę to zrobić. Nie wiem tylko, czy mi uwierzył. Potrzebuję szansy, żeby udowodnić, co potrafię.

Minęło parę tygodni bez pożaru, w którym mógłby użyć aparatu powietrznego. I parę kolejnych. Wiedziałam, że inni ochotnicy nadal traktują go chłodno. Lekceważą go. Ben cierpiał, a ja zaczęłam niektórych nienawidzić.

Pewnego dnia w marcu zadzwonił do mnie, zdenerwowany, bo kiedy poszedł pod prysznic, ktoś ukraść mu pager.

398

Ten ktoś zostawił karteczkę z wiadomością: „Zabieramy twój pager w samoobronie”.

- Zastanawiam się, czy nie odejść - powiedział przez telefon.

- Co to znaczy? - Niestety, wiedziałam. Byłam w samochodzie, zbliżałam się do jedynych świateł w Surf City i skręciłam w lewo na czerwonym. Zauważyłam to dopiero po paru sekundach.

- Mógłbym wrócić do Charlotte - oznajmił. - Mieszkałbym bliżej córki. Wstąpię do straży pożarnej tam, gdzie mogę zacząć od nowa. Kocham plażę, ale te szykany zaczynają mnie dobijać.

-Nie wyjeżdżaj! - Mnie też ogarnęła panika. Wdepnęłam hamulec i zjechałam na pobocze, żeby się skupić na rozmowie. Umarłabym, gdyby mnie zostawił.

- Wiem - powiedział. - Nie chciałbym cię zostawić. Jesteś najlepszym, co mi się przytrafiło.

- Więc nie wyjeżdżaj! - Zaczęłam się zastanawiać, czy mogłabym się jeszcze przenieść na uniwersytet w Charlotte. Ale to za daleko. Za daleko od Andy'ego.

- Przez parę tygodni nie podejmę jeszcze decyzji - oznajmił z westchnieniem. Miał zmęczony głos. - Zobaczę, jak się skończy ten bajzel. Chciałem ci tylko powiedzieć, co mi chodzi po głowie.

Dlatego znalazłam sposób, żeby znaleźć zakończenie bajzlu. Kościół Drury Memoriał, który za parę lat zamierzano zbudować na nowo, był i tak przeznaczony do rozbiórki, więc co za problem, jeśli się

spali? W głębi duszy wiedziałam, że to przestępstwo. Ale przecież nikt nie zginie. Można by nawet uznać, że w ten sposób pomogę wielebnemu Billowi w szybszej budowie nowej świątyni. A Ben miałby okazję do zabłyśnięcia.

Ben powiedział mi o kościele, który spłonął w Wilming-tonie. Pamiętałam, że podpalacz użył mieszanki benzyny i oleju i że jeszcze nie został złapany. Doszłam do wniosku,

399

że jeśli użyję tej samej mieszanki, policja przypisze podpalenie jemu.

Nie wiedziałam, ile paliwa potrzebuję ani jak je zdobyć, nie zwracając na siebie uwagi. Kupiłam w supermarkecie dwa duże plastikowe kanistry. Potem, parę nocy przed planowanym podpaleniem, pojechałam na dwie różne stacje benzynowe pod Wilmingtonem, gdzie nikt mnie nie znał. Kupiłam benzynę na jednej, a olej na drugiej. Nikt nie powiedział mi nawet słowa. Schowałam kanistry do bagażnika.

Czekałam na odpowiedni moment. Wiedziałam, że w sobotnią noc Ben idzie na kolację z paroma chłopakami do Daddy Maca nieopodal remizy. W razie wezwania zjawiłby się szybko i znalazłby się w pierwszym samochodzie. Byłam gotowa. Ale musiałam dobrze wybrać czas, zaczekać do zmroku, żeby nikt nie zobaczył, jak rozlewam paliwo, a jednocześnie nie zwlekać tak długo, by Ben wrócił już do domu. Sądziłam, że sobie poradzę. Podchodziłam do tego zagadnienia spokojnie.

Potem mama poprosiła, żebym zawiozła Andy'ego na zamkniętą zabawę.

- Jadę uczyć się z Amber - powiedziałam, wkładając talerze do zmywarki. Rzeczywiście, zamierzałam pojechać do Amber natychmiast po podłożeniu ognia. W ten sposób zyskiwałam alibi - gdybym go potrzebowała.

- Możesz podrzucić Andy'ego po drodze - odparła mama. - Muszę popracować nad przemową.

- To nie po drodze - sprzeciwiłam się. Szczerze mówiąc, kompletnie zapomniałam o tej zabawie, choć to ja namówiłam mamę, żeby puściła na nią Andy'ego. Czy naprawdę chciałam spalić kościół położony w pobliżu klubu młodzieżowego, w którym będą się bawić dzieci? Nie bałam się, że klub się zajmie ogniem, stał wystarczająco daleko. Nie chciałam przestraszyć dzieci - zwłaszcza Andy'ego. Ale wszystko już tak dobrze zaplanowałam. I kto wie, czy Ben w końcu nie zdecydowałby się wrócić do Charlotte?

- Wezmę go - mruknęłam.

Ale ta nagła zmiana planu wytrąciła mnie z równowagi. Jakiś kwadrans po siódmej zadzwoniłam na komórkę Bena.

- Cześć. - Starłam się mówić normalnym tonem. W tle słyszałam odgłosy restauracji. Rozmowy. Brzęk szklanek.

- Cześć - powiedział. - Co tam?

- Nadal jesteś w Daddy Macu?

- Aha. A ty?

- W domu. Zaraz jadę uczyć się do Amber. Będziesz mógł później porozmawiać?

- Chyba tak. Zadzwoń?

Usiłowałam jakoś dyskretnie wybać go, jak długo będzie jeszcze siedział w Daddy Macu. Nie znalazłam innego sposobu niż pytanie wprost.

- O której stamtąd wyjdiesz?

- Pewnie posiedzę jeszcze jakieś czterdzieści minut. Może godzinę. Bo co?

- Tak pytam. - Miałam niewiele czasu. - Dobrze, jedź spokojnie. Na razie?

- Na razie.

Rozłączyłam się. Głowa mi pękała. To się nie uda! Zabawa zacznie się dopiero o ósmej. Zanim podpalę kościół, Ben pewnie już wróci do domu. Będę musiała podzucić Andy'ego wcześniej. To jedyny sposób.

Przywiozłam Andy'ego do klubu młodzieżowego tak wcześnie, że nie było w nim jeszcze nikogo.

- Nie możesz mnie tu zostawić, skoro nikogo nie ma!

- krzyknął, kiedy kazałam mu wysiąść.

- W środku widzę dorosłego - oznajmiłam, trącając go. Przez okno widziałam odwróconego do nas plecami pana Egg-lesa. Poznałam go po kucyku. - Śmiało. Poradzisz sobie.

- Nie wyjdę, dopóki nie przyjdą dzieci, koniec i kropka.

- Andy założył ręce na piersi.

400

401

Nie miałam czasu się z nim kłócić. Nie mogłam podłożyć ognia, mając w samochodzie Andy'ego, więc postanowiłam rozlać paliwo, odwieźć Andy'ego do klubu młodzieżowego, potem wrócić i rzucić zapałkę. Miałam nadzieję, że Ben zostanie w Daddy Macu tak długo, jak zapowiadał. Jeśli nie znajdzie się w pierwszym samochodzie, ogień zgaśnie, zanim dojedzie drugi.

Skręciłam za kościołem i wyłączyłam silnik.

- Zostań tutaj - poleciłam. - Muszę rozlać wokół kościoła środek owadobójczy. Mają tu robaki i prosili...

- Jakie robaki?

- Nie wiem. - Sięgnęłam do klamki. - Zostań.

- Mrówki? Czy pszczoły? Czy takie mrówki egipskiego faraona, co mieliśmy koło tarasu?

- Faraona. -Co?

- Mrówki faraona. Bez „egipskiego”.

- To karaluchy?

- Różne robaki!

- Pomogę ci. - Zaczął wysiadać z samochodu.

- Nie! - Pot spływał mi po plecach. - Zostań tutaj. I słuchaj. - Chwyciłam go za ramię i odwróciłam do siebie.

- To tajemnica. Osoba, która prosiła mnie o rozlanie tego środka, powiedziała, żebym o nim nikomu nie mówiła, bo ludzie, którzy chodzą do kościoła, przestraszyliby się robaków.

- Ale robaki są ciekawe! - zaprotestował Andy. Otworzył drzwi i wyskoczył, zanim zdołałam coś powiedzieć.

- Chcę pomóc.

Wolałam mu pozwolić, niż się z nim użerać. Otworzyłam bagażnik i wyjęłam dwa kanistry. Ręce tak mi się trzęsły, że płyn chlupotał w pojemnikach. Przyniosłam lateksowe rękawice, żeby nie zostawić odcisków palców, ale tylko jedną parę. Dałam Andy'emu chusteczki, przez które miał trzymać drugi kanister.

- Bardzo uważaj i nie dotykaj go palcami - szepnęłam, choć nikogo nie było w pobliżu. - Środkiem owadobójczym można się zatruć.

- Wiem. Choć nie jestem robakiem.

- Właśnie.

Ruszyliśmy w stronę kościoła. Miałam na nogach klapki, bo chciałam je wyrzucić na wypadek, gdybym zostawiła ślady. Nie myślałam o butach Andy'ego. Nie myślałam, kropka.

- Ty lej z tej strony, tuż pod ścianą, dobrze? Nie zostawiaj ani centymetra wolnego miejsca. Ja zajmę się drugą stroną.

- Ani centymetra - powtórzył.

-I pamiętaj, nie dotykaj pojemnika. I uważaj, żeby się nie ochlapać.

Cała się trzęsłam. Zaczęłam rozlewać płyn. Było ciemno, ale wiedziałam, że pod nogami mam suche sosnowe igły. Zajmą się ogniem natychmiast, gdy padnie na nie zapałka. Zapach paliwa był tak mocny, że odwróciłam głowę i wstrzymałam oddech. Robiłam przerwy, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, i znowu wracałam do pracy. Tak obeszłam moją stronę kościoła. Miałam nadzieję, że Andy nie zemdleł.

Klimatyzator znajdował się pod ścianą budynku, tak blisko, że nie udało mi się za nim połać. Trudno. Przy tej ilości igliwia parę centymetrów wolnych od benzyny nie zrobi większej różnicy.

W chwili, gdy skończyłam, Andy wyłonił się zza rogu kościoła.

- Nie ma już płynu - zaraportował.

- U mnie też.

Wróciliśmy do samochodu. Dzięki Bogu, ten etap miałam już za sobą! Wrzuciłam kanistry do wielkiego worka na śmieci, który ze sobą przywiozłam. Miałam też sandały na zmianę. Włożyłam je, zanim wsiadłam.

402

403

Andy wskoczył na swoje miejsce.

- Dobrze. - Usiłowałam mówić radosnym tonem. - Gotowy na pierwszą zamkniętą zabawę?

- Jeśli są już inni.

- Na pewno są. - Przynajmniej ci, którzy się pośpieszyli. - Pamiętaj, co ci powiedziałam o płynie owadobójczym - dodałam, odjeżdżając.

-Co?

- Co powiedziałam o rozmawianiu o nim?

- To tajemnica. Bo ludzie by się przestraszyli.

- Wspaniale!

W budynku klubu młodzieżowego były już inne dzieci. Andy zauważył Emily Carmichael i natychmiast zapomniał o nieśmiałości. Wyskoczył z samochodu, nawet się ze mną nie żegnając.

Wróciłam pod kościół, ale siedziałam tylko w samochodzie z pudełkiem zapalek na kolanach. Mogę to zrobić, powtarzałam sobie. I tak mają zburzyć ten budynek. Pomyślałam o starych domach, które strażacy czasem podpalali, żeby szkolić nowicjuszy. Czy to coś innego?

Uznałam, że pojedę do Daddy Maca, żeby się upewnić, że furgonetka Bena nadal stoi na parkingu. Grałam na zwłokę, ale wmówiłam sobie, że lepiej się upewnić.

Biała furgonetka stała dokładnie przed wejściem restauracji. Poczułam rozczarowanie. Aż do tej pory nie uświadamiałam sobie, że chcę, żeby jej nie było, bo to by mnie uratowało przed tym szaleństwem. Ale była, a ja zobaczyłam w wyobraźni wszystko, co się wydarzy. Wybuchający ogień. Ktoś wzywający strażaków. Ben sięgający po pager. Ben biegnący ulicą do remizy, wskakujący do samochodu. Rozgorączkowany. Trochę przestraszony, ale gotowy pokazać chłopakom, że jest już jednym z nich. Że mogą mu zaufać.

Jechałam do kościoła, widząc przed oczami coś jakby film. Postanowiłam zaparkować pod Jabeer's, którą

404

zamykano o szóstej. Mogłam stąd przejść do kościoła, podpalić go i niezauważona przez nikogo uciec w ciemnościach.

Wysiadłam z samochodu i wrzuciłam worek z kanistrami i klapkami do kubła za kawiarnią. Potem dotarło do mnie, że jeśli ktoś znajdzie kanistry, znajdzie też moje buty, więc sięgnęłam do kubła, wyjęłam worek i wytrząsnęłam z niego kanistry. Klapki i zmięty worek włożyłam do kosza przed kawiarnią.

Ruszyłam do kościoła, ale nagle zobaczyłam tłum dzieci wokół domu młodzieży, w którym nie świeciło się ani jedno okno. Co się dzieje? Schowałam zapałki do kieszeni kurtki i poszłam do nich. Dzieciaki szły w moją stronę. Nie wiedziałam, co robić. Znalazłam Andy'ego i odciągnęłam go na bok.

- Co się stało? - spytałam.

- Zgasło światło - wyjaśnił. - Idziemy do kościoła. Nie do wiary, jaką ulgę poczułam! Od czubka głowy po palce u stóp. Nie musiałam tego robić! Nie mogłabym, nawet gdybym chciała. Całkiem jakby jakaś wariatka obmyśliła cały ten plan i spodziewała się, że go za nią wykonam. Byłam wolna!

Pobiegłam do samochodu i ruszyłam w stronę domu Amber, ale nagle zrobiło mi się niedobrze. Zjechałam pod opuszczony dom, otworzyłam drzwiczki i zwymiotowałam w piasek.

Potem zrozumiałam, dokąd chcę pojechać. Potrzebowałam taty, nie Amber.

Pojechałam do Morskiego Strażnika.

94

56

Płakałam tak strasznie, że nie mogłam zaczerpnąć tchu. Kiedy Maggie mówiła, chciałam wyjść, żeby nie widziała, jak się rozsypuję. A jednocześnie chciałam ją chwycić w ramiona i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Postanowiłam zostać, bo kiedy opowiadała tę historię, w głowie tłukła mi się jedna myśl: gdzie była matka tej dziewczyny?

Jak mogłam przeoczyć wszystkie oznaki? Jak mogłam nie zauważyć, że Maggie wymyka się z domu w środku nocy? Ze rzadko jest tam, gdzie mi mówi? Że nie tylko naraża się na niebezpieczeństwo, ale że jest niebezpieczna? Gdzie ja wtedy byłam?

Oczywiście, znałam odpowiedź. Byłam z Andym. Zostawiłam Maggie samej sobie, tak jak po jej narodzinach. Wytarłam dłonią policzki.

- Mówisz, że czułaś się rozdwojona? - spytał Marcus, kiedy Maggie przestała mówić. - Że była ta wariatka i ty?

- Jak w rozdwojeniu jaźni? - Maggie skuliła się i założyła ręce na piersi, jakby było jej zimno. - Nie. To byłam ja.

Flip, Marcus i ja wymieniliśmy spojrzenia. Wiedziałam, że myślimy to samo. Flip wypowiedział to na głos.

- Ale w końcu podłożyłaś ogień, tak?

-Nie! - Maggie chciała pokręcić głową, ale przypomniała sobie o ranie na karku. - Właśnie to usiłuję wyjaśnić - dodała, dotykając bandaża. - Kiedy zrozumiałam, że w kościele będą dzieci, zrezygnowałam z planu. . Nigdy bym nie podpaliła budynku z ludźmi!

Flip jej nie uwierzył. Nie zmienił wyrazu twarzy, ale zdradziło go martwe spojrzenie.

Sięgnęłam po rękę Maggie, wydobyłam ją spod zaciśniętego ramienia. Była zimna; ujęłam tę rękę w dłonie, żeby ją ogrzać. Pamiętałam, jak Maggie trzymała mnie za rękę, gdy jechaliśmy po pożarze do szpitala. Jak nie chciała mnie puścić. I przypomniałam sobie jej szok - prawdziwy szok - kiedy powiedziałam jej przez telefon, że kościół płonie.

- Więc po rozmowie z Andym pojechałaś prosto do Morskiego Strażnika? - spytał Flip.

- Tak. I zadzwoniłam do mamy, żeby jej powiedzieć, że zabawa została przeniesiona do kościoła.

Flip spojrzał na mnie.

- Tak - potwierdziłam. - Ale byłaś wtedy u Amber, prawda?

- Tak myślałaś, ale nie byłam u niej.

- Pamiętasz, żebyś słyszała coś w tle, kiedy Maggie do ciebie dzwoniła?

- Nie. - Pracowałam nad przemówieniem na zebranie związku nauczycieli i nie zapamiętałam nic z wyjątkiem informacji o przeniesieniu zabawy. To mnie zmartwiło, bo taka zmiana mogła wytrącić Andy'ego z równowagi.

- Co zrobiłaś w Morskim Strażniku? - spytał Marcus.

Maggie spojrzała na kołdrę, otulającą jej stopę z zabandażowanym palcem - jedynym prawdziwym obrażeniem. Wolną ręką odgarnęła nieistniejący lok z czoła. Miałam wrażenie, że gra na zwłokę.

- Przez chwilę siedziałam na tarasie. Byłam... czułam się jakbym uniknęła katastrofy.

- Ktoś cię tam widział?

- No wiesz. To marzec. Domki stały puste. Flip poruszył się, zakładając ręce na piersi.

406

407

- To jak wybuchł ogień?

- Nie wiem. - W oczach Maggie stanęły łzy. - Naprawdę. Wiem tylko, że nie ja go podłożyłam. Ani Andy.

- Zróbmy sobie przerwę - poprosił Marcus. Odetchnęłam. Maggie zachowywała się spokojnie i odważnie przez całą godzinę, ale teraz zaczęła tracić nad sobą panowanie. Ja też nie trzymałam się za dobrze.

Flip wyłączył magnetofon i wstał.

- Dobry pomysł. Chętnie wypiję kawę.

- Pójdę z tobą. - Marcus wstał. - W porządku, Maggie?

Skinęła głową, nie patrząc na niego. Nie patrzyła na nikogo.

- Idziesz z nami, Laurel? - spytał Marcus. Pewnie chciał, żebyśmy wspólnie przedyskutowali sytuację, ale nie zamierzałam wyjść.

Pokręciłam głową, nadal trzymając Maggie za rękę.

- Zostanę tutaj.

Kiedy wyszli, Maggie rozplakała się na dobre.

- Cśśś - szepnęłam. - Wiem.

- Ale tak mi ulżyło! Tak mi... powinnam była powiedzieć prawdę natychmiast, gdy ludzie zaczęli podejrzewać Andy'ego.

Powinna. Ale tego nie zrobiła.

- Powiedziałaś teraz. I to się liczy.

- Jest jeszcze coś. Nie takie ważne. To znaczy ważne, ale nie aż tak. Nie jak pożar. I ma znaczenie tylko dla ciebie. Chodzi o Morskiego Strażnika.

- Wiem, że spotykałaś się tam z Benem.

- To nie to. Jeździłam tam, odkąd zrobiłam prawo jazdy. Tymczasowe. Jeździłam tam sama. Nie z... chłopcem.

- Dlaczego? - Przypomniałam sobie, że - według Dawn - paliła marihuanę. Jeździła tam, żeby brać narkotyki?

- Pomyślisz, że oszalałam. Albo że oszalałam bardziej, niż sądziłaś.

- Nie sądzę, żebyś oszalała.

- Czułam tam bliskość taty. Czasami siadywałam nocą na tarasie, zamykałam oczy i nagle miałam wrażenie, że jest przy mnie. Jak duch.

Przeszedł mnie dreszcz. Niemal poczułam, że Jamie znajduje się z nami.

- Myślisz, że zwariowałam?

- Jeśli tak, to szaleństwo musi być dziedziczne, bo czasem śniło mi się, że... tata przychodzi do mnie.

Otworzyła szeroko swoje śliczne brązowe oczy.

- Naprawdę? Myślisz, że to on?

- Nie mam pojęcia. Myślę, że odcisnął ślad na nas obu

- oczywiście w różny sposób - i obie mamy potrzebę, by utrzymywać z nim kontakt.

Nagle przestała płakać i spojrzała mi prosto w oczy.

- Przepraszam, że tak ci powiedziałam o tacie i Sarze. To było podłe.

- To mnie zabolalo - przyznałam, choć wydawało mi się, że tamten cios padł dawno temu. Zagłuszył go nowszy ból.

- Ale zrozumiałam, co musisz czuć z powodu Bena.

Odwróciła się w stronę okna. W jej oczach zobaczyłam prostokątne odbicia światła.

- Gdyby mu na mnie zależało, byłby tutaj. W szpitalu. Prawda?

Pomyślałam, że nawet jeśli Benowi na niej zależy, postępuje mądrze, trzymając się z dala ode mnie i Marcusa.

- Pewnie tak - potwierdziłam.

- Myślisz, że Ben naprawdę był... no wiesz, z Dawn... w tym samym czasie, kiedy spotykał się ze mną?

- Tak, skarbie. - Przypomniałam sobie Dawn, kiedy wyszła z salonu, otulając długie nogi atłasowym szlafrocikiem. „Kto to, Benny?”

- Tak mu ufałam. I tak go kochałam. Nadal Kocham.

- Wiem, że to boli. Znowu spojrzała na mnie.

408

409

- Nie jesteś wściekła na Sarę?

Westchnęłam. Byłam. Ale z tym musiałam sobie poradzić sama.

- To się zdarzyło tak dawno... I ja też popełniłam dawno temu rzeczy których żałuję.

- Piłaś.

- To na pewno. Ale także inne rzeczy. Zdaje się, że w młodości wszyscy robimy rzeczy, których potem żałujemy. Sara i ja tak długo się przyjaźniłyśmy. Mam nadzieję, że znajdziemy jakiś sposób, żeby zapomnieć o urazach. - Pomyślałam o stanie Keitha. Czy Sara zdoła kiedykolwiek przebaczyć mojej córce? Nie wiem, czy na jej miejscu bym to zrobiła.

- Mamo, jak mnie to boli! - pożałowała się. - Chciałabym to wszystko wymazać. Pożar. Bena. Wszystko!

- Ja też chciałabym móc wytrzeć te wspomnienia. Ale wiesz, co kiedyś powiedział mi twój ojciec?

-Co?

- Wiesz, że straciłam rodziców w dzieciństwie, a potem wujek i ciotka się ode mnie odwrócili, prawda?

-Tak.

- Staralam się o tym nie myśleć, zwłaszcza o rodzicach. Żeby móc dalej żyć. Nie oglądać się za siebie. A kiedy powiedziałam o tym twojemu tacie, on mi wyjaśnił, że jeśli nie myślisz o tym, co straciłaś, to może wrócić, żeby cię ugryźć.

- Ugryźć? - powtórzyła Maggie z uśmiechem. - To jego słowa?

- Tak, i nigdy o nich nie zapomniałam, choć nie zawsze szłam za jego radą. Chodziło mu o to, że czasem musisz przejść przez ból.

-I myślałaś o nich? O rodzicach?

- Nie. Dopiero na odwyku. Wtedy wylałam za nimi morze łez. Ale dowiedziałam się, że to nie tak, że rozprawiasz się ze swoimi nieszczęściami i jesteś już wolna. Życie ciągle cię nimi bombarduje, a ty musisz się nauczyć, jak sobie

z tym radzić. Jak iść dalej. Ben nie jest ostatnim mężczyzną, który złamie ci serce, skarbie. Ale przeżyjesz też wspaniałe chwile, które wynagrodzą ci trudne czasy.

W oczach stanęły mi łzy na myśl o tych czekających ją trudnych czasach. A ona wszystko rozumiała.

- Andy będzie miał to przesłuchanie?

- Nie wiem, jakie są zasady. Ale nie pójdzie do więzienia.

- A ja tak, co? - To nie było pytanie.

- Znajdę ci doskonałego prawnika. I będę przez cały czas u twego boku. - Przez piętnaście lat robiłam wszystko dla jej brata. Teraz - w końcu - zamierzałam zrobić wszystko także dla niej. - Przepraszam, że nie byłam dla ciebie lepszą matką. Byłaś taka zaradna, a Andy tak bezradny, że czasem zapomniałam, iż potrzebujesz mnie tak samo, jak on.

- Nie potrzebowałam - powiedziała. - Ale teraz cię potrzebuję. - Oblizła wargi i spojrzała mi prosto w oczy. - Wiem, że to wygląda, jakbym podłożyła ogień. Widzę, że Flip mi nie uwierzył.

- Nie, chyba nie. Ale ja ci wierzę. -Tak?

Uśmiechnęłam się.

- W stu procentach, kochanie.

Tak wielu rzeczy nie wiedziałam o swojej córce. Na tym etapie mogłam mieć tylko nadzieję, że nie podpaliłaby kościoła, w którym znajdowały się dzieci. Ale jednego byłam absolutnie pewna: nie podpaliłaby kościoła, w którym znajdował się Andy.

Znowu znajdowałem się w szpitalnym pokoju, w którym było gorąco jak w piekle. Pojechałem do Chapel Hill, żeby powiedzieć Sarze o Maggie; nie chciałem jej tego mówić przez telefon. Nie czułem się swobodnie, mówiąc w obecności Keitha, ale doszedłem do wniosku, że ma prawo wiedzieć. Może nawet większe niż ktokolwiek z nas. Nie chciałem tylko być świadkiem jego gniewu. I tak był już wściekły, kiedy sądził, że to Andy podłożył ogień. A jeśli się dowie, że to Maggie, której nie usprawiedliwia uposzczenie umysłowe... no, wtedy chciałem być gdzieś indziej.

Ale stanąłem przed nim, kiedy Sara poprawiała mu wielki opatrunek na lewej stronie twarzy.

- Maggie miała romans z Benem Trippettem - zacząłem.

- Nie - zaprotestowała Sara, jakbym nie wiedział, co mówię. - Ben jest z Dawn.

- Wygląda na to, że kręcił z obiema.

- O nie. - Sara usiadła przy łóżku Keitha. - Biedna Dawn.

- Maggie nie wiedziała, że oni są ze sobą - ująłem się za swoją bratanicą. Coś mi mówiło, że to nie ostatni raz. - Powiedział jej, że zerwali.

Sara zmarszczyła brwi.

- Straszne. A ja myślałam, że Ben jest taki miły.

- Dlaczego mówimy o żalonym życiu miłosnym Maggie? - wymamrotał Keith. Mrużył prawe oko i wydawało mi się, że cierpi. Zmarszczone czoło. Głęboka zmarszczka na łuszczącej się czerwonej skórze między brwiami.

Zacząłem im wyjaśniać, że strażacy kpili z klaustrofobii Bena. Że Maggie chciała mu pomóc, bo bała się, że w przeciwnym razie Ben wyjedzie z miasta. Mówiłem to wszystko bez emocji, bo czułem się niczym po potężnej dawce no-wokainy. Cały zdrętwiałem. Nawet moje płuca nie działały jak należy. Z trudem tłoczyłem w nie powietrze. Nadal nie umiałem pojąć, że Maggie naprawdę to zrobiła.

Sara chyba też. Wciąż nie rozumiała.

- Ale co to ma wspólnego z pożarem? - spytała. Przesząpiłem z jednej odrętwiałej stopy na drugą. Założyłem ręce na piersi.

- Ben uznał, że już opanował klaustrofobię, ale musiał to udowodnić, więc potrzebował pożaru. I...

- Chyba nie twierdzisz, że to Maggie podłożyła ogień? - obruszyła się Sara.

Przytaknąłem.

- Przyznała się. Ale nie wiedziała, że w kościele będą dzieci - dodałem szybko. - Pamiętacie, zabawa miała się odbyć...

- Nie wierzę i już! - przerwała mi Sara. - Maggie by czegoś takiego nie zrobiła! A może kłamie, żeby bronić Bena? Może to on podłożył ogień, a ona bierze winę na siebie?

- Maggie chciała mu pomóc - powtórzyłem. - Tak bardzo... się nim zauroczyła. Oszalała na jego punkcie. Nie myślała przysięgi.

Sara pobladła. Zasłoniła usta, jakby powstrzymywała krzyk.

- Rozlała paliwo wokół kościoła - ciągnąłem. - Andy jej pomagał, bo... to długa historia, ale nie wiedział, co robi. W ten sposób odciski jego palców znalazły się na kanistrze.

412

413

- Boże - prawie szepnęła Sara. - Po prostu nie mogę sobie tego wyobrazić. Mała panna mądralińska. Jak mogła skrzywdzić tyle osób?

Ja też nie potrafiłem sobie tego wyobrazić, a jednak wszystkie elementy opowieści Maggie pasowały do siebie jak kawałki układanki. Wszystko z wyjątkiem stwierdzenia, że nie podłożyła ognia. Całkiem jakby znalazła w Internecie odpowiedni paragraf kodeksu i dowiedziała się, że jeśli nie podłoży ognia, kara nie będzie tak wysoka. Przepytowałem ją do znudzenia, usiłowałem ją zmusić do wyznania prawdy, ale na próżno. Wierzyłem jej, bo to była ona. I nie wierzyłem jej, bo ta część jej historii po prostu nie trzymała się kupy.

- Ona nie chciała nikogo skrzywdzić.

- Jak możesz tak mówić? Spaliła kościół! - Sara odzyskała wreszcie głos, a wraz z nim - gniew. Bładość znikła z jej twarzy. Na policzki wystąpiły czerwone plamy. Wiedziała, że w ułamku sekundy zapomniała, że kochała Maggie, i zaczęła ją nienawidzić. - Zabiła ludzi!

- Przysięga, że nie podłożyła ognia. Powiedziała, że kiedy zobaczyła, iż zabawa przeniosła się do kościoła, zrezygnowała z planu.

- Jasne - warknęła Sara. - Samozapłon.

- Wiem. Sam tego nie rozumiem.

Keith milczał; kiedy na niego spojrzałem, zobaczyłem łzy płynące po jego nieobandażowanym policzku.

- Dziecko! - Sara pochyliła się nad nim i wytarła mu twarz chusteczką. - Kochanie!

- Myślałem, że to przeze mnie - prawie wyszlochał Keith. - Myślałem, że to moja wina.

- Jak to? - przestraszyła się Sara. - Jak to „twoja wina”?

Łapał oddech przez parę minut.

- Wyszedłem na ganek kościoła, żeby zapalić. Kiedy rzuciłem zapałkę na ziemię, buchnęły płomienie. Ogromne.

Odcięty mi drogę, więc wróciłem i znalazłem się w pułapce, jak wszyscy. Myślałem, że to moja wina.

- Synku... - Sara usiłowała otoczyć ramieniem jego drżące ramiona. Jego ramiona i ręce pokrywały tak grube warstwy bandaży, że pewnie czuła się, jakby obejmowała kłodę drewna. Przytuliła twarz do jego policzka. Ich łzy mieszały się ze sobą. - Moje biedne dzieciątko... Cały czas myślałeś, że to przez ciebie? To nie twoja wina, skarbie. Nie twoja wina!

Stałem jak sparaliżowany, a słowa Keitha powoli do mnie docierały. Czasami ulga wsącza się w człowieka jak strużka ciurkająca z kranu. Innym razem zwała się na niego jak fala. We mnie uderzył cały przyptyw. Oczy mnie zapiekły. Nagle odzyskałem czucie w rękach. I nogach. Płuca zaczęły tłoczyć powietrze. Serce biło jak dzwon.

Maggie mówiła prawdę! W tym cholernym bajzlu nie było się z czego cieszyć, ale wtedy miałem ochotę krzyknąć z radości.

Z furgonetki zadzwoniłem do Flipa i powiedziałem, żeby ktoś pojechał do Chapel Hill spisać zeznanie Keitha. Potem dodałem gazu. Chciałem jak najszybciej wrócić do szpitala na Cape Fear, do Laurel i Maggie. Do Andy'ego. A potem się zobaczy, co dalej.

Ludzie pytają, dlaczego sobie nie ułożyłem życia. Nie założyłem rodziny.

- To nie dla mnie - mówiłem. Albo: - Nie spotkałem odpowiedniej kobiety.

Umawiałem się z wieloma dziewczynami. Miałem wiele jednonocnych romansów. Kilka trzymiesięcznych związków. Parę półrocznych. Dwa przetrwały rok. Ale istniał jeden powód, dla którego nigdy się nie ustatkowałem. Nie założyłem rodziny.

Ja już mam rodzinę.

414

Siedzę na ławce nad basenem i czekam na swoją kolej. Już nie lubię tak bardzo pływać, jak kiedyś. Teraz, gdy straciłem odruch Moro, nie wygrywam tak często, ale mama mówi, że muszę chodzić na treningi do Gwiazdki. Potem mogę zrezygnować. Nasza nowa trenerka nazywa się KiKi. Ben wyjechał do żony w Charlotte. Początkowo płakałem, tak bardzo za nim tęskniłem, ale teraz nawet nie pamiętam, jak wyglądał. Mama mówi, że zdenerwowałem się, bo wyjechał zaraz po Maggie. Straciłem jednocześnie dwie osoby.

Podoba mi się nowa dziewczynka w naszej drużynie, więc przyglądam się, jak pływa motylkiem, co wychodzi jej lepiej niż nam wszystkim. Wujek Marcus mówi, że teraz, gdy dorastam, muszę jeszcze bardziej szanować cudzą przestrzeń osobistą. Ale on jej wcale nie szanuje. Na przykład w tej chwili siedzi obok mamy i obejmuje ją ramieniem. Czasami się całują. Kiedy zrobili to po raz pierwszy, powiedziałem: „Błę! Co wy robicie?”. Mama oznajmiła, że powinienem się do tego przyzwyczaić, bo teraz będzie więcej całowania. Ale miała na myśli siebie i wujka, nie mnie. Mnie nie wolno całować nikogo spoza rodziny.

417

Widuję się z Maggie co miesiąc. Lubię się z nią spotykać, ale nie w więzieniu, bo tam jest dużo strasznych ludzi. Na przykład ta pani z wytatuowanym na szyi pająkiem. Maggie nie powinna się z nią

spotykać. Maggie to najlepszy człowiek na świecie i nie rozumiem, dlaczego ją tam zamknęli. A w każdym razie nie rozumiem, dlaczego ja i mój przyjaciel Keith nie trafiliśmy tam razem z nią. To ja i Maggie rozlaliśmy spray na robaki, czyli tak naprawdę benzynę z samochodu. A Keith rzucił zapalniczkę i ją podpalił. Skoro ja, Maggie i Keith mieliśmy coś wspólnego z pożarem, to nie wiem, dlaczego tylko Maggie jest w więzieniu, ale tak właśnie się stało.

Czasami w nocy zastanawiam się, jak mógłbym ją stamtąd uratować. Mówiłem jej o tym podczas ostatniej wizyty, a ona się roześmiała: „Och, Pandusiu, jaki z ciebie głuptasek!”. Ale potem bardzo spoważniała i powiedziała, że znalazła się tu, gdzie powinna.

- Dostanę drugą szansę, ale tamci troje, którzy zginęli w pożarze, jej nie mieli - dodała jeszcze i zamilkła.

Na korkowej ścianie powiesiłem wielki kalendarz i skreślam dni do jej powrotu.

Wtedy dostanie tę drugą szansę.

Zabrali mi córkę na tydzień przed jej osiemnastymi urodzinami. Skazali ją za usiłowanie sprowadzenia pożaru i zatajanie dowodów. Jej prawniczka zdołała doprowadzić do wycofania oskarżenia o nieumyślne zabójstwo. Walczyła z niezwykłą odwagą.

Maggie zrobiła coś strasznego. Obłąkanego. Moim zdaniem, potrzebna jej pomoc psychologa, nie więzienie, ale moja opinia się tu nie liczy. Martwię się, jak zmieni ją ten rok w więzieniu. Co z nią tam zrobią. Jestem pewna tylko jednego: że ja stanę się zupełnie inną matką. Zamierzam teraz zarzucić ją swoją miłością. Będzie mieć dziewiętnaście lat, ale pozostanie moją śliczną córeczką. A kiedy znów znajdzie się w moich ramionach, nigdy, przenigdy jej nie oddam.

Od autorki:

Podczas mojej pierwszej wyprawy na Topsail Island weszłam do biura nieruchomości, żeby zapytać o drogę. Gdy jego pracownica, Lottie Koenig, dowiedziała się, jak się nazywam, oznajmiła, że uwielbia moje książki, i chwyciła mnie w objęcia. Tak wyglądał mój pierwszy kontakt z życzliwymi mieszkańcami Topsail Island. Lottie oprowadziła mnie po wyspie i zapoznała z inną cenną informatorką, także agentką handlu nieruchomościami i mieszkanką Topsail Island - Patsy Jordan. Z kolei Patsy przedstawiła mnie Annie Scott, jednej z nielicznych nastolatek na wyspie. Anna dostarczyła mi mnóstwo wiadomości o tym, jak mogło wyglądać życie nastolatków z „Prawa matki”. Jestem wdzięczna tym trzem kobietom za pomoc i entuzjazm.

Dziękuję moim bliskim przyjaciołom, Elizabeth i Dave'owi Samuelsom, a także Susan Rouse za wspierałomyślne użyczenie swoich domów na Topsail Island na czas zbierania materiałów.

Nie zdołałabym napisać tej książki bez pomocy Kena Bogana, szefa służby przeciwpożarowej w Surf City. Ken dołożył starań, żeby pomóc mi zrozumieć moich walczących z pożarami bohaterów, opowiedział mi o dochodzeniu w sprawie podpalenia i wielu innych sprawach. Wraz ze swą żoną

Angie zaprosił mnie też do Sears Landing Grill, gdzie przybyłam uzbrojona w czterdzieści pięć pytań, którymi zarzuciłam ich przy obiedzie. Odpowiedzieli

421

na wszystkie i byliby gotowi na kolejne czterdzieści pięć, gdybym je przygotowała. Dziękuję wam! Dziękuję także innym strażakom z Surf City: Timowi Fisherowi, Kevinowi „Butterbeanowi” Headowi i Billowi Lindseyowi.

Znalazłam kilka wspaniałych źródeł wiedzy na temat poalkoholowego uszkodzenia płodu, ale nikt nie dorównuje zajmującej się tym zagadnieniem Jodee Kulp, pisarce i matce dziewczynki z FASD. Książka „The Best That I Can Be”, którą Jodee napisała wraz z córką Liz, stanowiła dla mnie wielką pomoc w zrozumieniu Andy'ego. Jodee nie tylko odpowiedziała na moje pytania, ale przeczytała pierwszy rozdział jego narracji, żeby się upewnić, czy dobrze spor-tretowałam tę postać.

Za pomoc w zrozumieniu działania instytucji sądów dla nieletnich jestem wdzięczna mecenasom Barrettowi Temple'owi i Evonne Hopkins, jak również Gerry'emu McCoyowi.

Pisząc tę książkę, nie rozstawałam się z „Topsail Island: Mayberry by The Sea” Raya McAllistera. Jest to doskonałe, napisane z uczuciem dziełko dla każdego, kto chce pogłębić swoją wiedzę o wyspie.

W loterii sponsorowanej przez Stowarzyszenie Pisarzy Karoliny Północnej Jabeen Akhtar wygrała prawo do uwiecznienia swego nazwiska w „Prawie matki”. Mam nadzieję, że spodobało jej się, iż nazwałam na jej cześć kawiarnię. Choć niektóre inne miejsca opisane w książce istnieją naprawdę, Jabeen's Java, Drury Memorial Church i Morski Strażnik są, podobnie jak postaci, wytworem mojej wyobraźni.

Chciałabym także, by moje podziękowania za pomoc przyjęły następujące osoby: Sheree Aldreman, Trina Allen, Brenda Burke-Cremeans, B.J. Cothran, Valerie Harris, Christa Hogan, Pam „Bless your heart” Lloyd, Margaret Maron, Lynn Mercer, Marge Petesch, Glenn Pierce, Emilie Richards, Sarah Shaber, Meg Skaggs, David Stallman, M.J. Vieweg,

422

Brittany Walls, Brenda Witchger, Ann Woodman i moi przyjaciele z ASA.

Dziękuję czytelnikom mojego bloga, zwłaszcza Margo Petrus, za podsuniecie mi tytułu książki.

Często słyszę, że agenci i redaktorzy są tak zapracowani, że brak im czasu na zapewnienie autorom optymalnych warunków do tworzenia. W moim przypadku nic podobnego nie miało miejsca.

Dziękuję mojej agentce - Susan Ginsburg, i mojej redaktorce Mirandzie Stecyk za umiejętności, mądrość, zaangażowanie i pasję. Obie nie macie sobie równych!